

Conan i Łowcy Głów

Roberts John Maddox



calibre 0.9.27

ROBERT E. HOWARD

JOHN MADDOX ROBERTS

CONAN I ŁOWCY GŁÓW

TYTUŁ ORYGINAŁU CONAN AND MANHUNTERS

PRZEKŁAD Arkadiusz Rączka

Wszystkie te wrażenia były mu znane: oślepiający ból głowy, wściekłe pragnienie, rozdrażnienie rosnące z powodu zgniłej słomy uwierającej w plecy, obrzydliwy odór. Odczuwanie tych niedogodności, chociaż niezbyt przyjemne, cieszyło go. Wiedział, że jeszcze żyje. Oczywiście, istniały takie więzienia, w których korzystniej byłoby być martwym.

Napiął mięśnie twarzy i gwałtownie poruszył zlepionymi powiekami, a kiedy je otworzył, odczuł pewną ulgę. Wiedział, że w tej prowincji żył pewien sędzia. Jego ulubionym rodzajem kary, jaką stosował wobec przestępców, było skazywanie ich na zaszcycie powiek. Ledwie rozróżniał szczegóły rozmazanego obrazu: kamienne ściany i sufit, poranne światło wślizgujące się przez kraty gęsto osadzone w niewielkim oknie wykutym wysoko w ścianie. Miał wielką ochotę wspiąć się tam i odetchnąć świeżym powietrzem.

Zmusiło go do tego pragnienie. Usiadł bardzo powoli i ostrożnie. Tył głowy, który z trudem oderwał od podłogi, miał oblepiony zaschniętą krwią. Na czarnej czuprynie pozostała garstka przyklejonej słomy. Poruszył się i wtedy dobiegł go dźwięk metalu. Spojrzał więc w dół na swoje pokryte bliznami ręce i muskularne ramiona. Jego grube nadgarstki, stworzone do władania mieczem, zakute były w odrapane, pokryte rdzą żelazo, przymocowane nowymi, lśniącymi nitami. Podobne kajdany skuwały mu nogi. Szybkim ruchem dłoni dotknął umięśnionej szyi i przekonał się, że także otaczała ją obręcz.

Wszystkie kajdany były przytwierdzone łańcuchami do uchwytów tkwiących głęboko w kamiennych ścianach i podłodze.

Najwyraźniej musiał się komuś wydać niebezpiecznym człowiekiem. Nie było w tym nic dziwnego, ponieważ on sam, Conan z Cymmerii, nigdy nie spotkał nikogo bardziej niebezpiecznego. Udało mu się wstać, ale nie mógł dosięgnąć okna. Stojąc, zdołał poruszyć się

najwyżej o krok. Z chwilą, gdy krew zaczęła szybciej krążyć w żyłach, odzyskał w pełni świadomość i spróbował przypomnieć sobie, co sprawiło, że znalazł się w tak krytycznym położeniu.

Z jego pamięci wynurzył się obraz kobiecej twarzy. Minna? Nie, Minata. Nie dalej jak wczoraj przybył do miasta, aby się z nią zobaczyć. Przyjechał ze wzgórz leżących na północ od miasta. Owinięty był w pustynną szatę z kapturem. W całym królestwie wyznaczono nagrodę za jego głowę. Zamierzał zniknąć stąd już kilka miesięcy temu i uciec na południe do Iranistanu, ale ociągał się z tym zamiarem właśnie z powodu Minaty. Nawet teraz, pomimo odczuwanego bólu i kłopotliwego położenia, poruszało go wspomnienie jej kruczoczarnych włosów, szarych, dużych oczu i wspaniale rozkwitłego smukłego ciała.

Udało mu się minąć wejściową bramę. Przekupił strażnika, jak to było przyjęte w tym kraju. Gdy podróżny chciał się dostać do miasta po zachodzie słońca, musiał uciec się do tego fortelu. Szedł w chaotycznym labiryncie tworzonym przez rozliczne budynki Dzielnicy Cudzoziemskiej, potem wszedł na rozchwiane, wąskie schodki i zastukał do drzwi

Zamoryjki noszącej imię Minata. Była kapłanką w otoczonej złą sławą świątyni Isztar. Nie dbał o to, czym zajmowała się w dzień. Noce zachowywała dla niego. Drzwi otworzyły się i w blasku świec pojawiła się piękna jak zwykle Minata. Ciało jej ledwie zasłaniała szata z wendjańskiej gazy. Lecz na jego widok nie ucieszyła się. Wchodząc do pokoju zobaczył jej oczy szeroko otwarte z przerażenia.

— Conan, ja... — wspomnienia tej nocy urywały się wraz z tymi słowami. Kimkolwiek był człowiek, który uderzył go w tył głowy, musiał być dobrym fachowcem i posiadał dużą siłę, gdyż Conan zaraz po uderzeniu stracił przytomność.

Tak więc Minata sprzedała go. Gdyby kiedyś mógł się uwolnić od tych łańcuchów i ścian, wyrównałby z nią rachunki. Przeklinał swą własną głupotę. Od początku wiedział, że nie należy wierzyć żadnej kobiecie. A jednak, mimo tej wiedzy, wciąż popełniał ten sam błąd, aby później gorzko tego żałować.

— Dozorca! — z jego zaschniętej krtani wydobył się ochryply okrzyk. Potrząsnął łańcuchami. Wypróbował ich moc napinając krępujące go pierścienie, aż jego ramiona ukazały mięśnie — siłę jego mięśni. Łańcuchy, chociaż stare i zardzewiałe, były

zadziwiająco mocne. Nie mógł się sam uwolnić.

Jakiś człowiek zaszurał nogami w wąskim korytarzu. Zbliżył się do zakratowanych drzwi celi.

— Czego chcesz barbarzyńco? — był to gruby prostak o pstrokatych siwiejących włosach i ustach pełnych szerniałych zębów.

— Wody — ryknął Conan.

— Dlaczego?

— Ponieważ mam pragnienie, ty durniu!

— A co mnie to obchodzi? Niedługo umrzesz. Szkoda dla ciebie wody.

Odwrócił się i odszedł pobrzękując kluczami przymocowanymi do pasa na grubym pierścieniu. Było to logiczne. Conan jednak wpadł we wściekłość. Jego złość potęgowała niemoc. Nie mógł nic zrobić, absolutnie nic, nawet jednego kroku. Nagle usłyszał głos rozlegający się w pobliżu.

— Człowieku, uspokój się. Ten łajdak wkrótce przyniesie ci jedzenie i wodę. Teraz jeszcze nie umrzesz. Królewski namiestnik zachowa cię na specjalną okazję.

Głos dobiegał po prawej stronie Conana. Przymrużając oczy mógł nawet rozróżnić mały, kwadratowy otwór w ścianie, a w nim twarz i utkwiony w niego wzrok.

— Kim jesteś? — burknął Conan.

— Osman z Shangary. Znalazłem się tutaj na skutek haniebnej pomyłki sprawiedliwości.

Ironiczny uśmiech przydał sarkazmu jego słowom. Pomimo swego kiepskiego stanu

Conan odwzajemnił przyjazny gest.

— Założę się, że zasługujesz na to miejsce o wiele bardziej niż ja.

— Sędzia też tak uważał — westchnął Osman — a wszystko dlatego, że klejnoty jego żony jakimś sposobem znalazły się w mojej torbie, kiedy zostałem aresztowany.

— A dlaczego zostałeś aresztowany? — zapytał Conan mając nadzieję, że choć na chwilę

zapomni o swojej niedoli.

— Paru kumpli oskarżyło mnie o używanie obciążonych kości podczas towarzyskiej partii

— jego źrenice rozszerzyły się na wspomnienie doznanej krzywdy — zaproponowałem im

odszkodowanie w postaci mojego sztyletu, ale posługiwali się nim tak niezdarnie, że

nadziali się na ostrze, dotkliwie się przy tym raniąc. I tak przez fałszywe posądzenie doszło do wypadku.

— A jak wyjaśniłeś obecność klejnotów?

— Cóż mogłoby być prostszego? Z pewnością jakiś ponury czarownik, chcąc mi

zaszkodzić, podrzucił je, używając swych czarodziejskich sztuczek.

— Czy to było wszystko, co byłeś w stanie wymyślić? — zapytał Cymmeryjczyk —

zasłużyłeś, żeby wisieć za te nędzne kłamstwa.

— Chciałem sędziom okazać współczucie — odrzekł na to Osmał — bo muszą słuchać

stale tych samych wymówek. Miałem nadzieję, że pozwalając sobie na coś zabawniejszego

złagodzę gniew sędziego, zwłaszcza kiedy zaczął podejrzewać, że kradzież klejnotów jest

powiązana z utratą cnoty jego żony.

— Dosyc tego! — rzekł Conan, próbując po raz ostatni rozerwać swoje okowy — co miałeś

na myśli mówiąc, że mam być zachowany na szczególną okazję?

— Ach, to! Zatem wiedz, że Torgut Chan przygotowuje wielki festyn, by uczcić

poświęcenie nowej świątyni Ahrimana. Oprócz zabaw i uroczystości ma odbyć się masowa

egzekucja więźniów, aby nowy rok rozpocząć z czystym sumieniem i pustymi więzieniami.

Torgut Chan od miesiący oszczędzał przestępców i sprowadził słynnego specjalistę od

tortur z Aghrapuru. Ty masz być gwoździem programu.

— Rozumiem. Kiedy ma być obchodzone to wielkie wydarzenie?

— Za dwa tygodnie. Sam widzisz, że dozorca musi ci wkrótce przynieść wodę. Nie ośmieli

się uczynić ci krzywdy.

Salę oświetlały świece osadzone w lichtarzach z brązu, zdobionych ornamentem w kształcie węży, lub kwitnących winorośli. Dwóch mężczyzn siedziało przy niewielkim stole. Przed każdym z nich stał puchar z kutego srebra, a pośrodku stołu znajdował się dzban wina.

— Nie podoba mi się ten plan — powiedział starszy z nich. Był to tęgi mężczyzna o wyrazistych rysach twarzy ubrany w szaty z najdoskonalszego jedwabiu — to jest zbyt skomplikowane. Wiele zależy od przypadku.

— Nic nie zależy od przypadku — odrzekł drugi. Ubrany był w pancerz z hartowanej stali, a na głowie miał spiczasty hełm. Osłona z posrebrzanej metalowej siatki osłaniała twarz o ostrych, jastrzębich rysach. Czarne opadające wąsy ocieniały wąskie usta.

— Znam ludzi i znam złoto. Wiem, co ludzie są w stanie zrobić, aby się wzbogacić. Proszę pozwól mi działać, a zagarniemy naszą część.

— Będą kłopoty — wahał się Torgut Chan — i rozlew krwi.

— Krew jest towarem bez wartości — zachnął się drugi.

— Jeżeli nie wszystko pójdzie po naszej myśli, święto może się nie udać. Chciałbym, żeby była to wyjątkowa uroczystość, którą ludzie będą długo pamiętać.

— Tak też się stanie — rzekł niecierpliwie mężczyzna w zbroi. Wychylił kielich, aby się uspokoić. Jego palce gładziły rękojeść z kości słoniowej długiego, zakrzywionego miecza.

Pożółkły ze starości i znaczony nacięciami uchwyt wskazywał, że miecz musiał być przez długie lata często używany.

— Pomyśl — ciągnął — po chwilowym zamieszaniu, stanowiącym przerwę w uroczystości, będziesz mógł wielu z nich doprowadzić na szafot, i skazać ich wszystkich na wyrafinowaną śmierć. A postara się o to kat sprowadzony przez ciebie tak wielkim nakładem kosztów.

Oczy Torgut Chana zalsniły.

— Byłby to odpowiedni finał całej uroczystości.

— Prawda? I nie muszę chyba mówić, jak jego wysokość będzie zadowolony, że tak zręcznie uporałeś się z bezprawiem.

Torgut Chan z wahaniem kiwnął głową. Po czym uderzył otwartą dłoń w stół.

— Niech zatem tak będzie. Masz moje pozwolenie. Możesz wprowadzić w życie swój plan.

Mężczyzna gwałtownie podniósł się i zasalutował, przytykając pięść do swej opancerzonej piersi. — Natychmiast się za to zabieram, Ekscelencjo.

— I jeszcze coś! — powiedział namiestnik w chwili, gdy jego podwładny miał opuścić komnatę.

Mężczyzna odwrócił się, trzymając dłoń na klamce.

— Ekscelencjo?

— Nie spraw zawodu, bo w przeciwnym razie zapłacisz własną głową — ponure spojrzenie Torgut Chana było apatyczne, ale groźne, niczym u sytego, rozleniwionego smoka, zawsze mogącego użyć swej olbrzymiej siły i trującego oddechu.

Sagobal skłonił głowę.

— Tak, Ekscelencjo.

Wyszedł zamykając za sobą drzwi. Dopiero wtedy mógł sobie pozwolić na to, aby dać wyraz prawdziwym uczuciom. Mijani strażnicy starali się nie rzucać w oczy swojemu dowódcy.

Sagobal, nawet gdy znajdował się w swoim najlepszym nastroju, potrafił być niebezpieczny, a kiedy był poirytowany stawał się bardzo groźny.

Oddech wartownika cuchnący winem, rdzawa plamka na grocie włóczni, nawet rozwiązana sznurówka u butów były dla niego wystarczającym powodem, by wyciągnąć miecz o rękojeści z kości słoniowej i szybkim ruchem ściąć głowę nieszczęśnika.

Sagobal był wściekły, że człowiek, któremu tak dobrze i wiernie służył, traktował go z

pogardą. Tak było zawsze, gdy namiestnik był kuzynem króla, albo wpływowym

dostojnikiem, który doszedł do władzy i intratnego urzędu dzięki rodzinnym koneksjom.

Nie liczyły się żadne zdolności. A Sagobał, świetny żołnierz, nigdy nie mógł stać się nikim więcej niż kapitanem prowincjonalnej straży. Było tak dlatego, że wywodził się ze zwykłej rodziny drobnego posiadacza ziemskiego, a swoją pozycję zdobył dzięki zdolnościom,

odwadze i latom ciężkiej, żołnierskiej służby.

— Nigdy więcej, na Seta! Nigdy więcej! — myślał krocząc do swojej kwatery — nie będę służył kolejnemu grubemu, perfumowanemu dworzaniowi, który kupił swoją pozycję za złoto i pochlebstwa!

Dwóch mężczyzn siedziało na ławce przed drzwiami kwatery Sagobała. Gdy go zobaczyli, podnieśli się i uklonili.

— Chodźcie ze mną! — rzekł tonem nie znoszącym sprzeciwu. Wszedł do środka i mężczyźni podążyli za nim.

Zdjął hełm i ostrożnie położył go na skrzyni służącej do przechowywania broni. Jego czarne włosy gładko przylegały do czaszki. Odwrócił się i przeszył obydwu mężczyzn wzrokiem. Nie było w nich nic szczególnego, nosili ubrania zwykłych mieszczan, ale posiadali umiejętności, których potrzebował.

— Oto, co macie robić — powiedział.

W trzecim dniu swojej niewoli Cymmeryjczyk myślał, że oszaleje. Inni więźniowie przebywali w lochach, ale tylko Osman mógł go widzieć i słyszeć. Ten kompan uprzyjemniał mu ponurą rzeczywistość. Był niewyczerpaną skarbnicą opowieści i nieprzyzwoitych plotek dotyczących urzędników Turanu, ich żon, o których wiedział zbyt dużo. A mogło to być niebezpieczne.

— Wystarczy — rzekł Conan wysłuchawszy niecenzuralnej opowieści o poprzednim namiestniku i jego niewiernej żonie — musimy znaleźć sposób, żeby się stąd wydostać, w

przeciwnym razie uświetnimy ceremonię poświęcenia świątyni. Nie mam na to zbyt wielkiej ochoty.

— Powtarzasz to samo od trzech dni — zauważył Osman — ale twoje łańcuchy nadal krępują cię mocno.

— Jesteś takim źródłem pomysłów, miałem nadzieję, że wpadniesz na jakiś fortel.

— A co z twoją bandą? — zapytał Osman — czy to możliwe, by zapomnieli o tobie i nie chcieli cię uratować?

— Oni! — Conan zaśmiał się chrapliwie — przybyliby tu chętnie, aby obejrzeć moją śmierć na szafocie.

— Myślałem, że wędrowni bandyci są niczym bracia — powiedział Osman z szyderstwem w głosie.

— Tak samo jak rzeźmieszki i mordercy w mieście — odrzekł Conan — cenią mnie, bo umiem świetnie władać mieczem i jeździć konno. Nie tęsknią jednak za tobą, kiedy jesteś daleko.

— Co za okropność! — rzekł Osman.

Conan siedząc na podłodze usiłował wymyślić jakiś podstęp, który pozwoliłby mu uciec.

Każdy pomysł był jednak udaremniony, bo więzień nie mógł się poruszać. Krótkie i mocne

kajdany uniemożliwiały mu zbliżenie się do ścian, okna lub drzwi celi. Dozorca nigdy nie znajdował się dostatecznie blisko, aby można go schwycić. Bezpieczeństwo miał

zapewnione dzięki swemu niedbalstwu. Dźwięk głosów dobiegających z zewnątrz wyrwał

Conana z zamyślenia. Wiedział, że okno celi wychodzi na mały, brukowany plac. Rano był

miejsцем silnie nasłonecznionym, lecz w południe znajdował się w głębokim cieniu.

Korzystali z tego ludzie chcący skryć się przed upalnym słońcem. Conan mógł rozpoznać

kształt żołnierskich butów.

— Nie będzie wina — rzekł pierwszy żołnierz.

— Co to za święto, jeżeli nawet nie możemy się napić?

— Na Seta, będziemy mogli, ale dopiero trzeciego dnia, kiedy skarb zostanie zabezpieczony — odrzekł drugi — dopiero wtedy żołnierze mogą zejść z warty i wziąć udział w święcie. W razie nieposłuszeństwa czeka winnego śmierć.

— Na Assurę! Jeżeli Sagobał obiecywał śmierć, to na pewno dotrzyma słowa. Ale powiedz mi coś o tym skarbie. Niczego dotąd o nim nie słyszałem.

— Ciszej mów — powiedział drugi żołnierz — wczoraj stałem na straży tego skarbu i słyszałem, co mówili o nim urzędnicy. Wszystkie dochody podatkowe całej prowincji mają być zgromadzone w krypcie pod nową świątynią. W innym czasie mogłoby to przyciągnąć uwagę ulicy, ale gdy tyle wozów przybywa na uroczystość, nikt nie będzie niczego podejrzewać. My zaś nie dostaniemy nawet kropli wina dopóki ostatnia moneta nie znajdzie się w świątyni i Torgut Chan nie zalakuje jej drzwi królewską pieczęcią.

Niebawem obydwaj żołnierze odeszli i Conan powrócił do swoich rozmyślań.

— Słyszałeś, Cymmeryjczyku? — syknął Osman.

— Słyszałem, co mi teraz z tego.

Tego rodzaju skarb mógłby chyba zwabić twoją złodziejską bandę, prawda? — Osman mówił pokrętnie i dwuznacznie.

— Bez wątpienia. Co z tego? Niczego by nie wskórali, mając przeciw sobie cały garnizon.

— Ale ty jesteś przecież przebiegłym grabieżcą — ciągnął Osman prowokująco — z pewnością znalazłbyś jakiś sposób, żeby wykraść ten skarb.

— Próżne gadanie — stwierdził Conan — moja banda jest na wzgórzach, a ja jestem tutaj i prawdopodobnie pozostanę aż do uroczystości, w czasie której co innego będę miał na głowie.

— A gdybym był w stanie cię stąd wydostać? — zapytał Osman.

— Masz jakiś plan? — syknął Conan.

— Być może, być może. Oczywiście potrzebowałbym od ciebie pewnych gwarancji.

— Gwarancji? — powtórzył Conan wpadając we wściekłość — mów z sensem, człowieku!

— To, co powiedziałem, uważam za bardzo sensowne. Chcę mieć swój udział w skradzionym skarbie.

— Czy ty czasem nie przeceniasz swoich możliwości? — powiedział Cymmeryjczyk — w końcu i ty jesteś tylko więźniem.

— Niedługo. Jeśli pomogę ci uciec, zdobędziesz skarb i oddasz mi połowę?

Conan zdecydował się ustąpić.

— W porządku, jeśli mnie stąd wyciągniesz połowa jest twoja. Powiedz mi teraz, jak zamierzasz to zrobić.

— Plan jest taki. W przeciwieństwie do ciebie nie jestem skuty. Mogę bez trudu powalić tego głupiego dozorcę i zabrać mu klucz. Problem w tym, że, aby stąd wyjść, trzeba przejść przez wartownię na szczycie schodów. Ta perspektywa trochę mnie powstrzymuje.

— I jakie widzisz wyjście z tej sytuacji?

— Jesteś wielkim wojownikiem. Jeżeli cię uwolnię, potrafiłbyś utorować nam drogę przez wartownię?

— Tak. Ale zostaje mały problem — łańcuchy — zauważył Cymmeryjczyk pobrzękując nimi znacząco.

— To jedyna trudność. Na półpiętrze, przed wartownią, znajduje się kowadło, którego używają do rozkuwania, a także do przykuwania łańcuchów niebezpiecznym więźniom.

Gdybym zniósł je na dół razem z młotkiem i dłutem, potrafiłbyś chyba odciąć swoją żelazną biżuterię?

— Na Croma! — zawołał Conan, czując wzbierającą nadzieję — jeśli naprawdę zniesiesz kowadło na dół wraz z młotkiem i dłutem, pozbędę się tego żelastwa szybciej niż

zamorańskie nierządnicę zrzucają ubranie! — po chwili dodał podejrzliwie. — Wprawdzie

słabo cię widzę, ale nie wyglądasz na bardzo silnego człowieka. Dasz radę znieść kowadło po schodach zanim ktoś zauważy zniknięcie dozorczy?

— No, wiesz — powiedział Osman, szczerząc szeroko zęby — zdaje się, że coś wymyślimy, prawda?

Tej nocy Osman zaczął straszliwie jęczeć. Po godzinie zjawił się dozorca, aby to zbadać.

— Co ci dolega? — zapytał, szurając nogami po przejmująco wilgotnej posadzce.

— Tysiąc demonów wtargnęło do moich trzewi — krzyknął Osman — czy jedzenie, które mi przyniosłeś, było zatrute? Przyprowadź medyka, bo inaczej umrę, a ty zajmiesz moje miejsce na szafocie! Łajdaku! — wypowiedź zakończył kolejnym przeciągłym jękiem.

— Już wolę szafot niż znosić to wszystko — mruknął dozorca. Zbliżył się do celi Conana i wznosił w górę pochodnię. Więzień udawał śpiącego. Upewnił się, że jego okowy od strony drzwi są widoczne.

Dozorca zadowolony, że Cymmeryjczyk pozostawał przykuty do ścian, podszedł ponownie do celi Osmana. Dało się słyszeć zgrzyt klucza w zamku, szuranie i niski zrzedliwy głos, a później odgłos zadawanego uderzenia, przenikliwy krzyk i wreszcie ostatni cios.

— Conan! Jestem wolny! — oznajmił Osman.

— Nie, jeszcze nie jesteś. Na razie tkwisz tu na dole razem ze mną. Pomóż mi się wydostać z tych kajdanów, a wtedy ja cię uwolnię.

Osman zbliżył się do drzwi z pękiem kluczy i wypróbował je wszystkie zanim dotarł do właściwego. Drzwi rozchyliły się szeroko.

— Pójdę teraz po kowadło — stwierdził.

— Mniej gadaj, więcej rób — doradził Conan — pośpiesz się!

Złodziej zniknął w okamgnieniu. Conan usłyszał stukot jego stóp wbiegających po

stopniach. Dotarł do niego hałaśliwy zgrzyt i odgłos stęknienia. Zdawało się, że wszystko to trwa wieki; stękanie i szuranie oraz powtarzający się cyklicznie łoskot wydawany przez ciężką stal obijającą się o kamienie. Cymmeryjczyk niecierpliwił się, aż ponownie ujrzał złodzieja w drzwiach swojej celi. Słaniał się pod ciężarem kowadła, które obejmował ramionami. Upadł niemalże do stóp Conana.

Conan pochwycił kowadło w swe mocne dłonie i ustawił je w pozycji pionowej.

— Szybko, człowieku, młot i dłuto.

— Wydaje ci się, że... — zaczął Osman, łapiąc haust powietrza — to kowadło było tak blahym ciężarem, że mogłem przynieść pozostałe narzędzia w drugiej wolnej ręce? — Conan złapał go i przygiął do ziemi.

— Leć i przynieś je tu zanim skręcę ci kark! — Osman świszcząc i sapiąc wybiegł chwiejnym krokiem. Parę minut później był z powrotem, z młotem o krótkim trzonku w jednej dłoni i z przecinakiem w drugiej.

— Mam nadzieję, że umiesz się tym posłużyć?

— Mój ojciec był kowalem — odpowiedział Conan, biorąc od Osmana narzędzia — nauczyłem się wcześniej posługiwać młotem niż mieczem.

Kłęcząc na jednym kolanie, ustawił stopę na kowadle i oparł dłuto na ogniwie łańcucha, tuż przy pierścieniu. Jednym potężnym ciosem młota odrąbał stawiające opór żelazo. W lochu rozległ się jakby dźwięk olbrzymiego dzwonu.

— Usłyszą to na górze — powiedział Osman lękliwie — śpiesz się!

— Czy wyglądam na kogoś, kto traci czas? — zapytał Conan i raz jeszcze uderzył w pierścień na wysokości kostki. Pochylił się do przodu i łańcuch na szyi odciął od obręczy. Położył lewą dłoń na kowadle i przyłożył dłuto w okolicach nadgarstka.

— Trzymaj dłuto — rozkazał. Osman chwycił je gorliwie.

— Nie chybisz i nie uderzysz w moją... — Conan nie zadał sobie trudu, aby go uspokoić,

grzmotnął w dół, rozrywając łańcuch. Osman z przekleństwem upuścił narzędzie i potrząsał piekącą od bólu ręką. Teraz Conan schwycił młot w lewą dłoń.

— Jeszcze raz! — rozkazał. Osman, wahając się, podniósł dół.

— Czy umiesz również uderzać młotem za pomocą lewej ręki? Na pewno mógłbyś chybić.

Wtedy usłyszeli głosy i niespokojną krzątaninę na górze.

— Mitro, dopomóż mi — powiedział Osman, ściskając dół z zamkniętymi powiekami.

Potężne uderzenie młota i ostatni łańcuch został zerwany. Cymmeryjczyk zaśmiał się, wstając na równe nogi.

— Wolny.

— Wolny? — powiedział Osman, ze strachu odchodząc niemal od zmysłów — jesteśmy w lochu i właśnie nadchodzą strażnicy.

Conan wziął młot w jedną rękę i dół w drugą.

— Więc najlepiej zrobimy, jeśli stąd pójdziemy. Po tych słowach zniknęli w drzwiach celi.

Idąc w górę, schodów natknęli się na parę strażników zdumionych ich widokiem.

Najbliższy strażnik wymierzył cios włócznią w głowę Conana, lecz ten odbił ostrze dółtem.

Uderzając młotem w hełm, roztrzaskał jego czaszkę. Upadającego żołnierza Conan zepchnął ze schodów, drugiego uchwycił za nogi i wbił mu dółtem w klatkę piersiową.

Stępione ostrze, przebijając serce, utkwilo głęboko poniżej kręgosłupa.

Mężczyzna upadł, a Conan chwytając jego miecz przeskoczył ponad leżącymi ciałami i pomknął w górę ku wartowni.

Na widok Conana trzech chwyciło za broń. Jeden z nich zaczął wołać na alarm, ale miecz

Cymmeryjczyka uciął krzyk, rozcinając mu gardziel. Drugi próbował wymknąć się przez

drzwi wejściowe, lecz Conan rzucił weń masywnym młotem i zmiażdżył mu głowę niczym skorupkę od jajka.

Ostatniemu strażnikowi udało się założyć tarczę na ramię. Wzniósł topór, aby uderzyć przeciwnika, Conan jednak pierwszym cięciem odrąbał tarczę z kawałkiem ramienia.

Następnym ciosem rozłupał jego czaszkę na dwoje. Nagle w wartowni zrobiło się całkiem cicho.

— Pięciu ludzi! — powiedział Osman z grozą w głosie — pięciu ludzi uśmierconych w czasie starczającym na parę oddechów.

— Byłeś cholernie pomocny! — powiedział Conan, dobierając sobie najlepszą broń, jaką można było znaleźć w pokoju. Nie mógł odszukać hełmów ani ubrań odpowiednich rozmiarów, więc musiał zadowolić się swoją przepaską biodrową oraz kolekcją rozmaitej broni.

— Tak dobrze sobie radziłeś — oburzył się Osman — w czym miałem ci pomóc?

— Po pierwsze, potrzebne są konie! Wyjdź na zewnątrz, szybko znajdź dla nas dwa wierzchowce i przyprowadź je tutaj.

— Mam to sam zrobić?

— Tak, sam. Spójrz na mnie! — twarz półnagiego barbarzyńskiego olbrzyma była podrapana i posiniaczona, włosy splątane.

— Nie mógłbym zrobić nawet pięciu kroków, żeby paru mieszczan nie podniosło alarmu.

Nikt nie weźmie tych żelaznych obręczy za biżuterię. Ukradnij nam jakieś konie i szybko się z tym uwiń.

Niewysoki mężczyzna wybiegł przez drzwi, a Conan czekał, obawiając się szczęku zbroi wartowników, którzy w każdej chwili mogli nadbiec, aby pomścić zamordowanych

kompanów. Nagle usłyszał stukot kopyt koni przechodzący w galop. Mając niezwykle

wyostrzony słuch, wiedział, że tylko jeden wierzchowiec był dosiadany przez jeźdźca. Parę chwil później Osman zatrzymał się przed drzwiami na wspaniałym, bojowym rumaku.

Drugiego trzymał za uzdę. Obydwa nosiły siodła królewskiej jazdy.

— Szybko, wsiadaj na konia! — krzyknął Osman — ich właściciele byli w gospodzie.

Wściekli się na mnie. Teraz są już blisko! — jego ponaglenie było całkiem zbyteczne. Zanim wypowiedział trzecie słowo, Cymmeryjczyk siedział już w siodle, a jego pięty dźgały w końskie boki. Z okrzykiem radości Osman pogalopował za nim.

Proszę spojrzeć na tego, kapitanie — powiedział żołnierz. Kolejne ciało wyciągnięto z lochów i żołnierze gapili się na nie.

— Na Mitrę! — powiedział jeden z nich — czy to dłuto tkwi w jego piersi? Został dźgnięty dokładnie na wysokości mostka. Na Seta! — żołnierz oparł stopę o ciało, chwycił za wystający trzonek narzędzia i pociągnął. Dłuto pozostało tam, gdzie było.

— Na Seta! — rzekł żołnierz z podziwem — utkwilo w kręgosłupie. Czyja dłoń mogła zadać taki cios?

— Conana, głupcze! — powiedział pierwszy żołnierz — przywódca bandytów jest tak silny, jak mówią ludzie.

Sagobal zbadał martwe ciała.

— Pięć trupów? — zdziwił się.

— Tak, i dozorca — rzekł pierwszy rozmówca — tamten ma złamany kark.

Sagobal wskazał na czterech ludzi.

— Wy czterej obejmujecie tutaj wartę. Reszta niech zabierze te ciała i sprawi im pogrzeb.

Muszę donieść o tym Torgut Chanowi.

— Nie robimy pościgu, kapitanie? — zapytał pierwszy rozmówca.

— Nie, mają zbyt dużą przewagę, a my jesteśmy wycieńczeni przygotowaniem do uroczystości. Bez wątpienia zobaczymy ich niebawem.

Żołnierze zaskoczeni wypełniali rozkaz. Dziwiło ich, że łatwo wpadający w gniew kapitan

Sagobal potraktował incydent z tak filozoficznym spokojem. Wzruszając ramionami, spełniali swoją powinność jak przystało na żołnierzy, bez zadawania pytań.

Sagobal udał się złożyć raport Torgut Chanowi o ucieczce Conana i o rzezi wśród wartowników.

Uśmiechnął się z satysfakcją, że wszystko przebiega zgodnie z planem.

— Stąd jest już blisko — powiedział Conan.

— Mam nadzieję, że się nie mylisz — odrzekł Osman, krzywiąc się z bólu. Łatwe życie miejskiego żołnierza sprawiło, że nie był przygotowany do trudów forsownej jazdy.

Pustynny krajobraz, przez który jechali, był jałowy i suchy. W pejzażu dominowały wielkie głazy. Brak było rozfalowanych wydm, a jedyną roślinność stanowiły karłowate zarośla. Ślady wiły się między głazami i skalnymi ścianami, jak w labiryncie, i trudno było cokolwiek dostrzec w odległości większej niż parę kroków. Idealny kraj dla bandytów.

Conan rzucił okiem na sterczącą, skalistą iglicę.

— W czasie mojej nieobecności trudno tej hołocie utrzymać dyscyplinę — powiedział. —

Na spiczastej skale powinien ktoś czuwać na czatach. Człowiek może tam leżeć na brzuchu jak jaszczurka, i widzieć wszystkie podejścia.

Po paru minutach wjechali w wąski wąwóz, tak głęboki, że czyste niebo zamieniło się w błękitną wstęgę wciśniętą między urwiste skalne zbocza. Nagle ścieżka wprowadziła ich do małego kanionu z rwącym strumieniem pośrodku. Strumień wpadał do niewielkiego stawu i ginął z pola widzenia. W powietrzu unosił się ostry zapach dymu. Grupa mężczyzn siedziała wokół ognia. Skoczyli na równe nogi, widząc dwóch intruzów wjeżdżających do kanionu. Była to banda złożona z różnych narodowości: Turańczyków, Iranistańczyków i z pół tuzina innych pustynnych nacji wędrujących po bezdrożach południowego Kothu i Turanu. Mieli drapieżny wygląd, typowy dla banitów ze wszystkich stron świata: posępni, poznaczeni bliznami, wielu z nich nosiło ślady tortur zadanych przez katów podczas publicznych egzekucji. Niejednemu wykrzywiono rękę za złodziejstwo. Spoglądali na przybyłych z niepokojem. A dwóch mężczyzn, którzy cały czas siedzieli ze skrzyżowanymi nogami przy ognisku, patrzyło na nich z wrogością.

— Hej, łotrzy — zawołał Cymmeryjczyk — kiepsko witacie starego kompana, który ledwie

uszedł śmierci. — Zsiadł z konia i z niezachwianą pewnością siebie zbliżył się do ogniska. —

Wiem, wiem, tak was zatkało z radości, że nie wiecie jak to wyrazić.

Mierzył ich przeszywającym wzrokiem, lecz oni unikali jego spojrzenia. Conan odetchnął z mocą.

— Na Seta — czuję zapach obiadu! Zbyt długo nie jadłem posiłków godnych ludzi! Z

wyraźną butą podszedł do ognia, a inni cofnęli się, ustępując mu miejsca. Para pulchnych gazeli piekła się nad węglami, wydając smakowity zapach. Dwóch niezbyt urodziwych

mężczyzn rzucało na niego pełne nienawiści spojrzenia. Cymmeryjczyk wyszczerzył się do nich w uśmiechu. Wyciągnął swój sztylet i odkroił spory kawałek pieczonego mięsa.

— Arghun, jak to miło znowu zobaczyć twoją zgorzkniałą twarz. Widzę, że jak zwykle

lizus Kasim jest z tobą. — Jednym szarpnięciem mocnych, białych zębów odgryzł kęs

mięsa, żuł je przez chwilę i połknął. — Mógłbym pomyśleć, że nie cieszy się widząc mnie żywego.

Jeden z mężczyzn wstał. Jego broda, barwiona na kolor jaskrawoczerwony, sterczała rozwidlając się na końcu.

— Sprawy nie wyglądają już tak jak kiedyś, Conan. Dałeś się schwytać jak głupiec, a ktoś taki nie może być naszym przywódcą. — Wskazał na człowieka obok siebie, który wolno

podniósł się z ziemi, ani przez chwilę nie spuszczał wzroku z Conana. — Arghun został

teraz naszym wodzem. Jest dwakroć lepszy od ciebie, przybłądo z północy!

— Zgadza się — przytaknął drugi z nich, barczysty bydlak odziany w splamione krwią

skóry, o twarzy poznaczonej bliznami. — Teraz ja tu rządę. Jeśli chcesz, możesz jechać z nami, ale jako zwykły członek bandy. — Jego szczęka wysunęła się butnie do przodu, a dłoń spoczęła na rękojeści zakrzywionego, krótkiego miecza.

— Ach tak — powiedział Conan, ścisząc złowroźbnie głos — korzystałem jedynie z gościnności namiestnika, to wszystko. To niczego nie zmienia.

— Skoro tak myślisz — odrzekł Arghun — już jesteś martwy! — sięgnął po miecz, lecz nie

zdążył wyciągnąć go z pochwy, Cymmeryjczyk, szybki jak tygrys, przeskoczył przez ognisko i

zagłębił sztylet w jego pachwinie. Z pasją obrócił w górę zakrzywione ostrze i rozpruł jego ciało aż po mostek. Arghun krzyknął tylko raz, po czym runął w poprzek ogniska z

wypadającymi na wierzch wnętrznościami.

Kasim, zaszokowany tak brutalną przemocą, rzucił się do ucieczki, ale nie zrobił nawet kroku, gdy dopadł go Cymmeryjczyk. Zaciśnął masywne ręce na jego szyi. Rozległ się chrzęst łamanych kości i nagle jego ruda rozwidlona broda zaczęła sterczeć ponad plecami.

Wybałuszone oczy w niedowierzaniu spojrzały po raz ostatni na twarz Conana wykrzywioną w zacieklej grymasie.

Conan podniósł zwiotczone ciało i wrzucił je do wody. Uderzyło o taflę z potężnym pluskiem. Potem podszedł do nadpalonego ciała Arghuna i wyrwał swój sztylet z piersi, by po chwili wytrzeć ostrze o brudne skóry. Odciął sobie kawałek mięsa.

— Czy wszyscy zadowoleni? — mruknął, przeżuwając kolejny kęs.

— Miło znowu cię widzieć! — krzyknął jednooki Turańczyk zwany Ubo.

— Tak, wszyscy mieliśmy nadzieję, że do nas wrócisz Conanie — powiedział inny z bandytów, a reszta przyznała mu rację.

Jeden z nich, wyglądający na człowieka pustyni, brodził przez chwilę w stawie, po czym wydobył ciało nieszczęsnego Kasima.

— Wstydz się, Conanie — wykrzyknął z oburzeniem w głosie — skałaś wodę pitną, co jest wielkim świętokradztwem. Mówiąc to, wyjął skraj swojej szaty w brązowo–czarne pasy.

— Z pewnością Kasim jej nie osłodził, Autio — stwierdził Conan. — Ten człowiek jednak sprowokował mnie i straciłem panowanie nad sobą. Ludzie, oto mój przyjaciel, Osman.

Dzięki niemu wydostałem się z lochów, a to oznacza, że jest teraz jednym z nas.

Banda witała go. Osman podszedł do Conana.

— Po tamtej akcji widziałem, na co cię stać. Zdziwiony jestem, że przeciwstawili się tobie, wiedząc kim jesteś.

— Huh! — parsknął Conan, rozgryzając żeberko. Rozejrzał się wokół, po czym rzekł cicho:

— Te psy! Oni mają bydlęce mózgi. Każdego dnia trzeba im uzmysławiać swoją przewagę.

Wkrótce zapomną o dzisiejszym wydarzeniu i któryś z nich znów będzie myślał o

odebraniu mi dowództwa. Wtedy znowu trzeba będzie zrobić to samo. Tak jak widziałeś najlepiej uporać się z nimi szybko i sprawnie, zanim bunt zrobi się zaraźliwy.

— Rozumiem — powiedział Osman. Odkroił sobie kawałek mięsa i żując rozkoszował się doskonałym smakiem pieczenia.

— I co teraz?

— Ułożymy plan — powiedział Conan — a ty będziesz pomagał.

— Jasne — zapewnił Osman — chciałbym ci dalej służyć tak, jak dotąd. Będę twoją prawą ręką — uśmiechnął się przymilnie.

Cymmeryjczyk, utkwiał w nim spojrzenie przerywając ogryzanie żeberka.

— Ja już mam prawą rękę — zwrócił uwagę Osmanowi.

* * *

Zadowolony Sagobal doglądał przygotowań. Jego żołnierze byli dobrze wyćwiczeni, a ludzie, po których posłał, wkrótce mieli nadjechać. Wszedł do nowej świątyni Ahrimana.

Wykuta brama wejściowa przypominała głowę olbrzymiego demona. Rozwarta paszcza była wejściem. Żelazne szpice opuszczonej kraty tworzyły serię groteskowych kłów

osadzonych w górnej szczęce demona. Budowlę wybudowano niedawno, a mimo to jej wnętrze wywoływało przygnębiające wrażenie. Światło docierało jedynie przez małe,

okrągłe okienka umieszczone wysoko w bocznej nawie. Szyby w oknach ze szkarłatnego szkła rozpraszały czerwone promienie i napełniały świątynię krwistymi smugami. Od

wejścia aż do ołtarza ciągnęły się dwa szeregi kolumn podpierających dach. Miały one kształt nagich, zakutych w łańcuchy kobiet, przygniecionych ciężarem niesionym na

ramionach. Ich piękne twarze były udręczone i skurczone w bólu.

Sagobal przechodząc między nimi dotarł do ołtarza. Zbudowano go na kształt

olbrzymiego gniazda wijących się węży wyrzeźbionych z niezwykłą precyzją, w stylu dużo

starszym niż ten, w jakim wykuto filary w kształcie kobiecych ciał. W rzeczywistości ołtarz wywodził się z bardzo głębokiej starożytności i nawet najbardziej uczeni ludzie w mieście nie mogli ustalić jego pochodzenia.

Sagobal, choć był twardym i niewzruszonym mężczyzną, na widok tego przerażającego ołtarza poczuł dreszcz.

Przez całe wieki na miejscu świątyni była kupa gruzów. Znajdowała się ona na placu miejskim, otoczona wspaniałymi budynkami, a nikt nie wpadł na pomysł, aby ją uprzętać i wybudować zamiast niej coś nowego. Krążyła po mieście mroczna, stara legenda, że ktokolwiek odważyłby się to zrobić, poniósłby straszną karę za swoje zuchwalstwo.

Nagle, dwa lata temu, pojawił się w mieście pewien tajemniczy człowiek. Przybycie jego zbiegło się z objęciem przez Torgut Chana urzędu królewskiego namiestnika. Człowiek ów nosił imię Tragthan i pewnego dnia przybył na dwór namiestnika, prosząc o audiencję.

Oznajmił, że jest kapłanem starożytnego obrządku Ahrimana i przybył, aby odbudować ich porzuconą świątynię.

Torgut Chan był obojętny do czasu, gdy Tragthan oświadczył, iż bracia chętnie pokryją wszelkie koszty. Stwierdził wówczas, że nie miałby nic przeciwko temu przedsięwzięciu, ale należy wziąć pod uwagę formalności prawne. A te łatwiej byłoby przebrnąć, gdyby kapłan ofiarował pewną sumę na odbudowę okręgowego skarbcza.

Później na prywatnej audiencji Tragthan powiedział Torgut Chanowi, że głęboka krypta położona pod świątynią służyłaby doskonale jako skarbiec. A sama świątynia mogłaby być solidną budowlą odporną na wszelkie ataki. Takie rozwiązanie byłoby dla Torgut Chana bardzo korzystne. Mógłby teraz schować do kieszeni królewskie pieniądze przeznaczone na budowę skarbcza oraz te pochodzące ze zbiórek. Torgut Chan wysłał także do króla list.

Pisał w nim, że pieniądze zostały darowane na budowę nowej świątyni, tym samym odbudowa królewskiego skarbcza została zabezpieczona.

O tym wszystkim wiedział Sagobal, który teraz przyglądał się odrażającemu ołtarzowi.

Miejsce kultu zostało odkryte, kiedy usunięto rumowisko kamieni. Gdy się to dokonało, pomimo strachu przed kapłanem i namiestnikiem, robotnicy uciekli i odmówili powrotu.

Aż w końcu do ukończenia prac nad odkrytym salonem użyto więźniów. Ołtarz ukryto pośród ciężkich tkanin, tak aby pracujący, robotnicy nie musieli na niego patrzeć. Jak zapewniał Tragthan, wielka krypta leżała pod posadzką świątyni nienaruszona przez stulecia. Nowa świątynia powstawała w niezwykłym tempie. A działa się tak dzięki kapłanowi, który zdawał się mieć niewyczerpane fundusze i zatrudniał najlepszych rzemieślników, artystów. Niektórzy z nich patrzyli z niesmakiem na rysunki i plany przeznaczone do kopiowania. Opowiadali, że pergamin ze szkicami zrobiony był z ludzkiej skóry. Rekompensata jednak, którą hojnie szafował Tragthan, zawsze uspokajała ich wrażliwość.

Sagobal przechadzał się z wolna wokół złowieszczego ołtarza. Wydało mu się, że światło płynące ze wszystkich okien w nieprawdopodobny sposób skupia się właśnie w tym miejscu. Zastanawiał się, dlaczego tak się dzieje? Czyżby kapłan umieścił na dachu lustra ustawione pod różnym kątem? Wolał uwierzyć w tak proste rozwiązanie.

Wyjątkową grozę budziła jedna z węzowych głów. Oświetlona przez czerwone światło, wyglądała tak, jakby była zrobiona z odmiennej substancji. W przeciwieństwie do innych węży ta głowa była na wpół ludzka. Sagobal chciał ją dotknąć i wyciągnął dłoń.

— Nie dotykaj ołtarza Ahrimana! — Sagobal gwałtownie się odwrócił. Wyciągnął do połowy klingę. Po chwili z trzaskiem wepchnął miecz do pochwy.

Szczycił się swoim wyostrzonym słuchem, lecz ksiądz stanął za nim bezszelestnie.

— Podziwiam twój ołtarz — powiedział bez zbytniej pokory.

— Wybacz mi moją obcesowość, ale jest to jedna z najbardziej czcigodnych i świętych relikwii mego kultu. Może być dotykana wyłącznie przez poświęcone dłonie. — Ksiądz był wysoki, ubrany w rdzawo zabarwioną szatę. W głębi kaptura z trudem można było dostrzec kościstą twarz i dziwnie świecące oczy.

— Chciałbym raz jeszcze obejrzeć kryptę — powiedział Sagobal. — Już niewiele zostało do pierwszego dnia festynu.

— Jeśli zechcesz pójść ze mną... — Kapłan wyjął klucz ze swej szaty. Poprowadził Sagobala do niewielkich schodków biegnących poniżej poziomu, na którym umieszczony był złowieszczy ołtarz. W dole schodów znajdowała się para ciężkich drzwi z brązu, bogato zdobionych scenami z mitycznej sagi Ahrimana — Boga Ciemności, i jego nie kończących się zmagañ z Ormuzdem — Bogiem Światła. Przy drzwiach płonęły świece w lichtarzach i Sagobal wziął jedną. Tragthan przekręcił zamek i otworzył drzwi na oścież. Poniżej owego portalu z brązu rozciągały się kolejne schody, podobnie jak cały pasaż, wykute przed wiekami w twardym kamieniu. Na ścianach i suficie pełno było nieregularnych śladów pracy robotników. Sagobal wiedział, że użyto wyjątkowo twardego kamienia, a zielonkawe plamy, pozostawione na nierównych wyźłobieniach, świadczyły, iż narzędzia musiały być wykonane z miedzi. Pracownicy ci musieli wykazać nieludzki spokój wobec upływającego czasu. Wybudowanie przejścia i krypty trwało całe wieki. Nawet ludzie z żelaznymi narzędziami potrzebowaliby paru dziesiątków lat.

Drugie zejście prowadziło do rozbrzmiewającej echem komnaty wyciosanej w tym samym kamieniu. Sala była tak obszerna, że światło pojedynczej świecy nie mogło rozproszyć ciemności. Sagobal posuwał się wzdłuż ścian. Pokrywały je geometryczne desenie wykończone precyzyjniej niż ściany w pasażu. Wijące się wzory przedstawiały obsceniczne sceny, od których Sagobal musiał odwrócić wzrok.

Nagle uświadomił sobie, że chociaż skręcił więcej niż cztery razy, nie powrócił jeszcze do miejsca swego startu. To było niemożliwe. Doszedł do wniosku, że musiały zmylić go

zagadkowe wzory na ścianach i zapewne znajduje się w miejscu, z którego wyruszył. Nad niezrozumiałymi zjawiskami lepiej nie zastanawiać się.

— Może być — powiedział. — Przejście i schody są jedynym sposobem wyjścia. Krypta wydaje się wystarczająco obszerna.

— Ale jest to sposób przydatny tylko dla zwykłego człowieka — powiedział tajemniczo kapłan. Dopóki pozostanie tutaj złoto, nic się nie zmieni, a ludzie będą się trzymać od krypty z dala.

— Ta posępność przygnębia mnie — Sagobal rzekł szorstkim tonem.

Pięli się w górę i Sagobal wolał nie patrzeć na grubo ciosane ściany. Wszystko w tym miejscu skażone było wywodzącym się ze starożytności złem, nawet nowa budowla na górze.

— Czy w nadchodzących uroczystościach mają być jakieś... zakłócenia — zapytał kapłan.

— Co masz na myśli? — rzekł Sagobal.

— Chodzi mi o to, że moje Bractwo zaoferowało wykorzystanie krypty Ahrimana na skarb namiestnika. Jeśli zaś ma być użyte do jakichś niecnym celów — powiedział znacząco — mogłoby to nie być szczęśliwe posunięcie.

— Dlaczego nie — zapytał zniecierpliwiony Sagobal. — Czy twój bóg nie jest bogiem zła i ciemności? Czyż nie raduje się rozlewem krwi?

— Tak jest w istocie. Jego kapłani jednakże nie przepadają za niespodziankami.

— Jeżeli wszystko tak łatwo cię zaskakuje Tragthanie, powinieneś znaleźć sobie łagodniejszego boga, aby mu służyć. Życzę ci miłego dnia.

Wyłonili się z krypty i Sagobal kroczył energicznie między kariatydami ku smugom światła wślizgującego się przez bramę.

— Zobaczymy się znowu podczas festynu — rzekł kapłan ponurym głosem.

Sagobal odczuł wyraźną ulgę, gdy wyszedł ze świątyni i przeklinał dzień, w którym Torgut Chan zgodził się na jej odbudowę. Oślepiające światło słoneczne przeszywało plac, oczyszczając go z pradawnego, nieludzkiego zła, promieniującego ze świątyni. Sagobal głęboko odetchnął świeżym powietrzem i wpatrywał się w zatłoczony plac pełen śpieszących się ludzi. Oprócz zwykłego ulicznego tłumu, składającego się z wędrownych handlarzy i podróżnych, można było zobaczyć prowizoryczne stragany sprzedawców przybyłych na nadchodzące uroczystości.

Pojawili się też przeróżni kuglarze zarabiający na naiwnych gapiach, oszustach, dziwkach i rzezimieszkach. W tym odległym zakątku Turanu mówiono tuzinem języków Hyrkanii, Wendii, Iranistanu, niezliczonych szejkanatów i księstw pobliskiej pustyni. Liczne karawany, jadące pustynią z Kothu, Puntu i Zembabwei, przejeżdżały przez Shahpur, omijając południowy kraniec Villayetu, aby przedostać się dalej przez przełęcz południowego pasma górskiego.

Nagle Sagobal jakby wyczuł zło emanujące od człowieka, nie od bogów, kapłanów ani magów. Dlatego bliższe jemu, dowódcy straży.

Poprzez łuk triumfalny Sprzyjającej Fortuny, gdzie ulica Semariańska dochodziła do placu, wjechała konno grupa ludzi. Nie czynili żadnej wrzawy, ich konie szły wolnym kłusem. Wszyscy odstąpili, aby dać im przejście. Pomiędzy nimi musiał być człowiek, na którego czekał Sagobal. Gładząc upierścienionymi palcami długie wąsy, zszedł po schodach świątyni, aby wyjść im na spotkanie.

Sagobal był jedną z bardziej znanych postaci w mieście. Wzbudzał strach. Szedł ze strażą, a ludzie rozstępowali się przed nim, jak ryby umykające przed dziobem okrętu.

Jeździec prowadzący grupę dostrzegł go i wznosił dłoń, nakazując pozostałym, aby się zatrzymali. Dowódca straży przyjrzał się całej grupie jeźdźców stojącej za mężczyzną.

Sprawiali wrażenie ludzi zaprawionych w bojach. Kapitan straży zatrzymał się przed przywódcą i przez długą chwilę milczał. Człowiek, przed którym stanął, uważany był za

bestię. Miał niebieskie oczy i pokrytą bliznami twarz. Spod krawędzi stalowego hełmu wylaniały się siwiejące blond włosy i zwieszały do wysokości szerokich barków. Nie nosił tuniki ani koszuli, lecz miał odsłoniętą pierś — potężny, pokryty bliznami tors. Jego przedramię było owinięte skórzanym paskiem, z wierzchu obite żelazem. Wierzch każdej dłoni pokrywały żelazne płytki z kolcami. Pas z grubej skóry, szeroki na pięć cali, nabijany był gwoździami i podtrzymywał ciężki nóż w obszytej futrem pochwie oraz zakrzywiony miecz o szerokiej klindze.

— Ty chyba zwiesz się Sagobal.

— Tak powinienem się zwać — przyznał wciąż patrząc na mężczyznę.

— Jestem Berytus z Akwiloni. Przysłałeś po mnie. — Głos jego brzmiał jak huk.

— Tak, posłałem. Twoi ludzie mogą zaprowadzić swoje wierzchowce do gwardyjskiej stajni. Jeden z moich strażników pokaże im drogę. Potem niech się tu z powrotem stawiają.

Co do ciebie, pójdziesz teraz do mojej kwatery.

Berytus zsiadł z konia i podał lejce Koryntianowi, większemu niż on sam. Twarz jego była mocno zarośnięta gęstą brodą, miał małe ciemne oczy, a czarne, długie, gęste włosy sięgały mu niemal do łokci. Burknął coś do reszty i wszyscy usiedli w oczekiwaniu na dalsze rozkazy.

Sagobal szedł do kwatery głównej w wojskowym skrzydle namiestnikowskiego pałacu.

Poinstruował strażnika, aby zaprowadził ludzi Berytusa do stajni i znalazł im miejsce na nocleg w królewskich koszarach. Drugiemu zaś polecił, aby przyniósł im pożywienie.

Mężczyźni wypełniali błyskawicznie i bez szemrania rozkazy.

W pokoju Sagobal zdjął swój hełm i wskazał Berytusowi krzesło naprzeciw siebie,

Akwilończyk rozsiadł się wygodnie. Sagobal nalał im obydwu wina do pucharów z kutego

srebra i ciekawie przyglądał się przybyszowi, który podobny był do wojownika walczącego

na arenie. Oprócz szerokiego pasa nosił buty obszyte u góry futrem i kamizelkę z jeleniej skóry. Widać było jego blizny, którymi się chełpił.

— Wojskowy zarządca Sultanapuru pisał, że dobrze świadczyłeś mu usługi — zaczął

Sagobal.

— Tak — Berytus przechylił się w tył i zahaczył kciuki o brzeg pasa. — Była to banda zwariowanych buntowników ukrywających się na wzgórzach na północ stąd. Lokalizacja wszystkich kryjówek i ustalenie, który chłop był im pomocny, zajęły mi trzy miesiące.

Kiedy już ich namierzyliśmy, musieliśmy ściągnąć winnych z powrotem na niziny.

Najpierw spaliliśmy wieśniaków, którzy im pomagali. Potem zniszczyliśmy kryjówki z zapasami, zarówno składy rebeliantów, jak i chłopskich pomocników. Kiedy dopadli nas, spędziliśmy ich w dół. A tam już ludzie rządcy rozprawili się z nimi. Rządca powywieszał wszystkich bandytów.

— Zdajesz się rozumieć swoją pracę — zawyrokował komendant.

— Znam się na różnej robocie. Byłem wojownikiem walczącym na arenie. Łapałem niewolników w Argos i Shem i stałem się przywódcą grupy łapaczy zbiegłych niewolników. Było to bardzo intratne zajęcie. Przywódcom płacili dużo więcej za powrót wyćwiczonego niewolnika niż za pochwyconego barbarzyńcę. Teraz służymy lokalnym zarządcom i urzędnikom, polując na bandytów i buntowników, których trudno jest złapać regularnym oddziałom.

— Tego właśnie mi trzeba. Aha, oto i nasz posiłek. — Gdy jedli, Sagobal zachowywał milczenie. Kiedy Akwilończyk skończył obgryzać ostatnie żeberko, przemówił.

— Ostatnio miałem sporo kłopotów z pewną bandą, która stała się dla mnie prawdziwą plagą. Od lat panują na okolicznych wzgórzach, przeważnie polując na karawany, ale niedawno zaczęli uderzać na okoliczne miejscowości. Kradną hordy zamożnym kupcom, przywłaszczając sobie królewskie bogactwa i wpłaty. Zauważ, że nie były to przypadkowe ataki, lecz świetnie zaplanowane uderzenia.

— Nowy przywódca? — zapytał Berytus.

— Zgadza się. Gzy zetknąłeś się kiedyś z jakimś Conanem z Cymmerii?

Na okrutnej twarzy Berytusa pojawiło się zdumienie.

— Tak, znam go ze słyszenia. Jest złodziejem i najemnikiem. Słyszałem opowieści o nim w wielu miejscach, ale nigdy na tak dalekim wschodzie. Co go tutaj przywiodło?

— Któż może wiedzieć, co kieruje krokami takiego człowieka? Jakiegokolwiek by były przyczyny, przywędrował tutaj, stając się dla mnie prawdziwą plagą. Raz wpadł w pułapkę i bezzwłocznie kazałbym go powiesić, gdyby mój władca, królewski namiestnik nie postanowił uczynić z jego śmierci gwoźdźca programu w swych nadchodzących uroczystościach. Bestia została zamknięta w lochach. Wydostał się z nich zabijając pięciu strażników, jednego po drugim.

Berytus odpowiedział na to mrukliwym tonem.

— Tak, trzymanie go w więzieniu było bardzo ryzykowne, znam wielu jemu podobnych.

Powinno się ich zabijać przy pierwszej sposobności.

— Zdaję sobie z tego sprawę. W każdym razie chętnie dobrałbym się do skóry tej bandzie.

Moi ludzie świetnie się do tego nadają i gdyby to byli zwykli bandyci, moje oddziały poradziłyby sobie z łatwością. Z tym Cymmeryjczykiem jednak rzecz ma się inaczej. I właśnie, żeby się z nim uporać posłałem po ciebie. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, dasz sobie z nim radę w parę minut. Będzie to praca niebezpieczna, lecz krótka, bez marnowania miesięcy na ściganie ich po wzgórzach.

— Z mojego doświadczenia wynika, że nie wszystko przebiega zawsze zgodnie z planem

— powiedział Berytus.

— W takiej sytuacji — rzekł Sagobal ponurym głosem — będziesz miał przed sobą czasochłonne i trudne zadanie. Może nawet zaczniesz żałować, że w ogóle się go podjąłeś.

Na małym dziedzińcu przylegającym do kwatery Sagobala ustawili się do przeglądu

ludzie Berytusa. Wygląd ich był zaprzeczeniem regularnego, żołnierskiego oddziału, który zgromadził się nieopodal w tym samym celu. Nieokrzesani, z rozczochranymi włosami,

mówili wieloma językami i należeli do różnych ras.

Na końcu szeregu stał krępy Kothyjczyk i Berytus zaprowadził Sagobala najpierw ku niemu.

— To jest Urdos z Koth. Jest moim zastępcą. Niewiele się odzywa, ale jego czyny mówią za siebie.

Olbrzym zasalutował ciężkim toporem, który w masywnej łapie stawał się lekki niczym różdżka wróżki. Kolejny mężczyzna podobnie wyglądał. W dłoni trzymał zakrzywiony, grubo ciosany łuk.

— Barca Shemita — powiedział Berytus — mistrz w strzelaniu z łuku.

Za Barcą stał niepozorny mężczyzna o smagłej cerze i drobnych rysach twarzy. Włosy schowane miał pod zatłuszczonym turbanem. Jedyłą jego bronią była cienka włócznia.

— Ambula z Puntu odczyta ślady zostawione choćby przez ducha na nagiej skale. —

Ambula uśmiechnął się, odsłaniając żółte pieńki zębów.

— Hyrkanijski Bahdur — rzekł Berytus, stając przed siedzącym ze skrzyżowanymi

nogami mężczyzną o żółtej karnacji, który trzymał łuk i strzały zatknięte za pasem. Miał na sobie zbroję z lakierowanego bambusa pokrytego kolorową skórą. — Jeszcze jeden

znakomity łucznik i umie czytać ślady prawie równie dobrze jak Ambula.

Tak szli wzdłuż szeregu i każdy kolejny mężczyzna był równie egzotyczny jak poprzedni.

Wszystkie twarze naznaczone były piętnem nikczemności. Grupa sprawiała wrażenie

wyjątkowo dobrze przysposobionej do swoich zadań. Byli łowcami ludzi i zabójcami:

okrutni, bezlitośni i skuteczni.

— Bardzo dobrze — powiedział Sagobal — muszą zniknąć z miasta na parę najbliższych

dni. Nawet w Shahpurze zbieranina taka jak ta musiałaby wywołać komentarze i

podejrzewam, że sami znaleźlibyśmy się w położeniu bandytów, gdyby ich szpiedzy

pojawił się w mieście.

— Tego wieczoru odjedziemy, tak jak przybyliśmy. Każ strażnikom z ostatniej warty wypuścić nas przez bramę. Wrócimy tutaj niepostrzeżenie.

— Doskonale — rzekł Sagobal z wyraźną aprobatą w głosie.

— Moi ludzie nie lubią być zamknięci w koszarach jak w klatce — powiedział Berytus. — Mamy za sobą długą jazdę i spragnieni jesteśmy zabawy.

— Zostaną dobrze zaopatrzeni w wino i żywność — powiedział Sagobal — znajdą się nawet jakieś kobiety. Sprowadź mi Conana, a nagrodzę ich zabawą, jakiej nie zapomną do końca życia.

Tej nocy inna dziwna grupa zgromadziła się w tym historycznym mieście. Kapłan Tragthan stał w długiej nawie nowej świątyni, zagłębiwszy dłonie w szerokie rękawy zakonnej sukni. Nieziemskie czerwone światło wciąż płynęło krwawymi strumieniami przez szyby, chociaż księżyc będąc w pierwszej kwadrze rzucał wyjątkowo słabe promienie.

Kapłan pozostał nieruchomy, gdy podobnie ubrana postać pojawiła się w drzwiach.

Przybysz szedł bezgłośnie w stronę jarzącego się czerwonego światła, nagle odrzucił do tyłu swój kaptur, odsłaniając wychudzoną twarz i ogoloną głowę o skórze pokrytej dziwnym, kropkowanym wzorem.

— Wspaniale — rzekł przybysz świszczącym głosem. Wolno obrócił głowę, badając imponujące wnętrza świątyni. — Dokładnie tak, jak za dawnych czasów.

— Pozdrawiam cię, mistrzu Shosq — powiedział Tragthan. — Nie jest całkiem tak, jak było w czasach świetności, ale będzie. Skąd przybywasz?

— Z krainy Kitai, która istnieje tak dalece poza czasem, że nie licząc likwidacji świątyni Ahrimana wszystko jest niemal tak samo jak dawniej.

Z chwilą, gdy umilkło echo tych słów, do świątyni weszły dwie kolejne postacie. W czerwonym świetle twarz jednej z nich nabierała fioletowego odcienia. Druga była bledsza, ale pokrywały ją małe guzy.

— A ty, Bracie Umos? — zapytał Tragthan.

— Z Belverus, w Nemedii — powiedział mężczyzna o guzowatej skórze. — Tamtejsza świątynia Ahrimana nie jest już nawet zwaliskiem kamieni. W tym miejscu wznosi się okazała twierdza. — Zaśmiał się, wydając z siebie niepokojący, świszczący dźwięk. — Wieża, która wznosi się teraz ponad ołtarzem, znana jest jako Wieża Utraconej Nadziei, ponieważ w każdym oblężeniu, od czasu budowy fortu, wszyscy jej obrońcy zostają zawsze zabici.

Tragthan skierował spojrzenie w stronę wejścia.

— Ilu jeszcze dołączy do nas dzisiejszej nocy?

— Nie będzie już nikogo więcej — powiedział Nikas.

— Nikogo? — Tragthan odwrócił się przodem do człowieka o fioletowym obliczu. — A co z Braćmi Kinatem, Sporem, co się dzieje z Wielce Uczonym Josupem, z Mistrzem Relkiem i mnóstwem innych?

— Odeszli — powiedział Nikas. — Ich świątynie i sanktuaria znajdowały się tam, gdzie jest teraz Stygia: Koth i Shem, Kush, Darfar i inne miejsca. Prastara nienawiść między Ahrimanem i Setem sprawiła, że Stygijczycy napadają nawet na ruiny świątyń, równając je z ziemią i rzucając na ich zwolenników klątwę.

— Set — zasyczeli pozostali.

— To zazdrosny bóg — stwierdził Nikas. — Królowie–kapłani ze Stygii urosli w potęgę w jego służbie i nie zniosą żadnych uchybień ze strony swych rywali.

— A zatem jest nas tylko czterech — rzekł Tragthan. Podniósł rękę i opuszczana krata zsunęła się w dół jak ogromna szczęka. Potem zamknięto cicho spiżowe drzwi,

— Nie pierwszy raz praktyki ku czci naszego strasznego pana zostaną wskrzeszone przez zakon tak mały jak ten.

— Świątynie Ahrimana istnieją w wielu krainach — rzekł Nikas — lecz nasz pan czczony

jest w nich w zniekształconej formie jedynie jako dodatek do kultu Ormazda.

— Ormazda! — zasyczeli inni.

— Jasny bóg jest wielkim ulubieńcem wielu krain i musi mieć swego rywala, aby mógł rytualnie zwyciężać go w bezmyślnych ceremoniach pospolitego motłochu. Nasz wspaniały i straszliwy Ahriman zostaje zredukowany do marionetkowej postaci.

— To właśnie powinniśmy naprawić — powiedział Tragthan. — Tu w tym prowincjonalnym mieście Shahpur, które było kiedyś potężnym Elkarem na Falach, a Vilayet olbrzymim śródlądowym morzem, ustanowimy na nowo kult naszego pana.

Jedynie tu przetrwały nienaruszone podwaliny jednej z jego prawdziwych świątyń. To tutaj ołtarz jego trwał doskonały, nienaruszony przez przemijające wieki.

— Wielokrotnie świątynia ta była przebudowywana—stwierdził uroczyście Shosq. —

Ilećroć naszemu panu wracała świadomość, nakazywał Braciom, którzy przetrwali, zebrać się w tym miejscu, aby raz jeszcze sprowadzić go na ziemię.

— Zanim stało się Elkarem na Falach — powiedział Umos — miasto to nosiło nazwę

Zhagg Czarnej Pustyni, wtedy to Atlantis było pasmem dymiących wulkanów, których stoki

nie okrywała zieleń. Nawet wcześniej były to ziemie o nazwie nie dającej się wypowiedzieć w naszym obecnym języku. Zawsze nasz Pan Ahriman w tym właśnie miejscu odbierał

największy kult.

— Chodźcie — rzekł Tragthan. — Mamy wiele do zrobienia. Dzisiejszej nocy księżyc

wchodzi do Domu Lwa. Dziś więc musimy zacząć.

Kapłani przeszli przez długość nawy i zatrzymali się otaczając ołtarz Ahrimana. Jak tylko księżyc wkroczył do Domu Lwa, zaczęli monotonne śpiewy. Ich głosy brzmiały nisko,

wibrując dźwiękiem niezwykłym dla ludzkiego gardła i języka. Słońce weszło, ołtarz zaczął

jarzyć się nieziemską fosforescencją.

Conan, Osman i Auda — pustynny nomada, leżeli na brzuchach przyglądając się królewskiej drodze wiodącej do Shahpuru. Tego dnia do miasta spieszyli piesi i jechały obładowane chłopskie fury i palankiny, w których siedzieli bogaci mężczyźni i kobiety niesieni na barkach rosnących niewolników, kolorowe wozy wędrownych artystów i platformy ze skutymi niewolnikami, których wieźli na rynek mężczyźni o brutalnych rysach twarzy, odziani w skóry i stal.

Na tych podróży ludzie ze wzgórz mieli niewielkie baczenie. Nie musieli jednak długo czekać na smakowity kąsek.

— Ach! — wykrzyknął z podniecenia Auda — jedzie następny.

— Mów ciszej — zganił go Osman.

Trzech mężczyzn czuwało w ten sposób od brzasku. Leżeli na piaszczystej glebie pod kępą zarośli, przykryci ciemnobrązowym kocem. Byli niewidoczni. Tylko ktoś obdarzony wyjątkowo ostrym wzrokiem mógłby dojrzeć ich z drogi, a i to wówczas, gdyby ludzie Conana poruszyli się.

Trójka banitów nie zwracała uwagi na piekące słońce ponad ich głowami, podobnie jak ignorowali tnące insekty. Gdyby zostali schwytani, ponieśliby śmierć.

— Słyszycie ten pisk kół? — wyszeptał Osman — ja już go słyszę.

Conan nic nie powiedział, ale jego błękitne oczy rozbłysły na widok czterokołowego wozu, który przechylił się na zakręcie. Ośki skrzypiały tak, jak wozy ciężko uzbrojonej konnej eskorty. Pojazd nie był szeroki, ale jego wolna jazda i dźwięk kół wskazywały na bardzo

duże obciążenie, podobnie jak uzbrojenie jeźdźców świadczyło, że wiozą drogocenny ładunek.

— Trzeci od wschodu słońca — powiedział Auda, starając się zapanować nad swoim entuzjazmem. — Na Mitrę! To jednak duża pokusa. Z paroma ludźmi moglibyśmy tam

zjechać, zabić tych niepotrzebnych najemników i umknąć ze skarbem.

— Nie chcę części skarbu — powiedział Conan — chcę wszystko. — Oczami grabieżców patrzyli na eskortowany wóz, jak leniwie pokonywał swoją drogę, by ostatecznie zniknąć w otwartej bramie miasta. Mury Shahpuru były ozdobione jasnym sukniem i kwiatami. Na wysokich, smukłych wieżach zawieszono długie, kolorowe chorągwie z napisami zapowiadającymi wielki festyn. Złoczone kopuły, wieńczące wieże, błyszczały połyskliwym światłem.

— W jaki sposób potrafimy unieść tak ciężki skarb? — zapytał Auda — jeśli ten wóz jest tak przeładowany, to inne mogą być jeszcze bardziej wypełnione.

— Ma rację — powiedział ponuro Osman — najlepiej, jeśli weźmiemy najłżejsze i najcenniejsze rzeczy, tak byśmy mogli szybko z nimi uciec.

— Chcę wszystko! — rzekł Conan z naciskiem. Nie pragnął zwykłego bogactwa. Chciał zemsty. Obrabowanie króla z całego dochodu podatkowego prowincji sprawiłoby, że Torgut Chan popadłby w całkowitą niełaskę. Cymmeryjczyk odczuwał nienawiść do tego człowieka.

— Chodźmy, dość już widzieliśmy.

Mężczyźni czołgając się niczym gady, dostali się do miejsca poniżej grzbietu wzgórza. Wtedy podnieśli się i udali do małego jaru, aby ponownie dosiąść uwiązanych koni. To małe pasmo wzgórz rozciągających się na południe od miasta pozbawione było strumieni, czy innych źródeł wody, więc okoliczna ziemia nie nadawała się do uprawy. Po krótkiej porze deszczowej jedynie przez parę tygodni pasterze wypasali tutaj swe owce. W ten sposób nieuczęszczany teren stawał się doskonałą kryjówką. Bandyci przenieśli swój obóz w miejsce oddalone o parę kilometrów od Shahpuru. Taka bliskość wiązała się z pewnym ryzykiem, ale mogli dzięki temu uderzyć szybko. Poza tym koncentracja gwardii w mieście sprawiała, że taka lokalizacja była w pewnym sensie całkiem bezpieczna. W tych dniach

bowiem nie włączyły się po wzgórzach żadne patrole.

Nowa kryjówka znajdowała się w starym karawanseraju, opuszczonym sto lub więcej lat temu, kiedy wyschły studnie na dalekiej pustyni między Turanem i Puntem. To spowodowało, że karawany musiały poszukać innej, niż dotychczasowa, używanej od wieków drogi. W seraju zachowano niskie ściany, ale w jego gospodzie brakowało dachu, nie licząc prowizorycznej osłony, którą tymczasowi lokatorzy zaimprovizowali z gałęzi i palmowych liści. Opodal znajdowała się sprawna studnia z liną i wiadrem ukrytym w głębi cembrowiny.

Trzech mężczyzn podjechało do ogrodzenia. Zsiedli z koni i zdjęli siodła. Reszta bandytów była w starej gospodzie, gdzie schronili się przed wiatrem.

— Zbierzcie się tutaj, leniwe zbiry — powiedział Conan przekraczając próg — musimy sporządzić plan. Na twarzach mężczyzn pojawiły się wilcze grymasy, gdy dowiedzieli się o ciężko załadowanych wozach wjeżdżających do miasta. Pewne obawy budził w nich jedynie ciężar bogactwa.

— Nie jesteśmy piratami — powiedział jednooki Ubo. — Nie możemy załadować skarbu na statki i odpłynąć.

— Nie byłoby trudno zgromadzić wozy w mieście — dorzucił ktoś inny — ale wtedy musielibyśmy jechać przez ulice i łatwo mogłaby nas złapać królewska jazda.

— Gdybyśmy mieli dużo, dużo wielbłądów — powiedział Auda — moglibyśmy uciec na pustynię.

Conan zastanowił się nad tym pomysłem.

— Żeby obładować tak wiele zwierząt, potrzeba dużo czasu, połowa z nas musiałaby je pilnować i nie mogłaby walczyć. Będziemy potrzebowali każdego człowieka umiejącego posługiwać się mieczem.

— Niestety, nie wzbijemy się w powietrze — rzekł Osman. — Cóż, pozostaje Volvolicus.

— No tak — przytaknął Ubo.

— Kim jest Volvolicus? — zapytał Conan.

— Nikim, z kim chciałbyś mieć do czynienia — zapewnił go Ubo.

— Pozwól mi to samemu osądzić. Mów Osman.

— To człowiek, który żyje na pustyni, nie dalej stąd niż pół dnia drogi konnej jazdy. Mówi się, że jest czarownikiem i to zdolnym dokonać wielu zdumiewających rzeczy.

— Nie chcę mieć nic wspólnego z czarownikami — powiedział Ubo.

— Zatrzymaj się na chwilę, przyjacielu — ostrzegł go Conan. — Osman, dlaczego wspominasz o tym magu?

— Prawdę mówiąc słyszałem, że jest biegły w sztuce przenoszenia wielkich ciężarów, takich jak olbrzymie głazy i masy ziemi. Czy nie mógłby nam zdradzić zaklęcie, które poruszy tę masę złota i przeniesie je w bezpieczne miejsce, gdzie bez pośpiechu moglibyśmy podzielić skarb?

— Ja także nie lubię czarowników — powiedział Conan, odkorkowując skórzany bukłak i przytykając go sobie do ust.

— Nie trzeba koniecznie lubić tego cudotwórcy — zauważył Osman — wystarczy ubić z nim interes. Auda, czy możesz nas do niego zaprowadzić?

— Tak, droga nie jest trudna.

— Nie szukajcie go! — upierał się Ubo.

— A dlaczegóż by nie? — zapytał Osman.

Turańczyk wyglądał jak ktoś, kto obawia się własnych słów.

— On przestaje z demonami.

— A który czarownik tego nie robi? — zachnął się Osman. — Nie chcemy mu się zaprzedać. Poprosimy, by zrobił dla nas parę błahych sztuczek. Czarownicy dlatego pozostają przy życiu, bo nie popuszczają demonom cugli. Możliwe, że gwizdnie tylko, a

pojawi się para demonów o silnych plecach i barkach, aby zanieść nam skarb w bezpieczne miejsce. Co na to powiesz, Conanie?

Cymmeryjczyk popatrzył groźnie.

— Nie podoba mi się to — zamyślił się na chwilę. — Ale nie widzę innego wyjścia.

Chodźmy i znajźmy tego Volvolicusa. — Osman klasnął w dłonie i zatarł ręce.

— Więc załatwione! Kto jedzie?

— Chwileczkę — powiedział Chamik, brzuchaty Koryntianin. — Jeżeli da się to zrobić, to gdzie powinien być przeniesiony skarb?

— Nasza stara kryjówka na skraju pustyni będzie w sam raz — stwierdził Conan. — Są tam trzy drogi doskonale nadające się do ucieczki. Również wody jest pod dostatkiem i trudno będzie odnaleźć to miejsce komuś, kto nie zna właściwej ścieżki. Spędzimy dużo wielbłądów, podzielimy łupy i każdy z nas weźmie swoją część. Najlepiej będzie zebrać kilka małych karawan i skierować je w różne strony.

— Rozbić naszą bandę? — powiedział Ubo.

— A czemu nie? — krzyknął Osman. — Nie jesteśmy rodziną, żebyśmy musieli być ciągle razem. Stanowimy bandę łajdaków wypatrujących łatwej zdobyczy! Tak obłowiony, każdy z nas będzie mógł udać się w miejsce, gdzie nie grozi mu strycek i zacznie żyć jak bogacz, albo wydać wszystko na kobiety, alkohol i hazard, jeśli tak mu się spodoba!

— Zgadza się — powiedział Chamik. — Mój szczep nic nie wie o tym, w jaki sposób tutaj żyję. Mogę wrócić do domu i zostać bogatym hodowcą koni.

— Byłem kiedyś w nikczemnym mieście Shadizar, w Zamorze — rzekł Ubo — i polubiłem to miejsce. Być może, urządzę się tam jako bankier otoczony szacunkiem. W ten sposób człowiek może być rabusiem, a sędziowie całują go za to w rękę.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem na myśl o tym, że jednooki Turańczyk stanie się szanowaną osobistością. Każdy z nich paplał o swoich marzeniach na temat przyszłego

bogactwa.

— A co z twoimi marzeniami, Conanie? — zapytał Osman.

— Miałem zamiar zobaczyć Iranistan — rzekł Cymmeryjczyk. — Mogę się tam udać.

— A co zrobisz ze swoją działką? — nalegał Osman.

Conan wzruszył ramionami.

— Będę żył pełnią życia. Bawił się. Poznam ten kraj. Z taką ilością złota dobiorę ludzi do najemnej bandy.

Uho popatrzył na niego, jakby był niespełna rozumu.

— Masz na myśli, że będziesz płacił swoim bandytom?

— To prawda — powiedział Conan — że najemnicy oczekują zapłaty, ale tworząc silną i bystrą grupę zasłużą, aby ich przywódca zatrzymał ich na dłużej. Dzięki łupom otrzymają wyższe wynagrodzenie. A gdy wojna się skończy, nikt ich za to nie będzie chciał wieszać.

Chamik wzruszył ramionami.

— Jesteś żołnierzem, Conanie. A my zwykłymi bandytami. Rób ze swoją częścią łupu co chcesz.

— Conan, musisz odnaleźć tego magika! — powiedział Osman. — Auda zostanie przewodnikiem. Kto jeszcze idzie? Wszyscy udawali, że są w tym momencie czymś bardzo zaabsorbowani. — No cóż, ja nie jestem tchórzem, idę razem z naszym wodzem.

— Tak jak powinieneś — odrzekł Conan. — A co do całej reszty, leniwe prymitywy, możecie również się czymś zająć. Macie dla nas ukraść wszystkie wielbłądy, jakie tylko wpadną wam w ręce i zaprowadzić je do naszej starej kryjówki. Niech nikt z was nie wymiguje się od walki pod pretekstem pilnowania zwierząt. Nie odejdą daleko od wody i trawy. Jak tylko to zrobicie, spotkamy się wszyscy ponownie w tym samym miejscu. Wielki festyn rozpoczyna się za pięć dni od poświęcenia nowej świątyni. — Auda, Osman ruszamy!

Mając jak zwykle obmyślony plan działania, Cymmeryjczyk nie tracił czasu.

Trzej jeźdźcy, z Audą jako przewodnikiem, pogalopowali na południe w stronę pustyni. Zarośnięte wzgórza otwierały drogę ku falującej, kamienistej przestrzeni, gdzieś porosłej kępami krzewów. Pod wieczór Auda doprowadził ich do niewielkiego wodnego oczka. Tam napoili konie, a potem znów ruszyli. Słońce schowało się za pasmem gór na zachodzie. Niebo przybrało barwę intensywnego fioletu i niebawem pojawiły się pierwsze gwiazdy. Wydawało się, że jechali jakby wewnątrz naczynia pełnego najgłębszej ciemności, z miliardem gwiazd nad głową, których bezmiar tworzył zwiewne woale i ostro jarzące się punkty. Wreszcie pojawił się księżyc, rzucając upiorny blask, który dla przywykłych do pustynnych ciemności oczu był równie dobry, jak słoneczne światło. Wokół rozpościerała się cisza. Pora nocy, to czas, kiedy zwierzęta opuszczają swe nory, udając się na łowy, pożywiają się i kopulują, zazwyczaj czyniąc to wszystko w ciszy. Gdyby trzej jeźdźcy czynili jakiś hałas, byłiby łatwi do wykrycia dla swych wrogów. Mężczyźni jechali niemal bezgłośnie, trzymając się miękkiego gruntu. Broń i zbroje owinęli w szmaty i w skóry, by nie wydawać zdradliwego brzęku. Odzywali się do siebie rzadko, i tylko szeptem.

Auda dojechał do grzbietu pasma. Zatrzymał się i podniósł dłoń. Dwóch pozostałych zrównało się z nim i ściągnęło cugle. U stóp pasma znajdowała się mała oaza, w której był niewielki, podłużny staw, otoczony przez daktylowe palmy. Nisko zadaszony dom stał blisko stawu. Konie gryzły trawę, stając się coraz bardziej niespokojne, pobudzone przez zapach świeżej wody. Jeźdźcy patrzyli na niesamowite, purpurowe światło wylewające się przez okna i drzwi domu, które parokrotnie zmieniło swoją barwę, najpierw na jaskrawobłękitną, później na akwamarynę. Nagle przemieniło się w pomarańcz, potem w krwistą czerwień i zgasło w ciemnościach. Osman chrząknął.

— Wydaje mi się, że czarownik mógłby nas uważać za ludzi źle wychowanych, gdybyśmy go niepokoiли tak późno w nocy. Może rano, gdy słońce znajdzie się wysoko...

— Tak! — żarliwie, z odcieniem lęku, przytaknął Auda — wśród ludzi pustyni uważa się za obrażę, jeżeli ktoś zbliża się w ciemności do nieznanomych. Kogoś takiego wita się często deszczem strzał.

— To było tylko światło — powiedział Conan bezceremonialnym tonem, choć ciarki przechodziły mu po plecach — ale może lepiej nie przeszkadzać.

— Chodźcie za mną! — zabrzmiał kobiecy głos, na dźwięk którego aż podskoczyli i klęcząc chwycili za broń. Konie stanęły dęba i zaczęły wierzgać, dopóki znów nie znalazły się pod kontrolą.

— Niech to Set weźmie kobieto! — powiedział Conan, gdy wierzchowce już się uspokoiły.

— Dlaczego nie dałaś nam znać, że tu jesteś? Wystarczyłby jeden gest i mogliśmy ci ściąć głowę. Rozległ się jej dźwięczny śmiech.

— Zabić mnie? Nadal mnie jeszcze nie widzicie.

— Ale byśmy chcieli — rzekł zalotnie Osman — bo z pewnością jesteś równie piękna jak twój głos.

Conan rozejrzał się wokół niemile zdumiony. Szczycił się wszystkimi umiejętnościami, które dawały możliwość przetrwania w dzikich miejscach. Tymczasem ta dziewczyna (gdyż ów kobiecy głos musiał należeć do młodej osoby) znalazła się niepostrzeżenie w zasięgu jego miecza i, w co nie mógł uwierzyć, wciąż jej nie dostrzegał.

— Pokaż się — zażądał Conan.

— To ty jesteś tutaj intruzem — powiedziała — ale zrobię, jak sobie życzysz.

Jakiś kształt oderwał się od głazu i zobaczyli kobietę tak pełną wdzięku i delikatną, jak pustynna gazela.

Conan nie mógł zrozumieć, dlaczego jej nie zauważył, chociaż wiedział, że w wąłym świetle księżyca oko ludzkie widzi wcześniej ruch niż kształt i w ogóle nie odróżnia kolorów. Często sam wymykał się pogoni przejeżdżającej obok w świetle księżyca, trwając w całkowitym bezruchu. Bez wątplenia dziewczyna musiała zrobić coś podobnego.

— Piękna pani — powiedział Auda, siedząc w siodle ukłonił się nisko i w geście pozdrowienia dotknął swego serca i warg — przybyliśmy tutaj, aby znaleźć...

— Szukacie wielkiego maga, Volvolicusa — powiedziała przerywając dalsze wyjaśnienia.

— Jest tego świadom i przysłał mnie tutaj, abym was do niego przywiódł.

— Skąd wiedział, że przyjechaliśmy? — zapytał Osman.

— Przecież jest magikiem — powiedział Auda, jakby tłumaczył prostaczce.

— Idziemy — rozkazał Conan — prowadź, dziewczyno. Pomimo swej niechęci do

kontaktowania się z czarownikiem, podziwiał tę kobietę idącą przed nimi z takim

wdziękiem, jej nagie stopy bezszelestnie sunące po piasku, jej płynne kołysanie krągłymi biodrami, pod suknią tak przejrzystą, że światło księżyca wydawało się przez nią

przechodzić, ukazując drobną, lecz dojrzałą figurę. Nawet kobieta idąca bulwarem dobrze

strzeżonego przez strażników miasta, nie mogłaby zachowywać się bardziej nonszalancko.

Zsiedli z koni przy podłużnym stawie i napoili je. Conan dostrzegł, że woda była otoczona szlifowanymi kamieniami i spadała dźwięczną kaskadą z wykutej w kamieniu groteskowej

twarży wyrzeźbionej z dużym artyzmem. Nie było widać, by cokolwiek wypływało ze stawu.

— Czy mamy rozsiodłać konie? — zapytał Osman.

— Nie — powiedział Cymmeryjczyk — możliwe, że nasz odwrót odbędzie się w pośpiechu.

Zostaw je osiodłane, dopóki nie wiemy nic pewnego.

Kobieta znowu lekko się zaśmiała.

— Chodźcie, Volvolicus was oczekuje.

Przywiódł ich ku wejściu, z którego sączyło się naturalne światło. Z dłońmi na

rękojeściach, schylili głowy pod niskim stropem i weszli do środka. Wnętrze domu

oświetlał jedynie ogień na małym palenisku. Światło było wystarczająco jasne, aby

oświetlać zbiór zapisanych zwojów zapełniających ścienne półki. Z poprzecznych krokwi

zwieszały się przedziwne przedmioty z metalu, kryształu, drewna i szkła. Najróżniejsze

magiczne przyrządy leżały na długim stole. Na niewielkich piedestałach z kości słoniowej, złota lub misternie rzeźbionego drewna umieszczono duże, dziwnie oszlifowane kawałki

kryształu. Niektóre z nich zdawały się promieniować białym światłem.

— Witajcie w moim domu — rzekł człowiek siedzący przy odległym krańcu stołu. Widać

było jedynie niewyraźny zarys postaci pozostającej w cieniu.

Conan zaciskał kurczowo dłoń na rękojeści, nerwy miał napięte. Sprawiała to czarodziejska atmosfera tego miejsca. Auda mamrotał pod nosem znane mu zaklęcia, a Osman odpowiedział gładko:

— Pokój temu domowi, czcigodny Volvolicusie, mistyku pustyni. Jesteśmy podróżnymi, którzy poszukują twej legendarnej mądrości, aby osiągnąć zamierzony cel.

— Pomówimy o tym, gdy nieco odpoczniacie. Lajla, usłuż naszym gościom. — Mówiąc to pozostał wierny pustynnym zwyczajom, według których wielką nieuprzejmością było wypytywanie przybysza o interesy, dopóki nie zadośćuczyni się wymogom gościnności. Wskazał gestem na dywan leżący przy palenisku i na duże poduszki. Trzej mężczyźni skłonili z szacunkiem głowy i rozsiedli się na nich.

Kobieta weszła do pokoju oddzielonego przez arras. Za chwilę wróciła z szeroką tacą, uginającą się pod ciężarem ciasteczek, cienkich plastrów sera, daktyli, fig i parującego dzbanka z grzanym winem, rozcieńczonym wodą i wzbogaconym zapachem ziół. Trzy czarki były starannie ustawione wokół dzbana.

Conan dociekał, w jaki sposób mag przewidział ilość gości. Lecz po kimś biegłym w sztukach magicznych, można było oczekiwać tego rodzaju umiejętności. Cymmeryjczyk wahał się czy uczestniczyć w tym wszystkim, ale Auda i Osman szybko wypili łyk wina i przekąsili. Według prawa gościnności ktoś, kto zaatakowałby człowieka, który wcześniej był podejmowany w jego obozie, naraża się na gniew bogów. Pozostawało niejasne czy mag przestrzegał tych zasad. W końcu Conan zdecydował się przyłączyć i także skorzystał z pokrzepiającego poczęstunku. Urazić gospodarza w tej sytuacji, byłoby wyrazem najwyższej głupoty.

Volvolicus nie powiedział ani słowa, nawet nie poruszył się, gdy trzech mężczyzn opróżniało dzban i tacę. Aż w końcu odstawili z powrotem opróżnione czarki, uznając się

za usatysfakcjonowanych. Kobieta zebrała puste naczynia. Wtedy czarownik wstał ze swego krzesła i wkroczył w krąg światła przed paleniskiem.

Był to wysoki mężczyzna szczupłej budowy. Magowie odznaczają się taką powierzchownością. Większość z nich praktykuje surową ascezę, aby oczyścić i spotęgować swoją moc. Poświęcając ciało, chcą wzmocnić umysł i ducha. Brązowe włosy Volvolicusa, ściśnięte wąską, srebrną opaską, falując opadały na ramiona. W szczupłej twarzy wielkie czarne oczy, błyszczały niesamowitym światłem.

— A teraz przyjaciele, powiedzcie czego chcecie ode mnie?

Miał głęboki i dźwięczny głos. Odziany był w prostą szatę z surowej, brązowej tkaniny, przepasaną rzemiennym powrozem. Usiadł na krześle, krzyżując nogi na jednej z wielkich, grubych poduszek.

— Do naszych uszu doszły zdumiewające wieści o twej mocy, otoczony czcią Volvolicusie

— zaczął Osman. — Twoja sława rozeszła się wielkim echem po świecie i niezmierzone są...

— Słyszeliśmy, że umiesz podnosić wielkie ciężary — grubiańsko wtrącił Conan. — Czy to prawda?

Czarownik wyglądał na lekko zaskoczonego.

— Oszuści, którzy pokazują wyczyny siłowe na targowisku, przechwalają się umiejętnością dźwigania ciężarów. Ale ja do nich nie należę.

— Mądry Volvolicusie — powiedział Osman, rzucając okiem na Cymmeryjczyka — to, o czym myślimy, jest dużo lepsze niż podnoszenie wołu na barkach dla zaspokojenia zachcianki tłumu. O, nie — tu chodzi o chwalebny wyczyn: wejść do miasta Shahpur i przenieść stamtąd ogromnie ciężki metal, tak wielki, że żaden zwykły mężczyzna, czy nawet ich wielu, nie podołałoby mu.

— Rozumiem — zastanowił się mag — czy to możliwe, że cały ten ogromny ładunek

składa się ze złota?

— Znaczna jego część to srebro — stwierdził Osman — a istnieje pewne prawdopodobieństwo, że są tam również drogocenne klejnoty.

Ku ich zdumieniu mag głośno się roześmiał.

— Zwracano się już do mnie o pomoc w różnych sprawach, ale to naprawdę pierwszy raz, gdy złodzieje proszą o pomoc!

— Panie, ranisz nas — odparł Osman, a jego twarz i głos emanowały fałszywą niewinnością. — Jesteśmy uczniami poszukującymi cnoty. Torgut Chan i jego pan, król Turanu, są złymi ludźmi. Utrata tego skarbu i upokorzenie, które będą musieli znieść, mogą dalece przyczynić się do oczyszczenia ich dusz z niczemności, w której są pogrążeni i przywrócić im blask sprawiedliwości, gdy będą musieli stawić się przed tronem Mitry i jego sądem.

— Cnotliwe przedsięwzięcie, w istocie — powiedział Volvolicus, skinąwszy głową i pogłaskał się po brodzie. — Jakie jest pochodzenie tego skarbu?

— To całoroczne podatki ściągnięte z prowincji — rzekł Conan. — Podczas festynu wszystko to będzie zebrane w mieście, cały skarb złożony z dochodów podatkowych dziesięciu okręgowych skarbnic.

— Naprawdę? To dziwny zwyczaj.

— I taka sposobność może się więcej nie zdarzyć! — stwierdził Osman. — Prosimy, wielki Volvolicusie, wysłuchaj naszych błagań i pomóż nam w tym zadaniu, które daleko przewyższa moc zwykłych śmiertelników. W ten tylko sposób; możemy umknąć ze skarbem i zabezpieczyć się przed pościgiem.

— Czy zdolny jesteś podnieść ten ciężar — spytał Conan — i przenieść go do naszej jaskini, na pustynię, gdzie będziemy mogli podzielić go, aby każdy odszedł ze swoją częścią?

— Nie mam co do tego wątpliwości. — Mag wyjął z wnętrza swej szaty płytkę cienkiego kryształu wielkości dłoni i jego długie, smukłe palce przebiegły po powierzchni w dziwnym, magicznym rytmie. — Zastanówmy się — to bogata prowincja, chociaż Shahpur leży w jej najbiedniejszej części. W minionych latach główne miasta oddawały po pięćdziesiąt tysięcy dinarów do królewskiego skarbcza, pomniejsze miasteczka połowę tego, a wsie — kilka setek każda. Ponadto trzeba liczyć podatki karawan i opłaty celne z portów Vilayetu. — Jego palce tańczyły przez chwilę. — Sądzę, że będziemy mieli do czynienia z ciężarem ważącym powyżej półtorej tony. A trzeba jeszcze wliczyć kamienie, i masywne skrzynie, w których się je przechowuje. W sumie daje to ponad dwie tony.

— Rozumiesz zatem nasz problem? — zapytał Osman z twarzą rozanieloną od wizji tak wielkiego bogactwa.

— Niewątpliwie, macie spory problem — potwierdził czarownik. — Niestety, jednak nie będę mógł wam pomóc.

— Dlaczego nie? — nalegał Conan. — Czy ten ciężar jest dla ciebie zbyt wielki?

— W żadnym razie — powiedział Volvolicus. — Z urodzenia jestem Turańczykiem, ale wiele lat spędziłem w Stygii, studiując sztukę Khelkhet–Pteth dającą możliwość podnoszenia gigantycznych kamieni. Stygijczycy w dawnych czasach rozwinęli tę umiejętność lepiej niż wszyscy pozostali. Dzięki niej budowali pomniki o rozmiarach niewidzianych nigdy wcześniej ani później. Jakies dziesięć lat temu ćwiczyłem się w tej sztuce, wtedy to kapłan Ashtoreta zwrócił się do mnie o pomoc w podniesieniu na piedestał olbrzymiej, nowej statuy tamtejszej bogini. Statua ważyła ponad trzydzieści ton.

— W takim razie podniesienie znikomych dwu ton powinno być dla ciebie dziecinną igraszką, wspaniały magu — przypochlebiał się Osman.

— Niezupełnie — sprostował Volvolicus. — Gęstość i ciężar właściwy metalu, a w szczególności złota i srebra, wymaga czarów daleko bardziej skomplikowanych. Różnica

między metalem a kamieniem polega na czymś więcej niż tylko na dysproporcji ciężaru.

— Ale jest to przecież twoja dziedzina — powiedział Osman — i zapewne jesteś w tych sprawach mistrzem.

— Ponadto — ciągnął niewzruszenie mag — ów ciężar ma zostać przeniesiony nie tylko w linii pionowej, ale poziomo — na wielką odległość — lecąc niczym orzeł nad pustynią. A to byłoby najtrudniejsze.

— Znakomity, sławny Volvolicusie — zręcznie zagaił Osman — niemożliwe, żeby leżało to poza granicami twoich możliwości.

— Nie leży poza granicami, ale wymagałoby to największego natężenia moich sił.

— A więc zrobisz to? — spytał Conan.

— Nie.

— Dlaczego nie? — wybuchnął Conan.

— Ponieważ nie chcę tego zrobić. Cóż miałbym zyskać odrywając się od ważnych spraw, aby uczestniczyć w tej błahej przygodzie.

— Błahej? — rzekł Osman zupełnie osłupiały. — Półtorej tony drogiego kruszcu to nic błahego! — uspokoił się z wysiłkiem. — Wybacz panie moje oburzenie. Być może przedstawiliśmy tę sprawę niewłaściwie. Zamierzamy hojnie cię wynagrodzić. Połowa udziału w złocie i srebrze będzie do twojej dyspozycji. — Conan i Auda przytaknęli zgodnie.

— Tylko, że ja nie potrzebuję złota i srebra. Ziemskie bogactwa są niczym dla kogoś takiego jak ja.

— Czym więc zapłacił ci kapłan Ashtoretha? — zapytał Conan.

— Zapłatą był bezcenny, starożytny manuskrypt i traktat dotyczący właściwości kryształu „smocze—oko” napisany trzy tysiące lat temu przez maga Bealkora z Shemu. Przedmioty takie jak ten posiadają ogromną wartość dla mistrzów mojego rzemiosła.

— Ale pomyśl magu o sławie! — nalegał Osman — to będzie wydarzenie, o jakim nie

słyszano. I będziesz znany na całym wielkim świecie!

Słyszając to mistrz znowu się roześmiał.

— Przyjaciele, wzięcie udziału w tego rodzaju eskapadzie wystawiłoby mnie na pośmiewisko wśród równych mi rangą ludzi. Dla czarownika Volvolicusa przyjęcie roli złodzieja zhańbiłoby jego nazwisko.

— Nie rozumiem — stwierdził Auda. — Czy chcesz przez to powiedzieć, że rabowanie jest czymś nikczemnym? — Potrząsnął głową z niedowierzaniem. — Chyba tylko sędziowie, kupcy i babrzący się w ziemi chłopci myślą w ten sposób!

— O, my magowie nie jesteśmy tacy, jak przeciętni ludzie — powiedział Volvolicus. — Wprawdzie niektórzy czarownicy czerpią radość i pyszną się tym, że wykradli zaklęcia, narzędzia i tego typu rzeczy innym, ale zniżanie się do rabowania zwykłych śmiertelników jest uważane za niegodne maga. Jestem zmuszony odmówić.

— Ale ja muszę mieć ten skarb! — ryknął Conan. — Tak, jak i ty nie dbam o złoto. Ale to musi być moje!

Po raz pierwszy czarownik obdarzył Cymmeryjczyka badawczym spojrzeniem.

— Bandyta nie dbający o złoto? To rzeczywiście niezwykle. Skąd jesteś, wojowniku? Nie widziałem nigdy człowieka twego pokroju.

— Jestem Cymmeryjczykiem, człowiekiem z dalekiej północy.

— Tak, jest w tobie coś z Atlantan. Napisano, że niedobitki rasy atlantyckiej zamieszkują skaliste kryjówki Cymmerii.

— Nic mi o tym nie wiadomo, ale nie dziwi mnie, że nigdy dotąd nie widziałeś Cymmeryjczyka. Wielu moich ziomków podróżuje z daleka od domu, ale żaden oprócz mnie nie był w Turanie.

— A zatem, Cymmeryjczyku, jak to możliwe, że pragniesz zdobyć skarb, nie przywiązując znaczenia do złota i srebra?

— To sprawa honorowa — rzekł Conan — chciałbym ujrzeć Torgut Chana i jego psa —

Sagobala, całkowicie zmiażdżonych i upokorzonych. Mógłbym wprawdzie zabić ich obu, ale dla takich ludzi hańba jest o wiele trudniejsza do zniesienia. Torgut Chan chełpił się przed ludźmi, iż potrafi strzec skarbów poszczególnych prowincji. Gdybym sprzątnął

bogactwo sprzed jego świńskiego ryja, musiałby posłać królowi swą własną głowę! Sagobal zaś, który sądzi, że potrafi trzymać mnie z daleka od skarbu, jeśli nawet uniknie kata, to nie będzie mógł awansować wyżej niż do rangi prostego żołnierza aż do końca swego życia!

— Ci ludzie musieli chyba okrutnie cię skrzywdzić, skoro wywołali w tobie tak silną nienawiść — zauważył Volvolicus.

— Tak, zrobili to — odpowiedział Conan — przechytrzyli mnie, podporządkowując sobie kobietę, która była moją wybranką. Wtrącili mnie do lochu, skuli łańcuchami ręce, nogi i kark. Potraktowali jak podłą bestię i skazali na śmierć na szafocie! — Cymmeryjczyk wybuchnął gniewem.

— Może cię to zirytuje, ale wielu widziałoby w tych działaniach dobro ogółu. Złodziej, który nie chce być potraktowany w ten sposób, dobrze zrobi jeśli uniknie pojmania.

Conan był niewzruszony.

— Nie dość im było uśmiercić mnie, ale chcieli zrobić z egzekucji widowisko. Miałem być poddany torturom i potraktowany jako punkt programu uroczystości ogłoszonej z okazji poświęcenia nowej świątyni Ahrimana. Nie obawiam się w walce spojrzeć w twarz śmierci. Ale śmierci w torturach nie zniosę! Nie wytrzymałbym tego, aby ku uciesze tłumu i miejskich tchórzy zrobiono ze mnie publiczne widowisko. Dlatego moi ciemężcy muszą zapłacić za swoje zuchwalstwo i bezczelność!

Wydawało się, że mag nie słyszał końca wypowiedzi. Wyraźnie się ożywił. Szybkim ruchem schwycił Cymmeryjczyka za gruby nadgarstek. Zimny, nieludzko silny uścisk zmroził Conana, ale nie cofnął ręki.

— Czy dobrze słyszałem? Powiedziałaś „Świątynia Ahrimana”? — spytał badawczo

czarownik.

— Tak powiedziałem.

— Czy to możliwe, że o tym nie słyszałeś? — odezwał się Osman. — Ty, który wiedziałeś zawczasu, iż dzisiejszej nocy trzech mężczyzn złoży ci wizytę? Od dwóch lat o odbudowie świątyni głośno było wzdłuż całego wybrzeża, wokół Vilayetu, a nawet daleko w głąb pustyni.

— Czy to oznacza, że nam pomożesz? — zapytał Conan.

— Wydaje się, że będę musiał. — Trzej bandyci popatrzyli na siebie zaskoczeni, dziwiąc się, co przyczyniło się do zmiany stanowiska.

— Dobrze — rzekł Conan lakonicznie.

— Dziś wieczorem muszę poczynić przygotowania. Jutro o świcie pojadę z wami. Zobaczę świątynię i miasto. Lajla przygotuje wam kwatery. Na tyłach domu są wolne pokoje. Będzie wam tam najwygodniej.

Conan podniósł się.

— Jeżeli pozwolisz, zasnę pod gwiazdami. Mój ostatni pobyt w lochach sprawił, że zatęskniłem za otwartą przestrzenią.

— Jestem mieszkańcem miasta — rzekł Osman — i chętnie skorzystam z gościnności naszego gospodarza.

— Ja również — rzekł Auda.

— Zatem, jeżeli pozwolicie, oddam się teraz mojej medytacji. Śpijcie dobrze. — Popatrzył na Conana — Pustynne noce nie są pozbawione niebezpieczeństw, ale wydajesz się być człowiekiem zdolnym sprostać największym wyzwaniom.

Conan wyprężył się i skinął głową.

— Jeszcze nie nadszedł czas, bym zginął z ręki człowieka, lub rozszarpało mnie jakieś zwierzę. Wiatr nie wieje piaskiem tej nocy, a gwiazdy tworzą sklepienie. Życzę ci dobrej nocy!

Wyszedł z domu, a jego kompani podążyli za nim, by rozsiodłać konie i zdjąć uprząż.

— Co o tym myślisz, Conanie? — zapytał Osman zniżonym głosem.

— Nie wydaje mi się tak groźny, jak można by się spodziewać po tak wielkim czarowniku.

— Tak — rzekł Auda — ale dlaczego tak nagle się zmienił? W jednej chwili był zbyt ważny, żeby z nami jechać, a w następnej bardzo się do tego zapalił. Co to może znaczyć?

— Ten człowiek rozgrywa jakąś partię swojej własnej gry — stwierdził Conan. — Ale jeśli potrafi dokonać tego, czego nam trzeba, nie będę się domagał wyjaśnień. Wydaje mi się, że jest jakaś wrogość między nim a kapłanami Ahrimana. Być może chce im zaszkodzić. Może to zrobić z moim błogosławieństwem, bo nie darzę kapłanów szczególną sympatią. Jeśli potrafi wydostać dla nas skarb z miasta, reszta jest jego sprawą.

— Tak, tak — przyznali inni.

Obładowani uprzężą odmaszerowali do domu czarownika, pozostawiając spętane konie, aby pasły się na trawie, która rosła obficie w małej oazie.

Conan zabrał zwinięty koc i odszedł, by znaleźć miejsce, gdzie mógłby się położyć. Po przeżyciach w lochu unikał zamkniętej przestrzeni. I nie znosił czarnoksięstwa, a dom zdawał się być nim przesiąknięty. Wiedział, że lepiej wyśpi się pod gwiazdami. Pomiędzy dwiema palmami uginającymi się od daktyli znalazł miejsce, gdzie gęsta trawa układała się w sprężystą darń. Tam rozwinął koc i zdjął pas z mieczem, kładąc go tak, aby w razie potrzeby mieć rękojęść w zasięgu ręki.

Na niebie pojawił się półksiężyc, i roziskrzone światło padało na lekko sfalowaną taflę wody. Ponad głową delikatne podmuchy wiatru szeleściły w wierzchołkach palm. Poza tym panowała zupełna cisza. Ziewając przeciągnął się i ułożył swoje potężnie zbudowane ciało na szorstkim kocu.

Usnął w ciągu paru minut. Dwie godziny po północy coś go obudziło. Przez kilka chwil leżał nasłuchując, nic jednak nie dało się usłyszeć oprócz szumu wiatru w wierzchołkach palm. Usiadł i natężył wzrok, ale nie widział nic mogącego wzbudzić niepokój. Wszystko

było skąpane w bladym blasku księżyca, nie licząc fragmentów skrytych w głębokim cieniu.

Zdziwiony podniósł się na równe nogi. Powietrze ochłodziło się, ale nie na tyle, by musiał owinąć się w koce. Zbliżył się nad brzeg wody, nabrał jej nieco w dłonie i obmył twarz. I w tym momencie znowu usłyszał ciche pluśnięcie, które go obudziło. Spojrzał ponad wodą i zobaczył coś poruszającego się wzdłuż powierzchni jeziora. Przez chwilę chciał rzucić się po swoją broń, lecz nagle zrozumiał, że to absurd, bo w jezioru nie mogło czyhać żadne niebezpieczeństwo. Coś podплыnęło bliżej i zauważył ludzką głowę osadzoną na wdzięcznej szyi wyrastającej z kształtnych ramion. Cała reszta pozostawała tajemnicą skrytą pod wodą. Conan uspokoił się. Nie był to żaden wróg.

— Lajla? — powiedział.

— Tak, to ja. — Głos był niski i melodyjny. Teraz mógł dostrzec jej rysy twarzy. Włosy, zaczesane do tyłu, przylegały do delikatnej głowy i nadawały jej wygląd płynącej foki. Podobnie jak foka poruszała się w wodzie pełna płynnego wdzięku.

— Czy twój mistrz wie, że jesteś tutaj?

— Volvolicus jest głęboko pochłonięty nocnymi praktykami. Kiedy jest w odosobnieniu, zupełnie go nie obchodzi, co robię. Pływam tutaj w nocy, bo na tym odludziu tylko podczas tych godzin jest przyjemne powietrze. Woda staje się zimna. Mam księżyc i gwiazdy do towarzystwa.

— Czyżby pustynne zwierzęta nie przychodziły nocą do wodopoju? — zapytał Conan.

— Nie zrobią mi krzywdy — odparła. Płynęła leniwie rozgarniając wodę, do miejsca, gdzie przykucnął Conan i położyła łokcie na kamienistej krawędzi, opierając podbródek na dłoniach.

— Nie wszystkie tutejsze stworzenia chodzą na czterech łapach — huknął.

Uśmiechnęła się, pokazując białe zęby.

— Wiem, nie mam czego się obawiać również ze strony tego gatunku.

— Tak mówisz? — Cymmeryjczyk był zaintrygowany jej osobą. Nie przemawiała tonem

niewolnicy, którą, jak przypuszczał, była. Podziwiał jej śmiałość, chociaż mogła ona wynikać z zaklęć czarodzieja. Zastanawiał się, jakie kształty kryła woda. Powinien jeszcze ją zobaczyć w jaśniejszym świetle, ale potrafił oceniać kształty mężczyzn i kobiet ze sposobu ich poruszania się. Dla mężczyzny parającego się walką była to kwestia przeżycia. Teraz zobaczył dojrzałe zbudowaną o pięknych kształtach kobietę.

— Tak mówię — odrzekła. Nagle uniosła się ponad wodę, owinęła ramiona wokół jego szyi i złożyła ciepły pocałunek na jego ustach. Usiłował chwycić ją w objęcia, lecz jak węgorz, wyśliznęła się, po czym ze śmiechem odpłynęła. Nie zobaczył wiele, lecz przez krótką chwilę uświadomił sobie, że była bardzo smakowitym kąskiem.

— Niech ją Crom weźmie! — burknął, podnosząc się z klęczek i poszedł spać na swoje koce.

— Ta kobieta wie, jak zniszczyć sen mężczyźnie.

* * *

W ciemnej sali poniżej swego domu mag Volvolicus przygotowywał rzadko używaną formułę zaklęcia. Od dawna przywykł do samotnych badań, lecz tej nocy szukał kontaktu z jemu podobnymi. Usiadł przy stole z czarnego marmuru, inkrustowanego złotymi nićmi przedstawiającymi mistyczne znaki. Były one połączone zarówno przez linie proste, jak i zakrzywione, rozchodzące się promieniście od punktu leżącego w centrum stołu. Pośrodku leżał nieoszlifowany, zielony kryształ, jarzący się delikatnym blaskiem. Mag przesunął dłońmi po stole, wahając się i często zatrzymując, gdyż dawno nie miał do czynienia z tą właśnie praktyką.

Wkrótce jednak, odzyskał pewność i jego ruchy stały się szybkie. Świetliste punkty zaczęły przesuwać się wzdłuż połączonych nici, najpierw wolno, potem z większą szybkością. Kiedy światło dotarło do symboli, gdzie linie się kończyły, większość wzorów zaczęła się jarzyć, niektóre od razu, inne po pewnym czasie. Parę pozostało nieruchome.

Volvolicus obniżył dłonie i kryształ zaczął błyszczeć jaskrawym światłem. Stopniowo,

ponad symbolami inkrustowanymi w czarnym marmurze, pojawiały się ludzkie twarze. W

większości były to męskie wizerunki, chociaż parę miało też żeńskie rysy. Wszyscy byli w średnim wieku, albo starsi. Reprezentowali wiele ras i narodów.

— Kim jesteś, ty, który zakłócasz nam prace, zwołując Najwyższe Zgromadzenie? —

Zapytał ten, którego pozbawiona włosów czaszka płonęła ponad wzorem w kształcie konstelacji Skorpiona. Rysy jego twarzy, typowe dla Stygijczyka z wyższej kasty, były złowrogie, a oczy zimne jak u węża.

— Znam tego człowieka, potężny Toth Amonie — rzekł starszy mężczyzna, również

Stygijczyk o rysach wskazujących na niższą kastę. — To jest Volvolicus, Turańczyk i mistrz w sztuce Khelkhet–Ptheth. Przyjechał do mnie wiele lat temu po nauki i był bardzo

zdolnym uczniem.

— Zwykły amator magicznych sztuczek z kamieniem i kryształem. — Toth Amon aż promieniował pogardą. — Jaką masz sprawę do Czarowników Wyższej Rangi? Wszyscy tutaj są twoimi mistrzami, przerastającymi cię wiele razy. Za zwołanie Najwyższego Zgromadzenia bez istotnej potrzeby, możemy cię ukarać wiecznym życiem. A to jest gorsze niż najpodlejsza śmierć.

— Mów szybko, jeśli nie chcesz zasłużyć na nasze przekleństwo — powiedział Kitajczyk o zaszytych powiekach i ustach. A głos jego wydawał się dobiegać ze wszystkich kierunków.

— On wrócił — szepnął Volvolicus — zło starsze niż wąż jest znowu w ludzkim świecie.

— Absurd! — zachnął się Toth Amon — Ahriman został wygnany z tego wszechświata przez boskich królów Stygii dzięki mocom Seta. Aby trzymać go z daleka, użyto najpotężniejszych zaklęć. Bełkotliwe brednie, głupcze! Przygotuj się, bo będziesz musiał przetrzymać nasze przekleństwo.

— Poczekaj, Stygijczyku — rzekł Piktyjczyk o pomalowanej twarzy, z kośćmi w przekłutych uszach. Nosił on naszyjnik z zasuszonych, ludzkich palców. — Dziesięć

księżyców temu obcy człowiek przybył na nasze wybrzeże z Wysp Zachodniego Morza. Nie należał do żadnej znaczącej rasy, ale posługiwał się jakąś odmianą języka piktyjskiego. Nie był to żaden znany nam dzisiaj język, ale przemawiali w nim w snach moi przodkowie.

Mówił prostymi słowami, bez cienia zła. Było w nim jednak coś odpychającego. Dopytywał się o krainę Turanu i jaką drogą się tam dostać.

— Inny, podobny do tamtego, był widziany w Belwerusie trzy miesiące temu — oznajmił nemedyjski mag.

— Kim byli ci ludzie? — zapytał Toth Amon.

— Posłuchajmy naszych myśli — powiedział Nemedyczyk. On i Piktyjczyk zamknęli oczy, a wszyscy inni umilkli. Toth Amon zatrzymał swój oddech.

— To prawda! Ludzie z rasy długo uważanej za wymarłą powrócili. Jak to możliwe?

Wszystkie świątynie i sanktuaria Ahrimana zostały całkowicie zniszczone, każda brama, przez którą bóg o imieniu niegodnym wymienienia, mógł powrócić, została starta na proch, a potem obłożona straszliwym przekleństwem!

— Czas to wielkie koło, człowieku z Zachodu — stwierdził krągły Wendjanin — nic nigdy całkowicie nie ginie, nic nie można na zawsze wyeliminować. Wszystko wraca z biegiem czasu. Bóg nie może być unicestwiony. A tym bardziej wygnany.

— Ale jak mogło się to wydarzyć bez mojej wiedzy? — dopytywał się Toth Amon.

— Oto przemawia twoja próżność Stygijczyku — odparł czarownik o czarnej skórze, i twarzy pomalowanej na białło. Żółte zęby miał spróchniałe. — Jesteś czarownikiem, jak i pozostali z nas. Czy tak wielkim, że bóg musi domagać się twego zezwolenia, by powrócić do ludzkiego świata?

— Nic z tych rzeczy, jak dobrze wiesz, Dambula! Lecz tak epokowe wydarzenie powinno wywołać zaniepokojenie nawet początkującego adepta. Tymczasem my, magowie Wyższej Rangi, nic nie odczuliśmy i musimy się dowiadywać wszystkiego od tego uczonego

kamieniarza.

— Pohamuj swój gniew czcigodny Toth Amonie — skarcił go kitajczyk w podeszłym wieku

— gdyby do tego doszło, zgodziłbym się z tobą. Sądzę jednak, że to oznacza, iż Ahriman

jeszcze nie wrócił. Jedyne jego wyznawcy jakimś sposobem się odrodzili i to właśnie oni przygotowują drogę dla swego boga, by zajął miejsce pomiędzy ludźmi, duchami i bogami

tego świata.

— Mądrze mówisz Feng-Yoon — przyznał Stygijczyk — i cokolwiek to jaszczurcze plemię

chce zdziałać, ma zbyt dużo pracy przed sobą, by szybko się z tym uporać. Muszę naradzić się z moimi bóstwami i duchowymi doradcami. Niektórzy z nas służą jasnym bogom, inni

— ciemnym, jeszcze inni w ogóle obywają się bez bogów, lecz AhrSan jest śmiertelnym

wrogiem dla każdego. Jeżeli nie może być zniszczony, musi zostać poskromiony. Wzywam

was wszystkich do porzucenia obecnych zajęć, dopóki ta groźba nie zostaje zażegnana.

Zaniechajcie porachunków i pracujcie nad nawiązaniem kontaktu z wszystkimi magami

Wyższej Rangi, którzy nie odpowiedzieli na to wezwanie, by pozyskać ich pomoc. Czy

wszyscy się zgadzają?

— Tak! — odpowiedzieli chórem.

— A ty, gapiący się w kryształową kulę, magiku — rzekł Toth Amon — wzywam cię, abyś

pośpieszył do tego legowiska wyznawców Ahrimana i wydobył ich tajemnice.

— Tak się składa — powiedział Volvolicus — że wybieram się tam jutro, uśmiechnął się

nieznacznie — wezwano mnie, bym udzielił pomocy w sprawie najwyższej wagi.

— Zatem lękaj się naszej kary i bądź posłuszny. Twoja nagroda będzie olbrzymia. Kara za

niepowodzenie niewyobrażalna.

Wizerunki magów ponad stołem zgasły i Volvolicus długo rozmyślał, zanim udał się na

spoczynek.

Dwaj mężczyźni i kobieta wjechali do miasta pełnego krzątający, przed mającymi się odbyć uroczystościami. Mieli na sobie ubrania ludzi pustyni z plemienia Geraut. Twarze mężczyzn, aż po same oczy, były szczelnie zakryte zasłonami, a głowy ich owijały czarne turbany. Kobieta miała żółtą chustkę na głowie i odsłoniętą twarz. Cała trójka nosiła długie, powiewne peleryny z sukna w kolorowe paski, workowate spodnie i miękkie, wysokie buty. Niski, szczupły mężczyzna miał na sobie ozdoby szejka. Bardziej muskularny kompan stanowił jego ochronę.

— Masz szczęście, że błękitne oczy zdarzają się u Gerautów — powiedział Volvolicus — w przeciwnym razie ci strażnicy z tyłu zerwaliby zasłonę i mielibyśmy kłopoty.

— Tak, lecz teraz jest najlepszy czas, aby obejść prawo — powiedział Conan, będący w znakomitym nastroju.

— Kiedy miasto jest zatłoczone w tak niesłychany sposób, strażnicy nie mogą na wszystkim skupiać swojej uwagi. Wiedzą, że takie święto przyciągnie wszystkich złodziei, rzezimieszków, włamywaczy z ponad setki okolicznych szczepów. Przez wiele dni będą mieć ręce pełne roboty. W taki czas nikt nie zechce spojrzeć dwa razy na zwykłego nomadę.

Nie może też nam zaszkodzić opinia krążąca o Gerautach, że ścinają każdego, który dotknie ich swoją dłonią — powiedziała Lajla — Gerauci są dumnym i drażliwym ludem.

Volvolicus, odgrywający rolę pustynnego szejka, nie miał żadnej broni oprócz sztyletu wysadzanego drogocennymi kamieniami, zatkniętego za szarfę owijającą go w pasie.

Conan nosił przy sobie pełen zestaw broni: długą lancę zatkniętą w otworze w strzemieniu, miecz i sztylet oraz małą, okrągłą tarczę ze stali przywiązaną rzemieniem do łęku siodła.

Volvolicus był bez broni, gdyż Gerauci nie posługiwali się nią.

Miasto, przez które jechali, było zatłoczone i hałaśliwe. Ludzie zajmowali każdy dostępny metr kwadratowy przestrzeni. W nocy tłumy spały na ulicach, w parkach i ogródkach

miejskich. Część chroniła się w prowizorycznych namiotach z płótna, reszta spała bez

żadnej ochrony. Każdy przyjechał do Shakpuru, przywożąc coś do sprzedaży w nadziei, że znajdzie nabywców na swoje towary. Byli to zarówno stali kupcy, jak i wędrowni handlarze żywności, napojów czy świecidełek. Wszyscy przypatrywali się spektaklom i innym atrakcjom. Na każdym rogu występowali tancerze i żonglerzy. Uliczni szermierze na wyrysowanych w błocie kolistych arenach wyzywali na pojedynki wszystkich przyjezdnych. Nagrodą za walkę do pierwszej krwi była sakiewka. Dla bardziej wprawionych walka polegała na zadaniu dwóch trafień na trzy możliwe.

— Szkoda Cymmeryjczyku, że ta zasłona nie pozwala ci cieszyć się jedzeniem i pić — powiedziała Lajla — być może jest to dobre przebranie, ale uniemożliwia korzystanie z przyjemności festynu.

— Nie myślę o zabawie, kiedy pracuję — odpowiedział Conan — świętuje się wtedy, gdy coś jest warte świętowania. — Odkąd tylko opuścili siedzibę czarownika, dziewczyna dogryzała mu złośliwymi docinkami. Porzuciła wyzywający sposób zachowania, traktując go teraz bardzo chłodno.

Wszędzie wokół pełno było strażników, ale wydawało się, że zaginął wszelki ślad po Sagobalu. Torgut Chan również nigdzie się nie pojawił. Tak było lepiej, bo Conan nie wiedział, czy zdołałby opanować swój temperament. A pocięcie na kawałki Sagobala, lub Torgut Chana z pewnością nie pomogłoby w planowanej kradzieży skarbu.

Zatrzymali się przed nową świątynią. Wyglądała tajemniczo. Sprawiała wrażenie budowli sprzed wielu wieków. Jej fasada porysowana bruzdami pełna była odprysków, choć świątynia została uzupełniona nowymi, błyszczącymi kamieniami. Przeprowadzili konie przez zatłoczony rynek i przywiązali je do drzewa ocieniającego dziedziniec gospody, stojącej naprzeciw świątyni. Kiedy usiedli przy niskim stole, oberżysta pośpieszył, aby ich obsłużyć. Po zamówieniu jedzenia i wina, Volvolicus zaczął mu zadawać pytania.

— Mówiono mi, że ogłoszono to tajemnicze święto, aby uczcić poświęcenie świątyni. Z

pewnością nie chodzi o ten budynek przed nami.

— Tak, trudno w to uwierzyć i naprawdę to mi się nie podoba. — powiedział mężczyzna, czyniąc gest odzegnujący uroki. — Sam widziałem, jak wyglądały te wieńczące budynek

kamienie w miesiącu zbiorów pszenicy. Były nowe i lśniące. Teraz, zaledwie pięć miesięcy później, wyglądają jakby leżały tysiące lat. Przejdźcie się wokół świątyni, a zobaczycie coś dziwnego. Trzy spośród rogów są kanciaste, ale róg od strony południowo–zachodniej jest

zaokrąglony. Wszystkie stare budynki w mieście są pod tym względem do siebie podobne, ponieważ pustynne wiatry wieją z południowego zachodu i stopniowo powodują kruszenie się kamienia, ale żeby do tego doszło, musi minąć wiele pokoleń.

Volvolicus uczynił gest ręką stosowany przez ludzi pustyni, by odegnąć demony południowych wiatrów.

— Cóż to może znaczyć mój gospodarzu?

— Nie wiem, lecz krążą pogłoski w mieście, że świątynia powinna być zburzona. Ale — zastrzegł się — to może stać się dopiero, gdy zakończone zostaną uroczystości tak doskonale przygotowane.

— Wszystko w swoim czasie — powiedział Conan.

— Właśnie, nie widziałem tak wielu ludzi w mieście od czasów, gdy byłem dzieckiem.

Wtedy odbywała się egzekucja Dzemaja Okrutnego. Każdego dnia wielu katów

wypróbowywało na Dzemaju swoje umiejętności. Wyznaczono wielką nagrodę dla

człowieka, który wymyśli najbardziej okrutną torturę. Lecz ten, pod którego opieką Dzemaj umarł, musiał zapłacić grzywnę. Łajdak wytrzymał dziesięć dni.

Oberżysta uśmiechnął się i westchnął na słodkie wspomnienie starych, dobrych czasów.

— Ale przecież mamy teraz namiestnika, który wie, jak postępować z kryminalistami.

Pozwolił ostatnio uciec zbrodniarzowi zwanemu Conanem i musimy się teraz zadowolić

egzekucją paru tuzinów zwykłych złodziei i morderców — odszedł pośpiesznym krokiem,

aby przyjąć zamówienie od nowych klientów.

— To nie wygląda dobrze — stwierdził Conan, gdy oberżysta oddalił się — planowałem zwykły wypad, myśląc, że świątynia jest zwyczajną budowlą i nie grozi nam nic więcej oprócz konsekwencji prawnych.

— To jednak nie jest zwyczajna świątynia. Myślisz, że zbytnie zainteresowanie się tymi sprawami mogłoby ściągnąć straszliwe przekleństwo na nasze głowy?

— Straciłeś już ochotę na skarb, Cymmeryjczyku? — dogryzła mu Lajla.

— Jeszcze nie! — z naciskiem powiedział Conan. — Ta sytuacja wystawia nas jednak na szczególne niebezpieczeństwo. Volvolicusie, jesteś mistrzem magicznej sztuki. Czy narazimy się na wielkie zagrożenie, jeśli sprofanujemy ten budynek?

— Dobre pytanie — rzekł czarownik, gładząc swoją brodę. — Możliwe, że jeżeli świątynia nie została jeszcze poświęcona, wtedy bóg jej nie zamieszkuje. A w takim razie nie grozi nam niebezpieczeństwo.

— Ale dlaczego tak nagle się zestarzała? — dopytywał się Cymmeryjczyk.

— Jest to zagadkowe — przyznał Volvolicus — może oznaczać, że przebiegli tragarze i murarze podmienili kamień pierwszej jakości na gorszy, miękki piaskowiec. Są sprytne sposoby, które nadają efekt wypolerowanego granitu. Kamień ten utrzymuje się w tym stanie tak długo, aby oszuści zdołali umknąć ze swoją zdobyczą, zanim piaskowiec zacznie się kruszyć. To zwyczajny podstęp.

— Być może nie chodzi o nic innego — powiedział Conan w taki sposób, jakby siebie samego chciał przekonać.

— Jestem ciekaw, czy zdołamy wejść do środka — zastanawiał się Volvolicus.

— Byłoby dobrze, gdybyśmy mogli. Chciałbym się przejść po jej terenie. A teraz chcę przypatrzeć się wnętrzu, aby nie tracić czasu, gdy wrócimy po skarb.

— Dowiem się, czy jest to możliwe — powiedział mag. Jedli w ciszy. Wino pili drobnymi łyżkami przez srebrne, ozdobne słomki. Patrzyli na paradujący, barwny i

kosmopolityczny, wielojęzyczny tłum. Można było zauważyć przedstawicieli niemal wszystkich ludów żyjących w sąsiedztwie Vilayet, bądź zamieszkujących okoliczne wzgórza, równiny i pustynie. Na obrzeżu placu przykuwał uwagę wzniesiony olbrzymi szafot.

Oprócz szubienicy, na widok publiczny wystawiono liczne przyrządy tortur. Na białej, długiej chorągwi zostały wypisane nazwiska ludzi przeznaczonych do egzekucji oraz popełnione przez nich przestępstwa i rodzaj czekającej ich śmierci. Aby wyświadczyć przysługę analfabetom i cudzoziemcom, uliczni krzykacze odczytywali treść wypisaną na chorągwi.

— Ta chorągiew musiała zostać zrobiona parę dni temu — komentował Conan — gdyż nie ma na niej mojego nazwiska.

— Sława uciekła — zaśmiała się Lajla.

— Jak na służącą dziewczkę masz ostry język — odgryzł się Conan.

— Ona nie jest służącą — rzekł Volvolicus — to moja córka.

Lajla uśmiechnęła się, widząc zakłopotanie Conana.

— Zdaje mi się, że nasz barbarzyński towarzysz zarumienił się pod zasłoną — powiedziała Lajla.

— Dziewczyna nie zachowywała się tak jak twoja córka.

Nagłe zamieszanie na placu przyciągnęło ich uwagę. Zgrzytnęła metalowa brama z kratą w kształcie kłów i zaczęła podnosić się ze szczykiem. Wielu ludzi patrzyło z zaciekawieniem, lecz inni cofnęli się, gdyż nowa świątynia wzbudzała lęk.

— Chodźcie — zachęcał Volvolicus — zobaczymy, o co chodzi.

Wstali od stołu i ruszyli przez plac miejski w stronę świątyni. Na najwyższym stopniu schodów stanął ze wzniesionymi ramionami człowiek w rdzawej szacie. Ascetyczną, pozbawioną zarostu twarz pokrywały niebieskawe wzory.

— Dobrzy ludzie Shahpuru i goście z zagranicy! — zaintonował wysokim głosem. Nasz

czcigodny namiestnik Torgut Chan w swej łaskawości wydał dekret, że każdy, kto chce obejrzeć cuda świątyni Ahrimana, może do niej wejść. Ja, Shosq, kapłan Ahrimana wyjawię wam jej tajemnice i odpowiem na pytania — mówiąc wykrzywił wargi, jakby te słowa zostawiały wstrętny posmak w ustach.

— Łajdak o krzywej gębie — stwierdził Conan — ręczę za to, że nie sprawia mi przyjemności oprowadzanie motłochu po swych tajemnych świętościach. Torgut Chan zmusił ich, by zrobili to dla jego większej chwały.

— I dla naszej większej fortuny — powiedziała Lajla.

— To się jeszcze zobaczy — burknął Conan.

Kapłan miał zadziwiająco mało chętnych na wycieczkę pod swoim przewodnictwem.

Cymmeryjczyk, czarownik, Lajla i może z dziesięć innych osób zgromadziło się na schodach, aby podążyć za kapłanem do świątyni. Ledwie znaleźli się w środku obszernego, rozbrzmiewającego echem wnętrza, gdy za ich plecami rozległ się dźwięk. Odwrócili się.

Brama zaczęła opadać, aż do momentu, gdy jej kły dotknęły podłogi.

— Nie możemy pozwolić, by ludzie wchodzili tutaj samowolnie — wyjaśnił kapłan — konsekwencje mogłyby być straszne. Zmuszony jestem podkreślić, że nikt z was nie może się oddalać od grupy. A teraz proszę za mną.

Ludzie mówili przyciszonymi głosami, gdyż przytłaczała ich panująca w tym miejscu atmosfera. Dziwaczne dekoracje, w krwawym świetle płynącym z okienek w bocznych nawach, wydawały się groteskowe. Ściany pokryto rzędami płytko wyrytych płaskorzeźb, przedstawiających mężczyzn, kobiety i wszelkie stworzenia zaangażowanych w nieprawdopodobne seksualne związki. Kapłan objaśnił, że obrazy te symbolizują płodność natury. Widniejące na innej ścianie postacie poddawane torturom lub umierające w straszliwych rzeziach, były w stanie przyprawić o mdłości nawet najbardziej odpornych

osobników. Rzeźby te kapłan przedstawił jako obraz koniecznej zagłady, mającej

poprzedzać odnowę twórczych sił natury.

Lajla przystanęła u podstawy jednej z kariatyd. Podziwiała piękną, pełną cierpienia twarz i lekko pogładziła jej lśniące w świetle kolano. Okrążyła rzeźbę i spojrzała ku jej

towarzyszkom. Pośladki i plecy naznaczone były precyzyjnie rzeźbionymi śladami bicia i kroplami krwi zdających się z nich wypływać.

— Piękno w udręczeniu, ciekawa koncepcja — skomentowała — co właściwie symbolizują te kobiety, wielbny Shosq?

Kapłan wzruszył ramionami:

— Coś musi podtrzymywać dach. A teraz, jeśli pozwolicie, proszę tędy.

Podążyli w ślad za nim. Stanęli przy nieregularnym wypukłym kształcie, zakrytym wielką, jedwabną płachtą.

— To jest święty ołtarz Ahrimana — rzekł Shosq. — Wielu spośród miejscowych ludzi, patrząc na niego, odczuwało niepokój, dlatego zdecydowaliśmy się go zakryć.

— Chciałbym go zobaczyć — powiedział Volvolicus — przybyłem z daleka, aby móc ujrzeć cuda tej świątyni.

— Jak sobie życzysz, szejku — odparł kapłan. Uniósł zasłonę. Ukazała się połowa ołtarza.

Wśród widzów rozległ się szmer. Tylko mag wpatrywał się jak urzeczony.

— To rzeczywiście niezwykły przedmiot — zauważył Volvolicus, a kapłan ponownie zakrył ołtarz.

— Wygląda po prostu, jak stos węży — mruknął Conan, usiłując ukryć swój niepokój.

— A te schody — spytał Volvolicus, wskazując na zejście schodzące pod ołtarzem — czy one prowadzą do wewnętrznego pomieszczenia, gdzie można zobaczyć wizerunek waszego boga?

— Wielki Ahriman nie posiada żadnej widzialnej formy dającej się wyobrazić — odparł

Shosq — to zejście wiedzie do krypty. Nie jest to już właściwie święte miejsce i ma być użyte jako skarbiec dla bogatych prowincji.

Kontynuowali zwiedzanie, a kapłan wyjaśniał, na czym polegają obrzędy tej religii.

Niewiele więcej rzeczy godnych uwagi znajdowało się w świątyni. Wyróżniała się ona raczej innością niż szczególnym bogactwem. W końcu kapłan wyprowadził ich na zewnątrz i obwieścił tłumowi, że następni zwiedzający będą mogli wejść wieczorem.

Wszyscy troje dosiedli koni i wyjechali z miasta.’

— Wszystko, co powiedział kapłan, było kłamstwem — stwierdził Volvolicus, gdy byli

bezpieczni, daleko poza miastem. — Jego objaśnienia dotyczące rzeźb nie miały sensu. To, co nazywa swoją religią, jest niczym innym, jak zniekształconą wersją wiary Ormazda,

zmieszaną z szokującymi elementami wendjańskich kultów.

— A cóż mnie obchodzi? płamisty łajdak ofiarowujący stokrotki ku czci zielonej ropuchy

— zaśmiał się Conan. Najlepiej powiedz, co sądzisz o rozplanowaniu świątyni? Zejście do krypty wydało mi się cholernie wąskie.

— A, tak — przytaknął Volvolicus z roztargnieniem — z pewnością pociąga to za sobą pewne trudności, ale nie są one nie do pokonania. Ciężar, który ma zostać podniesiony, będzie uformowany w długą, wąską masę. Przekształcę formułę zaklęcia, aby podnieść obelisk.

— A co z bramą? — badał Conan.

— Nie będę się tym zajmował. Ty i twoi kamraci musicie zadbać o to, żeby była otwarta.

To wasza specjalność, prawda?

— Zgadza się, chciałbym, żebyśmy mogli rzucić okiem na mechanizm bramy — powiedział Cymmeryjczyk.

— A ja, żebyśmy mogli zajrzeć do krypty — powiedział czarownik.

— He? Nie wydaje ci się, że to zwykła dziura w ziemi?

— To możliwe, ale — zawahał się — trudno to wytłumaczyć, bo nie znacie specjalistycznego języka Khelkhet–Pteth’a. Po wielu latach studiów posiadam głęboką znajomość kamienia i kryształu. Każdy kamień i metal jest kryształem, choć w ukrytej formie niedostępnej dla oka. Mogę odczuwać masę i przestrzeń tak, jak inni ludzie ją widzą. Na końcu świątyni wyczuwałem pod nami kryptę, ale było tam coś jeszcze.

— Coś jeszcze? — zdziwiła się Lajla — jak to?

— Wydawało mi się, że coś więcej niż pusta przestrzeń wykuta w skale. Tak, jakby regularna próżnia zamykała się w drugiej, dużo rozleglejszej i mniej kształtnej.

— Jak jedno pudełko w drugim? — zapytał Conan.

— Coś w tym rodzaju, ale w tym wypadku oba zajmują tę samą przestrzeń, chociaż jedno może być w innym wymiarze.

Tym razem Cymmeryjczyk poczuł się zbity z tropu.

— Czy może nam to przeszkodzić w wejściu do krypty i zagarnięciu skarbu? — zapytał.

— Nie sposób odgadnąć. Właśnie dlatego byłoby lepiej wcześniej zobaczyć kryptę.

— Dlaczego to musi być tak skomplikowane? — jęknął Conan. Człowiek powinien być w stanie dokonać prostego rabunku, bez wplątywania w moc odrażających bogów i złych duchów.

— Co powiesz o tym ołtarzu? — zapytała Lajla. — Czy coś cię w nim zaniepokoiło?

— Jest to najbardziej niesamowite — stwierdził Volvolicus. — To nie jest naturalny kamień z tego świata. Kapłan nie wyjaśnił, że wszystkie kamienie i metale są kryształami. Każdy kryształ ma inną wibrację i znam je wszystkie. Lecz ta jest całkiem inna. Jego wibracji nie da się wykryć w naszym świecie. Ten kryształ jest bezwładny, jak martwy przedmiot.

— Więc może nie jest ani z kamienia, ani z metalu — zaryzykowała Lajla.

— Nie, jest z kamienia, ale niepodobnego do czegokolwiek z tego świata.

Conan nie lubił takich rozmów.

— Jak może mieć ten kamień jakikolwiek związek z kradzieżą skarbu?

— Nie wiem, lecz jest to przedmiot o wielkiej i straszliwej mocy.

— O ile dobrze rozumiem plotki krążące po mieście — powiedziała Lajla — pozwolenie na użycie krypty jako skarbcza jest ceną, jaką kapłani musieli zapłacić. Torgut Chan pozwolił im za to wybudować w mieście świątynię. Mogą nawet być zadowoleni widząc, że skarb został skradziony.

— Nie można tego wykluczyć — przyznał mag.

— Czy dopatrzyłeś się czegoś, co może nam przeszkodzić w kradzieży? — ponaglał go

Conan, przejęty wyłącznie jedną myślą.

— Nie, niczego takiego nie widziałem. Jeśli ty i twoi ludzie sprawicie, byśmy znaleźli się w środku i zatrzymacie otwartą drogę do tego miejsca, będę mógł przenieść skarb do waszej kryjówki.

— Dobrze! — ucieszył się Conan.

— Ale jak wydostaniemy się z miasta? — zapytała Lajla.

— To należy całkowicie do naszego barbarzyńskiego przyjaciela. Ja muszę skoncentrować się, aby podnieść metal. Nie będę mógł również uczynić was niewidzialnymi.

— A ty zdołasz nam pomóc? — zapytała Cymmeryjczyka.

— Mój sposób postępowania jest ustalony — rzekł Conan — każdy śmiertelny człowiek, który będzie chciał mi przeszkodzić, zostanie ścięty.

— Jakże przekonujące! — wykrzyknęła Lajla z drwiącym śmiechem.

Gdy miasto zniknęło z pola widzenia, mogli czuć się bezpiecznie. Skręcili z drogi w wąską, pasterską ścieżkę, która wiła się między południowymi wzgórzami. Jechali godzinę i przybyli do obozu przy małym strumieniu. Część bandy siedziała tam przy dogasającym

ogniu, pijąc słabe wino lub parząc zieloną herbatę, cieszącą się dużym uznaniem w tych okolicach. Na widok jeźdźców podnieśli głowy z wyraźnym ożywieniem.

— Jak poszło przyjaciele? — zapytał Osman.

— Da się zrobić — powiedział Conan.

Jego słowa wzbudziły pełne zadowolenia pomruki.

— Musimy starannie ułożyć nasze plany, bo jest tylko jedno przejście dla ludzi, którym można wejść i wrócić. Skarb wyruszy drogą, którą my nie będziemy mogli podążać.

Zsunął się z konia i podszedł do ognia.

— Co z wielbłędami?

— Auda i ludzie pustyni jeszcze nie wrócili, ale spodziewam się ich po zmroku — zakomunikował Osman.

— Tak — doniósł Ubo — jest o dzień jazdy stąd wieś zwana Telmak. Trzy razy do roku odbywa się tam wielki targ wielbłędów. Teraz się zaczął. Auda i inni powiedzieli, że będzie dużo łatwiej wykraść pokaźne stadko z jednej trzody, niż podkradać dwie, trzy sztuki z wielu wiosek i karawan.

— Muszą mieć rację — przyznał Ubo — bo ci ludzie są naprawdę doświadczonymi złodziejami wielbłędów.

— Świetnie — odezwał się Conan — poczynię pewne przygotowania, a potem wszyscy zgromadzicie się tutaj i uważnie mnie wysłuchacie.

Przez następną godzinę Cymmeryjczyk zbierał patyki, kamienie, liście i inne przedmioty, układając je na ziemi w nieokreślone wzory. Bandyci przypatrywali mu się przez chwilę ze zdziwieniem, po czym oddali się próżnowaniu, snuciu opowieści i hazardowi.

Późnym popołudniem przybył Auda z dwoma pustynnymi jeźdźcami, ich konie były zmęczone, a mężczyźni podnieceni wydarzeniami. — Dziewięćdziesiąt trzy sztuki z najlepszej trzody — ogłosił Auda witając swych kompanów — czekają na nas w kryjówce.

— Gdzie jest Junis? — zapytał Conan.

— Pastuch był trochę zbyt gorliwy i ugodził w udo Junisa lancą. W rezultacie mamy kogoś przy źródle do pilnowania wielbłądów. Prawdopodobnie będzie żył, o ile nie dojdzie do nagłego pogorszenia.

— Mamy jednego człowieka mniej na naszą wyprawę.

— Jeden człowiek nie jest wart tyle, co dziewięćdziesiąt trzy wielbłądy — zauważył Ubo.

— Przypuszczam, że nie... teraz zbóje zbliżcie się do mnie, ty również, Volvolicusie.

Cała grupa zgromadziła się wokół dziwnych przedmiotów, które Conan ułożył na ziemi.

— Widzicie przed sobą miasto Shahpur.

— Skurczyło się od czasu, gdy byłem tam ostatnim razem — skomentował Iranistańczyk.

Conan zbył go milczeniem.

— Te patyki to mury miasta, gałązki winorośli zarysowują główne ulice i place. Duże kamienie są głównymi budowlami, a małe pomniejszymi budynkami. — Wskazywał sztyletem nazywane przez siebie punkty. — Te czarne kamyki to miejsca, w których skupieni zostali strażnicy.

— Czym jest ten kawałek końskiego łajna? — zapytał Auda.

— To jest Torgut Chan — zakpił Osman — nie poznajesz go? — Pozostali ryknęli śmiechem. Conan był zadowolony, że jego ludzie byli w tak znakomitych nastrojach. W tego typu wyprawach pogoda ducha była równie ważna, jak podczas wojskowej operacji. On sam nie czuł się jednak tak optymistycznie. Świątynia i słowa czarownika przygnębiły go. Gdyby nie płomienna żądza zemsty, pewnie porzuciłby ten projekt. Otrząsnął się jednak z ponurego nastroju i zaczął przedstawiać swój plan.

— Tutaj jest główna brama. — Jego sztylet wskazywał wyrwę między patykami. —

Pojutrze, kiedy ludzie będą hulać i gapić się na festyn, wjedziecie rano pojedynczo, lub w małych grupach przez bramę. Będziecie się zachowywać, jak zwykli mieszczanie lub

wieśniacy. Ci, którzy noszą ślady swoich przestępstw, muszą je zakryć.

— Ale ja jestem z nich dumny Conanie — rzekł Korajańczyk zwany Mamosem. Był to

człowiek wyjątkowo zdegenerowany nawet jak na to towarzystwo. Czoło jego zdobił zawity

wzór identyfikujący go jako mordercę swoich rodziców. Blizna pozostała po linie okręconej wokół szyi dowodziła, że był jednym z tych szczęściarzy, którym udało się przeżyć własną egzekucję. Zwykł mawiać, iż nigdy nie został złapany za swoje poważne zbrodnie.

— Przełknij próżność i załóż chustę Mamos — poradził Conan — to tylko na parę godzin.

Złotem, które zdobędziesz potem, będziesz mógł pokryć wszystkie swoje blizny.

— Do rzeczy, psy — powiedział Osman — nasz przywódca powie nam, jak stać się

bogatym człowiekiem. Mów dalej Conanie — jego oczy rozpały się chciwym blaskiem, a usta wykrzywiły w grymasie.

— Rano, gdy brama zostanie otwarta, Volvolicus wejdzie do miasta. Tuż przed

południem, kiedy tłum jest największy, przekroczy próg świątyni. Ma ona tylko jedno

wejście, pozbawione drzwi i zamykane przez opuszczaną bramę, taką jak w zamku. Wasza

grupa musi dopilnować, by brama pozostała cały czas otwarta. Nie byliśmy w stanie

podpatrzeć uruchamiającego mechanizmu, ale znam sposób, by nad nim zapanować. To

zabierze nam najwięcej czasu, więc dzisiaj w nocy i jutro musimy przeprowadzić próbę

operacji, aż każdy z nas nauczy się swej roli na pamięć.

Przez resztę dnia poddawał ich ćwiczeniom. Mężczyźni burczeli pod nosem i oburzali się,

że nie zostali bandytami po to, by pracować na utrzymanie. Ich narzekania były jednak

dobroduszne, gdyż perspektywa nieprzeliczalnego bogactwa sprawiła, że nawet oni nabrali

chęci do tymczasowej pracy. Conan rozbił ich na grupy, każda miała swoją własną naczelną misję do spełnienia: niektórzy mieli strzec wejścia do świątyni, inni odpierać ataki

strażników, jeszcze inni nie dopuścić do tego, by zatrzęsnięto za nimi bramę miejską.

Strategia została opracowana i wielokrotnie testowana. Każde zadanie, które zależne było tylko od przypadku, napotykało bezwzględny sprzeciw Conana.

— Na białe uda Isztar! — krzyknął Mamos, ocierając naznaczone nacięciami czoło. —

Dlaczego musimy harować, jak chłopci lub niewolnicy, kiedy wystarczyłoby, aby ten czarownik — wskazał ręką w stronę Volvolicusa — załatwił sprawę mamrocząc swoje zaklęcia.

— Gdyby mógł to zrobić — uciął Conan — po co mielibyśmy być mu potrzebni?

— Nie myślałem o tym — przyznał Korajańczyk.

— Zostaw lepiej myślenie tym, którzy są do niego zdolni — zakpił Osman.

Chwilę później niski mężczyzna podszedł do Conana i powiedział przyciszonym głosem:

— Kapitanie, co właściwie powstrzymuje czarownika przed tym, żeby ukraść wszystko złoto?

— Powiedział, że nie dba o bogactwo.

Osman położył dłoń na plecach Conana.

— Przyjacielu, słyszałem już te słowa od wielu osób. Mówili o tym często kapłani lub filozofowie, utrzymując, iż rzeczy mające dla nich wartość nie pochodzą z tego świata — przerwał na chwilę. — Conanie, przykro mi to mówić, ale oni wszyscy kłamali.

— Dobrze zdaję sobie z tego sprawę — powiedział Conan. — Nauczony przez przykre doświadczenia wiem, że jasne, szczerze słowa często maskują nieuczciwe intencje. A niczemu nie, można mniej ufać, niż zapewnieniom pełnym pobożności.

— Ach! Mówisz jak cywilizowany człowiek — skomentował Osman.

— W tym wypadku jednak nie mamy wielkiego wyboru. Nie damy rady przenieść skarbu bez jego pomocy, więc z konieczności musimy mu ufać. Zresztą — dodał — dla mnie skarb jest rzeczą drugorzędną. Chcę zniszczyć Torgut Chana i jego psa Sagobala.

— Teraz ci ufam — zapewnił go Osman — zemsta jest bardziej godnym zaufania motywem, niż bezinteresowne służenie sprawom nie z tego świata. Wiem, że osiągniesz

satysfakcję, nawet jeśli nie zdobędziesz żadnych łupów, ale... — rozejrzał się wkoło — co z tymi łajdakami? Jeśli udadzą się do kryjówki i odkryją, że czarownik wziął skarb do swojego domu, wtedy, hm... — wzruszył ramionami i uśmiechnął się smutno — nie chciałbym być w skórze człowieka, z którego wyciągną zeznania.

— A ty, czy byłbyś między tymi, którzy wyciągaliby zeznania? — zapytał Conan niskim, złowróżbnym głosem.

— Przyjacielu, sam rozważ sytuację, mógłbym solennie zapewniać o dozgonnej dla ciebie lojalności i o wierze w twoją całkowitą niewinność, lecz jaki byłby z tego pożytek, że zamiast jednego, dwóch z nas piekłoby się na wolnym ogniu?

— Jesteś na swój sposób uczciwym człowiekiem. Nie czuję, żeby Volvolicus chciał nas zdradzić. Ale musimy być przygotowani na najgorsze. Mam nowe zadanie dla ciebie. W dniu akcji, gdy reszta będzie ubezpieczać świątynię i bramę, udasz się do stajni Sagobala i ukradniesz cztery najpiękniejsze konie. Stajnie są tuż obok świątyni, a konie najlepsze w prowincji. W trakcie ucieczki każdy z nas pojedzie na jednym koniu, a drugiego poprowadzi. Nie oszczędzaj wierzchowca, póki nie dojedziemy do naszej kryjówki.

— I jeśli złota tam nie będzie, pojedziemy dalej, czy tak Conanie?

— Najszybciej jak się da. Dosiadając koni tej klasy, łatwo im uciekniemy.

Osman westchnął gwałtownie.

— A więc to tak, w marzeniach cieszyłem się już swoim bogactwem, a teraz czynię plany, by stać się uciekinierem bez grosza.

Conan klepnął go w plecy.

— Marzenia są bogactwem każdego człowieka, przyjacielu! Nie będziesz biedny, nawet w takiej sytuacji. Zostaniesz właścicielem choćby jednego, znakomitego konia, i zachowasz swoje życie, a to całkiem niezłe, jak na kogoś, kto miał być skazany na śmierć.

Tej nocy Conan rozmyślał nad swoimi planami. Nadeszła Lajla i usiadła obok niego. Tak był pochłonięty myślami o dniu jutrzejszym, że niemal zapomniał o jej istnieniu.

— Jak na barbarzyńcę, wydajesz się być wykształconym człowiekiem — zaczęła bez żadnego wstępu — chciałabym ci powiedzieć o pewnych sprawach, których mój ojciec nie wyjaśnił twoim zbirom.

— W czym rzecz?

— Jeden z twoich podwładnych morderców uważa, że praca wielkiego magika polega na mamrotaniu zaklęć. A tak naprawdę jest ona delikatnym i precyzyjnym zadaniem.

Volvolicus zajmując się tym, opadnie prawie ze wszystkich sił. Będzie wtedy potrzebował doskonałego konia, który zdoła go unieść. Nie może bowiem lewitować razem ze skarbem. Będę musiała jechać tuż przy nim, żeby go ubezpieczać przed upadkiem, pilnować, aby nie zjechał z drogi.

— Ty — powiedział Conan — nie zamierzasz chyba wziąć udziału w akcji razem z nami.

— Dlaczego nie? Przez cały czas ojciec będzie potrzebował mego wsparcia. Zapewniam cię, potrafię walczyć i jeździć konno lepiej niż większość mężczyzn. Czy masz konie?

— Postaram się o konie, które będą stały przygotowane do ucieczki — powiedział, wiedząc, że było to ryzykowne i w wypadku zdrady szansę jego staną się znikome. Ale mag również był zależny od celnych strzałów Cymmeryjczyka.

— A co z wierzchowcem Volvolicusa, to przecież doskonały koń?

— Nie będzie wystarczająco dobry, jeśli Sagobał mocniej na nas natrze. Wiadomo, że on i jego ludzie dosiadają najlepszych koni w prowincji.

— Planuję sprawić im niespodziankę — powiedział Conan.

— Z tego, co wiem, plany zazwyczaj się nie sprawdzają. Znajdź dla nas dwa dobre konie wyścigowe. — Podniosła się i odeszła ponętnie kołysząc biodrami.

— Cromie! — wymamrotał do siebie — kim ja jestem, przywódcą bandy czy handlarzem koni?

Kiedy Cymmeryczyk przekraczał wielką bramę miasta, dał się słyszeć głośny stukot końskich kopyt. Strzegący jej strażnicy przepuścili ich bez żadnej kontroli. Budynki stłoczone wzdłuż murów miejskich były prawie tak samo opustoszałe, jak obozowisko namiotów. Wszyscy mieszkańcy zgrupowali się na publicznym placu, gdzie jeszcze tego popołudnia miał odbywać się festyn. Jego punktem kulminacyjnym była masowa egzekucja zbrodniarzy.

Osman podjechał do Conana.

— Wygląda jak miasto duchów.

— Tylko tutaj, ale nie na placu.

Teraz także Cymmeryczyk odziany był w strój żołnierza z plemienia Geraut. Z oddalenia przyglądał się przebraniu Osmana. Ten niski człowieczek przybrał postać żyjącego z datków mnicha z zakonu Bes. Owi święci żebracy ubierali się w przepaski biodrowe z wystrzępionych łachmanów, nosili długie sznury różańców o drewnianych paciorkach, a do tego dziwaczny, górujący dumnie turban z tkanego złotem materiału.

— W tym stroju wyglądasz, jak nierządnicą z Shadizaru — skomentował to Conan.

— Ale za to nie będę się rzucał w oczy. Co może być bardziej odpowiednim miejscem dla żebraka niż festyn?

— A co, jeśli zjawi się prawdziwy mnich z zakonu Bes? — spytał jadący za nim Auda.

— Nie widzę problemu. Zazwyczaj pojawia się więcej fałszywych, świętych żebraków niż tych autentycznych. Z pewnością potrafię lepiej udawać takiego oszusta, niż Conan prawdziwego żołnierza Geraut.

— Trudno prześcignąć tego człowieka w bezczelnym zuchwalstwie — stwierdził Auda.

— Skończcie już te kpiny — ostrzegł ich Conan. — Musimy teraz skupić się na naszym

zadaniu.

Zza rogu dobiegł wrzask miejskich sprzedawców, śpiew artystów, ryk tresowanych bestii i zwykły zgiełk tłumu, w którym każdy usiłował przekrzyczeć narastający hałas.

Jeźdźcy zmusili konie do powolnego stępu. Krążyli wokół placu. Zachowywali się podobnie jak inne grupy widzów pragnące ujrzeć tak ciekawe widowisko. Mijali stopnie świątyni, przed którą dwóch robotników borykało się z taczkami obładowanymi drągami, długimi na siedem stóp. Przeklinali, gdy chwiejny wehikuł niemal przewracał się.

Volvolicus i Lajla przypatrywali się wendjańskiej kobiecie, osłoniętej tylko srebrnym płaszczem. Przy dźwiękach fletu i bębna wiła się w zmysłowym tańcu. A pyton, tak gruby, jak jej kształtne uda, oplatał jej ciało.

Mijali właśnie szafot, na którym kaci przygotowywali swoje przybory, zapalali ogień, ostrzyli złowrogie narzędzia tortur oraz objaśniali przechodniom arkana swojego rzemiosła. Przy końcu szafotu stała olbrzymia drewniana klatka, w której około pięćdziesięciu nieszczęsnych skazańców, w skrajnej niedoli, oczekiwało swego losu. Szydzący tłum obrzucał ich odpadkami. Wejście do klatki zatarasowano ciężkimi żerdziami spoczywającymi wewnątrz uchwytów. Strażnicy wyposażeni w miecze, piki i topory strzegli pilnie wejścia.

Na skinienie Conana, Osman zawrócił swego wierzchowca i wolno pojechał w stronę budynków stajni. Okrążenie placu zajęło im niemal pół godziny, tłum był już bardzo zbity, a wolna przestrzeń tworzyła się tylko tam, gdzie kuglarze przedstawiali swe sztuczki.

— Conanie — zaszeptał Auda — to mi się nie podoba. Ciżba jest stłoczona, niczym daktyle w skórzanej torbie. Wydostać się stąd będzie równie trudno, jak przedrzeć się przez głęboki piach.

— Nie sądzę — odparł Conan — kiedy pędzi się na koniu, krzyczy i wymachuje bronią, nawet w takim tłoku ludzie rozstępują się jak dym. To działa jak magiczne zaklęcie!

— Mam nadzieję, że się nie mylisz!

Tuż przy schodach do świątyni zsiadli z koni i przywiązali je do kamiennych figur.

Człowiek pustyni o imieniu Izmil pozostał z tyłu, mając pieczę nad końmi. Jego ręka niedbale dotykała łuku, który był przytwierdzony do siodła.

Conan i Auda przechadzali się z wolna po stopniach świątyni, nie patrząc ku niej, tak jakby chcieli z wysoka obserwować, co dzieje się w tłumie. Na schodach siedzieli ludzie, niektórzy z rozłożonym przed sobą posiłkiem. Zajmowali wygodne miejsce, z którego będą oglądać zbliżającą się egzekucję.

Tuż przed południem kapłan stanął przy wejściu i zaprosił do obejrzenia świątyni. Był to mężczyzna o dziwnej, guzowatej skórze. Tylko niewielu przybyszy okazało zainteresowanie.

Znaleźli się wśród nich Volvolicus i Lajla. Conan i Auda podążyli za nimi.

Gdy zwiedzający weszli do środka, dwóch robotników nie zauważonych przez tłum urwało sprzeczkę i dźwignęło parę ciężkich żerdzi na ramiona. Wdrapali się na stopnie świątyni. Nikt z tłumu nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

Na szczycie dachów stykających się ze świątynią, również niezauważeni przez nikogo na dole, tkwili mężczyźni pilnie baczący na plac. Uzbrojeni w łuki, trzymali się blisko dachu, aby nie być widoczni powyżej balustrady. Czekali wzdłuż krawędzi dachów, ze strzałami przytkniętymi do cięciw łuków.

Conan przeszedł przez zakratowaną bramę podobną do ogromnej szczęki, w chwili, gdy zaczęła się opuszczać na dół. Kiedy tylko wszedł do świątyni, dwaj robotnicy stanęli po bokach bramy, zupełnie jakby zlecono im wykonanie szczególnego zadania, po czym zaklinowali drągami przejście z obu stron. Krata zatrzymała się w momencie zetknięcia z żerdziami, chociaż mechaniczny stukot z góry było słychać jeszcze przez kilka sekund.

Kapłan o porowatej skórze odwrócił się nagle, zauważając, że odgłos się zmienił.

— Czy coś jest nie w porządku? Czyżby brama była uszkodzona? Nie możemy kontynuować, jeśli...

Nagle zauważył dwóch mężczyzn stojących przy żerdziach.

— Kim jesteście? Nie zarządzaliśmy żadnych prac przy bramie!

Conan jedną ręką opuścił swoją zasłonę na twarz, a drugą sięgnął po miecz.

— Nie będziesz wydawał żadnych rozkazów przez najbliższy czas, kapłanie — stwierdził.

— Wręcz przeciwnie, musisz teraz posłuchać moich rozkazów. Wszyscy słuchajcie uważnie!

Musimy załatwić w krypcie pewną sprawę i nie powinniście nam w tym przeszkadzać.

Zróbcie, co powiem, a nikogo nawet nie drasnę. Interesuje nas złoto, a nie rozlewanie krwi. Spróbujcie tylko nam się sprzeciwić, a zetniemy wam głowy! A teraz, wszyscy do krypty!

Garstka zwiedzających wlepiła w niego wzrok. Jedna z kobiet wrzasnęła z przerażenia.

Mężczyzna, prawdopodobnie mąż, zatkał jej dłonią usta i pchnął w stronę schodów.

Uśmiechał się do Conana, prosił o przebaczenie za brak ogłady jego towarzyszki.

— Tak lepiej — powiedział Conan, wykonując znaczący gest obnażonym mieczem.

— Wszyscy na dół, szybko — spojrzał w kierunku bramy, a dwaj stojący tam mężczyźni dali mu umówiony znak. Jak dotąd nie zostali zauważeni.

— Klątwa Ahrimana dosięgnie was za to, zbójce! — krzyknął kapłan pędząc w dół po schodach. Ostrze miecza Conana ukłuło go w kręgosłup.

— Niczego nie odbieram twojemu bogu, kapłanie — powiedział Conan. — Przychodzę po skarb Torgut Chana. A twoją świątynię zostawię taką, jaką ją zastałem.

— Wielkiego Ahrimana nie da się tak łatwo udobruchać — ostrzegł kapłan.

— Milczeć — wrzasnął Conan.

Po chwili znaleźli się w krypcie. Nie oświetlały jej pochodnie przytwierdzone do ścian, lecz raczej ogień płonący w czarach, umieszczonych wysoko na trójnogach. Ściany były zupełnie niewidoczne i zaniepokoiło to Conana w jakiś mglisty, bliżej nieokreślony sposób.

Otrząsnął się jednak zaraz z tego nastroju. Sytuacja wymagała pełnej koncentracji.

W samym środku komnaty leżała sterta skrzyń i toreb z grubej skóry. Volvolicus już się nimi zajął. Mamrotał dziwne sylaby swym jeszcze dziwniejszym głosem. Rozsypywał proszek i uderzał w skrzynie różdżką z kryształu i kości słoniowej, a Lajla przygotowywała jego przyrządy.

— O, Mitro! — zawołał Auda — mam nadzieję, że nasze dziewięćdziesiąt trzy wielbłądy dadzą radę to wszystko przenieść!

— Te trudności są do pokonania — stwierdził Conan.

— Nawet sobie nie wyobrażasz, co będziesz musiał znieść za tę zniewagę! — zasyczał kapłan.

— Ostrzegam cię po raz ostatni, kapłanie: milczeć! — Conan skierował swój miecz w stronę szeregu patrzących. — Cofnijcie się pod ścianę i zostańcie tam, aż do chwili, gdy my będziemy już daleko, inaczej pożałujecie. Ty też kapłanie!

— Nie! — krzyknął mnich. — Nie możesz tego zrobić! To jest... — Conan przyłożył płaską klingę do jego głowy, a tamten poczuł się, jak byk przeznaczony na ofiarę.

— Zaciągnijcie go do tyłu — rozkazał Conan patrzącym z boku ludziom. — Jeśli wam życie miłe, nie odzywajcie się ani słowem! — Ludzie usłuchali go pośpiesznie. Schwycili kapłana za szaty i odciągnęli do tyłu, tak daleko, aż wszystkich ich skrył mrok rozprzestrzeniający się poza kręgiem światła.

Głos Volvolicusa nabierał głębi i wtedy dał się słyszeć jakiś hałas — skrzypienie, szuranie.

Cymmeryjczyk poczuł, jak włosy jeżą mu się na karku, gdy ogromny ciężar skrzyń i toreb wypełnionych metalem, trzęsąc, unosił się w górę. W ciągu paru minut poszybował ponad metr nad powierzchnię i płynął w powietrzu wbrew wszelkiemu prawu. Z wolna skrzynie i torby ułożone w spiczasty czworobok zaczęły przesuwać się, jak stłoczona ławica ryb.

Conanowi przypominało to stygijski obelisk. Odwrócił się gwałtownie na dźwięk, który rozległ się w otaczających ciemnościach. Kobieta znowu zaczęła lamentować, a zabrzmiało to teraz jak straszny złorzeczący skrzek. Krzyk mężczyzny zdawał się dobiegać z wielkiej odległości.

— Co się tam dzieje? — zapytał Conan.

Jego stalowe nerwy po czarodziejskich sztuczkach maga były napięte do ostatnich granic.

— Conan! Lepiej chodź tu szybko!

Odwrócił się ponownie, aby zobaczyć jednego ze strażników pilnujących bramy. Oczy mężczyzny rozszerzyły się na widok olbrzymiej ilości skrzyń sunących w jego stronę, ale zaraz oprzytomniał i zwrócił się do swego wodza.

— Co to ma znaczyć? — spytał Cymmeryjczyk.

— Chodź! Chodź szybko!

Conan wycedził przekleństwo, ale wbiegł na górę po schodach w ślad za bandytą. Biegli przez świątynię. Zwolnili zbliżając się do bramy. Stał tam drugi mężczyzna. Skinął w stronę Conana, a potem wskazał:

— Tam, wodzu!

Conan spojrział we wskazanym przez niego kierunku. Przez chwilę nic nie dostrzegął.

Później pojawił się odbłysek słonecznego światła, który zamigotał w spiczastym hełmie, na balustradzie pobliskiego dachu, w odległości około czterdziestu kroków.

— I tam! — powiedział mężczyzna, wskazując przed siebie. Na innym dachu Conan zobaczył górny brzeg łuku przechodzący między dwoma dużymi, zdobionymi ornamentem urnami, pełnymi kolorowych kwiatów.

— A niech to Set! — warknął — Sagobał nas zwietrył. To jest zasadzka! — Jak to się mogło stać? Czy zostali zdradzeni? Ktoś ich wywiódł w pole? Nie miało to już znaczenia.

Conan z Cymmerii nie był jedynym, który bezskutecznie zadawał te pytania. Zostali odkryci. Teraz tylko walcząc mogli utorować sobie drogę. Odgłos kroków za plecami kazał mu się odwrócić.

— Wszystko gotowe, wodzu! — zameldował Auda.

Tuż za nim byli Volvolicus i Lajla.

— Mamy małą zmianę planów — oświadczył Conan.

Lajla spojrzała na niego z ironicznym uśmiechem.

— A co ci mówiłam na temat planów?

— Cicho, córko! — powiedział Volvolicus. — Co się stało?

— Na pobliskich dachach są łucznicy. Czy twoje zaklęcia zadziałały?

Magik wskazał na coś za swoimi plecami. Powoli, majestatycznie wyłaniał się z zejścia do krypty ogromny kształt unoszącego się skarbu. Na ten widok Conan otrząsnął się z

oszołomienia.

— Mielśmy stąd wyjść, dosiąść konie i odjechać, korzystając z paniki, która ogarnie tłum, gdy skarb wypłynie ze świątyni. Tyle jeśli chodzi o plany. Zamiast tego pozwolimy, aby

skarb ukazał się pierwszy. Wyjdziemy pod jego osłoną i ociekniemy korzystając z zamieszania.

— Jechać przez tłum, który wpadł w popłoch, to ryzykowne wodzu — powiedział Auda.

— Lepsze to, niż nadziać się na tuzin włóczni zaraz po wyjściu na zewnątrz — zauważył Conan. — Łucznikom nie będzie łatwo trafić do celu w całym tym zamieszaniu.

— Miejmy nadzieję, że pozostałym naszym ludziom przytrafiło się coś lepszego niż nam — powiedziała Lajla.

— To dobrzy ludzie — przyznał Conan. — Lepiej martwmy się teraz o to, jak ratować własną skórę i miejmy zaufanie, że tamci wypełnią swoje zadania.

— Co to takiego? — wykrzyknął Auda.

Ponad placem wyrósł nagle słup białego dymu.

Wkrótce płomienie wzniosły się ku niebu. Zauważyli to ludzie znajdujący się na placu.

Głęboki, niespokojny pomruk przebiegł przez tłum.

Na dachu paru zaciekawionych łuczników powstało. Inni ściągnęli ich z powrotem w dół.

— Nie wiem — powiedział Conan — ale możemy z tego skorzystać. — Spojrzał wstecz i

zobaczył, że skarb uformowany w obelisk znalazł się nad nimi.

— Schylcie się i przygotujcie do ucieczki. — Przyłgnęli do podłogi, a dziwny obelisk przepłynął przez bramę i bezgłośnie poszybował ponad ich głowami. Conan zacisnął zęby ze strachu przed tak wielkim ciężarem zawieszonym nad ich głowami.

— Jazda! — krzyknął Conan. Ruszyli w ślad za skarbem, a kiedy ten zaczął się wznosić, umknęli spod niego i popędzili w dół schodów. Ku ich zdumieniu Lajla podniecona sytuacją śmiała się. Strzały uderzały o stopnie tuż przy nich. Wiele z nich utkwіło w skrzyniach ze skarbem. Łucznicy, porażeni tym płynącym niezwykłym obiektem coraz częściej chybiali. Nie tylko oni byli zaszokowani tym widokiem. Ktoś w tłumie krzyknął. Ludzi przestał interesować daleki ogień. Oczy mieli utkwione w szybującym skarbie. Tłum zwrócił się nagle w ich kierunku. Rozpętało się istne pandemonium. W tłumie rozległ się głuchy krzyk i ludzie zaczęli nagle uciekać na wszystkie strony. Conan zobaczył jednego ze swoich bandytów wskakującego na rusztowanie szafotu. Zmagał się przez chwilę z żerdzią zamykającą więzienną klatkę, po czym wyrwał ją z uchwytów.

— Czmychajcie na wszystkie strony, jeśli miłe wam życie.

Jego głos przebił się w zgiełku. Chwilę później bandyta zleciał z rusztowania ze strzałą utkwioną w plecach. Skazańcy z wściekłym, triumfalnym wyciem ruszyli szturmem z

klatki. Jeden z nich pochwycił topór kata i wywijał nim na prawo i lewo, z krzykiem szaleńczej radości rozrąbując głowy swych oprawców.

Łucznicy Conana, rozmieszczeni w różnych punktach wokół placu, strzelali do ludzi z dachu. Cymmeryjczyk zdążył spostrzec dwa upadki trafionych żołnierzy, gdy żółty turban mignął mu w tłumie.

Osman ściągnął cugle przed świątynią. Trzymał na wodzy cztery wspaniałe konie.

— Wsiadaj wodzu — krzyknął Osman — robi się wesoło. Strzała o włos minęła jego turban, przebijając uciekającego mieszkańca. Conan ocenił, że połowa strzał mierzonych w niego i w

jego ludzi chybiła, trafiając w przypadkowych świadków. Panika w tłumie stała się jeszcze większa, gdy przerażonym masom wydało się, że oprócz pożaru nastąpił atak nieprzyjaciela.

Ludzie ginęli nie tylko od strzał, ale tratowali się wzajemnie.

Conan wskoczył na konia w chwili, gdy strzała utkwiała w oparciu siodła i zadrżała z jadowitym brzękiem. Dwóch gwardzistów podbiegło do Conana, każdy ze swej strony usiłował chwycić za jego wodze. Conan zakreślił mieczem ósemkę, odcinając każdemu z nich rękę. Lajla pomagała ojcu wspinać się na siodło, gdy gwardzista chwycił ją w pasie i uniósł w górę. Ale Auda dosiadłszy konia, ciął gwardzistę w plecy krótkim, zakrzywionym mieczem. Ten krzyknął, wygiął się i puścił Lajlę. Parę sekund później siedziała już w siodle.

— Jazda! — wrzasnął Cymmeryjczyk, rozglądając się na wszystkie strony za Sagobalem.

Wtedy zobaczył mężczyznę stojącego na dachu i kierującego łucznikami. Wskazywał na Conana, który zrobił błyskawiczny unik, kryjąc się pod dryfującą nad ziemią skrzynią. Pół tuzina strzał ugrzęzło w drzewie, lub zastukało o bruk. Olbrzymia masa drewna, skóry i metalu wciąż unosiła się w górę i wkrótce już nie mogła stanowić osłony.

— Za mną — krzyknął, uchodząc w boczną uliczkę i dziękując wszelkim bogom opiekującym się złodziejami, że wpadł na pomysł, by ukraść konie Sagobala. Były to wspaniałe zwierzęta, przyzwyczajone do wojennego hałasu i zapachu krwi. Zwykle wierzchowce stawałyby teraz dęba i wierzgały, nie dając się opanować. Ścigany przez strzały, niczym przez istny rój os, Conan wy dostał się z placu, wjeżdżając między dwa szeregi budynków. Obejrzał się, aby zobaczyć, ilu spośród jego kompanów podążyło za nim. Złocisty turban Osmana błyszczał w słonecznym świetle. Mógł też zobaczyć Lajlę, usiłującą utrzymać ojca w wyprostowanej pozycji. Auda zdjął swój łuk i szybko posyłał strzały za siebie. Straszliwym pędem wdarli się na mały dziedziniec wewnątrz głównej bramy miejskiej. A tam natrafili na potyczkę. Garstka bandytów walczyła z przeważającą

liczebnie załogą strażników. Bandyty z determinacją bronili otwartej bramy, podczas gdy strażnicy, niemniej zajadle, chcieli ją zamknąć. Złoczyńcy walczyli z wściekłością przypartych do muru szczurów.

Conan wjechał z tyłu w tłum walczących strażników. Ciął w ich hełmy i opancerzone plecy. Wkrótce Osman i Auda dołączyli do niego. Zadali nieprzyjacielowi wiele potężnych ciosów. Udało im się w końcu poskromić opór strażników, którzy zaczęli szukać bezpiecznej kryjówki.

— Zwycięstwo — ogłosił Conan pozostałym przy życiu bandytom. Wyczerpanym mężczyznom udało się wykrzesać z siebie pełen wigoru okrzyk radości. Wódz bandy ciesząc się, wjechał z łoskotem kopyt na drogę wjazdową. Mieczem o skrwawionym ostrzu zakreślał wielkie, srebrno-czerwone kręgi ponad głową. Reszta podążyła za nim.

Sagobal z wściekłością obserwował chaos na placu. Panujący nieład i leżące ciała zabitych sprawiały wrażenie, jakby doszło do jakiejś katastrofy. Wielu zostało trafionych strzałami, które chybiały celów, wielu stratowano. Krzyki rannych wznosiły się w gorącym powietrzu, a zawodzenia wciąż przerażonych ludzi dochodziły ze wszystkich kierunków. Stragany były poprzewracane, a towary rozrzucone po całym placu. Tresowane zwierzęta oszołomione wrzawą biegały swobodnie.

Dowódca gwardii wolnym krokiem wstępował na schody, obejmując wzrokiem spustoszenie. Uśmiechnął się przebiegle z zadowoleniem. Ale spoważniał, gdy zobaczył na placu tęgą postać ryczącą, jak kastrowany wół.

— Sagobal! — krzyczał Torgut Chan — Sagobal, co się stało? Mój festyn stał się katastrofą! Pełno ognia, śladów walki i jeszcze słyszę jakieś szalone opowieści o skrzyniach wzbijających się w niebo niczym jastrząb. Co to wszystko ma znaczyć? Jeżeli chcesz zachować swoją głowę, natychmiast wyjaśnij mi to!

Otyły namiestnik sapiąc i świszcząc wgramolił się na schody. Jego twarz była purpurowa od gniewu i wina. Oczy miał czerwone tak jak policzki. Pogroził Sagobalowi.

— Powiniennem cię wsadzić do moich lochów! Skazać na szafot. — Wskazał na rusztowanie, na którym leżały tylko ciała katów i dręczycieli, ofiary wścieklej agresji więźniów. Dłoń namiestnika drżała z gniewu. — Wszyscy więźniowie uciekli. Połowa mojego miasta wydaje się być w płomieniach. Odpowiedz mi psie, jak do tego doszło?

— Wszystko szło zgodnie z planem, Ekscelencjo — wyjaśniał Sagobal — bandyci, zwabieni skarbem, liczną grupą przybyli do miasta. Moi ludzie stali na czatach i ci zbrodniarze byli całkiem nieświadomi, że każdy ich krok był śledzony. Nie próbowali jednak uciec z pewną częścią skarbu dającą się wywieźć konno. Dlatego wynajęli czarownika, który przeniósł skarb w powietrze, jakby na latającym dywanie, znanym ze starożytnych legend. Nie sposób było przewidzieć, że sięgną po czary.

Torgut Chan zbladł.

— Skarb wzbił się w powietrze? Masz na myśli to, że te brednie o latających skrzyniach i workach były prawdziwe? Bandyci sprawili, że skarb stąd wyfrunął?

— Tak jest, Ekscelencjo!

— Jak... jak dużo?

— Właśnie szedłem do świątyni, żeby to sprawdzić. Wyglądało, że unieśli cały skarb.

— Wszystko? Ukradli cały mój skarb?

— Nie, Ekscelencjo! — skorygował go Sagobal — skradzione złoto należało do króla.

— I będę martwy, jeśli go nie odzyskasz! Głupcze! Wyprowadzony z równowagi Torgut

Chan spoliczkował dowódcę gwardii. Uderzenie rozeszło się echem nad całym placem.

Twarz Sagobala naznaczona szkarłatnym piętnem odcisniętych palców, stała się blada jak

u trupa. Jego źrenice ściemniały, a nienawiść zapłonęła na twarzy. Torgut Chan zdał sobie sprawę, że być może posunął się za daleko, prowokując tak niebezpiecznego człowieka.

Wskazał palcem na opancerzoną pierś Sagobala.

— Znajdź skarb, Sagobal. Sprowadź skarb, Sagobal. I przyprowadź tych wszystkich

bandytów, aby ponieśli śmierć na moim szafocie. — Obrócił się gwałtownie i odszedł

majestatycznym krokiem, podtrzymując rąbek swojej szaty. — Muszę kierować gaszeniem pożaru!

Twarz Sagobala wykrzywiła się z nienawiści, gniewu i pogardy.

— Jakby cię obchodziło, ty tchórzliwa świni, czy twoje miasto spłonęło — mrucał pod nosem, żując wąsa. — Uciekaj poza zasięg mego miecza Torgut Chanie. Zapłacisz mi za ten policzek, zapłacisz z nawiązką! — Dojrzał mężczyznę przecinającego plac. Poruszał się z buńczuczną swobodą zabijaki.

— Wesoły dzień, kapitanie!

— Tak, było nawet więcej zniszczeń, niż oczekiwałem — przyznał Sagobal, uśmierzając swoją wściekłość.

— Widzę, że twój zwierzchnik dopiekl ci nie tylko słowami, he? — powiedział Berytus, szczerząc zęby w uśmiechu. — Zostawił pięciopalczasty znak na twoim policzku.

— Wyrównam rachunki z Torgut Chanem, nie obawiaj się. Straciłem jednak wielu ludzi i parę koni, a stajnie stanęły w płomieniach.

— Twoi ludzie są o klasę gorsi od moich — rzekł Berytus. — Chyba podobał ci się spektakl, który przygotowaliśmy, czyż nie?

— Tak, twoi łucznicy są doskonali. A teraz dostaniesz nowe zadanie. Musisz wytropić tych zbirów.

— To właśnie robimy najlepiej — Berytus spojrzał w górę schodów z wyrazem niesmaku na twarzy. Sagobal odwrócił się i zobaczył trzy postacie w rdzawych szatach schodzące ku nim. Mieli odpychające oblicza wykrzywione wściekłością. — Oto przed nami grupa piękności o dziewczęcych twarzach — skomentował Akwilończyk.

— Sagobal, to ty jesteś osobiście odpowiedzialny za tę zniewagę — syknął Tragthan.

— Dlaczego kapłanie? — rzekł Sagobal. — To banda plądrujących rabusiów dokonała tej masakry.

— Co nas obchodzą zarznięci mieszczenie? — rzucił szyderczo człowiek zwany Shosq'iem.

— Ci nikczemnicy sprofanowali święte miejsce Ahrimana! Szczyciłeś się tym, że wielki

skarb umieszczony został w świątyni. I tym ich zwabiłeś. Zamiast sprawować swoją służbę i tropić bandytów na wzgórzach, mogłeś z łatwością ich schwytać.

Sagobal splunął na schodek pomiędzy nogi kapłana.

— To dla ciebie i twojego cuchnącego boga! Ostrzegam cię kapłanie — nie prowokuj mnie!

— Tu chodzi o coś więcej niż światowe bogactwa i bezwartościową krew! — krzyknął Nikas z purpurową twarzą. — Ci wyjęci spod prawa łajdacy sprowadzili czarownika do świętej krypty! Zapędzili swoich jeńców razem z kapłanem Umosem pod ściany. Pod ściany, kapitanie! — oczy mężczyzny pałały świętym oburzeniem.

— I co z tego kapłanie? — spytał Sagobal.

— To więcej niż zwykłe świętokradztwo, ty skończony głupku!

Nikas wrzeszczał, zaciskając palce na ramieniu Sagobala w najwyższej wściekłości.

Sagobal warknął. Błysnęła klinga miecza o rękojeści z kości słoniowej, po czym błyskawicznym cięciem ciało kapłana zostało rozłupane od ramienia aż po pas. Martwy kadłub runął między Tragthana i Shosqą, którzy stali w głuchym milczeniu.

— Twój przyjaciel źle zrobił, kładąc na mnie łapy! — rzekł Sagobal do Tragthana. Miał tyle ciała, co meduzy z wybrzeży Vilayet. Zabierzcie tę pozbawioną kości padlinę z powrotem do waszej świątyni.

— Czy mam zabić tych pozostałych, wodzu? — spytał Berytus. — Nie wezmę od ciebie nawet żadnej opłaty za tę usługę. Nienawidzę wszystkich kapłanów.

— Nie, są ważniejsze rzeczy do zrobienia. Zbierz zaraz swoich ludzi i weź najlepsze konie, jakie znajdziesz. Musisz pójść śladami tych zbirów. Nie spuszczaj z nich oka. Nie pozwól umknąć!

Berytus zasalutował, przytykając pięść do skroni.

— Nie uciekną mi, wodzu. Żaden mi nie umknie — mówiąc to odwrócił się i wyszedł.

Sagobal majestatycznie schodził po schodach, zadowolony, że wszystko idzie zgodnie z planem. Bezcelność Torgut Chana była czymś tak drażniącym, że ledwie zdołał ją ścierpieć. Już wkrótce to się skończy. Zdjął chustę z głowy nieżywej kobiety i wyczyścił nią ostrze miecza. Zauważył, że krew, która je splamiła, nie jest czerwona, lecz ma barwę rdzawą, podobnie jak szaty kapłanów. Leniwie rzucił okiem ku górze świątyni i spostrzegł, że kapłanów i trupa już tam nie ma. Wzruszył ramionami, wsuwając z powrotem miecz.

Były pilniejsze sprawy, niż zajmowanie się głupimi mnichami i ich zagadkowym mamrotaniem.

* * *

— Wodzu — powiedział Osman głosem na tyle donośnym, aby był słyszalny wśród stukotu końskich kopyt — mówiłeś, że te doskonałe rumaki będą dla ciebie i dla mnie w razie ucieczki, a nie, żeby nieść czarownika i jego dziewczątko.

Nieduży człowieczek pozbył się już swego złocistego turbanu i różańców. Jechał teraz odziany tylko w żebraczą przepaskę, sandały i pas z bronią.

— Plany się zmieniły, Osmanie. On nie będzie teraz próbował nas oszukać, jest tak osłabiony i w zasięgu naszych rąk — mówiąc to obejrzał się, aby spojrzeć na maga, który siedział już w siodle o własnych siłach, choć trochę bezwładnie, jak ktoś bardzo znużony. Lejla zamyślona jechała tuż obok niego.

— A co z tym pożarem, który po sobie zostawiliśmy? To twoje dzieło?

Osman wyszczerzył zęby:

— Zgadza się. Byłem sam, wszyscy poszli na festyn. Konie już wybrałem, były osiodłane i przywiązane do mojej liny. Wiedziałem dobrze, że mam mało czasu do twojego wyjścia ze świątyni, chciałem więc go dobrze wykorzystać. Otworzyłem wszystkie boksy i wyciągnąłem na podwórze zwierzęta strażników. Potem podłożyłem ogień pod wielki stóg siana, przy zagrodzie wołu. Pomyślałem sobie, że to może całkowicie odwróci ich uwagę.

— Tak też się stało — zaśmiał się Conan — to była chytra myśl.

— Nie jestem tak prymitywny, jak inni twoi towarzysze — stwierdził Osman, bardzo z siebie dumny.

— Nie czas na świętowanie zwycięstwa — ostrzegł go Cymmeryjczyk.

— Ciągłe jeszcze nie jesteśmy bezpieczni. Ilu z nas pozostało?

Jechali równym kłusem przez wzgórza, trzymając się z dala od rysującego się na horyzoncie miasta. Pokonywali trudne, kamieniste ścieżki, żeby dojechać do celu jak najkrótszą drogą.

Osman spojrział w tył.

— Nasi ludzie są rozproszeni na dużej przestrzeni i nie jestem w stanie wszystkich zobaczyć. Oprócz nas obu, czarownika z dziewczyną widzę Audę i Ubo jadących łeb w łeb.

A, jest też Chamik — ten okazał się nazbyt leniwy, aby zabijać. Nikogo więcej nie widzę.

— Z pewnością nie mogą to być wszyscy — powiedział Conan. — Ale przed nami niewielki staw. Zatrzymamy się tam na pewien czas, żeby poczekać na wszystkich maruderów.

— Czy nie za wcześnie, żeby się zatrzymywać? — zapytał Osman z troską w głosie. — Pościg może być blisko.

— Złapią nas dużo szybciej, jeśli będziemy mieli zmęczone konie — przekonywał Conan.

Kwadrans później dotarli do sadzawki. Na rozkaz Conana zsiadli z koni, pozwalając im trochę się napić, sprawdzili popręgi i uprząż. Zbadali ilość rannych ludzi i zwierząt.

Wkrótce nadjechała reszta oczekiwanych bandytów. Ostatecznie okazało się, że oprócz Conana i Osmana przeżyło ośmiu.

— Na Seta, straciliśmy połowę ludzi! — rzekł Chamik, gdy stało się jasne, że nikt więcej nie przybędzie.

— Nie jest to zbyt wielka strata, jeśli wziąć pod uwagę rozmiary wynagrodzenia — stwierdził Osman, będący w doskonałym humorze. — Każdy z nas dostanie większą część

skarbu.

— To prawda — zgodził się Mamos — byłem w wielu bandach, które w wyprawach po kilka koni, lub niewielkie stado bydła zmniejszały się o połowę. Nikt z nas nie wybrał sobie tej profesji po to, żeby cieszyć się długim życiem.

— Straciliśmy w Shahpurze dobrych towarzyszy — powiedział Ubo, wylewając krew ze swojego buta. Strzała utkwiała mu w łydce, zostawiając powierzchowną, ale obficie krwawiącą ranę.

— To prawda — rzekł Izmil, człowiek pustyni. — Ale będzie nas mniej, żeby stoczyć bitwę. Sagobal przecież nas dogoni. Co się stało z twoim doskonałym planem, Conanie?

Cymmeryjczyk miał jeszcze więcej wątpliwości, ale nie chciał okazywać słabości wobec tych napastliwych szakali.

— Każdy z nas, i ci, którzy tam zginęli, żyłby z powrozem na szyi. Śmierć w walce jest szybka i czysta. To hazard, w którym stawką jest życie. Niektórzy wygrali, a inni ponieśli klęskę. Nadejdzie moment, gdy zabierzemy łup i będziemy wylewać kroplę wina na ziemię, z myślą o naszych nieżyjących przyjaciółach. A teraz dość lamentów!

Ubo skrzywił się, zakładając swój zawilgotniały but.

— Masz rację, Wodzu. Jedźmy.

Kiedy dosiedli koni, wielu miało niezadowolone miny i słychać było pomruki, ale w niespełną godzinę mężczyźni zaczęli śmiać się i żartować, snując plany o wielkiej zdobyczy.

— Twoi ludzie szybko odzyskali dobry humor, Cymmeryjczyku — rzekł Volvolicus.

— Jak dzieci — powiedziała Lajla. — Śmieją się i płaczą na przemian w czasie nie dłuższym, niż sto uderzeń serca.

— To są ludzie, którzy odcięli się od swojej przeszłości, i nie mają przyszłości — odpowiedział Cymmeryjczyk. — Dla nich liczy się tylko teraźniejszość. A teraz wizja dużej ilości złota przesłoniła im wszystko.

— Jechali pod migoczącymi gwiazdami, wśród głębokiej nocy. Większość z nich zgubiłaby

się wśród labiryntu wzgórz, wąwozów, wyschniętych strumieni, lecz Conan prowadził nieomylnie. Kiedy poranne promienie słońca wynurzyły się zza horyzontu, weszli do wąwozu prowadzącego do kryjówki. Gdy minęli sadzawkę, ludzie pomrukiwali ze szczęścia. Zobaczyli bowiem dużą stertę skrzyń. Leżały w długim i nieregularnym stosie. Osman, obdarzony bystrym umysłem, pierwszy zorientował się, że coś nie jest w porządku.

— Nie podoba mi się to, wodzu — powiedział do Conana.

— Na Croma — wymamrotał Conan w rosnącej konsternacji — gdzie są wielbłądy?

Znaleźli wiele odcisków racic i innych śladów świadczących o wcześniejszej bytności wielbłądów. Ale teraz, jak okiem sięgnąć, nie było ani jednego.

— Świeży ślad! — wykrzyknął Ambula z Puntu. Chudy, smagły człowiek, zsiadł z konia i boso pobiegł na przełaj przez kanion. Łuk i strzały miał przewieszane przez plecy. A jego rozdęte nozdrza świadczyły, że wywęszyły jakiś trop. Raptem skręcił, podniósł coś i przybiegł z powrotem do Berytusa, niosąc ledwie widoczne, cieniutkie pasemka lśniących czarnych włosów.

— Końskie włosy? — spytał Akwilończyk.

— Włosy z przyciętej grzywy — stwierdził Ambula. — To strażnicy Sagobala strzygą grzywy swoim koniom. Powąchaj. Tak pachnie maść zrobiona z kwiatów tamaryszku, ta sama, której Sagobal używa, aby nadać połysk końskiej sierści.

Berytus nic nie wyczuł w tej odrobinie włosia, którą przyniósł mu Ambula, ale wiedział, że może zaufać zmysłom zawodowego tropiciela śladów.

— Tędy — krzyknął Berytus. Ambula dosiadł ponownie konia i pojechali, kierując się w górę kanionu.

— Nie jest źle — stwierdził Urdos z Koth — przez chwilę myślałem, że ich zgubiliśmy.

— Nigdy nie gubimy tropu — stwierdził Berytus. — Ale zdaje mi się, że ten Conan jest bardzo przezorny. Wybiera najlepsze ścieżki, żeby zostawić jak najmniej śladów. Gdyby był sam i szedł pieszo, mogłoby zająć miesiące, żeby go odnaleźć w tym labiryncie. Ale podróżując konno z wieloma ludźmi nie ma możliwości, aby nie zostawić śladów. Z takimi tropicielami, jak Ambula i Bahdur nie zgubimy ich.

Berytus uśmiechnął się, gdyż uwielbiał polowania. Nawet jeśli nie liczył na wysoką zapłatę, pragnął cieszyć się ze współzawodnictwa w tropieniu i ze zmagania ze swą ofiarą. Zależnie od tego czy tropił przestraszonego, zbiegłego niewolnik, czy ścigał bandę obdartych rebeliantów, lub uciekających bandytów, odczuwał inny rodzaj przyjemności.

Najwspanialszy ze wszystkiego był ten rodzaj sportu, którym delectował się w tej chwili — upolowanie zawziętego, doświadczonego i walecznego mężczyzny, który w każdej chwili mógł sam w odwecie zastawić zasadzkę. Na razie nie spodziewał się takiej ewentualności, bo Cymmeryjczyk nie wiedział, kto go ściga. Ale jeśli Berytus i jego podwładni nie schwytałiby już w pierwszej zasadzce wielu bandytów, zaczęłaby się nowa, dużo niebezpieczniejsza gra.

Myślący Berytus wiedział, że człowiek, którego tropi, jest podobny do niego. Berytus, stojąc na dachu wznoszącym się ponad placem miejskim, nie brał udziału w walce. Oglądał Conana z bliska. Oceniał jego umiejętności, zalety i słabe strony. I nie dostrzegł żadnych oznak słabości. Pewne zastrzeżenie mogła jedynie budzić niechęć do grania roli kogoś, kto opuszcza swoich przyjaciół, aby ratować siebie. We władaniu mieczem był dla Barytusa kimś bliskim doskonałości. Najwyższą bowiem notę obserwator zarezerwował dla siebie samego. Jako dowodzący i planujący akcję, człowiek północy był znakomity. Śmiały napad prowadził inteligentnie i w dobrym stylu. Jedynie interwencja łuczników z dachu zepsuła nieco tę doskonałą akcję.

Tak, nie ma co do tego wątpliwości. Zanosilo się na jeden z najlepszych pościgów.

— Krew! — krzyknął Bandur, kiedy wyjechali z małego kanionu. Nie zatrzymując się wskazał na swoje odkrycie. A inni nie zsiadając z koni, przyglądali się ciekawie. Kilka kropli krwi błyszczało czerwienią na powierzchni liści pustynnej rośliny, wysokiej na dwie stopy.

— Podczas jazdy spadły stopy jeźdźca — powiedział Barca Shemita okrążając ślad. — Prawdopodobnie miał zranioną nogę. To nie jest poważna rana, bo już wcześniej widzielibyśmy więcej krwi.

— Tak. Było wielu zabitych, ale wśród uciekających niewielu rannych — zauważył Berytus. — Tak chciał los.

Do chwili zapadnięcia zmroku, wiedzieli, że są tylko kilka godzin w tyle za ściganymi.

Wszystkie środki ostrożności, jakie mógł podjąć Cymmeryjczyk, zawodziły, bo końskie łajno wskazywało dokładnie czas przejazdu złodziei.

— Czy powinniśmy polować przy świetle pochodni? — zapytał Berytusa Urdos.

— Nie. Oni nie są zbiegłymi niewolnikami. Ten bystrooki banita dostrzeże choćby jedną pochodnię z odległości niemal dwóch kilometrów i zastawi na nas pułapkę zanim wzejdzie słońce. Będziemy tu obozować, a wyruszymy o świcie. Bez obaw, jutro ich złapiemy.

Rozsiodłali konie. Wyczesali je zgrzebłami i ustawili w szeregu. Potem, nie rozpalając ognia, popili jedzenie wodą, owinęli się w koce i zasnęli. Będąc na tropie, nie rozpieszczali się zbyt. Stawali się podobni do dzikich zwierząt. Tak jak one polowali, żeby przetrwać.

* * *

— Gdzie one są? — krzyknął Mamos. Wyciągnął brudny palec w stronę Conana. — Ty! Ty powiedziałeś, że wielbłądy mają tu być? Dlaczego ich nie ma?

Conan chwycił lewą ręką za pochwę i uwalniając miecz, pociągnął za rękojęść.

— Wiesz przecież, gdzie byłem w ciągu ostatnich dni, Mamos. Jeśli sądzisz, że to ja was zdradziłem, to jesteś w równym stopniu głupi, co brzydki.

— One tu były! — upierał się Auda. — Możecie wszyscy zobaczyć ślady i nawóz, które po nich zostały. Ale gdzie jest Junis, którego zostawiliśmy, żeby pilnował zwierząt i leczył swoją nogę?

— Przynajmniej to jest jasne — stwierdził Ubo. — Spójrzcie — podniósł rękę i wskazał na sępy krążące nad miejscem oddalonym o kilkaset kroków.

— Mężczyźni przebiegli pędem kanion i aby odnaleźć Junisa wiszącego na karłowatym drzewie, musieli rozpędzać gromadzące się sępy. Ciało porąbane na wiele kawałków zwisało z gałęzi.

— Znaleźli go! — lamentował Auda — te przeklęte, pełzające pastuchy. Śledzili swoje wielbłądy całą drogę i zabrali je z powrotem! Zaszlachtowali Junisa i powiesili go tutaj jako

ostrzeżenie!

— To musiały być demony w ludzkiej skórze — stwierdziła ironicznie Lajla. — Kto mógłby pomyśleć, że ludzie są zdolni do czegoś takiego? — Odwróciła głowę od ludzkich szczątków wiszących na drzewie. Potworny widok i odór przyprawiły Lajlę o mdłości.

— Nie drwij z nas, kobieto — ostrzegł ją Chamik. — To nasz towarzysz tutaj wisi!

— Wy, łajdacy dbacie o siebie nie bardziej, niż stado wilków — powiedziała. Napadacie na słabszego z bezwzględnością dzikiej bestii, więc dajmy spokój gadaniu o waszym biednym, podzielonym na części przyjacielu. Wielbłądy zniknęły. Co zrobić z tak dużym skarbem? — To jest nasz główny problem!

Te słowa, wypowiedziane przez kobietę z zimną krwią, przywróciły do rzeczywistości zbójów.

— To prawda, dziewczyna ma rację. — stwierdził Ubo — Co teraz zrobimy?

— Wielki Volvolicusie — powiedział Osman — czy nie mógłbyś pomóc nam w przeniesieniu złota, za pomocą sztuk magicznych? Przyciągnąłeś je tutaj dzięki swej potędze. Z pewnością potrafisz przetransportować skrzynie raz jeszcze.

— Obawiam się, że nie — odrzekł mag. — Poruszenie tego ciężaru na taką odległość zupełnie mnie wyczerpało. A oprócz tego, zaklęcie nie będzie działało, aż do ponownego powrotu fazy księżyca.

— Księżyca?! — wrzasnął Mamos, jakby ten pomysł uraził go. — A co ma z tym wspólnego księżyc?

— Bardzo dużo — powiedział czarownik — mógłbym ci wiele wyjaśnić na temat subtelnych sił. O tym, jak one oddziałują na krystaliczną strukturę kamienia i metalu, ale i tak byś nie zrozumiał.

— Pewnie masz rację — rzekł Mamos, wyciągając swój sztylet i przeciągając kciukiem po jego ostrej jak brzytwa krawędzi. — Mógłbym sobie pomyśleć, że recytujesz czarnoksięskie bzdury, żeby ukryć swe prawdziwe plany!

— Dość tego — powiedział Conan. — Jeżeli teraz mamy się sprzeczać, to równie dobrze możemy podarować skarb Torgut Chanowi. Zdobyliśmy największy łup, jaki ktokolwiek z nas dotąd widział, czy to nie wspaniałe?

Wszyscy zgodzili się z tą uwagą.

— A zatem — ciągnął dalej Cymmeryjczyk — musimy po prostu znaleźć jakiś sposób, żeby zabrać skarb gdzieś dalej, tak, abyśmy wszyscy wraz z naszym bogactwem znaleźli się poza zasięgiem Torgut Chana i Sagobala.

— Czy nie dałoby się znów ukraść wielbłądy? — spytał Osman.

— Nie — powiedział Auda. — Każdy człowiek w tej prowincji, który posiada choćby jednego wielbłąda, będzie go teraz strzegł jak oka w głowie. Czasy będą ciężkie dla złodziei wielbłądów przez długie miesiące!

— Co więcej — podkreślił Conan — strażnicy Sagobala przeszukują okolicę. Wkrótce zatrzymają się w wiosce, z której zabraliśmy wielbłądy i nie będzie im potrzebna wielka inteligencja, aby się domyślić, kto potrzebował tylu zwierząt i uprowadził je w niewiadome miejsce. Pasterze mogliby przywieść ich tutaj. Nie będziemy zwlekać.

— Mówisz, że musimy zostawić większą część skarbów? — ryknął Chamik. — Odjechać z taką tylko ilością złota, jaką może zabrać człowiek na koniu? Rozkroję trzewia zanim to zrobię!

Brzuchaty Koryntianin położył rękę na rękojęści, a pozostali zrobili to samo. Osman i Auda przysunęli się bliżej Conana. Lajla roześmiała się dźwięcznie.

— Warczące psy bijące się nad zdechłym koniem! Żaden nie potrafi zabrać stąd łupu i żaden nie może znieść widoku drugiego, który bierze swój kawałek. Nigdy nie uwierzę w bajki o wspaniałym, swobodnym życiu rozbójników. Takich głupców jeszcze nie widziałam.

— Ucisz się córko — powiedział Volvolicus zniżonym głosem. — To nie są posługacze, żeby ich strofować.

Lecz jej słowa ukłuły boleśnie niedoszłych buntowników i skłoniły ich do refleksji.

— Co mamy robić? — zapytał jednooki Ubo.

— Musimy ukryć skarb gdzieś tutaj — nalegał Conan — aż do czasu, gdy będziemy mogli wrócić i zabrać go. Teraz weźmiemy tylko tyle, aby nam starczyło na całą drogę.

— Gdzie to ukryjemy? — pytał Osman, wyciągając przed siebie rękę i wskazując na nagi krajobraz.

— Niedaleko od miejsca, w którym jesteśmy, znajduje się jaskinia z rysunkami na skałach

— rzekł Auda. — Kiedyś ukrywałem się tutaj i odkryłem ją. Spałem tam przez wiele dni, a nocą schodziłem na dół po wodę. Moi wrogowie nigdy się nie zorientowali.

— Co to takiego jaskinia z rysunkami? — spytał Conan.

— Można ich dużo spotkać na pustyni — wyjaśnił Auda. — Są bardzo trudne do odnalezienia, wejścia mają bardzo małe. Znalazłem tę jaskinię, kiedy zając, którego goniłem, popędził ku niej. W środku, na ścianach są namalowane podobizny ludzi i zwierząt. Myśliwi chronili się tam. A było to dawno, dawno temu, gdyż większości tych zwierząt nie można teraz spotkać.

— Pokaż mi tę jaskinię — rzekł Conan.

Podążyli za żołnierzem w stronę jednego kanionu i kilku następnych. A wszystkie były tak podobne do siebie, że jedynie duże doświadczenie mogło uchronić człowieka od zagubienia

się wśród nich. Wspięli się na rozłupany blok skalny, który posłużył im jako prymitywny schodek. A Auda wskazał im otwór pod wiszącą skalną płytą, prawie niewidoczny już o kilka metrów dalej. Wysoki mężczyzna mógł tam wejść jedynie nisko zgarbiony.

— Mogą być w środku jadowite węże — ostrzegał Auda.

— Niech ktoś z was pójdzie po pochodnię — wydał polecenie Conan. — Nie bierzcie tylko żadnych krzaków z tego miejsca, nie ścinajcie żywych roślin. Żadnych śladów po tym, co robimy.

Po kilku minutach dwóch spośród nich wróciło, niosąc suche gałęzie złączone razem w

długie pochodnie. Osman, jako uzdolniony podpalacz, rozniecił ogień, zapalając gałązki

przy użyciu krzesiwa i stali. Conan, niosąc przed sobą pochodnię, schylił się, przeciskając swoje potężne ciało przez szczelinę skalną. Inni poszli w ślad za nim. Na samym końcu

weszli Volvolicus i Lajla.

Znaleźli się w środku, w pomieszczeniu o nieregularnym kształcie, długim na dwadzieścia

i szerokim na jakieś osiem do dziesięciu kroków. Nie było żadnych przejść, a podłogę

pokrywały tylko pozostałości po zwierzętach, które się tu schroniły: materiał na gniazda, ogryzione kości, pióra, skorupki jaj. Jeśli ludzkie istoty zapaliły tu kiedyś ogień, to było to tak dawno, iż nie pozostały nawet prochy i popioły.

— Na Seta! — zawołał z przejęciem jeden z mężczyzn podnosząc pochodnię, żeby zbadać ściany i sufit. — Co to za rodzaj stworzeń?

Chropowaty kamień pokryty był malowidłami, na których rozpoznać można było ludzi i

zwierzęta. Ludzkie postaci narysowano prosto, z kilku kresek, tak jak widzą je dzieci, ale wizerunki zwierząt były wspaniałe. Tak szczegółowe i subtelne, że artysta uchwycił nie

tylko ich wygląd, ale i ruch, i coś najbardziej istotnego dla tych stworzeń.

— To jest słoń, na Mitrę! — stwierdził bandyta — Ale wygląda, jakby miał zakręcone kły i ma długie włosy!

— Widziałem ich trochę w dalekich lasach na północy — powiedział Conan — spotkać je można rzadko, bo zostały całkiem wybite.

— A tutaj jest nosorożec — powiedział człowiek z Keshan — on także jest owłosiony.

— To żyrafy — wskazał Conan — ale plamy na ich sierści i rogi są inne od tych, które widziałem. A tamte, to żubry, albo bizona z jakiejś hodowli.

— Czy to konie? — spytał Osman, wskazując na jakieś stado — te konie wydają się być nie większe od psów, jeśli ci kreskowi ludzie polujący na nie są przedstawieni prawdziwie, czarowniku, co te rzeczy mają oznaczać?

— Po pierwsze, że świat jest bardzo stary i piękny. Wybierz się na piaszczystą pustynię i spróbuj przesiewać piasek przez palce. Szybko natrafisz na zęby rekina, gdyż ta pustynia była kiedyś dnem morskim. — Mag przechadzał się między malunkami, podziwiając je.

— Pola uprawne były niegdyś dżunglą. Miasto położone na jednostajnej równinie leży

tam, gdzie wznosiły się góry, zanim woda i wiatr sprawiły, iż skały całkowicie zwietrzały.

Zbocza gór na północnych, zlodowaciałych pustkowiach odsłaniają koralowce, które kiedyś żyły w gorących wodach tropikalnych. Wszystko się zmienia.

— Ci, którzy malowali te obrazy — wskazał na zwierzęta — domyślam się, że byli

myśliwymi, a zarazem utalentowanymi artystami. Nie tworzyli tych malowideł dla

przyjemności, lecz żeby, za sprawą magii, dopomóc sobie w polowaniach. Przyjrzyjcie się

bliżej, a zobaczycie sceny, na których strzelają z łuku do figurek zwierząt, lub dźgają je oszczepami. Mieli nadzieję na to, że rysunki sprawią, iż uda im się to samo zrobić z żywymi zwierzętami. Starali się użyć wszystkich możliwych środków, aby uchwycić istotę swej

przyszłej ofiary, oddając wiernie każdy ruch, odcień i kształt. Oprócz tego zauważcie, że siebie samych przedstawiają wyłącznie jako uproszczone postaci, nieodróżnialne jedna od

drugiej. Robili tak po to, aby sami nie stali się ofiarą swych własnych sztuczek magicznych.

Uważali, że podobizna może zawładnąć duszą tego, kogo wyobraża.

Bandyci wpatrywali się zuroczeni w dziwne, tajemnicze malowidła do czasu, gdy słowa wodza przywróciły ich z powrotem do rzeczywistości.

— Jeśli ta jaskinia mogła służyć tym ludziom, może teraz równie dobrze posłużyć i nam —

orzekł Conan. — Przeniesiemy tu skarb i zatrzemy wszystkie ślady po naszym pobycie, a

potem zakryjemy wejście, jeszcze dokładniej niż było dotąd zamaskowane. To kawał

ciężkiej roboty. Jest tu jednak dużo miejsca i skrzynie pozostaną w ukryciu tak długo, jak to będzie konieczne. No, bierzmy się za to!

Opuścili jaskinię i wrócili nad sadzawkę. Przez resztę dnia w trudzie przenosili kolejne skrzynie i torby do jaskini. Choć była to ciężka praca, nie czuli zmęczenia. Wiedzieli bowiem, że staną się posiadaczami wielkiego skarbu. Paki były tak ciężkie, że nawet dwóch mężczyzn chwiała się pod ciężarem skrzyni. Jedynie Conan udźwignął na swych krzepkich

ramionach dwa toboły. Niósł je do jaskini bez żadnego odpoczynku. Aż w końcu została już tylko jedna torba.

— Auda — rozkazał Conan — zatrzyj ślady, które po sobie zostawiliśmy.

Auda, wraz z dwoma ludźmi sporządzili szczotki z krzaków i uważnie zamietli każdy skrawek ziemi. Kiedy skończyli, Conan sprawdził efekt tych działań i starannie ułożył stos kamieni przed wejściem do jaskini. W końcu oświadczył, że jest zadowolony.

Wyczerpani mężczyźni ułożyli się w niedbałych pozach nad stawem, pijąc rozcieńczone wino i rozcierając zdrętwiałe z bólu kończyny. Cymmeryjczyk odwrócił się i podszedł do ostatniej torby. Chwycił ją i uniósł jedną ręką, pomimo że ważyła ponad pięćdziesiąt kilogramów. Tylko naprężone, nabrzmiące żyłami mięśnie świadczyły o dużym wysiłku.

Cymmeryjczyk wyciągnął sztylet i przeciągnął ostrze wzdłuż całej torby. Blask zachodzącego słońca zamigotał w kaskadzie srebrnych monet. Z gardeł bandytów wydobył się niski dźwięk, prawie jęk, wywołany tym miłym dla oka widokiem.

— Podzielimy to między siebie — powiedział Conan — a potem wyruszymy. Pościg może być blisko.

Mężczyźni zaczęli nabierać srebra w dłonie.

— Dokąd teraz pojedziemy? — zapytał człowiek z pustyni.

— Myślę, że musimy się rozdzielić — mówił Osman — każdy pojedzie w swoją stronę. W ten sposób łatwiej unikniemy pościgu. Potem, gdy sprawa ucichnie, można się tu zebrać z jucznymi zwierzętami, żeby zabrać resztę skarbu.

— Nie! — krzyknął Ubo. — Mówisz tak, ponieważ chcesz się tu zakraść i wziąć więcej niż ci się należy, ty chciwy kundlu! Według mnie wszyscy muszą trzymać się razem, póki tu nie wrócimy.

Mężczyźni mruknęli, wyrażając w ten sposób aprobatę dla jego słów.

— Dobrze. Nie będzie to zbyt bezpieczne, ale może tak najlepiej — zgodził się Conan. —

Zostaje jeszcze pytanie, gdzie się teraz udać? Torgut Chan wysłał patrole na wszystkie strony, ale najmniej ich będzie na pustyni. Myślę, że pójdziemy do granicy z Iranistanem.

Możemy się tam zacząć na pewien czas, a potem wrócić. Nie sądzę, żebyśmy musieli długo czekać. Wkrótce król dowie się o kradzieży skarbu, a wtedy spadną głowy, między innymi

Torgut Chana i Sagobala. Powinno się to wydarzyć w ciągu miesiąca, a wówczas wrócimy z Iranistanu po nasze złoto. Czy to wam odpowiada łotry? — ogarnął ich wszystkich swym lwim wzrokiem. Jedni przyjęli jego słowa z rezygnacją, inni z niezadowoleniem, ale nie było sprzeciwu.

— A zatem do Iranistanu — rzekł Ubo.

— Ja wracam do mojego domu — oświadczył Volvolicus — będę tam na was czekać. Nie domagam się części skarbu, aż do czasu, gdy dokonacie podziału.

— Nie! Pójdiesz razem z nami — sprzeciwił się Chamik. — Na razie jesteś jednym z nas, czarowniku. Wiesz, gdzie ukryliśmy skarb, dlaczego mielibyśmy ci ufać bardziej niż któremuś z nas?

— Uważaj bandyto! — powiedział wyniośle mag. — Dotąd mogłem grać rolę wyjętego spod prawa, lecz wciąż jestem potężnym magiem. Czyżbyś wątpił w to, że potrafię cię ukarać rzucając na ciebie zaklęcia?

Niektórzy bandyci cofnęli się, przerażeni potęgą magika. Ale ci najtwardsi stali nieporuszenie.

— Rzucaj zaklęcie, jeśli chcesz, czarowniku — rzekł Mamos. — Przeżyłem gorsze rzeczy niż twoje czary. — Wskazał na bliznę po stryczku okalającą jego szyję. — Ty i dziewczyna jedziecie z nami. Dostaniesz swój udział wtedy, kiedy i my.

— Zgadza się — przyznał Ubo. — Albo wszyscy, albo żaden. I tutaj rozstrzygniemy tę sprawę. — Jeszcze raz dłonie podążyły do rękojeści, miecze były już do połowy wysunięte.

— Nie przejmuj się nimi, ojcze — rzekła Lajla — jedziemy z nimi do Iranistanu. Gdy będziemy daleko, twoje opiekuńcze zaklęcia będą chronić nasz dom. Wykorzystasz ten czas, naradzając się ze znajomymi magami z tamtego kraju.

— Kto wie? — rzekł Osman z grymasem. — Może znajdziesz w Iranistanie nową skałę zupełnie ci nieznaną!

W odpowiedzi na ten żart banda ryknęła śmiechem. Miecze znowu ze szczękiem wróciły na swoje miejsce, a dobry humor został przywrócony wszystkim. Dosiedli koni i odjechali z kanionu, uciekając drogą wychodzącą wprost na południe. Podczas jazdy podawali sobie z rąk do rąk bukłak z winem i śpiewali, lub opowiadali stare legendy. Teraz, gdy nie byli bezpośrednio w zasięgu niebezpieczeństwa, poczuli się bogaczami. Jakie znaczenie mógł mieć jeden miesiąc? Wino podawali nawet Volvolicusowi i Lajli traktując ich jak członków bandy.

— Czy zawsze tak jest z tymi ludźmi? — spytała Lajla Conana, gdy znaleźli się nieco z tyłu.

— Bunt, walka, rozbawieni kompani, wszystko razem?

— Zgadza się. Już ci mówiłem, co to za rodzaj ludzi. Brak im wprawdzie towarzyskiej

ogłady, ale gdy trzeba sięgnąć po miecz, to dobrzy, niezawodni wojownicy. Widziałaś, jak walczyli w Shahpurze. Każdy z nich spełnił swoje zadanie, chociaż mógł stracić życie. Tylko w przerwach między naszymi akcjami muszę na nich uważać.

— Zawsze żyłeś wśród takich ludzi? — spytała.

— Niezupełnie. Ale w wielu miejscach znałem ich jako piratów, kozaków, najemnych żołnierzy — banitów różnej maści. Oni wszyscy są do siebie podobni.

— Więc nie jesteś wyjętym spod prawa banitą, lecz zawodowym łowcą przygód?

— Racja. Jestem włóczęgą i nigdy długo nie umiałem wysiedzieć na jednym miejscu. Stale muszę być w akcji, szukać nowych terenów. Dla mnie wszystkie widoki, nawet najpiękniejsze potrafią obrzydnąć. Wtedy wyruszam na poszukiwanie czegoś nowego.

— Człowiek, który by żył zupełnie poza prawem, musi sobie stworzyć swoje własne prawa

— powiedziała zamyślona. Obok niej uspiiony czarownik kiwał się w siodle. Trzymała jego wodze w prawej dłoni.

— Taki człowiek musi być silny i szybki.. Inaczej długo nie pożyje. — Odwrócił się, zapatrzony w kierunku północnego zachodu, tak jakby jego niebieskie oczy mogły przeniknąć tysiące mil i całe minione wieki.

— Mój naród, Cymmeryjczycy, to lud, którym rządzą klany i tradycja — zawsze tak było.

Byłem już prawie dorosłym mężczyzną, wędrowałem, gdy usłyszałem o prawie i sędziach, o sądach, o przysięgłych i więzieniach. Te wszystkie rzeczy wydały mi się ogromnie głupie.

Przekraczałem prawo i dlatego wbrew swojej woli byłem gościem wielu sędziów.

Cymmeryjczyk uśmiechnął się ponuro.

— Z czasem zrozumiałem, dlaczego życie przeciętnych ludzi wymaga prawa. Bo tylko wtedy mieszkańcy miast mogą wykonywać swój zawód i w spokoju cieszyć się egzystencją.

Ale zawsze drażniły mnie przepisy. Do wściekłości doprowadza mnie głupota tyranów, takich jak Torgut Chan, i jego służących, podobnych do hien — jak Sagobal.

— Ale teraz odpłaciłeś im obu? — zapytała.

— To się jeszcze okaże. Można jedynie powiedzieć, że zadanie zostało dobrze rozpoczęte.

Po dwóch dniach ciężkiej jazdy dotarli nad rzekę Ilbers. Turan domagał się ziem na

północ od tej rzeki, a Iranistan żądał obszarów południowych. Żaden jednak z tych krajów nie utrzymywał wojska w odległości kilku dni drogi, po obu stronach rzeki. Od czasu, gdy podzielono wszystkie ziemie, żądania owe były prawną fikcją. Żaden król nie domagał się

praw do obszarów pozbawionych sił zbrojnych i fortów. Drobnii panowie z terenów

granicznych zwykle uznawali tego, czy innego króla za swego suwerena, choć mogły minąć

pokolenia, zanim zażąda się od nich wypełnienia feudalnej służby. Tereny nadgraniczne

nie były prowincjami, z których płacono się podatki. Natomiast stały się niebem dla zbójów, konnych band i rebeliantów.

— Czarowniku! — krzyknął Osman, zjeżdżając na swym wierzchowcu w dół łagodnego brzegu ku wolno płynącej rzece. — Czy potrafisz rozdzielić wodę w rzece tak, żebyśmy mogli ją przekroczyć suchą stopą?

Volvolicus w dużej mierze otrząsnął się już ze znużenia.

— Wodzie w stanie płynnym brak krystalicznej struktury. Jeśli zamrozisz ją zmieniając w lód, mogę to dla ciebie zrobić.

Bandydzi zaśmiali się z uznaniem dla jego ciętej uwagi.

— Byłaby to zbrodnia wymierzona przeciw bogom, odmówić wam szansy kąpieli —

powiedziała Lajla.

Mężczyźni roześmiali się jeszcze głośniej.

— Do wody hultaje! — zawołał Conan, galopując w dół do strumienia wśród wielkich

bryzgów wody podnoszących się spod końskich kopyt. Wydając radosne okrzyki i ciesząc

się pozostali poszli w ślad za nim. Rzeka nie była głęboka tak, że konie musiały płynąć tylko przez krótki odcinek drogi. Na przeciwległym brzegu jeźdźcy wyzęli ubrania i osuszyli

broń.

— Chciałeś zobaczyć Iranistan, wodzu — powiedział Osman, oliwiąc ostrze swego

sztyletu. — Oto jesteśmy. Co o tym myślisz?

— Nie różni się zbytnio od Turanu — stwierdził Conan, przyglądając się monotonnemu

krajobrazowi w kolorze zielono-brązowym.

Obszar położony wzdłuż rzeki był okryty zielenią, która jednak już kilkaset kroków dalej przechodziła w jałową ziemię. Niskie wzgórza dookoła osłaniała tylko brązowa trawa,

wśród której tu i ówdzie widać było stadko owiec i pasące się kozy. Wskazywało na to, że ziemia ta nie była całkiem nie zamieszкана. Obszary nadgraniczne tworzyły wąski, zielony pas upraw pomiędzy pobliskimi pustyniami, zdolna do utrzymania przy życiu jedynie

rozproszonych pasterzy oraz wsi, w których żyli rolnicy. Mieszkańcami tych ziem byli

głównie chłopci, posługujący się dialektem turańskim, mocno wymieszany z dialektem

Iranistanu. Byli to niscy ludzie o niezróżnicowanym wyglądzie. Pomimo panującego upału,

nosili czarne stroje, a w przebitych nozdrzach tkwiły kawałki miedzianego drutu. Conan

wiedział, że to powszechny zwyczaj wieśniaków całego świata.

— Czy są tu w pobliżu jakieś miasta? — zapytał Conan, zwracając się do całej bandy.

— Właśnie — przyznał Ubo — mamy trochę wolnego czasu i pieniądze, więc znajdziemy miejsca, gdzie spotkamy więcej atrakcji niż umorusanych chłopów.

— O dzień jazdy stąd — rzekł Auda — na południowy wschód od rzeki jest miasto-oaza o

nazwie Zielona Woda. Leży w miejscu przecinania się szlaków kilku karawan. Nie jest duże, ale ma wspaniałą bazar i dużo tawern.

— To dobry cel naszej podróży — stwierdził Conan. — Miasto, które utrzymuje się z dostarczania rozrywek podróżnym, jest właśnie tym, czego szukamy. Prowadź nas, Auda. Pod przewodnictwem człowieka pustyni cała banda odjechała na południowy wschód, z ożywieniem i radością na samą myśl, że wreszcie zdarzy się coś podniecającego i przyjemnego.

Parę godzin później inna grupa jeźdźców dotarła do miejsca przecinania się dróg. Jako pierwsi przyjechali Hyrkańczyk i człowiek z Koth. Wkrótce dołączyli do nich inni, między innymi Akwilończyk.

— Przejeżdżali tędy, wodzu — stwierdził Urdos. — Czy jedziemy za nimi?

— Nie, jedziemy z powrotem do Shahpuru — odparł Berytus.

— Dlaczego? — Zapytał Barca Shemita. — Możemy ich złapać w ciągu jednego, lub dwóch dni.

— Tak? Co nam z tego? Nie mają ze sobą skarbu, a to dla nas jest ważne. Kończą się zapasy, a nasze wierzchowce są na wpół okulałe od forsownej jazdy. Możemy uzupełnić żywność, zmienić konie i wrócić tu w ciągu pięciu dni. Jechaliśmy tak długo, bo szliśmy po śladach. Jeśli teraz pojedziemy prosto, najkrótszą drogą, stracimy niewiele czasu. Mówiąc to, zawrócił i ruszył na północ, rzucając ponure spojrzenia w stronę, gdzie umknęła ich zdobycz, pozostali poszli w jego ślady.

* * *

W krypcie, pod ołtarzem Ahrimana, kapłani zwołali tajne zgromadzenie. Tragthan i Shosq stali nad trumną podobną do kamiennego grobu. Leżał w niej Nikas, ten o purpurowej twarzy. Był ciągle żywy, mimo że jego ciało zostało niemal przepołowione przez Sagobala. Z rozległej rany sączyła się krew zmieszana z nieznaną cieczą. Na wysokości pasa, gdzie kończyła się rana, ciało zdawało się goić.

— Jak wygląda nasza sytuacja? — zapytał Nikas ledwie poruszając wargami, głosem słabym jak u ducha.

— Niepewna i niebezpieczna — odpowiedział Tragthan. Miał twarz podobną do gada o żółtawej skórze, zniszczonej wokół oczu i wzdłuż dziwnych, prawie zanikłych warg. Oczy miały także odcień żółtawy, a źrenice podobne były do prostokątów o zaokrąglonych końcach.

— Ludzie tego świata wciąż grają w swoje gry chciwości i pożądania. Sprofanowali naszą świątynię. Przynieśli do niej ziemskie sztuczki magiczne i zakłócili delikatną równowagę naszych działań. Możliwe, że byliśmy bliscy katastrofy.

— To był poważny błąd pozwolić trzymać głupie złoto temu satrapie w świętym miejscu — syknął Shosq.

— Cóż innego mogłem zrobić? — spytał Tragthan. — Musieliśmy na to pozwolić, aby zapewnić sobie współdziałanie tej przeokropnej świni przy budowie świątyni. Nie domyślałem się, że Sagobal wykorzysta to jako przynętę dla rabusiów, którzy przybyli tu rozlewając krew, zanim zdążyliśmy wezwać naszego pana. — Rozejrzał się, a jego oczy o pożółkłych białkach zdawały się przeszywać ciemności.

— Jak daleko jest Umos? — wyszeptał Nikas.

— Między światami — powiedział Shosq — nie istnieje ani w świecie naszego pana, ani w naszym.

Tragthan i Shosq podeszli do ściany, przy której niedawno bandyci postawili swych zakładników. Była czarna i czyniła wrażenie czegoś, co wsysa w siebie wszelkie światło oraz barwy. Powierzchnia ściany pozostawała prawie gładka, ale w kilku miejscach powstały na niej wybrzuszenia. Po bardziej wnikliwym przyjrzeniu się, niektóre z nich okazywały się być łudząco podobne do ludzkich twarzy, wykrzywionych przez agonię i przerażenie.

Rozleglejsze wybrzuszenia uformowane zostały w kształt ludzkiego ciała. Na pierwszy rzut oka zdawać się mogło, że to relikwiarz przedstawiający postać człowieka, ale uważniejsze

spojrzenie ujawniało coś bardziej przerażającego. Wyglądało to tak, jakby jakiś człowiek znajdował się po drugiej stronie czarnej membrany, usiłując przebić się do rzeczywistego świata. Jego twarz była obliczem kapłana Umosa.

— Umos, czy słyszysz nas? — zawołał Tragthan.

Przez dłuższy czas nie było odpowiedzi, po czym dobiegł ich dźwięk jakby z wielkiego oddalenia.

— Słyszę cię, bracie! — dochodził głos zza ściany. — Nasz pan pożera swoje ofiary, zwykłych śmiertelników rzuconych tutaj razem ze mną. Jego głód wzrasta. Wydostańcie mnie stąd, albo znajdźcie mu innych, którzy mogliby zaspokoić jego nienasycenie.

— To niedorzeczność — stwierdził Shosq — jeszcze nie nadszedł czas. Musimy przyciągnąć naszego pana bliżej do jego ołtarza, zanim nasyci się duszami swych ofiar.

Staje się mocniejszy i wkrótce nabierze wszechmocy. A stanie się to, gdy nastąpi właściwe ustawienie planet i gwiazd niezbędne, aby rytuał i rzucone zaklęcia obudziły w nim jego własną samoświadomość — kapłan wypowiadał te słowa w szybkim tempie, jakby przepełniony nagłym strachem, po czym odwrócił się od Tragthana, patrząc z przerażeniem w oczach.

— Tragthan — mogliśmy ściągnąć do tego świata coś zarazem bezmyślnego i wszechmocnego!

— A co w tym złego, jeśli tak się stanie? — zapytał kapłan o gadzim wyglądzie.

— Co masz na myśli? — spytał Shosq.

— Czy jesteśmy dziećmi, aby postrzegać naszego boga jako miłującego ojca? Wielki Ahriman jest panem destrukcji, niszczycielem światów. Nawet w godnym pogardy kulcie Ormazda uznaje się, że Ahriman musi dopełnić swego aktu zniszczenia, aby Ormazd mógł dobrotliwie odbudować swój świat. My zaś wiemy, że destrukcja kończy wszystko.

Destrukcja jest chwałą Ahrimana.

— Ale to jest niezgodne z odwiecznym procesem! — zaprotestował Shosq.

— Działanie magii tego czarownika przyciągnęło uwagę naszego boga tak, jak magnes

przyciąga opiłki żelaza. Zmusił śmiertelników, aby oparli się o ścianę. Wówczas stali się ofiarami. Tym razem... — głos kapłana zadrżał — tym razem i my możemy być zniszczeni!

— Jeśli taka jego wola, niech i w tym będzie chwała Ahrimana — powiedział Tragthan —
niech tak się stanie!

Bandyeci wspięli się na szczyty niskich wzgórz i podążali wzdłuż polnej drogi, w kierunku miasteczka położonego wśród sadów. Miejsce to otoczone było na w pół zrujnowanymi

murami, pozostałością z czasów dawnej świetności. Miasto to miało kiedyś duże znaczenie... dawno temu. Obecnie stanowiło miłe miejsce postoju dla podróżnych.

W cieniu drzew odpoczywały przed dalszą podróżą wielbłądy, konie, muły i woły.

Przywiązane tu przez swoich właścicieli, mogły korzystać z wody. Ludzie w tym czasie załatwiali w mieście interesy, lub oddawali się rozrywkom.

W podróży bandyci śpiewali czując, że nadchodzą dla nich wspaniałe czasy. Ale głosy więzły im w gardle, kiedy zdali sobie sprawę, że coś w wyprawie zaczyna się psuć.

— Co jest? — spytał Osman, wskazując przed siebie — to nie karawana.

Zatrzymało ich ogrodzenie z lin rozciągniętych na tyczkach, w którym znajdowała się ponad setka koni. Kilku mężczyzn pilnowało zwierząt, słońce odbijało się od ich wypolerowanych hełmów, grotów włóczni i okrągłych tarcz.

— Patrol wojskowy, na Seta! — zaklął Ubo — czyżby Sagobal dostał się tutaj przed nami?

— Nawet stąd widzę, że mężczyźni ci nie noszą jego barw — powiedział Conan — nie są to również barwy Turańczyków. Prawdopodobnie może to być patrol wojsk armii Iranistanu.

— Cholernie silny patrol — powiedział Chamik.

— To jest prawe skrzydło jazdy. A spójrzcie tam...! Z drugiej strony miasta nadciągnęła ława jeźdźców z łopoczącymi chorągwiami i skryła się za murami.

— Musi być taki sam obóz po drugiej stronie — rzekła Lajla.

— To miejsce jest zajęte przez wojsko. Co teraz zrobimy, wodzu? — spytał Osman.

— Czy ktoś z was jest poszukiwany na tych ziemiach? — zapytał Conan.

Mężczyźni spojrzeli po sobie, wzruszając ramionami i rozkładając ręce.

— Wygląda na to, że nie czeka nas tu żaden stryczek Conanie — rzekł Ubo.

— W takim razie ruszamy jak niewinne owieczki, którymi jesteśmy. Nie możemy udawać kupców, ale jeśli ktoś zapyta, powiemy, że jesteśmy najemnikami szukającymi pracy, a ja jestem waszym kapitanem.

— Jakiego rodzaju najemnikami? — dociekał Osman.

— Nieregularna jazda — odrzekł Conan.

— Uwierzą ci — powiedziała Lajla — trudno o bardziej nieregularną jazdę, niż ta chmara.

— Skoro jesteśmy najemnikami — stwierdził Ubo — kim w takim razie jest ona? — machnął głową w kierunku Lajli.

Conan wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

— No cóż, jest moją kochanką. Dowódcom na to się pozwala.

Mężczyźni śmiali się i krzyczeli radośnie, jadąc w kierunku miasta.

— Zagram tę rolę przy ludziach, ale nie prywatnie, Cymmeryjczyku — oznajmiła Lajla.

Pojechali nad jezioro i zsiadli z koni, aby nieco się napiły i odpoczęły. Obok w wodzie

zbudowano kamienne ogrodzenie, gdzie kobiety i młode dziewczyny, ubrane tylko w

cienkie koszule, prały bieliznę, szorując ją i płuczac w baliach, by potem rzucić ją na długie stoły i uderzać płaskimi, drewnianymi klepkami.

Kilku bandytów skierowało się wolno w kierunku ogrodzenia, ale Conan zawrócił ich.

— To są czyjeś żony i córki — powiedział — chcemy zatrzymać się tu na dłużej i nie trzeba nam kłótni z miejscowymi. W mieście będą panienki, które się wami zajmą. Chodźmy zobaczyć, co to miejsce ma do zaoferowania.

Dosiedli koni i pojechali brukowaną drogą, wzdłuż której rosły wysokie palmy. Na końcu drogi stała dumnie wspaniała kamienna brama, a mur wokoło i nad nią był zniszczony. Jak tylko przejechali bramę, usłyszeli głośnie muzykę dochodzącą z centrum miasta.

— Wspaniale — rzekł Conan — zabawa się rozwija, chodźmy się przyłączyć.

Jechali przez wąskie ulice, przyciągając tylko leniwe spojrzenia miejscowych. Obcy, nawet silnie uzbrojeni, nie byli dla nich niczym nowym, jako że miasto to żyło z podróźnych. Wszędzie, gdzie się spojrzano, byli żołnierze; mężczyźni w spiczastych, stalowych hełmach z rozszerzonymi ku dołowi ochraniaczami na kark, zrobionymi z lakierowanych kłapek, powiązanych jedwabnym sznurkiem. Mieli na sobie krótkie pancerze podobnej konstrukcji i buty obite stalowymi ćwiekami.

Poruszali się na kabłąkowatych nogach, chwiejnym krokiem jeźdźców. Nosili szaty uszyte z podbijanego jedwabiu w jasnych kolorach, a ich twarze były zapalczywe i dzikie. Większość z nich osiągnęła ten wygląd bądź przez pijaństwo, bądź w toku ciężkich wojennych doświadczeń.

— Jest ich zbyt dużo, żeby wszczynać z nimi walkę — powiedział Osman.

— Tak — przyznał Conan — jak na razie będę miał trudności, żeby przekonać moich zbirów, aby schodzili im z drogi.

Jak większość miast zbudowanych na wypalanej słońcem ziemi, Zielone Wody miały kształt nieregularnego kwadratu z nie zabudowanym placem w centrum. Mieścił się tam bazar, urząd miejski i restauracje. Było to miejsce, gdzie gromadzili się i poznawali ze sobą mieszkańcy z przyjezdnymi.

Kiedy bandyci wjechali do centrum Zielonych Wód, zobaczyli, że rynek był dużo większy niż można by się spodziewać po tak małym mieście. Na środku stała piękna fontanna, której strumień tryskał wysoko w górę, a opadając napełniał wodą dużą, okrągłą misę.

Woda spływała z niej do prostokątnego stawu, gdzie figlowały jasne, kolorowe rybki. Kilka tawern wychodzących frontem na plac miało zewnętrzne ogródki, a obok podesty, na których w takt łomoczących bębnów i piskliwych fletów występowali tancerze.

Gdziekolwiek wysokie palmy rzucały cień na kolorowe płyty, którymi wybrukowany był rynek.

— Wygląda na dobre miejsce do zamieszkania — powiedział Conan, który spodziewał się ujrzeć jedno z tych nędznych miasteczek leżących na szlaku karawan.

— Racja — przyznał Ubo — byłbym szczęśliwy, gdybym nie widział tu tylu żołnierzy.

Z północnej strony rynku Conan spostrzegł wielki budynek. Mieścił się tam jakiś urząd.

Ponad nim powiewała chorągiew króla Iranistanu, a obok na niższym drzewcu flaga

przedstawiająca figury dwóch stojących szkarłatnych lwów na czarnym tle, zwróconych do

siebie głowami. Wzdłuż frontowej ściany budynku ciągnął się portyk ocieniony kamiennym

dachem wspieranym przez rzeźbione kolumny. Można na nich było dostrzec rzeźby

poskręcane go bluszczu pomalowanego w naturalne kolory. Wokół stołu, na tarasie,

siedziało mnóstwo oficerów w srebrzystych i złotonych zbrojach.

— Znajdźmy sobie miejsce położone od nich jak najdalej — poradził Osman.

— To samo przyszło mi na myśl — odrzekł Conan. Objechali niemal cały rynek, zanim

znaleźli tawernę położoną jak najdalej od kwatery oficerów. Zsiedli z koni i usiedli przy długim stole. Conan zamówił jedzenie i wino dla wszystkich. Na podeście obok tańczyło

kilka kobiet, wirując między powiewającymi welonami. Ubrane w obszerne, jasne suknie,

miały na rękach brzęczące bransolety. Welony i chusty osłaniały ciemne twarze i czarne

oczy, a błyszczące kolczyki w nosach połączone były cienkimi, złotymi łańcuszkami z

wyszukanymi kolczykami w uszach.

— Te kobiety mają na sobie zbyt wiele, żeby dobrze tańczyć — zaczął psioczyć jeden z bandytów.

— Przedstawienie bardziej w twoim guście znajdziesz w niektórych domach w zaułkach — powiedział Conan.

— Właśnie — rzekł Auda — niedaleko stąd przed kilkoma domami widziałem kapliczki do boga nierządnic.

— Może najpierw odwiedzisz łaźnię — podsunęła Lajla — są pewne rzeczy, na które nie

powinny być narażone nawet najbardziej upadłe kobiety.

— Racja — przyznał jednooki Ubo, kręcąc końce swoich wąsów — muszę również znaleźć fryzjera, aby pomógł mi przywrócić moją naturalną piękność.

— To już chyba ponad siły najlepszych specjalistów — stwierdził Chamik — może twój czarodziej mógłby pomóc.

— Tak, oślepiając wszystkich, w przeciwnym razie mogłoby się nie udać.

Zebrani przy stole ryknęli śmiechem. Conan miał ważniejsze sprawy na głowie. Przechylił się, aby porozmawiać z zamożnie wyglądającym mężczyzną, siedzącym wśród kompanów przy sąsiednim stole.

— Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, jesteśmy podróżnymi i dopiero przybyliśmy do tego miasta. Czy jesteś jego mieszkańcem?

— Tak — odparł mężczyzna. — Nazywam się Ushor, rodowity mieszkaniec, a to są członkowie mojego cechu — wskazał na pozostałych przy stole zamożnych mężczyzn, którzy grzecznie skłonili głowy.

— Więc mógłbyś mi powiedzieć, kim są ci wszyscy żołnierze? Czy toczy się jakaś wojna z sąsiednim państwem?

— Ach, to są żołnierze jazdy generała Katchki, dowódcy Armii Północnej. Są tu, aby nas bronić przed rebeliantami, którzy ostatnio zapragnęli zagarnąć te ziemie.

— A czy potrzebujecie ochrony przed tymi rebeliantami? — spytał Conan.

— Oczywiście! Nie możemy tolerować ich buntu, a my wszyscy tutaj jesteśmy lojalnymi poddanymi króla — rzekł głośno Ushor, po czym wszyscy przy jego stole uśmiechnęli się cynicznie.

— Rozumiem — zapewnił go Conan.

— Co to znaczy? — spytała Lajla, kiedy dostarczono im dzbany z winem i jedzenie.

— Może to oznaczać, że mamy szczęście — rzekł Conan — skoro ten generał ściga rebeliantów, będzie mało zainteresowany kilkoma przyjezdnymi. Z punktu widzenia króla, garstka niezadowolonych miejscowych jest większym zagrożeniem, niż cała obca armia. Te oddziały prawdopodobnie przywracają królewską władzę w miejscach, gdzie dawno o niej zapomniano i nie ma wątpliwości, że ich generał zbiera nie płacone od kilku lat podatki.

— Jesteś lepiej obeznany z poczynaniami królów i generałów niż mogłabym się spodziewać — powiedziała Lajla, podnosząc do ust smakowity kawałek mięsa.

— Nie zawsze byłem bandytą — wyjaśnił — służyłem jako oficer w wielu armiach.

— Muszę zasięgnąć informacji — powiedział Volvolicus — chciałbym się dowiedzieć, czy jest tu ktoś zajmujący się moim rzemiosłem.

— Czy ty nie, hmm... — Osman zastanawiał się nad odpowiednimi słowami — ...czy ty nie wyczuwasz obecności innego czarownika?

Volvolicus spojrzał na niego kpiąco.

— Skąd bierzesz informacje o możliwościach czarnoksiężników? Oczywiście, że nie wyczuwam obecności innych. Gdybym teraz zaklinał, mógłbym przechwycić aurę innego maga, zajętego swoją pracą gdzieś w pobliżu, ale tylko wtedy.

— A więc to tak — powiedział Osman trochę zawiedziony.

— Co zrobisz, jak spotkasz innego czarownika — zapytał Conan.

— Zawsze miło pogadać z kolegą po fachu — odrzekł Volvolicus.

Conanowi wydało się to dziwne. Z doświadczenia wiedział, że czarodzieje to odludki obdarzające się wzajemną podejrzliwością i zazdrością. Skoro ten był tak bardzo towarzyski, to dlaczego mieszkał daleko na pustyni tylko ze swoją córką? Dawniej Cymmeryjczyk poprosiłby o wyjaśnienie, ale doświadczenie nauczyło go, że najlepiej jest zachować podejrzenia dla siebie, dopóki nie ma dowodów.

Skończyli posiłek w spokoju i rozpoczęło się prawdziwe pijaństwo. Kiedy podawali sobie dzban z winem, mężczyzna w oficerskim stroju stanął przy ich stole. Był wysoki, szczupły nieco subtelniejszy od złowieszczo wyglądających żołnierzy.

— Jestem kapitan Mahac — mężczyzna uklonił się nieznacznie — czy mam zaszczyt zwracać się do przywódcy tej grupy?

Język Iranistanu był podobny do turańskiego, więc Conan nie miał problemu ze zrozumieniem.

— Tak, jestem dowódcą tej bandy — odrzekł.

— Mój dowódca, słynny generał Katchka, będzie zaszczycony, mogąc gościć pana przy swoim stole.

Oficjalność słów kapitana w żadnym stopniu nie umniejszała jego nienaganych manier.

— Jestem zaszczycony — powiedział Conan, wstając i spojrzawszy na swoich ludzi — tylko bez awantur!

— Mamy szczęście, co? — mruknęła Lajla.

— Nie ma powodów do obaw — zapewnił ją Conan — to naturalne, że dowódca wojska jest podejrzliwy w stosunku do bandy uzbrojonych mężczyzn, znajdujących się na jego terytorium. Bardzo bym się zdziwił, gdyby nie wezwał mnie wcześniej, czy później.

Wygląda na to, że generał Katchka nie lubi tracić czasu.

Cymmeryjczyk podążył za kapitanem Mahac. Kiedy szli przez plac, pustylny wiatr owiał ich kropelkami z fontanny. Ktokolwiek ją tutaj umieścił, wyświadczył miastu nieocenioną przysługę. Nic dziwnego, że generał wybrał to miejsce na swoją kwaterę.

Pokonali schody i doszli do stołu, przy którym siedzieli mocno już pijani oficerowie.

Wyglądali jednak na zawodowców — nieustępliwych w walce i zawsze równie

niezawodnych i groźnych, bez względu na to czy byli pijani, czy trzeźwi. U szczytu stołu siedział mężczyzna. Na pierwszy rzut oka wydawał się gruby. W rzeczywistości jednak był

krzepki, jak beczka wina. Po prostu silnie umięśniony mężczyzna. Miał na sobie kolczugę bez rękawów, zrobioną z płaskich, połączonych pierścieni, z wyrytymi na nich ochronnymi zaklęciami.

Wskazał na krzesło obok siebie.

— Siadaj cudzoziemcze i napij się z nami — rzekł niskim, chrapliwym głosem. Conan usiadł i podniósł kielich z litego srebra.

— Pańskie zdrowie, Ekscelencjo!

Katchka podniósł kielich.

— I twoje — wypili, po czym kontynuował. — Widziałem was, jak jechaliście. Chciałem z tobą pogadać, ale wyglądaliście na zmęczonych długą jazdą. Więc pomyślałem, że dam wam najpierw odpocząć — jego oddech cuchnął jak gorzelnia, ale mówił zupełnie sensownie.

— Doceniam pańską łaskawość — powiedział Conan — w czym mogę pomóc?

Po drugiej stronie Conana siedział wysoki mężczyzna o wyostrzonych rysach twarzy, ubrany w kosztowne stroje. Zwrócił się do Conana — jestem wezyrem Akhba, pełnomocnikiem króla do spraw militarnych północnego dystryktu. Generał i ja mamy kilka pytań dotyczących pana i pańskich towarzyszy. Czy można wiedzieć, jak się pan nazywa?

— Jestem Conan z Cymmerii.

— Z Cymmerii? — powiedział Katchka — gdzie to jest?

— To państwo na dalekiej północy — powiedział wezyr — nawet dalej niż Akwilonia.

— Nigdy nie spotkałem nikogo z pańskiego kraju. Co pan robi tak daleko na południu?

— Jestem kapitanem najemników. Teraz na północy prawie nie ma wojen. Ja i moi towarzysze szukamy cichego, spokojnego miejsca, żeby wydać trochę pieniędzy i poczekać,

aż trafi się nam jakieś zajęcie.

— Nietrudno zauważyć — powiedział Katchka, że pańscy towarzysze nie są tak zdyscyplinowani, jak zawodowi żołnierze.

— To nie jest regularne wojsko — odrzekł Conan.

— Nieregularne, rozumiem — powiedział wezyr i roześmiał się, jakby usłyszał dowcip.

— O ile nie będziecie sprawiać kłopotów, możecie tutaj zostać, jak długo chcecie — powiedział Katchka — co się tyczy mieszkańców, będziecie mile widziani, dopóki starczy wam pieniędzy.

— Jestem do tego przyzwyczajony — stwierdził Conan.

— Mam nadzieję, że nie macie żadnych korszachtów z rebeliantami — zastrzegł Akhba.

— Do tej pory nawet o nich nie słyszałem — zapewnił go Conan — Dopóki nie jestem wynajęty; nie interesują mnie cudze wojny. Jak wiem z doświadczenia, rebelianci nie są tak bogaci, by zatrudniać zawodowych żołnierzy.

— To dobrze, że pan tak myśli — odrzekł Katchka, napełniając kielich Conana — jeśli nadal będzie pan tak uważał, zostaniemy przyjaciółmi.

— Kim są rebelianci — zapytał Conan — nie mogę mieć z nimi nic wspólnego, bo dopiero wczoraj przekroczyliśmy Ilbras i ujrzeliśmy miasto. Widzieliśmy tylko wieśniaków i zgorzkniałych chłopów. Ale skoro trwa tutaj wojna, chciałbym wiedzieć, kto z kim walczy.

— Bardzo słusznie — stwierdził wezyr — wiedz zatem, że Jaśnie Oświecony Xarxas IX od siedemnastu lat, dzięki łasce Mitry, zajmuje tron Phoenixu — dworski urzędnik wypowiedział te słowa doniosłym głosem, jakby to była formułka poprzedzająca królewski dekret. — Po objęciu tronu, zgodnie ze zwyczajem panującym od sześciu wieków, ustanowionym przez założyciela dynastii Djarisa Najdoskonalszego, król kazał udusić wszystkich swoich braci, aby uniknąć kłopotów i aby pokój zapanował w kraju. To mądre, ale surowe prawo. Lepiej, aby zginęło kilku książąt, niż kraj miała wyniszczać wojna

domowa.

— To zwyczaj szeroko stosowany — zauważył Conan — mimo to, nigdy przedtem nie spotkałem kraju, gdzie byłby on prawnie uznany.

— Djaris Najdoskonalszy był człowiekiem trzeźwo myślącym — powiedział wezyr — i uważał, że nie ma nic bardziej zbytecznego, niż nadmiar monarchów.

— Zgadzam się z tym — stwierdził Conan.

— Czasami jakiś księżę zostaje przeoczony — ciągnął Katchka. — Tym razem nałożnica króla ukryła fakt, że jest w ciąży. Urodziła dziecko w sekrecie i oddała na wychowanie krewnym z północy. Obecnie młodzieniec jest wystarczająco dorosły, aby dopominać się swoich praw. Rodzina ogłosiła go prawowitym następcą tronu i wszczęła rebelię.

Conan zatrzymał kielich w pół drogi.

— Syn nałożnicy? Traktujecie go poważnie?

— Być może nasze prawo różni się od waszego. Aby dziedziczyć, trzeba być synem prawowitego króla i królowej lub nałożnicy. To wszystko. Wszyscy królewscy synowie uczą się o wojnie i zarządzaniu królestwem, jakby każdy z nich, w przypadku nieuniknionej śmierci króla, miał być jedynym prawowitym następcą. Zatem — wzruszył ramionami jakby to było zupełnie oczywiste — najbardziej okrutny zwycięzca potyczki bierze wszystko i dziedziczy tron.

— Najdoskonalszy Djaris — dokończył za niego Conan.

— Właśnie — przyznał Akhba — muszę dodać, że Djaris nagradza spryt równie wysoko, jak odwagę, a zwycięzcą jest zwykle ten syn, który pierwszy położy łapę na królewskich skarbach. Trzeba wykazać sporo artyzmu w osiągnięciu tego celu.

— Lojalność żołnierzy decyduje więc o tym, kto zostanie królem — powiedział Conan. — Nie tylko wśród najemników, lojalność należy się przede wszystkim płacodawcom.

— To prawda, W każdym razie ostrzegam cię, że wkoło kręcą się rebelianci. Rebelia jest

mało ważna i wkrótce zostanie bez trudu stłumiona. Ale kraj jest rozległy, i rebelianckie psy mają wiele różnych kryjówek i fortec, po których się chowają. Ze wszystkich tych

miejsc trzeba ich wywabić, by zdusić rebelię. Nie popełniaj tego błędu i nie przyłączaj się do nich.

Conan dobrze wiedział, że nie protestuje się przeciwko przyjaźni i lojalności. Wzruszył tylko ramionami — jeśli są biedni, nie będę miał z nimi nic do czynienia..

— Bardzo dobrze — stwierdził Katchka.

Przesunął tacę z miodowymi ciasteczkami w kierunku Conana.

— Poczęstuj się, są tutejszą specjalnością.

Conan wziął jedno i nadgryzł kawałek. Pyszne. Na miodowej warstwie leżały posiekane daktyle i orzechy w cienkiej polewie z ciasta. Conan wiedział, że nie powiedziano mu wszystkiego o rebelii. Informacji chciał zasięgnąć u kogoś innego.

— Kto wie, być może sami skorzystamy z twoich usług. Coś w jego tonie nakazało

Conanowi mieć się na baczności.

— Widziałem obóz i żołnierzy jego Ekscelencji: wspaniałe konie, doskonale utrzymane, mężczyźni o jastrzębich spojrzeniach. Jaki pożytek mógłby być z mojej małej bandy mocno przerzedzonej w trakcie poprzedniej kampanii. Nawet nie znamy tych terenów.

— Co ma się stać, to się stanie — powiedział Akhba z miną człowieka cytującego stare przysłowie — może znajdziecie więcej pracy tu na południu niż pogoń za rebeliantami i być może usługi specjalistów będą potrzebne.

— Moi ludzie są szczęśliwi, mogąc wydawać u was swoje pieniądze — powiedział Conan niezadowolony z takiego obrotu sprawy.

— Niech więc się bawią. Złota nie starczy im na długo, jeśli będą wydawać je jak moi żołnierze — generał pogłaskał wąsy. — Jechała z wami piękna kobieta, z pewnością nie należy do twoich najemników.

— Jest moją kochanką. U nas kapitan, lub wyższy rangą oficer może zabrać ze sobą

kobietę na wyprawę — to mógł być podstęp, gdyż generał może teraz zażądać kobiety dla siebie.

— Jeżeli jeszcze reszta dorównuje twarzy, masz dobry gust — jego zainteresowanie wydawało się słabnąć.

Sprawiło to Conanowi ulgę.

— Kim był ten starszy mężczyzna, który jechał obok niej? Wyglądał bardziej na uczonego niż żołnierza.

Generał okazał się bardziej szorstki i nieokrzesany niż wezyr, ale równie bystry.

— To czarnoksiężnik. Nazywa się Volvolicus — Conan wiedział, że nie warto się wykręcać.

— Czarnoksiężnik — zdziwił się Akhba — jakim sposobem ktoś taki podróżuje z bandy..., chciałem powiedzieć z najemnikami?

Conan był pewien, że przejęzyczenie to było zamierzone — nasza poprzednia wyprawa wymagała jego umiejętności. Zdecydował, że zostanie z nami jeszcze trochę, zanim wróci do domu.

— Masz interesującą bandę Cymmeryjczyku — zakończył Akhba. — Bawcie się dobrze w Zielonych Wodach. Nie zapomnijcie zawiadomić, jeśli będziecie wyjeżdżać na wyprawę.

Kraj jest obecnie pod rządami wojska i nie można swobodnie podróżować. Uznając to za pożegnanie, Conan wstał — z pewnością tak zrobię. Choć pewnie więcej energii stracę, wyciągając moje moczymordy z tawern i domów publicznych i przerywając ich bijatyki.

— Popilnuj, aby nie bili się z moimi ludźmi — ostrzegł Katchka — u mnie dyscyplina jest surowa, ale kiedy moi żołnierze biją się z cywilami, zawsze idę im na rękę, dopóki nie zasztyletują jakiegoś wysoko urodzonego.

— Wbiję im to do głowy — zgodził się Conan — do widzenia moi panowie.

Cymmeryjczyk wracał przez rynek. Mijał służących wieszających pochodnie. Słońce było

już nisko i ciemność zapadała z przerażającą nagłośnością wraz z ostatnimi promieniami słońca, kryjącymi się za horyzontem. Muzyka bębenków i harf stopniowo zastępowała dźwięki fletów i bębna, a nowe tancerki były bardziej wyzywające. Kupcy zamykali swoje stragany, pakowali na noc towary, a cały rynek przekształcał się w miejsce rozrywki. Większość ludzi odwiedzających miasto przyjeżdżała wraz z pustynnymi karawanami, ale Conan dojrzał też kilku kupców z dalekich stron: smagłych handlarzy z Czarnego Królestwa, ubranych w białe szaty, ze stalowymi włóczniami u boku; małych, grubych Wendjan w jasnych turbanach. Dostrzegł nawet grupę ludzi z dalekiego Kitai, z długimi warkoczami, ubranych w szaty z kolorowego jedwabiu. Ich przywódcą był siwowłosy mężczyzna, którego dziesięciocentymetrowe paznokcie okryte były złotymi osłonami, inkrustowanymi klejnotami.

— Czy jesteście wszyscy dostatecznie trzeźwi, aby zrozumieć, co do was mówię? — spytał Conan, siadając przy stole.

— Na Seta, wodzu, dopiero udało się nam zaspokoić pragnienie — zaprotestował Ubo — daj nam czas chociaż do północy, abyśmy mogli się naprawdę urządzić.

— A więc słuchajcie uważnie. Nasze życie może zależeć od tego, jak będziemy się tu zachowywać.

Zwięźle opisał sytuację, generała Katchkę, wezyra Akhbę i rebelię na północy oraz instrukcje, które otrzymał od tych budzących respekt mężczyzn.

— Na Asurę — mruknął Korajańczyk — przecież chcieliśmy tylko spokojnego miejsca, żeby trochę się zabawić. Czy ci ludzie nie potrafią zrozumieć kolegów po fachu?

— Dlaczego chcą nas zatrudnić — spytał Osman z niepokojem w głosie.

— Tego właśnie nie wiem — przyznał Conan — ale zrobię wszystko, żebyśmy nie wchodzili z nimi w żadne układy. Z drugiej strony odmówić im byłoby samobójstwem.

Musimy się zastanowić, czy w razie zagrożenia potrafimy wydostać się za granicę i uniknąć ich pogoni.

— Tym, którzy dosiadają kradzionych koni Sagobala, mogłoby się udać, chociaż i to jest wątpliwe, skoro nie mamy dodatkowych wierzchowców na zmianę — powiedział Auda.

— A więc musimy bardzo uważać — podkreślił Conan — aby nie urazić ich w żaden sposób i jak najmniej rzucać się w oczy.

— Będziemy niewinni, jak niemowlęta, wodzu — zarzekał się Mamos.

— Pewnie — mruknęła Lajla — wylegując się i czekając, aż przyniosą wam jedzenie i wepchną do gardła.

— Słuchajcie — powiedział Conan — rzecz w tym, żeby uśmiechać się i robić dobrą minę do złej gry, nawet jeśli żołnierze byliby bezczelni.

— Będę grzeczny, choćby obrażali moją matkę — zachichotał Osman — która zaraz po moim urodzeniu znalazła najbardziej miękką i wonną kupę gnoju w całym Shangorze, aby mnie tam porzucić. Nawet gdybym słyszał, że ktoś kwestionuje jej cnotę, uśmiechnę się, ukłonię i pójdę swoją drogą.

Pozostali także zapewniali o przyzwoitym zachowaniu. Conan i tak wiedział, że nie należy im wierzyć. Jego ludzie mieli mniej samokontroli niż małe dziecko. Zdawał sobie sprawę, że będzie miał szczęście, jeśli nie straci nikogo przed wschodem słońca.

— Mam ochotę na nieco żywszą zabawę — zawołał Chamik, zrywając się na równe nogi.

— Kto idzie ze mną? — Większość wydała z siebie ochocze pomruki, wstali, żeby mu towarzyszyć. — A co z tobą, wodzu? — zwrócił się do Conana.

— Nie, ja zostanę tutaj. Jestem pod okiem generała i muszę stanąć na wysokości zadania.

Wy możecie iść. Nie wydawajcie tylko zbyt dużo pieniędzy, bo ten worek srebra może nam na cały miesiąc nie wystarczyć. Ceny w miastach leżących na szlakach karawan są zawsze wysokie.

— I co z tego? — powiedział Mamos — jak się skończy, będziemy mogli ukraść następnę.

— Nie tutaj! — warknął Conan.

Ryknęli śmiechem i poszli poszukać mniej przyzwoitych miejsc.

— Z pewnością — powiedziała Lajla zaraz po ich odejściu — nie myślisz, że generał powiedział ci wszystko o rebelii, prawda?

— Oczywiście, że nie — odparł Conan — masz mnie za głupca?

— Wstrzymałabym się na razie z osądem. Zastanawiam się tylko, jak ten królewski bękart może mieć nadzieję, że odzyska tron od kogoś, kto od siedemnastu lat sprawuje władzę.

— Może chce zawładnąć jakąś prowincją — zastanawiał się Conan — w przypadku rebelii wysoko urodzonych często tak się zdarza. Jeśli rebeliant jest zbyt młody, jego starszy opiekun chce posadzić go na marionetkowym tronie, aby móc rządzić za jego pośrednictwem.

Jesteś światowym człowiekiem, Conanie — powiedział Volvolicus — wiesz, że trzeba uważać, by nie sparzyć sobie dłoni przy tego typu sprawie.

— Gdybym miał grupę prawdziwych najemników — rozmarzył się Conan — mógłbym wybrać właściwie. W takiej sytuacji jak ta, można stać się bogatym człowiekiem. Ale musiałbym mieć przynajmniej setkę zaprawionych w bojach, dobrze uzbrojonych ludzi i tyle samo świetnych wierzchowców. A z moją bandą szakali nic nie mogę zrobić.

Volvolicus wydawał się słuchać z lekkim roztargnieniem.

— Myślę, że powinienem poszukać kogoś z mojej profesji. Cóрко, postaram się znaleźć dla nas jakiś nocleg. Czy zatrzymasz się w gospodzie, Conanie?

— Nie, miejsca dla ludzi z karawan zazwyczaj roją się od robactwa. Prześpię się w oazie obok koni. Zapowiada się, że noc będzie jasna.

— Dotrzymam towarzystwa naszemu dzielnemu kapitanowi, a potem cię odszukam —

powiedziała Lajla do swego ojca.

— Zatem do zobaczenia — rzekł Volvolicus i odszedł.

— Musi mieć dużo ufności, żeby zostawić swoją córkę z kimś takim jak ja — zauważył Conan.

— Może wierzy w twoją rycerskość — powiedziała Lajla, śmiejąc się z absurdalności tego przypuszczenia. — Conanie, wie, że jestem bezpieczna i że żaden mężczyzna nie dotknie mnie, jeśli sama tego nie będę chciała.

— A co by się stało, gdybyś tego nie chciała?

— Taki człowiek spędziłby resztę swojego życia w potwornej agonii, nie na darmo jestem córką czarnoksiężnika.

— Magia daje ci niesprawiedliwą przewagę — burknął Conan, nalewając sobie wina.

— Och, a twoje potężne mięśnie i wielka postura to niby nie? — Lajla wyciągnęła dłoń po drugi kielich dla siebie. — Powiedz mi, jak to się dzieje, że taki żołnierz jak ty żyje niczym nędzny bandyta w południowym Turanie, a raczej Iranistanie?

— Bycie żołnierzem jest zawsze niepewnym zajęciem — powiedział Conan. — Czasami

wybierasz niewłaściwie i tracisz wszystko w jednej bitwie, albo twój pracodawca nie zapłaci ci i zamiast tego zdradziecko atakuje swoich najemników tuż przed końcem bitwy.

Przeważnie jednak pokój nas rujnuje. Przez ostatnie lato, na zachodzie, władcy i ich możni poddani żyli w pokoju, lecząc rany po ostatniej wojnie. Bezrobotny żołnierz zaś, gdy nie ma miejsca, do którego mógłby wrócić, staje się bandytą. Rozglądając się więc za nową wojną, wpadłem w towarzystwo prawdziwych bandytów i zdecydowałem się pozostać z nimi przez jakiś czas.

— Jak powiedziałeś — niepewne zajęcie?

— Właśnie, ale ma to swoje dobre strony.

— Jakie?

— Pokój nie trwa wiecznie — powiedział, szczerząc zęby w uśmiechu — kiedy królowie wracają do dawnej kondycji, oznacza to, że szykują się do następnej wojny. Moje usługi

będą wtedy znowu w cieniu i to już wkrótce. Jak to się stało, że mieszkasz na pustyni tylko z ojcem?

— Pytałam cię o twoją przeszłość, więc myślę, że masz prawo pytać mnie o moją. Jestem

jedynym dzieckiem Volvolicusa, a w Turanie jest taki zwyczaj, że córka wdowca pozostaje z ojcem do czasu, gdy będzie chciała wyjść za mąż.

— Od kiedy to czarownicy zwracają uwagę na zwyczaje — prychnął Conan.

— Chyba poznałeś już trochę mego ojca. Czy wygląda na straszliwego wyznawcę czarnej magii?

— Raczej na uczonego niż na czarnoksiężnika — przyznał Conan.

— Nie oceniaj go zbyt nisko. Jest jednak prawdą, że nie lubi przywoływać złych duchów i rzucać straszliwych zaklęć, mimo że jak wszyscy magicy Wyższej Rangi, musiał je

opanować. Większość ojców wydaje swoje córki za mąż dla korzyści lub bogactwa. Mój

ojciec jednak nie potrzebuje niczego z tych rzeczy. Ja zaś nie pragnę małżeństwa. Muszę się jeszcze dużo nauczyć od ojca.

— Uczy cię na magika? — zapytał Conan z entuzjazmem.

— Uczę się od niego. Jest zbyt skrupowany tradycją, by przekazać mi wiedzę, jakiej chcę, bo w całej dotychczasowej historii było zaledwie kilka kobiet zajmujących się

czarnoksięstwem. Ale kiedy nadejdzie właściwy czas, będzie musiał mi ulec. Są ważniejsze rzeczy niż poślubienie jakiegoś awanturnika i gbura, i wychowywanie dzieciaków.

— Ale tej nocy przy stawie, w oazie twojego ojca, nie wyglądało, abyś tak bardzo nie lubiła męskiego towarzystwa.

— Nie powiedziałam, że nie lubię mężczyzn, nie mam tylko ochoty wydać się za mąż.

Stali przez chwilę, delektując się wieczornym chłodem. Zapalono pochodnie, tancerki zaczęły tańczyć w omdlewająco uwodzicielski sposób, zrzuciwszy sporą część swoich

ubrań. Tuż przed północą wjechał na rynek jeździec, przeganiając ze swej drogi

spacerujących ludzi. Zeskoczył z konia przed kwaterą główną i wbiegł po schodach,

krzycząc coś do generała Katchki. Dowódca odkrzyknął i trębacz zagrał serię ostrych,

jazgotliwych dźwięków. Oficerowie podbiegli do wierzchowców, a żołnierze wypadali z

rozlicznych domów uciech, biegnąc do bram miasta lub w stronę obozowisk, gdzie przywiązane były ich konie. Niektórzy z nich, miotając przekleństwa, naciągali ubrania. Lecz nikt się nie ociągał. Każdy z nich wiedział, że w przypadku zaniedbania służby czekałaby brutalna chłosta. Po kilku minutach plac zaroił się od krzyczących oficerów i stających dęba koni. Potem odjechali w kierunku bramy głównej z generałem Katchka na czele.

Nad miastem zaległa cisza. Wkrótce tancerze i muzykanci wrócili do swoich zajęć, a przyjezdni śmiali się i mówili głośniej. Nastrój poprawił się, jakby wszystkim spadł kamień z serca. Tylko właściciele tawern i dziwki nie wyglądali na zadowolonych, gdyż stracili okazję do zarobku.

— W życiu nie widziałam tylu pijanych na koniach — powiedziała Lajla. — To zadziwiające, że żaden z nich nie skręcił sobie karku i nikt nie został stratowany.

— Po tym można właśnie poznać prawdziwych zawodowców — stwierdził Conan. — Mogliby jechać i walczyć nawet w gorszym stanie.

— Jak myślisz, co się stało?

— Ten jeździec przyniósł wieści. Rebelianci musieli zaatakować jakieś oddziały, a reszta wyruszyła im na pomoc. — Przechylił się do tyłu i przeciągnął. — Przynajmniej mogę sobie teraz trochę odpocząć. Moi żołnierze nie pobiją się dzisiaj z żołnierzami. Jeśli będziemy mieli szczęście, nie wrócą do miasta przez kilka dni. Tyle zajmie im stłumienie rebelii.

— Myślisz, że wrócą? — zapytała.

— Z pewnością — wskazał na chorągiew powiewającą na dachu budynku i mniejszą flagę obok — to królewska flaga i proporzec generała Katchki. To jego kwatera główna i nie znajdzie w pobliżu lepszego miejsca. Na pewno wrócą.

Volvolicus stukał do drzwi z ciężkich bali ozdobionych żelaznymi okuciami. Dwupiętrowy dom stał przy wąskiej ulicy w północno–zachodniej części miasta. Podobny był do innych budynków w tej dzielnicy. Różniła go jedynie wąska wieża wznosząca się na wysokość czterech pięter. Otaczały go małe sklepiki. Sprzedawano w nich oliwę i świece. W powietrzu unosił się zapach perfum, a gdzieś z sąsiedztwa dobiegały dźwięki lutni. Po chwili starowinka wyjrzała przez wizjer w górnej części drzwi.

— Kto się dobija o tej porze?

— Jestem Volvolicus — powiedział — twój pan mnie zna. Zawołaj go, proszę. — Kobieta mruknęła coś i zasunęła wizjer. Kilka minut później masywne drzwi otworzyły się ze zgrzytem i stanął w nich mężczyzna, zapraszając czarnoksiężnika do środka.

— Volvolicus? — spytał. — Naprawdę jesteś tym, który zwołał Najwyższe Zgromadzenie?

— Tak, to ja — przyznał mag wchodząc do środka. — Pokój temu domowi i wszystkim jego mieszkańcom.

— I tobie — odpowiedział spieszenie stary mężczyzna. — Zaledwie wczoraj dowiedziałem się o tym wydarzeniu. Byłem pogrążony w głębokiej medytacji, kiedy nadeszło twoje wezwanie. Dlatego ominęło mnie pierwsze Zgromadzenie.

Volvolicus wiedział, że czarnoksiężnik ten nie należał do ścisłego grona wtajemniczonych umiejętności i dlatego nie odebrał na czas zawiadomienia o Zgromadzeniu.

— Wybacz mi moje maniery, ale nigdy nie spodziewałem się takiej znakomitości. Jestem Elma — czarnoksiężnik z Zielonych Wód.

— Kiedy zobaczyłem tę wieżę, wiedziałem, że mieszka tu ktoś mojej profesji.

— Tak, praktykuję ścieżkę gwiazd i wody. Ale ty jesteś chyba daleko od domu?

— Mieszkam o kilka dni drogi stąd — powiedział Volvolicus — sprowadzają mnie tu

pewne sprawy.

— To wielki zaszczyt dla mnie — skłonił się Elma. — Czy jesteś po kolacji Volvolicusie? W tych stronach nawet czarodzieje przestrzegali zasad gościnności.

— Tak. Wracam z karawanseraju i tam jadłem posiłek. Ale być może zostanę tu przez kilka dni. Szukam noclegu dla mnie i mojej córki.

— To będzie dla mnie zaszczyt — skłonił się Elma.

— Mam jeszcze jedną prośbę, a jest to sprawa wielkiej wagi. Tej nocy ponownie muszę zwołać Najwyższe Zgromadzenie.

— Oczywiście, możesz wykorzystać do tego celu moje skromne wyposażenie. O ile wiem, nigdy nie wysyłano sygnałów z tej części świata.

— Od tysiącleci nie było do tego tak dogodnych warunków — powiedział Volvolicus. — Jeśli się zgadzasz, to czas jest teraz na wagę złota.

— Proszę, chodź ze mną — Elma powiedział starej kobiecie, aby pilnowała domu i czekała na przyjście córki Volvolicusa, po czym obaj weszli po schodach. Wkrótce znaleźli się w ogrodzie na dachu. Pomimo pustynnej, upalnej nocy panował tam przyjemny chłód. Wiele domów miało takie ogrody. Mieszkańcy spotykali się tam po zachodzie słońca. Elma podszedł do drzwi i otworzył je kluczem przywiązany do pasa. Kręte schody wiodły na szczyt wieży. Po nich wspięli się dwaj magowie na niewielki taras, z którego widać było miasto, oazę i pustynię w oddali. Na parapecie stały przyrządy z brązu oraz, tu i ówdzie, liczne posążki z metalu, drewna lub kamienia. Na środku znajdowała się kamienna misa wypełniona czystą wodą. Była ozdobiona wyrytymi postaciami ludzi i zwierząt. Volvolicus podszedł do parapetu i obejrzał stojak z brązu podtrzymujący płaski, polerowany kryształ wielkości talerza. Okiem znawcy ocenił zarówno kryształ, jak i misternie kuty uchwyt zamontowany tak, aby można było go ustawiać pod dowolnym kątem.

— Doskonały gwiazdny kryształ — orzekł.

— I będzie nam potrzebny dzisiaj w nocy — powiedział Elma, nastawiając odpowiedni kąt. — Widzisz, Gwiazda Psa wschodzi, a wraz z nią Wielki Wędrowiec, to najmocniejsza koniunkcja.

— Zaczynajmy — rzekł Volvolicus.

Mężczyźni usiedli ze skrzyżowanymi nogami obok misy i patrzyli w wodę. Tafla odbijała gwiazdy, a kryształ skupiał światło Wielkiego Psa. W pewnym momencie przestali dostrzegać wodę. Wydawało im się, że lecą wśród gwiazd, które zmieniały swoje położenie, aby ostatecznie ustawić się w nieznane konfiguracje o dziwnych geometrycznych

kształtach. Potem ponad każdą gwiazdą pojawiły się głowy czarnoksiężników. Było ich dużo więcej niż na poprzednim Zgromadzeniu, mającym miejsce w domu Volvolicusa.

Znad tajemniczo błyszczącej gwiazdy w czarnym kolorze wysunęła się głowa Toth Amona.

On przemówił pierwszy.

— Widzę, że tym razem wzięłeś sobie do pomocy kogoś równie niewprawnego jak ty sam.

Nastały bardzo złe czasy, skoro wielkie wydarzenia zależą od tak słabych magów.

— Uważaj na to, co mówisz, Stygijczyku — rzekł chłodno Volvolicus.

— Właśnie, siedź cicho — radził Feng Yoon z Kitaju — bogowie nie kapryszą, wybierając swoich posłańców, a że uczeń sztuki tajemniczej nie zgłębił dostatecznie czarnej magii jak ty, to nie znaczy, że nie ma kwalifikacji na najlepszego wśród nas.

Po tej reprimendzie udzielonej przez wielkiego Kitajczyka Toth Amon wściekł się, ale nic już nie powiedział.

— Co się wydarzyło od ostatniego Zgromadzenia? — zapytał Kitajczyk — czy wszedłeś do świątyni Ahrimana, czy widziałeś kryptę?

— Owszem, pozwólcie, że opiszę wam wydarzenia z ostatnich kilku dni.

Używając tajemnego języka czarnoksiężników, który był bardziej komunikatywny niż zwykła mowa, opowiedział swoją historię. Wszyscy słuchali go z dużą uwagą.

— To oburzające — rzekł Nemedyczyk, gdy opowieść dobiegła końca — wielkie

kosmiczne wydarzenie przybiera formę bandyckiej przygody!

— Nawet nieśmiertelni bogowie mieli poczucie humoru — stwierdził Wendjanin.

— Ta krypta nie była zwykłą pustą przestrzenią otoczoną przez kamienie — powiedział

piktyjski mag — ona jest centrum boga i jeżeli tamci głupcy dotknęli ścian, nie tylko wydali na siebie straszliwy wyrok, lecz jeszcze rozdrażnili Ahrimana, tak jakby karmili głodnego tygrysa małymi kawałkami.

— Przywódca tej bandy musi być niezłym śmiałkiem — orzekł mag z Kush — kim on jest?

— To człowiek północy, barbarzyńca żądny przygód — powiedział Volvolicus — pokażę

wam jak wygląda. I wówczas całe Zgromadzenie ujrzało wynurzającą się powoli twarz i szerokie barki Cymmeryjczyka.

— Ten łotr!?! — krzyknął czarny mag przystrojony piórami i pokryty rytualnymi barwami

— znałem go przed laty jako pirata Amrę.

Inni też rozpoznali barbarzyńcę.

— To staje się coraz bardziej interesujące — rzekł Feng-Yoon. — Oczy i usta miał zaszyte, ale twarz rozjaśniła się w tajemniczy sposób — to jeden z tych samotników, którzy wędrują po świecie gnani przez przeznaczenie i choć sami ledwie są świadomi swej roli, mogą

pokrzyżować chełpliwe plany królów i czarowników. Taki człowiek potrafi rzucić wyzwanie bogom i przeżyć, aby móc o tym opowiadać.

— Jak Rustan Pogromca Bogów — dodał wystraszony Zingarańczyk.

— Właśnie — przytaknął Kitajczyk — był taki Ma-Tsu w królestwie cesarza Lin, dwa tysiące lat temu. Musimy tego człowieka bacznie obserwować, może być dla nas zbawczym narzędziem, ale także może nam pokrzyżować plany.

— Jaka jest wasza wola, wielcy magowie — zapytał Volvolicus.

— Musisz być blisko barbarzyńcy — poradził Kitajczyk — ale powinieneś także wrócić do tej świątyni. Kilku z nas mogłoby skierować do niej swoje kroki choćby zaraz, jednak

zabierze nam to trochę czasu. Na naszej drodze pojawiło się dużo przeszkód i myślę, że to z powodu okrutnych praktyk Ahrimana. Przybyłbym tam w ciągu jednego dnia, gdybym

mógł wezwać smoka, aby mnie zaniósł w to miejsce. Jednak po raz pierwszy od trzystu lat żaden nie posłuchał mojego wezwania.

— Skoro tak, to musimy szybko wracać — rzekł Volvolicus — banici chcą tu zostać przez miesiąc, ale wiem, że będzie inaczej.

— Bardzo dobrze — ucieszył się Feng-Yoon — inni nie mają tak ważnej roli do odegrania, ale ty musisz wrócić. Byłoby dobrze, gdyby Cymmeryjczyk poszedł z tobą. Co do reszty, to niewiele znaczący śmiertelnicy.

— Będzie jak sobie życzysz, mistrzu — zgodził się Volvolicus.

— Uda ci się — rzekł Kitajczyk — a dostąpisz zaszczytu wejścia do Wyższej Rangi, lecz jeśli przegrasz, będziesz mógł się z nami pożegnać. Być może stanie się to końcem dla nas wszystkich.

* * *

— Do Iranistanu? — rzekł Sagobal gładząc swoją brodę — to było mądre posunięcie, niezależnie od tego, czy o tym wiedzieli, czy nie. W północnej prowincji jest jakaś rebelia, a nam surowo zakazano przekraczania rzeki.

Kapitan gwardii i jego ludzie stacjonowali w pobliżu wioski na południe od Shahpuru, grasowali po okolicy pod pretekstem ścigania bandytów. Tutaj Berytus znalazł swojego pracodawcę i złożył mu raport.

— Pozostało ich nie więcej jak tuzin — rzekł Berytus.

— Nie mają jednak ze sobą skarbu?

— Z pewnością nie zabrali większej jego części. Mają jedynie zmęczone konie.

— W takim razie najważniejsze, czy znaleźli już skarb i gdzieś go ukryli, czy dopiero go szukają? Jak daleko czarownik mógłby przenieść taki ciężar?

Berytus wzruszył ramionami.

— Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie. Nie mam żadnej wiedzy na temat latających skarbów, wiem nieco więcej o ziemskich sprawach.

— Czy mag mógłby przenieść skarb do kryjówki w Iranistanie, — zastanawiał się Sagobal — stałoby się to problemem.

— Mówisz, że mag ma gdzieś tutaj dom? — zapytał Berytus.

— Owszem.

— Czy nie mógłby przenieść tam skarbu? To, że początkowo nadał mu kierunek w stronę Iranistanu, mogło być podstępem, aby zmylić pogoń. Przekroczyliby rzekę później w innym miejscu i wrócili do domu czarownika, aby podzielić się łupem.

— To brzmi sensownie — rzekł Sagobal — dam ci przewodnika. Jedź do domu Volvolicusa i przeszukaj go, a potem przyjedź, żeby zdać mi relację. Jeżeli jednak znajdziesz skarb, nie mów o tym nikomu oprócz mnie.

— Jak sobie życzysz, wodzu. Potrzebujemy nowych koni.

— Wybierz je spośród tych, które jeszcze zostały. Zamów u mojego gospodarza wszystko, czego ci trzeba. Jeśli zaś czegoś nie będzie miał — Sagobal wskazał na pobliskie budynki — weź sobie z wioski.

— A jeśli wieśniacy będą protestować? — spytał Berytus.

— Zabij każdego, kto ci się sprzeciwi. Mam ważniejsze sprawy na głowie niż kilku nędznych wieśniaków.

Dwie godziny później Berytus i jego ludzie jechali z wioski na świeżych koniach i z pełnym zaopatrzeniem. Zostawili za sobą wielu martwych wieśniaków, którzy nie chcieli oddać swojego dobytku lub bronili córek przed bandą morderców. Na czele jechał turański żołnierz, dosiadając szybkiego konia przeznaczonego do zwiadu. Podróżowali niestrudzenie przez wypalony słońcem pejzaż, zatrzymując się jedynie, by konie mogły wypocząć. Tuż przed nocą znaleźli się w pobliżu domu Volvolicusa.

— To jest miejsce, którego szukacie, mam rozkaz, aby dalej wam nie towarzyszyć — rzekł

przewodnik, wskazując na dom Volvolicusa. — Poczekam tutaj, aż wrócicie.

— Chodźmy — rzekł Berytus, kierując się w stronę domu nad stawem. Nie było dymu,

który unosiłby się nad dachem, ani śladu ludzi czy zwierząt w pobliżu. Wiedzieli, że może to być podstęp, gdyż mieli dużą wprawę w zdobywaniu kryjówek, które z pozoru nie

zdradzały żadnych oznak życia. Właśnie dlatego zachowywali ostrożność. Barca Shemita

wysunął się do przodu, z palcami wspartymi na pętlach zamiast w strzemionach, badał

grunt, rozglądając się po skałach i krzakach, gdzie mogło kryć się niebezpieczeństwo.

Wokół domu leżały suche gałązki spadłe z okolicznych krzaków. Kiedy się zbliżył, zaczęły się ruszać i drgać. A w chwilę później ułożyły się w wijące gniazdo syczących węży. Koń

spłoszył się.

— Bel i Marduk! — zaklął Shemita, gdy już zapanował nad swym wierzchowcem.

— Dom czarnoksiężnika jest chroniony przez czary — stwierdził Urdos z Koth z przerażeniem w głosie.

— Nie ma czego się bać — zaśmiał się Ambula — widzicie, pełzają jak prawdziwe węże, ale nie zostawiają śladów na piasku.

Człowiek z Puntu zsiadł i zabrał garść kamyków. Uzbrojony podszedł do gniazda i rzucał

je w gady. Kiedy trafiał stawały się niegroźnymi gałązkami. — To tylko iluzja. Mag z mojej wioski też znał tę sztuczkę.

— Ja ci wierzę — rzekł Bahdur z Hyrkanii — ale jak przekonać mojego konia?

— Zostawmy konie tutaj — zdecydował Berytus. — Nawet jeśli znajdziemy czas, żeby zniszczyć wszystkie węże, to przestraszą się następnej sztuczki.

— Iść dalej pieszo? — spytał Urdos — tu mogą być jacyś wrogowie.

— Wątpię — powiedział Berytus — czy zawracałby sobie głowę tymi słabymi sztuczkami, gdyby był w domu ze swoją ochroną? Mimo to bądźmy ostrożni. Boję się, że niektóre jego zaklęcia okażą się nie tylko iluzją. Węże wyczarował po to, aby odstraszyć właścicieli wielbłądów od brania jego wody. Dom może być strzeżony dużo lepiej.

Łowcy ruszyli w stronę domu, trzymając broń w pogotowiu. Mężczyźni uzbrojeni w łuki, lustrowali wierzchołki palm, podczas gdy inni obserwowali dom i jego poblizę. Wszyscy co jakiś czas oglądali się za siebie. Ci doświadczeni mężczyźni wiedzieli, jak się poruszać wśród zasadzek i podstępów. Berytus kazał zatrzymać się dwadzieścia kroków od zabudowań.

— Ambula, Bahdur, okrążcie dom.

Mężczyźni wyruszyli szybkim krokiem, patrząc na budynek, z bronią przygotowaną do natychmiastowego użycia. Dwie minuty później wrócili.

— W środku żadnych oznak życia — zakomunikował Bahdur — są z każdej strony dwa okna i dwa z tyłu. Wszystkie zamknięte — wskazał na symbol wyryty w drewnianym portalu, znajdującym się w centrum frontowej ściany, naprzeciw stawu. Dach był płaski i bez trudu można się było nań dostać, stojąc na parapecie.

— Wchodzimy, wodzu?

— Jeszcze nie teraz. Ambula, wejdź na drzewo i zobacz, co z dachem.

Śniady mężczyzna wybrał solidną palmę, która rosła dwanaście kroków od domu.

Wcisnąwszy swoją smukłą włócznię ostrzem w ziemię, odwinął turban i owinał jego szerszy koniec wokół pnia. Gołymi, zrogowaciałymi stopami zaczął się wspinać po wysokim pniu, zwinnie jak wiewiórka, aż w końcu osiągnął szczyt. Z tej wysokości sprawdził dach. Był zrobiony z plecionych gałęzi przetykanych słomą.

— Żadnych ludzi, ani innych stworów — zameldował Ambula.

— Teraz możemy wejść — rzekł Berytus. Podeszli do domu.

— Uglak — weź maczugę i rozwal drzwi.

Nazwany w ten sposób mężczyzna, krępy Agrosjanin, przygotował broń. Maczuga miała żelazny trzonek, długości jednego metra, zakończony stalową główką z grubymi kolcami.

Była to broń do miażdżenia zbroi i kości pod pancerzem, ale świetnie nadawała się też do rozwalania drzwi. Uglak zamachnął się potężnie i uderzył w portal. Zamiast rozwalić drzwi na

kawałki, maczuga zatrzymała się, jakby uderzyła w stalową płytę. Nie odbiła się, a tylko przykleiła do znaku wyrytego w drzwiach, który zapłonął nagle czerwonym płomieniem.

Ogień przerzucił się błyskawicznie na trzonek maczugi. Mężczyzna został schwyty w sieć skwierczących i wijących się czerwonych płomieni. Krzyczał, gdy ogień trawił mu ubranie, a jego ciało przemieniało się w szerniałą skorupę pokrytą bąblami. Ostatni okrzyk, jaki wydał z płonących płuc, był strumieniem czarnej, cuchnącej pary. Po kilkudziesięciu

sekundach nienaturalny ogień zniknął, a zwęglone szczątki Uglaka osunęły się na ziemię.

Leżąca opodal stalowa maczuga rozjarzyła się pomarańczowym światłem, po czym stopniowo stygnąc ściemniała w ponurą czerwień. Łowcy głów stali przerażeni. Berytus pierwszy przemówił.

— Wygląda na to, że w ten sposób tam nie wejdziemy.

— Chyba nie chcesz zdobywać tego domu?! — zaniepokoił się Urdos — to nie iluzja jak tamte węże. Czarownik włada prawdziwą mocą. Zabierajmy się stąd!

Reszta ochoczo mu przytaknęła.

— Nie, to podrażnia moją dumę, aby... — Wtem drzwi same otworzyły się z trzaskiem i wypadło z nich coś dużego i włochatego, toczącego pianę z żółtawych kłów. Zanim

ktokolwiek zdołał zrobić krok, z potwora wyciągnęły się niewiarygodnie długie ramiona, a zniekształcone ręce chwyciły za szyję jednego z mężczyzn, ciągnąc go w kierunku domu.

Wielkie kłapiące szczęki objęły głowę mężczyzny, oddzielając ciało od kości i odsłaniając rozedrgany mózg. Jedno oko nieszczęśnika zwisało z głowy. W agonalnym spazmie

mężczyzna wyciągnął sztylet i wbił go w brzuch bestii. Bluznęła krew i wylały się jej wnętrzności. Na widok posoki bandyci otrząsnęli się z osłupienia. To nie był magiczny

ogień, ale żywa istota, więc wiedzieli, jak z nią postępować. Łucznicy strzelali do niej swymi pierzastymi strzałami nawet wtedy, gdy Ambula i reszta dźgali zwierzę dzidami. Jeden z

nich chwycił topór i ostrą krawędzią rozplątał czaszkę bestii. Przez kilka sekund patrzyli na odrażające zwłoki. Ciało miało kształt małpy oraz długi podobny do wilka pysk. Stwór był podobny trochę do pawiana, ale pięć razy od niego większy. Nagle usłyszeli głośny łomot.

Odwrócili głowy w stronę domu. Drzwi znowu były zamknięte.

— Dosyc tego, wodzu — rzekł Urdos.

— Zgadzam się — odparł Berytus — wracamy powoli do koni. Nie biegnijcie i miejcie broń w pogotowiu. Ten czarodziej jest dużo potężniejszy i sprytniejszy niż myślałem. Mógł zastawić pułapki na uciekających. Mężczyźni rozproszyli się na niewielkiej przestrzeni, dostatecznie blisko siebie, aby w razie potrzeby móc się wspierać i dostatecznie daleko, żeby nie stanowić łatwego celu. Kiedy mijali staw, woda zaczęła się w nim burzyć i pienić.

Nagle cienkie macki przebiły powierzchnię i wzbily się w powietrze jak długie bicze.

Początkowo strzelały na oślep, ale potem w kierunku mężczyzn. Wobec takich niezwykłych zjawisk bandyci pobiegli w kierunku koni, krzycząc z przerażenia. Większość z nich dotarła do swych wierzchowców, ale nie było łatwo dosiąść koni wierzgających ze strachu. Jednego marudera, kiedy już miał nogę w strzemieniu, macka owinęła i wciągnęła. Inne macki

dokończyły roboty podnosząc go do góry. Niektóre odnogi pokryte były ssawkami, inne krótkimi, zakrzywionymi zębami. Każda z nich miała na czubku zielone jak szmaragd oko.

Przerażony mężczyzna, krzycząc w agonii, został wciągnięty do spienionej wody. Ciało potwora wciąż było niewidoczne. Mężczyźni nie czekali na spotkanie z nim, lecz pognali konie tak szybko, jak to było możliwe. Przerażone konie gnały na oślep bez popędzania.

Krzyk umierającego cichnął za nimi, a oni przebyli wiele wiorst zanim zwolnili.

* * *

— Ojcie — rzekła Lajla, widząc Volvolicusa ślaniającego się na nogach — czy coś się stało? — Podbiegła do niego i wzięła go pod rękę, podprowadzając do stołka wyłożonego wielbłądzią skórą. Byli na bazarze w Zielonych Wodach przy jednej z bocznych ulic. Było tam przed domami wiele straganów drobnych sprzedawców. Pośrodku ulicy zostawiono wąskie przejście. Markizy rozpostarte nad straganami filtrowały światło. W miejscach, gdzie ich nie zawieszono, widniały jaśniejsze smugi. Conan, który przymierzał nowy pustynny burnus, odwrócił się na słowa Lajli.

— Co ci dolega magu?

— Nic takiego, to przejdzie — rzekł Volvolicus, siadając na stołku.

Na znak Lajli Conan podszedł.

— To nie upał tak cię osłabił, prawda ojczy? — powiedziała.

— Nie — powiedział cicho, aby nikt go nie mógł dosłyszeć. — Zaklęcia, które rzuciłem, aby chroniły nasz dom uaktywniły się. Kiedy tak się dzieje, pobierana jest moja energia i to na jakiś czas mnie osłabia.

— Co to znaczy? — spytał Conan.

— To znaczy, że ktoś próbował wejść do naszego domu — powiedziała Lajla.

— Użyłem niegroźnych sztuczek, żeby odstraszyły przypadkowych przechodniów. To nic takiego, ale jeśli ktoś próbuje wtargnąć do domu, budzi śmiertelnych strażników.

— Czy mogli to być jeźdźcy pustyni? — zaryzykował Conan.

— Jeźdźcy nie są tacy wytrwali. Tym udało się zbudzić trzech moich strażników. Jeźdźcy uciekli po pierwszym.

— A więc Sagobal — rzekł Conan — lub kilku z jego poszukiwaczy. Ktoś musiał rozpoznać cię w mieście.

— Być może, ale nie trzeba być geniuszem, aby wydedukować, że to ja mogłem schować skarb. Moja moc jest znana w okolicy, mimo że zawsze starałem się zachować tajemnicę.

Conan zastanawiał się przez chwilę.

— Jeżeli Sagobal myśli, że skarb jest w twoim domu, wróci tam wcześniej, czy później z machinami oblężniczymi. Czy twój dom przetrzyma taki atak?

— Tak, jeśli to konieczne. Jeśli dokona takiego ataku, żywioły i ogień strawią jego maszyny, a jadowite muchy pustynne ukąszeniami doprowadzą ludzi i konie do szaleństwa. Wszystko to stanie się, gdy ktoś zbliży się na odległość strzału.

Conan milczał. Jeżeli ten mężczyzna nie chwalił się, był znacznie silniejszy niż przypuszczał. Nie sądził, aby to, co mówił było zwykłą napuszoną fanfaronadą. Popierał

przecież swoje słowa czynami.

— Torgut Chan będzie zrozpaczony, jeśli król dowie się o zniknięciu skarbu. A może już o tym wie. Jest możliwe, że wynajmie silniejszego od ciebie czarnoksiężnika, aby zniweczył

twoje ochronne zaklęcia.

Volvolicus zaśmiał się oschle.

— Tak się składa, że wszyscy potężni magowie są teraz zajęci. Torgut Chan, być może, będzie się wkrótce cieszył ich towarzystwem, ale nie pozyska ich usług.

Na to zagadkowe stwierdzenie Conan nie odezwał się.

— Najlepiej się stanie, jak wrócimy do domu Elmy — rzekła Lajla. — Odpocznij chwilę, a potem ruszamy.

— Mówię ci, że czuję się dobrze — zaprotestował Volvolicus, ale pozwolił córce, by pomogła mu powstać i poprowadziła go do domu Elmy.

Conan popatrzył jak odchodzą. Wzruszył ramionami i zajął się przymierzaniem burnusa.

Stukot kopyt przyciągnął jego uwagę w kierunku ulicy, która dzieliła główną arterię miasta biegnącą od bramy oazy do rynku. Zobaczył pędzące konie i jeźdźców w zbrojach. Zaklął

cicho. Generał Katchka i jego ludzie wrócili. Przez trzy dni Conan i jego banda cieszyli się swobodą. Jedyne poważny incydent, w jaki wdał się jego człowiek z karawaniarzem, udało

mu się zażegnać. Wyglądało teraz na to, że te dobre czasy się skończyły. Na domiar złego, jego ludzie pili i zabawiali się, tracąc pieniądze w zastraszającym tempie. Dotąd zawsze on, wódz, bawił się razem z nimi, ale tym razem wiedział, że trzeba uważać. Gorzej było z jego ludźmi. Srebro skończy się za kilka dni, a wtedy mogą zacząć się kłopoty. Z pewnością będą chcieli kraść, a to byłoby zgubne, albo przed czasem zechcą wrócić po skarb. A to byłby już koniec. Tego wieczoru spotkał się z resztą bandy w tawernie. W tych godzinach większość z nich wychodziła od dziwek, czy z zapchlonych obozów. Ubo i Chamik, starsi od innych, byli bardziej powściągliwi i woleli zatrzymać się w mniej hałaśliwej tawernie. Chodzili, ciągle na wpół pijani. W tej kompanii tylko Conan stał się prawdziwym ascetą, pił tyle, aby być cały czas przytomnym. Grał czasem na wyścigach, a nocami przeważnie spał. To była

bardziej konieczność niż potrzeba.

— Żołnierze wrócili — rzekł Ubo. — Wiedziałem, że to zbyt piękne, aby mogło trwać długo.

— Chciałbym znaleźć ludziom coś do roboty — rzekł Conan.

— Do roboty? — spytał Chamik, jakby usłyszał to słowo po raz pierwszy. — Co masz na myśli? Póki mamy srebro, nie mamy do roboty nic innego niż wydawać je.

— To nasz problem — odrzekł Conan. — Jeśli wyjechalibyśmy z miasta, powiedzmy na mały spacer, pozwoliliby to uniknąć kłopotów i zabrałoby trochę czasu. Wkrótce spodziewam się starcia z tymi żołnierzami, a to nie wyjdzie nam na zdrowie.

— Wiele karawan przewija się tu — rzekł Ubo. — Możemy wybrać bogatą, z małą ilością ludzi i pojechać za nimi.

— Racja — rzekł Auda, który przyłączył się do nich, ziewając i drapiąc się. Moglibyśmy jechać za nimi kilka dni, aby być z dala od świadków i miasta, napaść na karawanę, zabić ludzi i zgarnąć co się da.

— Nie będziemy mogli przywieźć tu wielbłądów, ktoś mógłby je rozpoznać.

— Sprzedamy je w okolicznych wioskach — poradził Auda — jeśli cena będzie odpowiednia, nikt nie będzie pytał, skąd one są.

— Niezła myśl — odrzekł Conan — możemy tak zrobić, chociaż niezbyt podoba mi się drobna kradzież, kiedy mamy skarb, który na nas czeka. — Spojrzał na nadchodzącą znajomą postać, a reszta podążyła za jego wzrokiem.

— To ten goguś kapitan Mahac — powiedział Ubo, spluwając ziarenkiem granatu na chodnik układany w mozaikę. — Czego ten generalski piesek chce od nas tym razem?

— To nie mały piesek — sprzeciwił się Conan — porównywałbym go raczej z wilkiem, więc bądź lepiej uprzejmy.

— Dobry wieczór, kapitanie Conan — rzekł Mahac, z lekkim przekąsem wypowiadając wojskowy tytuł. — Jego ekscelencja i premier Akhba z przyjemnością zapraszają do swego stołu.

— Jeszcze raz jestem niezmiernie zaszczycony — rzekł Conan wstając, podnosząc miecz i

przypinając go do swego pasa.

Poszedł za kapitanem przez rynek i zastał Katchkę siedzącego na swym zwykłym miejscu.

Tym razem przywitał Conana wylewnie.

— Witaj, kapitanie, zapraszam do stołu. Mam nadzieję, żeś jeszcze nie jadł.

— Nie — odparł Conan, kłaniając się.

— W takim razie zapraszamy na obiad — rzekł premier.

Bez wahania Conan oderwał udko od pieczonego i dymiącego ptaka i umoczył w cząbrowym, ostrym sosie.

— Mam nadzieję, że ostatnia wyprawa Ekscelencji udała się. — Ugryzł kawałek mięsa, po czym zanurzył usta w słodkawym winie. Nie obawiał się trucizny od człowieka, który mógłby go zabić jednym ruchem i nie musiałby się przed nikim tłumaczyć z tego czynu.

— Całkiem nieźle — stwierdził Katchka zachrypłym głosem. — Złapaliśmy kilku rebeliantów, których goniliśmy i ukrzyżowaliśmy ich dla przykładu. Ciała porzuciliśmy za rzeką, przy ich fortecy.

— Za rzeką! — rzekł Conan — Masz na myśli Ilbars!

— To jedyna rzeka o jakimś znaczeniu w tych stronach — odparł wezyr.

— Czy twój król nie mógłby zawiadomić króla Turanu, aby ich stamtąd przepędził? — spytał Conan.

— Tak się składa, że te ziemie to sporne terytorium.

— Jak to możliwe? Myślałem, że Ilbars jest granicą między Turanem a Iranistanem.

— Tak jest — rzekł wezyr — ale granice na rzekach czasem się zmieniają.

— Umoczył palec w winie i narysował falującą linię na stole. — Tu jest rzeka, a tu — zrobił szeroką pętlę na stole — jest ziemia, na której stoi forteca rebeliantów. Kiedyś była to południowa część rzeki na terenie Iranistanu. Kilka lat temu przyszła powódź, która

odcięła ten kawałek ziemi na północ od głównego koryta rzeki, zabierając w ten sposób

nasze ziemie. Król Turanu uważa to za granicę, a nasze ziemie za swoje. Nasz król zaś myśli odwrotnie, że północne zakole jest granicą, i że ziemie należą do niego. Ta sprzeczka

mogłaby trwać przez pokolenia, ale ponieważ osiedlili się tam ludzie, cała sprawa stała się drażliwą kwestią. Nasz monarcha, będąc rozważnym władcą, zabronił nam przekraczać

rzekę, gdyż nie chce prowokować wojny z Turanem.

— Czy król Turanu popiera rebeliantów — spytał Conan.

— Twierdzi, że nie — rzekł Akhba — ale z pewnością tak. Choć nie sądzę, aby dawał im znaczną pomoc.

Conan zastanawiał się, dlaczego mu to mówią, ale po chwili wszystko było jasne.

— Jego Ekscelencja ma dla ciebie propozycję — rzekł wezyr.

— To prawda — poparł go Katchka. — Ponieważ ty i twoi ludzie jesteście obcy i nie macie powiązań z tronem Iranistanu moglibyście dostać się na wyspę i wejść do fortecy nie przyczyniając się do powstania waśni między narodami.

— Pochlebia mi, że uważa nas pan za odpowiednich do tego zadania — odparł Conan — ale moja banda jest mocno wyczerpana i nie będzie w stanie opanować fortecy, która sprawia wam tyle problemów.

— To ich zęczność sprawia nam kłopoty, a nie ich ilość — mruknął Katchka.

— Tak naprawdę jest ich garstka — rzekł wezyr — ale, prawdę mówiąc, nie chcemy, żebyś z nimi walczył.

— A więc jakich usług potrzebujecie?

— Chcemy, żebyście się do nich przyłączyli — rzekł Katchka śmiejąc się.

Brzmiało to, jak charkot tygrysa.

— Rozumiem — odparł Conan, czując, że słowa więzną mu w gardle — zakładam, że

chcecie się wszystkiego dowiedzieć o rebeliantach, ich ilości, liczebności i poznać słabe strony fortecy.

— Nie, to na niewiele się przyda — powiedział generał — chcę, żebyś zabił ich przywódcę,

pretendentka do tronu. Przynieś mi jego głowę, a zapłacę ci trzy tysiące uncji czystego złota, wystarczająco, abyś ty i twoje zbiry mogli chodzić pijani przez cały rok — znowu chrapliwie się zaśmiał.

Kiedy generał mówił, Conan nerwowo szukał wyjścia z sytuacji, więc nie zawahał się nawet przez chwilę i nie zdradzając swych myśli, wykrzyknął:

— Załatwione! Za trzy tysiące uncji złota mógłbym zabić samego króla Turanu.

Na te słowa generał i wezyr roześmiali się serdecznie i klepnęli swojego gościa w plecy.

Generał sam nalał Conanowi wina.

— Czy znacie jego imię i wygląd?

— Nazywa się Idris. Nikt z nas go nie widział, ale wiemy, że ma szesnaście lat. Jeżeli jest naprawdę synem króla, będzie niski, o miłych rysach twarzy. Jego matka należała do

pięknych kobiet, inaczej nie byłaby królewską nałożnicą. Myślimy więc, że jest przystojny.

Jeżeli pokażą ci jakiegoś niezdarne i brzydkiego chłopaka jako Idrisa, wiedz, że to ktoś inny, kto ma zmylić ewentualnych zabójców. Szukaj młodego i przystojnego, którego

wszyscy poważają, nawet jeśli wygląda jak żebrak i inaczej go nazywają.

— Nie zwiodą mnie — zapewnił ich Conan — robiłem już takie rzeczy przedtem.

— Wspaniale — rzekł wezyr promieniejąc. Nałożył Conanowi mięso i rozkazał przynieść wina z generalskich zapasów.

Godzinę później Conan wrócił do swojej bandy pod tawernę. Lajla i jej ojciec przyłączyli się do Audy, Chamika i Ubo. Odpiął miecz i zajął miejsce. Jego twarz była zacięta.

— Widzę, że ty i generał robicie postępy — rzekła Lajla — dziwię się, że jeszcze możesz iść.

— To sztuka trzymać się prosto, kiedy poją cię mocnym winem — rzekł — a teraz słuchajcie mnie wszyscy. Jesteśmy w poważnym niebezpieczeństwie.

— Mów, wodzu — rzekł Ubo.

Conan krótko przedstawił propozycję jaką otrzymał od Katchki i Akhby. Oczy bandytów zaświeciły, kiedy powiedział o złocie.

— Nie tylko najemnik i bandyta, ale jeszcze zabójca — rzekła Lajla — nie wiedziałam, że jesteś tak utalentowany.

— Nie widzę problemu — odparł Chamik — robota może być niebezpieczna, ale nie bardziej niż wyprawa do Shahpuru. Ryzyko warte jest ceny trzech tysięcy uncji złota.

— Racja — rzekł Auda.

— Nie wspomniał nic o niebezpieczeństwie w drodze powrotnej — Conan splunął na chodnik — czy wy głupcy naprawdę sądzicie, że ta uzbrojona świnia zapłaci nam trzy tysiące uncji złota? Nawet jeśli nam się uda, weźmie po prostu głowę chłopca, a nas wszystkich zabije, aby ukryć swoje tchórzostwo i perfidię. Potem wrócą do króla, pokażą mu głowę i powiedzą o wielkiej bitwie, jaką stoczyli z rebeliantami, w której zdobyli swoje trofeum. Zbiorą nagrody, podczas gdy my będziemy służyć za żarcie dla szakali na pustyni.

— Och — rzekł Ubo — rozumiem.

— Więc, co zrobimy? — spytał Chamik.

— Wyjedziemy tak, jakbyśmy jechali na misję — rzekł Conan. — Będziemy musieli dojechać przynajmniej do wyspy, bo pewnie Katchka wyśle za nami swoje psy, żeby nas obserwowały. Proponuję pojechać do końca, ominąć fort i z drugiej strony przekroczyć rzekę.

— Na terytorium Turanu? — spytał Volvolicus, który już doszedł do siebie po wcześniejszej niedyspozycji. — Czy nie będzie to groziło spotkaniem patroli Torgut Chana?

— Owszem — rzekł Conan — ale w obecnej sytuacji oceniam to jako mniejsze ryzyko.

— A więc na razie robimy to, czego życzy sobie generał — rzekł Volvolicus.

Następnego ranka Conan zebrał resztę swojej małej bandy, wyciągając niektórych z tawern, zmuszając ich poszturchiwaniem i przekleństwami do odnalezienia ekwipunku i koni. Wkrótce wyruszyli z miasta, większość z ponurym wyrazem twarzy, a niektórzy mieli problem z utrzymaniem się w siodle. Na skraju oazy natknęli się na żołnierzy, którzy na

nich czekali.

— Kapitan Mahac — rzekł Conan salutując — co pana tutaj sprowadza? Chyba nie chęć pożegnania mnie?

— Generał nalega, aby przyjął pan eskortę, choć na część swojej niebezpiecznej misji — uśmiechnął się złowieszczo, patrząc na ludzi o zmętniałym wzroku. Potem jego spojrzenie zatrzymało się na Lajli.

— Ona zostaje tutaj — wskazał na kobietę.

Conan sięgnął po miecz, ale powstrzymał się, widząc setki żołnierzy mierzących w niego z łuku.

— Wyjaśnij to kapitanie — syknął.

— Niczego nie muszę wyjaśniać barbarzyńco. Ale generał kazał powiadomić cię, że twoja kobieta zostanie tutaj jako gość. Zapewni jej najlepsze warunki i pełne bezpieczeństwo.

Conan rozgniewał się, lecz Lajla położyła rękę na jego ramieniu.

— Wygląda na to, że stanę się gościem generała, byłoby głupotą odmówić. Jedź i wypełnij swoją misję — spojrzała na ojca. — Nic mi nie grozi.

Mahac gestem ręki przywołał żołnierza, który poprowadził rumaka Lajli w kierunku

miasta, a dziewczyna nie obejrzała się za siebie. Kapitan jeszcze raz spojrzał na banitów i roześmiał się ochryple.

— Nie ma nic bardziej podniecającego, niż wspaniali wojownicy wyruszający na swoją misję.

Reszta jego żołnierzy również się śmiała, kiedy bandyci ledwie panując nad swym gniewem dosiadali koni.

— Prowadź, kapitanie Conan — rzekł Mahac. — Ja i moi ludzie pojedziemy trochę z tyłu.

Nawet zwykli żołnierze mają nosy zbyt delikatne, by jechać tuż za wami.

Dusząc się z wściekłości Conan spał ostrogami swego koma i przyrzekł zemstę szydzącemu oficerowi. Za nim ruszyła jego mała banda banitów.

— Nie rozumiem — rzekł Osman, kiwając się wciąż w siodle i cierpiąc z powodu kaca po poprzednim dniu. — Dlaczego czarnoksiężnik nie sprowadzi tu swojej córki czarami? Czy ona nie zna zaklęcia niewidzialności, aby mogła swobodnie poruszać się po mieście i ukraść konia?

— Jeszcze raz wykazujesz swoją ignorancję w dziedzinie magii — rzekł Volvolicus. —

Moja moc to nie kuglarskie sztuczki, pokazywane tłumom na jarmarkach. Wielka magia to nie tylko wiedza i zaklęcia, ale także księgi i narzędzia, które dają siłę. Niestety nie mam ich tu, a ten świński generał ma mnie w takim samym poważaniu, jak i was.

— On i ten wezyr musieliby zgadnąć, że Lajla nie jest moją kochanką i wtedy dowiedzieliby się, że nie jest takim cennym zakładnikiem — rzekł Conan.

— Nie rozumiem, dlaczego jest taka cenna — skrzywił się Mamos. — Ja nie miałbym nic przeciwko temu, aby uciec zostawiając ją tam.

Conan przeklął siarczyście, słysząc słowa Mamosa.

— Ja jej tam nie zostawię i ty także nie! Gdybyś chciał uciec, nie odjedziesz zbyt daleko.

— Wskazał palcem za siebie. Z tyłu jechał oddział Mahaca. Ubo dotknął krawędzi swojego rzeźbionego noża.

— Pojechałbyś do Turanu bez nas? Ale tak się nie stanie. Wszyscy zostaniemy z wodzem, Mamosie.

— Nie jestem niełojalny — mruknął Mamos pokornie — ale myślę, że to głupota ze strony prawdziwych mężczyzn nadstawiać karku dla jednej kobiety. Mag nie należy do naszej bandy.

— Teraz tak — rzekł Conan. Zostaniemy razem dopóki nie załatwimy naszych spraw, i nie podzielimy skarbu. Znajdę sposób, by zadowolić Katchkę i odzyskać Lajlę.

— Jak? — spytał Osman.

— Wszystko w swoim czasie — uciął Conan. Jechali dalej w kierunku rzeki.

* * *

— Chcesz powiedzieć, że demony Volvolicusa odstraszyły was? — spytał Sagobal z pogardą. — Myślałem, że twoja załoga to prawdziwi mężczyźni. Podejrzywałem już, że znalazłeś skarb i chcesz mnie od niego odstraszyć.

— Nie gadaj jak głupiec — odparł chłodno Berytus. — Gdybym znalazł skarb i chciał go zatrzymać dla siebie, myślisz, że wróciłbym tutaj? — Mężczyźni siedzieli w komnatach kwatery Sagobala w Shahpurze. — Straciłem trzech dobrych ludzi, a teraz muszę jeszcze słuchać twoich impertynencji. Jeżeli uważasz, że dasz sobie radę beze mnie, to z przyjemnością pojedę gdzie indziej.

Sagobal opanował gniew.

— Nie miej mi tego za złe. Te zbiry doprowadzają mnie do wściekłości. Torgut Chan oszalał ze strachu, ponieważ królewscy poborcy podatków mają się tu wkrótce zjawić. Codziennie muszę wysłuchiwać jego gadania i narzekania — zaczął mówić spokojniejszym głosem. — A więc przyjacielu, ten czarownik strzeże swego domu potwornymi czarami. Przypuszczam, że silniejszy czarownik dałby sobie radę z unicestwieniem ich, o ile uda nam się takiego znaleźć.

— Nie traciłbym czasu — powiedział Berytus — jest mała szansa, że skarb znajduje się w domu czarnoksiężnika.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Mag był z bandytami, kiedy wjechali do Iranistanu. Po co miałby z nimi zostawać, gdyby skarb leżał w jego domu. Zwykle każdy bandyta chodzi swoją własną drogą. Ci jednak trzymają się razem, niczym pierścienie w kolczudze, więc skarb zapewne dopiero

ma być podzielony, a każdy z nich patrzy na drugiego z zawiścią i podejrzliwością.

— Mądrze mówisz — stwierdził Sagobal — sądzę, że masz rację.

— Musimy ich poszukać — ciągnął Berytus — myślę, że ukryli skarb w jednej ze swoich kryjówek. Liczą na to, iż w końcu zrezygnujemy z pościgu i wtedy będą mogli wrócić, aby dokonać podziału.

— W takim razie wracajcie na południe i przejdźcie przez rzekę. Jeśli ich znajdziecie, jedźcie za nimi, ale tak, by o tym nie wiedzieli. Przyślij mi wiadomość przez posłańca, że ich znalazłeś i trzymaj się bardzo blisko nich.

Berytus wstał:

— Będzie jak sobie życzysz — odwrócił się i wyszedł z kwatery Sagobala.

* * *

— Przeprowa przez rzekę była łatwa, woda okazała się płytka, a nurt spokojny. Conan zatrzymał się pośrodku rzeki, schylił i nabrał wody w dłoń, po czym obmył twarz i zmoczył włosy. Dzień był gorący. Nad zarośniętymi brzegami słychać było brzęczenie owadów.

— Nasz przyjaciel, kapitan Mahac, już za nami nie jedzie — rzekł Osman, obracając się w siodle, by spojrzeć w tył na drogę.

— Chcesz powiedzieć, że go nie widać — poprawił go Conan. — Byłoby to ze szkodą dla naszej misji, gdyby rebelianci zorientowali się, iż jesteśmy eskortowani przez regularną jazdę Iranistanu.

Przynaglił swego konia, który ruszył kłusem na drugi brzeg, wzbijając bryzgi wody i błota.

— Dokąd jedziemy, wodzu? — spytał Ubo.

— Na północ. Wyspa jest mała, więc wkrótce ujrzymy fort. Rebelianci zapewne zobaczą nas pierwsi.

— Jeżeli są prawdziwymi rebeliantami — rzekł Chamik — musieli mieć swoich szpiegów

w Zielonych Wodach i mogą już wiedzieć, kim jesteśmy.

— Pamiętajcie, ja będę mówił — poinstruował Conan.

Wkrótce na niskim wzgórzu zobaczyli pierwszego rebelianckiego wartownika. Jego czerwony proporzec powiewał na długiej lancy, a słońce odbijało się od polerowanej stali małej, okrągłej tarczy.

— A to śmiały diabeł! — rzekł Volvolicus — wcale się nie przejmuję, że ktoś może go zobaczyć.

— To świadczy o jego pewności siebie — rzekł Conan — tym lepiej dla nas.

— Jak to? — spytał czarownik.

— Przestraszeni ludzie zwykle atakują szybciej niż ci, którzy czują się silni.

Po kwadransie jazdy zobaczyli fort. Była to prosta konstrukcja z ziemi i bali, jej surowa fasada wzmocniona została nagimi kamieniami. Przez otwartą bramę wyjechali żołnierze w zbrojach.

— Wieczorek zapoznawczy — rzekł Ubo, spluwając na ziemię.

— Uśmiechajcie się i bądźcie przyjaźni — ostrzegł ich Conan — pamiętajcie, że przyjechaliśmy, aby przyłączyć się do nich. Jeśli są słabi, będą potrzebować pomocy, nawet jeżeli chcemy walczyć tylko dla łupów.

Jeźdźcy podjechali bliżej i Conan spostrzegł, że żołnierze mają uzbrojenie podobne, jak w oddziałach Katchki. Ale ich ekwipunek w większości był stary i wysłużony. Na pancerzach, na wysokości piersi, nosili prosty wizerunek niebieskiego smoka na czarnym tle. Było ich około czterdziestu, ściągnęli cugle i utworzyli półkole między fortem a bandytami.

— Jestem Hosta — przedstawił się mężczyzna w znoszonej zbroi — dowódca armii Jego Królewskiej Mości Idrisa VII — króla Iranistanu. — Kim jesteście i czego tu szukacie?

— Jestem Conan — kapitan najemników. Przyjechaliśmy z Turanu, gdy dobiegły nas wieści, że twój król może potrzebować usług zawodowych żołnierzy w walce z uzurpatorem Xarxasem, dlatego tutaj przyjechaliśmy.

Conan i jego ludzie uśmiechnęli się szeroko, lecz rebelianci pozostali ponurzy z bronią

wymierzoną w ich kierunku.

— Jego Wysokość ma lojalnych żołnierzy— rzekł Hosta — nie mogę jednak decydować za niego, więc zaprowadzę was do fortu na audiencję. Musicie wszyscy oddać broń.

Na te słowa bandyci zachnęli się, ale Conan uciszył ich gestem dłoni.

— Proszę bardzo! Chcemy tylko okazać waszemu królowi życzliwość, możemy zatem ufnie oddać się w jego ręce.

Conan odpiął swój pas i podał go dowódcy, reszta bandy zrobiła to samo, choć powoli i z ociąganiem. Wtedy dało się zauważyć odprężenie na twarzach otaczających ich żołnierzy.

W ciszy wjeżdżali w głąb fortu. Bramę stanowiła konstrukcja uczyniona z zawieszonych belek i, wchodzących weń klinem, wbitych w ziemię pali. Wojownicy patrolowali leżący po zachodniej stronie wał usypany z ziemi i zakończony drewnianą palisadą. Conan miał spore wojenne doświadczenie i wiedział, że te umocnienia nie przetrwałyby nawet dnia silnego ataku dobrze wyposażonej armii zacieklego wroga, z saperami wyspecjalizowanymi w oblężeniach i ze zdeterminowaną piechotą. W ostateczności fort mógłby wytrzymać atak wojsk, takich jak jazda Katchki. Po drugiej stronie surowej palisady znajdowało się dziesięć budynków i wiele namiotów, a między nimi czterystu żołnierzy poddawanych było musztrze i ćwiczyło się w walce. Kobiety prały, gotowały, opatrywały rannych i opiekowały się chorymi.

Widać było dużo rannych. Wielu mężczyzn nosiło opatrunki. Wielu utykało idąc o kulach.

Wyglądali na zdeterminowanych ludzi, którzy przeszli przez ciężkie walki.

Conana i jego ludzi zaprowadzono na otwartą przestrzeń w centrum fortu, gdzie stał drewniany podest, z zatkniętą w nim chorągwią na długim drzewcu, przedstawiającą niebieskiego smoka na czarnym tle.

Na podeście stała grupa ludzi otaczająca siedzącą postać.

— Czekaście tutaj — rozkazał Hosta.

Bandydzi w ciszy siedzieli na swoich koniach, a kapitan podjechał do platformy i zsiadł ze swego wierzchowca. Cichym głosem, tak aby Conan nie mógł słyszeć, powiedział coś do

zgrupowanych tam ludzi. Jednocześnie eskorta żołnierzy ustawiła się w szyku tuż za nimi, kierując w ich plecy włącznie.

— Przyjdź tu Conanie — rzekł mężczyzna donośnym głosem.

Cymmeryjczyk zbliżył się, zsiadł z konia i stanął przy podeście.

Zobaczył piękny, bogato rzeźbiony tron, na którym siedział młodzieniec w niebieskiej szacie. Był to barczysty chłopak o kręconych, rudych włosach i posępnym wzroku. Wokół niego stali mężczyźni w średnim i podeszłym wieku, lepiej ubrani niż większość rebeliantów. Conan domyślił się, że jest to starszyzna chcąca wynieść Idrisa na tron.

— Cudzoziemcze — rzekł białobrody mężczyzna — stoisz przed królem Idrisem VIII, prawowitym władcą Iranistanu. Co cię sprowadza do Jego Królewskiej Mości?

Conan spojrział na młodzieńca na tronie, potem jego wzrok przesunął się po twarzach starszych mężczyzn i spoczął na delikatnym, czarnowłosym chłopcu, stojącym między wyniosłymi strażnikami.

— Złaż z tronu chłopcze — zaśmiał się Conan.

Mężczyźni stojący wokół niego zjeżyli się, kilku chwyciło za broń. A on z bezczelnym uśmiechem podszedł do ładnego, szczupłego chłopca.

— Wasza Wysokość! Ja i moi ludzie chcieliśmy zaoferować ci nasze usługi.

Chłopiec zaśmiał się i uradowany odwrócił do mężczyzn stojących za tronem.

— Mówiłem wam, że to się nie uda. Żaden prawdziwy żołnierz nie uzna tego osiłka za prawowitego księcia.

— Status tego człowieka — rzekł siwobrody mężczyzna — będziemy musieli dopiero ustalić.

Pstryknął palcem na siedzącego na tronie.

— Wracaj do swoich ćwiczeń z włóczniami, chłopcze.

Młodzieniec wstał szybko i zdjął błękitną szatę. Mniejszy chłopiec wśliznął się w nią i zajął swoje miejsce.

— Dlaczego mielibyśmy potrzebować waszej pomocy, cudzoziemcze? — spytał siwobrody mężczyzna.

— Chwileczkę dziadku — wtrącił się chłopiec — skąd pochodzisz kapitanie Conan — spytał zaciekawiony — nigdy przedtem nie widziałem nikogo podobnego do ciebie.

— Pochodzę z Cymmerii — rzekł Conan — moje korzenie sięgają dalekiej, skalistej północy, krainy pełnej mgieł. Jesteśmy ludem wojowników, którzy zawsze walczyli i będą walczyć ze swoimi sąsiadami. W rzeczywistości staliśmy się najlepszymi wojownikami na świecie. Przed laty, kiedy byłem w twoim wieku, lub może nawet młodszy, brałem udział w zdobyciu Venarium, gdzie wojownicy przepędzili Akwilończyków z naszych ziem, zabijając Gundermenów i Bossończyków, wraz z którymi Akwilończycy chcieli skolonizować nasze odwieczne terytoria.

— Venarium — powiedział chłopiec — słyszałem o tej bitwie.

— Ta północna potyczka nie może być świadectwem dla kogoś, kto chce służyć prawowitemu królowi Iranistanu — rzekł dziadek Idrisa.

Chłopiec zignorował go.

— Jacy są twoi bogowie — spytał Conana.

Moim bogiem jest Crom, który żyje w świętej górze w głębi Cymmerii. Crom jest podobny do nas. Obchodzą go tylko bitwy. Od niewypowiedzianych stuleci walczy z Ymirem, bogiem Aesiru i Vaniru. Kiedy się rodzimy, daje nam siłę, odwagę i waleczne serce, poza tym niewiele o nas dba.

— Srogi bóg — czy modlicie się do niego i składacie ofiary?

— Nie modlimy się, gdyż on nie słucha modlitw. Nie spełni prośby tych, którzy żebrzą o większą siłę. Uznaje tylko krew przelaną w bitwie, zarówno naszą, jak i wrogów.

— Wygląda na boga prawdziwych wojowników — odparł chłopiec, spoglądając z pogardą na człowieka noszącego szaty kapłana Mitry.

— To bóstwo prymitywnych ludzi — rzekł kapłan, wietrząc dla siebie zagrożenie — cywilizowani władcy oddają cześć bogom porządku i sprawiedliwości, bogu, który uznaje sztukę i osiągnięcia cywilizacji. Kiedy król stawia bóstwu wspaniałą świątynię, cały świat musi uznać jego chwałę.

— Tak — rzekł Conan — a kapłani mogą dostać nowy dom — zauważył, że tymi obrazoburczymi słowami sprawił przyjemność kilku ludziom, lecz inni byli oburzeni. — Mój panie, jestem gotów odpowiedzieć na wszystkie twoje pytania dotyczące mojej osoby, ludzi i bogów, lecz chciałbym wiedzieć, czy przyjmujesz moje usługi?

Idris spojrział na ludzi Conana podejrzliwym wzrokiem.

— Pozostali z pewnością nie są Cymmeryjczykami, jeden wygląda na kapłana lub uczonego, a reszta na bandę zbójów.

— Wasza Wysokość dobrze potrafi ocenić ludzi — przyznał Conan. — Nie mają dobrych manier, ani ogłady, ale nikt nie zatrudnia żołnierzy dla ich wyglądu. Jest to nieregularna jazda najwyższej próby, niezrównani zwiadowcy i najeźdźcy.

— Nietrudno zauważyć, że wiedzą, jak dokonać napadu — rzekł mężczyzna w zbroi, wydymając pogardliwie usta — bez wątpienia przekonała się o tym niejedna karawana i grupa wędrownych pielgrzymów. Co do zwiadu, nie wątpię, że tacy ludzie, szpiegując z ukrycia, potrafią wybrać wystarczająco słabą, bezbronną i niespodziewającą się ataku ofiarę.

— Być może zbyt surowo ich oceniasz kuzynie — zganił go niedoszły król.

— Nie, Wasza Wysokość — odparł Conan — ma zupełną rację, ale co z tego? Czy

rozmawiamy o tym, jak bawić damy dworskie, lub ambasadorów obcych krajów? Nie, rozmawiamy tutaj o zabijaniu ludzi. To ciężka praca, którą lepiej zostawić dla twardych mężczyzn, a ci tutaj są mistrzami w swym rzemiośle. Nie zwracaj na to uwagi, że są to ludzie, których nie chciałbyś widzieć w swoim królestwie w spokojniejszych czasach. Spraw, by w kraju zapanował pokój, zapłać im, a oni się bezzwłocznie oddalą, przekraczając granicę tego królestwa, aby poszukać sobie rozrywki gdzie indziej. Są to bowiem ludzie, którzy nie zagrzeją długo miejsca w jednym kraju.

Idris zaśmiał się:

— Moi doradcy, podoba mi się ten człowiek! — chcę go zatrudnić, daje mi rozrywkę i być może będzie mi dobrze służył.

— Wasza Wysokość — zaprotestował siwowłosa mężczyzna — to jest karygodne!

Prawowity władca Iranistanu nie może wynajmować tak pospolitych zbrojów. To mogłoby być źle widziane przez poddanych. Nie uznali by cię za prawowitego króla, lecz ogłosiliby cię mianem oszusta wspieranego przez wynajętych kryminalistów.

Młody król obrócił się na tronie i spojrzał na starego mężczyznę.

— Dziadku — jestem, czy nie prawdziwym królem Iranistanu?

— Oczywiście, że tak, mój wnuku — odparł mężczyzna czerwieniąc się.

— A zatem moja wola jest tu prawem, a ja chcę, żeby Conan i jego ludzie służyli mi.

Stary mężczyzna skłonił się

— Będzie jak sobie życzysz, Wasza Wysokość.

— Wspaniale — rzekł Conan — Wasza Wysokość nie powinien zważać na to, co powiedzą sąsiedni władcy. Pomimo to, że Xarxas jest uzurpatorem i że służą mu tacy ludzie, jak generał Katchka i wezyr Akhba, jest on poważany jako władca na równi z innymi.

Dunas przybliżył się do Conana.

— Jak to się stało, że wiesz, co to za ludzie, cudzoziemcze?

— Czemu o to pytasz? Zaledwie wczoraj byliśmy w Zielonych Wodach. To miasto jest kwaterą główną Katchki.

Conan zauważył, że Dunas został zbity z tropu jakby była to wiadomość, którą chciał wydobyć przez zaskoczenie w toku zręcznego śledztwa.

— Czy również im ofiarowałeś swoje usługi? — zapytał mężczyzna o posępnych rysach twarzy.

— Nie musiałem — rzekł Conan — Katchka i Akhba sami zaproponowali mi pracę.

Stary człowiek zaśmiał się z niedowierzaniem.

— Jaki pożytek mogliby mieć ludzie, dysponujący najlepszą jazdą, z takiego barbarzyńskiego najemnika jak ty i z twojej bandy obdartych łotrów?

Conan spojrział na niego jak na pomyleńca.

— Jak to jaki? Chcieli, abym zabił waszego króla, cóż innego? — Conan poczuł, że jego ludzie wstrzymali oddech — obiecali mi tysiące uncji złota doskonałej próby, o ile przywiozę im głowę Idrisa.

Wokół zaległa cisza. Potem znów odezwał się człowiek stojący za tronem.

— A ty nie jesteś na tyle głupi, żeby wierzyć w ich obietnice, prawda?

— Oczywiście. Obiecałem im, że to zrobię. Przyjechaliśmy tutaj z grupą dowodzoną przez kapitana Mahaca, który deptał nam po piętach tak, że nie mieliśmy wyboru. Jeżeli twój władca nie zaoferuje mi równie absurdalnej nagrody i samobójczej misji, to myślę, że byłby lepszym panem.

Człowiek za tronem pokiwał głową.

— Po raz pierwszy zaczynam wierzyć temu bandycie. Wygląda na to, że zna się na swoim fachu. Co do jego ludzi, powstrzymałbym się z opinią do czasu, gdy zobaczę ich w akcji.

— Wspaniale wuju! — rzekł entuzjastycznie chłopiec, po czym zwrócił się do Conana — to starszy brat mojej matki, generał Eltis, dowódca mojej armii. Jego ojciec, a mój dziadek to wezyr

Jemak — siwobrody mężczyzna skinął nieznacznie głową.

Eltis dał znak kiwnięciem głowy i Hosta, dowódca żołnierzy eskortujących bandytów, podbiegł i zasalutował.

— Tak, Panie?

— Znajdź dla nich namiot i wciągnij do oddziału zwiadowców. Obserwuj ich bacznie, a potem zdasz mi raport.

— Jak rozkażesz mój Panie — powiedział Hosta, kłaniając się.

— Porozmawiam z tobą później kapitanie Conan — rzekł młody pretendent do tronu.

— Do usług Waszej Wysokości — odparł Conan i uklonił się. Po czym odwrócił się, dosiadł konia i podążył za Hostą w kierunku obozowiska rojącego się od obskurnych namiotów.

* * *

— Jak się nazywa ta wioska? — spytał Sagobal.

— Telmak, panie — powiedział dowódca jednego z wielu oddziałów jazdy przeczesujących okolicę.

— To niepozorne miejsce. Nie ma tu nic godnego uwagi z wyjątkiem targu wielbłądów.

Nie wiedzą tu nic o ludziach, którzy zaatakowali świątynię — młody kapitan otarł pot z czoła, gdyż słońce mocno przypiekało. — Nic ważnego nie wydarzyło się tu od lat, poza tym, że kilka dni temu skradziono dziewięćdziesiąt trzy sztuki wielbłądów, ale wieśniacy wytropili je i odzyskali swą stratę.

— Ta strata... — słowa kapitana poruszyły coś w pamięci Sagobala. Co to było? Nagle przypomniało mu się.

Berytus mówił mu, że on i jego ludzie tropili banitów aż do małego wąwozu, gdzie były dobre warunki do zaopatrzenia się w wodę. Ślady wskazywały na postój dużej grup wielbłądów, które później wyruszyły wszystkie bez ładunku. Po jakimś czasie przyjechali

bandyci, gdyż ślady wielbłądów częściowo zatarły się przez ich własne tropy. Rabusie zaś odjechali w innym kierunku. Wypadek ten godny był zastanowienia.

— Zawołaj starszyznę wioski.

Mężczyźni przybyli wkrótce. Robili wrażenie mocno przerażonych sytuacją.

— Powiedźcie mi o tej kradzieży — rzekł szorstko Sagobal.

— Ekscelencjo, zaczął mężczyzna o rozwidlonej brodzie zabarwionej na żółto — kilka dni temu, tuż przed pełnią, przybyli bandyci i uprowadzili dziewięćdziesiąt trzy najlepsze sztuki. Następnego dnia ludzie uzbroili się i wyruszyli w ślad za nimi.

— Prawda — rzekł młodszy mężczyzna — nie stanowiło to wielkiej trudności, ponieważ duża grupa zwierząt łatwa była do wytropienia. Złodzieje nie podzielili ich na mniejsze stada i nie poprowadzili w różne strony, jak to zwykle robią. Ślady wiodły do małego kanionu, głęboko między wzgórzami, gdzie karawany zaopatrywały się kiedyś w wodę. Teraz mało kto, oprócz pasterzy, korzysta z tego miejsca, bo ludzie mówią od jakiegoś czasu, że to kryjówka bandytów.

— Znaleźliśmy tam wszystkie wielbłądy — powiedział mężczyzna z żółtą brodą — strzeżone przez jednego bandytę, który został ranny w czasie kradzieży. Zabiliśmy go, poćwiartowaliśmy ciało i powiesiliśmy w kawałkach na gałęziach krzaków, ku przestrodze innym.

— Ale nie widzieliście śladów pozostałych bandytów? — spytał Sagobal.

— Nie Ekscelencjo. Wielbłądy zdeptały wszystkie inne tropy.

— Ktoś z was zaprowadzi mnie do tego miejsca — zdecydował Sagobal — chcę je zobaczyć.

Kilka godzin później Sagobal jechał wzdłuż kanionu. Wiatr musiał zatrzeć większość śladów, jakie zostawili bandyci. Była to bez wątpienia wspianiała kryjówka dla uciekinierów. Ale co się tutaj właściwie wydarzyło? Wielkie stado wielbłądów zostało

skradzione i nie podzielono go na mniejsze grupy, gdyż ktoś miał jakiś wielki ładunek.

Wtedy jednak przyjechali wieśniacy, aby odzyskać zwierzęta. Kiedy bandyci wrócili, zobaczyli, że ich środek transportu zniknął, ale co dalej? Nadal pozostawało nie wyjaśnione czy skarb, w tak magiczny sposób przeniesiony z Shahpuru, znalazł się tutaj, czy też

złodzieje planowali zabrać wielbłądy w inne miejsce, aby tam załadować łup. Jeśli pierwsza wersja jest prawdziwa, to skarb znajduje się gdzieś w pobliżu.

— Jakie są twoje rozkazy Ekscelencjo? — spytał młody oficer, przerywając myśli Sagobala.

— Co? A tak, teraz pojedziemy z powrotem do Shahpuru — kusiło go, aby rozkazać swoim ludziom przeszukać okolicę, ale bał się, że skarb wpadnie komuś innemu w ręce. Wolał zostawić go dla siebie. Jeśli skarb jest tutaj, bandyci wrócą wkrótce po niego. A on miał Berytusa i jego niezrównanych łowców ludzi, którzy będą tropić złodziei aż do ich śmierci, niezależnie od tego czy skarb jest ukryty tu, czy gdzie indziej. Dosiadł swojego ognistego rumaka i zawrócił w kierunku Shahpuru. A jego ludzie podążyli za nim.

* * *

— Co myślisz o młodym pretendencie do tronu? — zapytał Conana Volvolicus.

— Chłopak ma duszę wojownika — rzekł Cymmeryjczyk — ale jeszcze jest zbyt młody, aby to zrozumieć. To dobrze, że nie pozwala krewnym na kontrolowanie swoich poczynań. Ale taka stanowczość w młodym wieku może obrócić się w okrucieństwo — wzruszył ramionami — może stać się silnym królem, ale również ma predyspozycje do tyranii. Nie obchodzi mnie to, gdyż nie zamierzam uznawać go za swojego władcę. Nie grozi mi to w żadnym wypadku. Królestwa całego świata usłane są kośćmi pretendentów do tronu; będących zazwyczaj oszustami, kierowanymi przez swoich zachłannych krewnych.

— Myślisz, że chłopak ma małe szanse aby zdobyć tron w Phoenix?

— Prawie żadne — odparł Conan.

Siedzieli w rozgrzanym namiocie, rozmawiając przy świetle pojedynczej świecy, podczas

gdy inni mężczyźni mocno chrapali.

— Ten fort jest wystarczająco mocny najwyżej dla, jakiegoś rabusia–barona, który będzie obrabiać swoich sąsiadów. Ale Idris ma oddanych żołnierzy i w tym jego siła. Podejrzewam natomiast iż Xarxas jest człowiekiem o słabej woli, albo zbyt zajęty wojną na innych obszarach przygranicznych, bądź w samym królestwie. W przeciwnym razie, już dawno skończyłby z tym małym powstaniem. Zostawił tu Katchkę, aby prowadził wojnę z małą grupą ludzi. Sam Xarxas obawia się urazić władcę Turanu i dlatego nie pozwala generałowi zająć tej małej wyspy. Nic dziwnego, że ta świnia szuka taniej i szybkiej drogi, żeby skończyć z kłopotami wynajmując mnie jako mordercę.

— Rozumiem, co masz na myśli — rzekł Volvolicus — wciąż jednak nie wiem co zamierzasz uczynić. Gdybym był w domu, mógłbym użyć sił i wydobyć swą córkę z Zielonych Wód. Ale czas i odległość są bardzo niesprzyjające. Jak długo będzie bezpieczna w rękach tych łotrów?

— Ani przez chwilę — odpowiedział Conan. — Ale mówiła mi, że umie sobie radzić z napastliwymi zalotnikami. Czy to prawda?

— Jej niewielka siła niewiele może ją ochronić — odpowiedział mag. — Jest wystarczająco zabezpieczona przed natarczywością większości mężczyzn, ale tu nie ma do czynienia ze zwykłymi mężczyznami. Człowiek, za którym stoi armia, może zrealizować swoją wolę jeśli chce.

— Brakuje ci twoich ksiąg i instrumentów — rzekł Conan. — Z pewnością władasz jakimiś czarami, które nie wymagają drobiazgowych przygotowań.

— Znam kilka takich. Masz jakiś plan?

— Tak. Wysłuchaj mnie i powiedz, co o tym myślisz. — Pomimo późnej nocy mężczyźni rozmawiali dalej.

* * *

Następnego dnia kapitan Hosta wraz ze swymi ludźmi zabrali ich na patrol. Pojechali nad

rzekę sprawdzić, czy nie ma śladów intruzów. Wszyscy ludzie Conana ubrani byli w opończe bez rękawów, na których widniał znak smoka.

— Czy macie dużo roboty na tych patrolach? — spytał Conan.

— Nie. Szlag by to trafił! — Nasze siły wystarczą tylko do tego, aby wysledzić wroga i wrócić z powrotem. Tęsknię za prawdziwą bitwą. Conan uśmiechnął się, wszystko szło lepiej niż się spodziewał.

— Co byś powiedział na małą potyczkę niedaleko z niewielkimi siłami wroga?

— Co to znaczy „niewielkimi”? — spytał podejrzliwie Hosta.

— Z pomocą moich ludzi przewaga będzie po naszej stronie. My staniemy się przynętą, a potem wy wkroczycie do akcji i pojmacie wielu z nich.

— Dopiero niedawno przyłączyliście się do nas — rzekł mężczyzna powątpiewającym tonem — jest za wcześnie, aby pozwolić wam planować akcje przeciwko wrogom.

— Jeśli nie podoba ci się mój plan, możesz odjechać i zostawić nas, abyśmy zginęli — rzekł Conan. — Ruszajmy, ryzyko jest niewielkie, a mówiłeś, że tęsknisz za walką.

Hosta spojrział na niego i pokiwał głową.

— Zgoda.

— W porządku — odparł Conan, przyglądając się badawczo porośniętej trawą ziemi przy rzece. — Teraz potrzebujemy jeszcze jednej rzeczy.

— Czego mianowicie?

Conan wskazał na stado prowadzone na pastwisko przez pasterza z zakrzywionym kijem w dłoni.

— Jednej z tych owiec.

Bandyci posuwali się wąskim kanionem, jeden za drugim. Kamienne stoki były tu wysokie na ponad dziesięć metrów. Jakiś mężczyzna śledził ich ze skalnej krawędzi, a

potem odjechał na południe. Przenikliwe oczy Cymmeryjczyka dostrzegły niewielkie poruszenie i już wiedział, co to było.

— Bądźcie gotowi — powiedział cicho. Wśród jeźdźców dał się słyszeć słaby szcęk wydobywanych z pochew mieczy, łuków wyciąganych z worków, uszytych z nasączonej olejem skóry.

Nagle ścieżka rozszerzyła się w rozległą przestrzeń, szeroką na sześćdziesiąt metrów, o wciąż stromych ścianach. Kiedy wszyscy jeźdźcy znaleźli się w otwartej kotlinie, zobaczyli grupę mężczyzn jadących ku brzegowi wąwozu. Trzymali oni w ręku łuki i obserwowali ich uważnie. Rząd jeźdźców wjechał z łoskotem do kotliny. Ściągnęli wodze, formując szeroki półksiężyc i stancji twarzą w twarz z bandytami. Jeden z mężczyzn wysunął się nieco naprzód.

— Witam, przyjaciele! — zaszczebiotał kapitan Mahac — jak dobrze znów widzieć wasze miłe twarze. Nie zabawiliście długo na wyspie. Puściły wam nerwy? — patrzył na nich żądnym krwi wzrokiem.

Conan wyjechał do przodu:

— Zadanie nie było takie trudne — stwierdził. — Zeszłej nocy zrobiłem to, czego się podjąłem i bezzwłocznie wracamy.

Podjechał blisko oficera z Iranistanu i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Teraz mam do załatwienia pewne sprawy z wielkim generałem Katchką i jego szanownym przyjacielem, dystyngowanym wezyrem Akhbą.

Okrutna twarz Mahaca wydała się zakłopotana.

— Naprawdę? Zabiłeś pretendenta? Pokaż!

Conan wziął z siodła zakrwawioną torbę z samodiału.

— Dam to generałowi Katchce i nikomu innemu.

Mahac znów się uśmiechnął:

— Wspaniały wyczyn. Jesteś niezwykłym wojownikiem. — A teraz pokaż to! — rozkazał krzyżąc kapitan.

Conan wzruszył ramionami:

— Bardzo proszę! — otworzył torbę i podsunął Mahacowi.

— Spójrz tutaj!

Oficer zajrzał do środka. Z torby patrzył na niego cuchnący, wełnisty łeb białej owcy.

Mężczyzna wydał z siebie stłumiony okrzyk i chwycił za rękojeść miecza.

— Zabić ich!

Nagle kapitan usłyszał jakieś odgłosy i spojrzał w górę. Wzdłuż krawędzi wąwozu ruszyła

dzika ława jeźdźców. Pokrzykując, spychali w dół łuczników Mahaca, którzy upadali na dno kanionu i leżeli znieruchomiali. W tym samym czasie wrzeszczący szwadron uzbrojonych

mężczyzn wypadł zza pleców bandytów z uniesionymi w górę mieczami. W jednej chwili

całe to miejsce stało się wielkim kłębowiskiem morderczych zmagañ.

Conan grzotnął Mahaca w szczękę worem z łbem owcy. Mężczyzna zachwiał się w

siodle, ale zdołał wyciągnąć miecz i wymierzyć cios. Conan uniknął razu i sam wyjął swój miecz. Po kilku sekundach, gdy konie zawróciły do kolejnego starcia, miecze szczęknęły

dźwięcznie. Mężczyźni usiłowali zadać sobie śmiertelny cios. Wreszcie Cymmeryjczyk spiął

konia ostrogami i naparł na wierzchowca swego przeciwnika, wywracając go tak, iż Mahac

został zrzucony na ziemię.

Zwycięzca zeskoczył z siodła, lądując wprost na przeciwniku, który właśnie próbował się

podnieść. Mahac zdołał tylko zakląć, gdy Conan wydobył swój sztylet i wbił go w gardło

kapitana. Ten upadł charcząc, a krew trysnęła strumieniem z rany, ust i nosa. Zmagał się jeszcze przez chwilę ze śmiercią, uderzając w agonii ostrogami o piasek, aż w końcu

znieruchomiał.

Nad kanionem zaległa wielka cisza. Zakłócał ją tylko odgłos kopyt koni, które wałęsały się z nozdrzami wypełnionymi zapachem świeżo rozlanej krwi. Czasem słychać było jęki

rannych ludzi. Zaległa grobowa cisza, jaka nastaje po krótkiej, ale zacieklej bitwie. Kapitan Hosta podjechał do Conana, uśmiechając się radośnie:

— Wszyscy zabici — rzekł — a ja mam tylko trzech rannych. Nie ma nic lepszego niż atak przez zaskoczenie.

— Mówiąc to, otarł krew ze swego długiego, rzeźbionego miecza.

— Twoje zbiry nie mają się zbyt dobrze, ale walczyli z prawdziwymi żołnierzami.

Conan zorientował się, że oprócz niego samego i czarownika pozostało mu tylko pięciu ludzi: brzuchaty Chamik, jednooki Ubo, Auda — człowiek pustyni, zdegenerowany Osman oraz zły Mamos, którego nie było łatwo zabić. Żądni łupów przeszukiwali teraz ciała poległych w walce.

— Mam sprawę do załatwienia. Uczony pojedzie ze mną — rzekł Conan — reszta moich ludzi udaje się z wami.

Hosta wzruszył ramionami:

— Jak sobie życzysz. Zasłużyłeś, aby robić to, co chcesz. Obetniemy wszystkim tym zdrajcom prawe ręce. Jego wysokość będzie zadowolony, jeśli przywiozę mu trofea.

Conan skierował swego konia do miejsca, gdzie jego ludzie sprawnie ograbiali ciała z kosztowności.

— Chodźcie tu — powiedział.

Przyłączyli się do niego, chowając monety, pierścienie i klejnoty do sakiewek i cholew butów.

— Volvolicus i ja jedziemy teraz do Zielonych Wód, żeby przywieźć kobietę — mówił cichym głosem.

— Dziś w nocy, kiedy wszyscy będą spali pilnowani przez wartowników, pojedziecie na pustynię. Przejdźcie przez zakole starego koryta rzeki do Turanu i skierujecie się na północny zachód do naszej kryjówki. Zatrzymajcie się w pierwszej wiosce i tam zostańcie

dopóki nie wrócimy.

Ubo uśmiechnął się szeroko i pokiwał głową:

— Skoro to rozkaz, nie zawaham się go wykonać. Ci wiejscy rekruci nigdy nie usłyszą nas, gdy będziemy przechodzić koło nich w nocy.

Reszta przytaknęła ochoczo. Zadowoleni ze swoich łupów, nie przejmowali się śmiercią kilku swych towarzyszy.

Conan znalazł Volvolicusa pogrążonego w myślach nad niedawną rzezią. Nie brał on udziału w walce, lecz stanął ze swoim koniem na zboczu, aby przeczekać wszystko, unikając lecących zewsząd strzał oraz tryskającej krwi.

— Jesteś biegłym zabójcą mój przyjacielu — rzekł do niego mag.

— To konieczność — powiedział Conan. — Jeśli chodzi o kapitana Mahaca, była to również przyjemność.

— Jeśli wszyscy źli ludzie zostaną zabici — zauważył czarownik — wkrótce świat się wyludni.

— Tego bym nie chciał — zgodził się Conan.

— Rzeczywiście, jest ich dużo, ale to właśnie źli sprawiają, że życie jest ciekawsze.

— Dwaj mężczyźni przygotowali się do drogi i wyruszyli w kierunku Zielonych Wód.

Strażnik przy bramie wjazdowej Shahpuru potrząsnął głową, gdy obcy przybysz wjechał do miasta. Myślał, że większość barwnych postaci wyjechała po tym katastrofalnym święcie, ale potem znów przybywali dziwni ludzie, nacje rzadko spotykane w tych stronach.

Niektórzy z nich wyglądali dziwnie, nawet jak na przybywających z najdalszych stron świata. Dzień wcześniej był tu gruby Wendjanin, którego turban wydawał się świecić.

Potem pojawił się Nemedyczyk tak chudy, jakby cierpiał od zarazy. Ruchy miał

nienaturalnie szybkie. Teraz przybył ten mężczyzna z kraju Kitaj. Szaty jego były bogate, a twarz zasłonięta welonem.

To było intrygujące, ale najbardziej zadziwiający był Sagobal, który jechał w kierunku bramy. Wracał z patrolu i wyglądał, jakby miał ochotę kogoś zabić. W takiej chwili najlepiej pozostać nie zauważonym przez kapitana straży.

Gdy przejeżdżał Sagobal, strażnik bramy zeszywniał z obojętną twarzą, w tej chwili całkiem zapominając o dziwnych cudzoziemcach.

Cymmeryjczyk i turański czarownik wracali do miasta karawaniarzy do Zielonych Wód.

Wszystko wyglądało podobnie, jak wówczas, gdy jechali pierwszy raz do tej oazy.

Wielbłądy i konie piły wodę z jeziora położonego pośród palm. Inne zwierzęta stały wśród zieleni, a mężczyźni założyli obozowiska i parzyli herbatę na małych ogniskach. Niektórzy mieli rozstawione namioty. Inni znów siedzieli pod gołym niebem. Część z nich zwróciła

uwagę na dwóch jeźdźców. Przywiązane konie stały wewnątrz ogrodzenia.

Kiedy jeźdźcy przekroczyli bramy miasta, znów usłyszeli dźwięki egzotycznej muzyki dochodzące z rynku. Tym razem pojechali okrężną drogą przez boczne uliczki. Na targu z żywnością kupili wiązkę dobrze wysuszonego drewna na opał, ciasno związanego skręconymi nitkami. Tobołek przywiązali do siodła czarownika i ruszyli na rynek.

Na rynku grała muzyka i wirowali tancerze. Jeźdźcy minęli ich i podążyli w kierunku siedziby władz miasta, nad którą wciąż powiewała chorągiew królewska i chorągiew generała Katchki. Zatrzymali się u stóp szerokich schodów wiodących na portyk. Kiedy oficerowie siedzący przy długim stole zauważyli przyjezdnych, umilkli i zapanowała cisza.

Generał Katchka wciąż siedział na swoim zwykłym miejscu, a kiedy spostrzegł, że jego ludzie ucichli, rozejrzał się zdziwiony. Oczy miał czerwone i mętne. Ruszał się ospale, z wolna odwracając się do przybyłych. Obok niego stał wezyr Akhba. Spojrzał szerokimi ze zdziwienia oczami na Cymmeryjczyka i czarownika.

— Co jest? — zapytał Katchka głosem bardziej szorstkim niż zwykle — Cymmeryjczyk!

Nie zabawieś tam zbyt długo.

— Nie tracę czasu generale — rzekł Conan.

— Gdzie jest kapitan Mahac? — spytał Akhba. — Pojechał na wasze spotkanie. Miał was tu eskortować na wypadek, gdybyście byli ścigani przez rebeliantów. — Jego zdziwienie ustąpiło, a na twarz powrócił wyraz przebiegłości.

— Wątpliwe, czy kapitan jest teraz w odpowiednim miejscu — rzekł Conan. — Gdzie jest moja kobieta Lajla?

— Gdzie głowa pretendenta, Idrisa? — licytował się Katchka.

— Przyrowadź kobietę, a będziesz miał głowę — odpowiedział Conan.

— Nie wierzymy ci barbarzyńco — rzekł Akhba.

— A więc spójrz! — Jeszcze raz Conan wziął zakrwawiony wór ze swoich juków i sięgnął do niego.

— To on! — krzyknął Akhba. — To żywe odbicie starego króla.

Wyciągnął przed siebie rękę, w której trzymał głowę przystojnego młodzieńca.

— Racja — zagrzemiał Katchka — to nie może być nikt inny.

— Kobieta! — ponaglał Conan.

— Chwileczkę — rzekł Akhba. Odwrócił się i krzyknął coś w stronę budynku. W chwilę później wyszły dwie służące, a między nimi Lajla. Była smutna i przestraszona, ale uśmiechnęła się, gdy ujrzała ojca i wielkiego wojownika.

— Teraz głowa! — Akhba wyciągnął ręce, jak chłopiec chcący złapać piłkę.

— Najpierw pozwól dziewczynie podejść do nas — rzekł Conan.

— Tracimy czas — stwierdził Akhba. Zaczął wydawać rozkazy strażnikom stojącym obok, ale w tym momencie czarownik rzucił wiązkę drewna na chodnik między konie. Wskazał palcem na drewno i wypowiedział wiele słów, które odbiły się od rynku niesamowitym rezonansem. Natychmiast szczapy zapłonęły intensywnym, niebieskim płomieniem. Konie odskoczyły przestraszone. Conan zmusił swego rumaka, by stał spokojnie, a on trzymał dyndającą głowę za czarne włosy nad ogniem.

— Jeśli ją upuszczę, spłonie natychmiast — rzekł — nie będziesz mógł ofiarować królowi tego trofeum. Oddaj nam kobietę!

Katchka nie mógł oderwać wzroku od ohydnej głowy, jego świńskie oczka chciwie świeciły.

— Kobieta jest nieważna — powiedział. — Pozwólcie jej odejść.

Akhba kiwnął głową do służących i Lajla ruszyła naprzód. Zeszła ze schodów i podeszła

do konia swojego ojca. Z wdziękiem włożyła nogę w strzemień i usiadła tuż za plecami

Volvolicusa. Tym razem nie posłała Conanowi żadnych szyderczych słów. A on nieugięcie trzymał głowę nad ogniem.

— Jedź — powiedział do Volvolicusa. Mag zawrócił i pogalopował, oddalając się od cichego teraz rynku.

— Bardzo dobrze wypełniłeś swoją część umowy — rzekł Akhba.

— A co z moimi trzema tysiącami uncji złota? — Conan uśmiechnął się, widząc

konsternację, ale po chwili jego uśmiech zniknął. Magiczny ogień dogasał, zostawiając po sobie tryskające, poczerniałe gałązki. Katchka zamierzał właśnie krzyknąć coś do swoich strażników, ale usta zamknęły mu się, gdy Cymmeryjczyk cisnął głowę w jego kierunku.

Zapominając o wszystkim, generał chwycił tobołek, śmiejąc się wesoło.

Barbarzyńca spał ostrogami swego konia. Wspaniały wierzchowiec pognał do najbliższej bramy.

— Zabić go! — krzyknął Akhba. Potem zaczął pieścić głowę młodzieńca.

Conan był już blisko jednej z bocznych ulic, gdy dwóch żołnierzy schwyciło jego wodze.

Wyciągnął miecz i przepołowił czaszkę jednego z nich, po czym kopnięciem pozbył się drugiego. Zrobił unik przed włócznią, świszczącą złowieszczo mu nad głową, a potem ruszył w dół ulicy, biorąc kurs na bramę.

Generał i wezyr nie zwracali uwagi na chaotyczną bieganinę wokół nich. Na wpół pijani żołnierze, krzyczeli, aby siodłać konie i ruszać w pogoń.

— Cóż Idrisie — rzekł Katchka. — Myślałeś, że zasiądziesz na tronie? — Splunął w twarz

trupa i roześmiał się.

— To odpłaci ci za przywleczenie mnie tutaj — rzekł Akhba. — Zmusiłeś mnie do opuszczenia dworu i przybycia do tej ponurej prowincji w pogoni za wyrostkiem, jakim byłeś i twoimi prymitywnymi krewnymi. Splunął siarczyście. Gdy ślina dotknęła twarzy, skóra jej zaczęła skwierczeć, mącąc się jak wrząca woda w czajniku. Katchka krzyknął zaszokowany i zdumiony. Upuścił głowę, jakby nagle rozpałała się do czerwoności. Czarne, lśniące włosy zmieniły się w cienkie, brązowe kosmyki, a blada twarz pociemniała. Generał i wezyr krzyknęli z wściekłości i przerażenia. Ze szczytu schodów gapiła się na nich znajoma twarz kapitana Mahaca.

Conan ryczał ze śmiechu, gdy jechał w dół głównej ulicy miasta. Ludzie patrzyli na niego, zastanawiając się nad przyczyną tej szaleńczej jazdy. Słyszał za sobą jazgotliwe dźwięki trąbki i wiedział, że zacznie się teraz pościg. Pozostawił za sobą paru mocno rozgniewanych mężczyzn. Przejechał przez bramę i galopował między rzędami palm. Kierował się ku

pustyni. Chwilę potem dogonił Volvolicusa i Lajłę. Kobieta dosiadła teraz konia, którego wzięli ze sobą i przywiązali za oazę. Był to jeden ze skradzionych koni Sagobala.

— Teraz musimy jechać, przyjaciele — rzekł Conan. — Oni są spragnieni naszej krwi.

Wciąż zanosił się od śmiechu jak chłopiec, któremu udało się uniknąć kary za wyjątkowo perfidną sztuczkę. Lajła jechała obok niego, uśmiechając się szeroko i po raz pierwszy bez złośliwości.

— Przyjmij moje przeprosiny Conanie, — zawołała głośno, by jej głosu nie zagłuszył tętent końskich kopyt. Jechali teraz przez miękkie piaski pustyni.

— To prawda, że jesteś prawie takim bohaterem za jakiego się uważasz.

— To była przyjemność oszukać te świnię — powiedział szczerząc zęby. — Czy skrzywdzili cię? — spojrzał w tył, ale nie zobaczył nic oprócz swojego falującego płaszcza i pustyni.

Pościgu nie było na razie widać.

— Pewnie by to zrobili, ale obaj — Katchka i Akhba upijali się na umór każdej nocy. Nie wiem jednak, jak długo by to trwało. To dobrze, że przyjechałeś w porę.

— Są za nami! — zawiadomił ich Volvolicus. Conan odwrócił się jeszcze raz.

W oddali pojawił się długi szereg jeźdźców. Z tej odległości mężczyźni i konie wyglądali, jak czarne punkciki na horyzoncie.

— Czy mogą nas złapać? — spytała Lajla z niepokojem.

— To prawdopodobne — przyznał Conan. — Choć nasze konie są lepsze, wypoczęte i mamy nad nimi przewagę. Ale możesz być pewna, że każdy z tych żołnierzy ma dwa albo trzy wierzchowce na zmianę. Zagrozą nam, jadąc tylko na kilku koniach z pełną prędkością. Zmuszą nas do tego samego. Reszta ich koni może w tym czasie pozostać w tyle, nabierając sił. To wilcza pogoń.

— To nie brzmi najlepiej — powiedziała niepewnie.

— Czarowniku! — zawołał Conan — czy mógłbyś gwizdnąć, aby wywołać burzę piaskową?

— Nie można przywołać żywiołów wiatru gwizdząc, człowieku północy. Mówiłem ci o trudnościach w posługiwaniu się magią w takich warunkach.

— Czyny, czarodzieju! — krzyknął zniecierpliwiony Conan. — Potrzebne są nam czyny, nie słowa!

— Spróbuję — zgodził się Volvolicus.

Podróżowali od wielu godzin i zmęczone konie ciężko dyszały. Conan i Lajla jechali w milczeniu, czując, że żadne słowa nic tu nie zmienią. Volvolicus mamrotał coś na głos, próbując użyć swoich czarów. Początkowo nie było widać żadnych efektów. Gdy słońce schowało się za horyzont i błysnęły, pierwsze gwiazdy, zerwał się nagle potężny wiatr, wznecając tumany kurzu i piasku.

— To nie potrwa długo — zastrzegł czarodziej. — Musimy wykorzystać sytuację.

— Nawet jeśli oddalimy się od nich tylko o godzinę drogi, to nam pomoże — stwierdził Conan. Otoczeni chmurą kurzu, umknęli nie zauważeni. Jechali w dół rzędem i skręcili na kamienistą drogę, po to, aby nie zostawiać śladów. W pewnym momencie Conan zarządził postój, by dać wypocząć koniom. Zwierzęta i jeźdźcy pokryci byli kurzem. Cymmeryjczyk w

tym czasie oczyścił konie i sprawdził kopyta.

— Tak dłużej być nie może — powiedziała Lajla — zajeździmy zwierzęta na śmierć, jeśli dalej będziemy jechać w tym tempie.

— To prawda, martwi mnie, że tak je wykorzystujemy — stwierdził Conan. — Ale jeśli musimy zajeździć je na śmierć, zrobimy to, ponieważ nie mamy wyboru.

Uciał tym wszelką dyskusję i wydlubał kamyk, tkwiący pod końską podkową.

— Mam nadzieję, że Katch prowadzi pościg osobiście.

— Dlaczego ci na tym zależy? — zapytała dziewczyna.

— Po pierwsze, jeśli nas złapią, będę miał okazję porąbać go na kawałki. Po drugie — tu puścił końskie kopyto i wyprostował się — żaden koń nie pobiegnie szybko z taką górą sadła na grzbiecie. Jeśli generał jest z nimi, opóźni pościg.

Wiatr ucichł. Wędrowali prowadzeni przez gwiazdy. Posuwali się ostrożnie. Conan jechał na przedzie. Dzięki jego wyostrzonym zmysłom, gwiazdy i słaby blask księżyca okazały się wystarczające, by utrzymać szybki kłus. Mimo to, nocna jazda nigdy nie była bezpieczna.

Nawet tak bystre oko, jak Conana mogło nie dostrzec zwierzęcej nory, będącej zagrożeniem dla końskich kopyt. A w świetle gwiazd drapieżniki chętnie wychodziły na żer. Wiele było rysi i lisów. Niegroźne dla ludzi, pojawiając się znienacka, mogły wystraszyć konie. Raz z daleka Cymmeryjczyk dostrzegł parę lwic polujących na gazy lub antylopy, często

spotykane na obrzeżach pustyni i w pobliżu rzeki.

— Czy zgubiliśmy ich? — spytała Lajla, kiedy zachodni horyzont zaczął szarzeć.

— To raczej wykluczone — odparł Conan. — Mogli utworzyć coś w rodzaju sieci, aby przeczesywać obszar rozciągający się w okolicach rzeki. Kiedy dostrzegą nas, będziemy daleko. Mamy pewne szanse.

Szarość zmieniła się w blady róż. Słońce ostro przecięło horyzont i uciekająca trójka pozostawiała długie cienie. Kierowali znużone konie ku polom uprawnym w pobliżu rzeki, gdzie od stuleci uparci wieśniacy kopali kanały, by nawodnić wypaloną ziemię.

— Widzę ludzi — krzyknął Volvolicus. Czarodziej był o wiele bardziej zmęczony niż jego córka i Cymmeryjczyk. Brakowało mu jej młodości, jego żelaznej siły i wytrzymałości.

Zachwiał się w siodle, wskazując na lewo, gdzie widoczny był rząd jeźdźców w błyszczących zbrojach, zmierzający prosto w ich stronę. Na czele Conan rozpoznał potężną postać generała Katchki. Rycząc tryumfalnie, Iranistańczyk wyciągnął miecz i wznosił go nad głowę, ponaglając swoich ludzi.

Jeźdźcy, na wypoczętych koniach i z mniejszym ładunkiem, zaczęli wysuwać się naprzód.

— Jedźcie w stronę rzeki — krzyknął Conan. — Jeśli to będzie konieczne, zabijcie konie.

Spiął konia ostrogami, a Lajla zdjęła pasek ze swej smukłej talii i zaczęła chłostać nim konia, by zmusić go do szybszej jazdy. Jednak zwierzęta nie mogły podołać nie kończącym się wysiłkom. Były u kresu wytrzymałości.

— Teraz widzę ludzi po prawej stronie — powiedział zmęczonym głosem Volvolicus.

Conan spojrzał i zaklął. Jeszcze większa grupa jeźdźców nadciągała z tej strony.

— Jesteśmy w potrzasku! — Conan wyciągnął swój miecz.

— Wy dwoje jedźcie nad rzekę, a ja zabiję tę świnię!

Lajla krzyknęła, by go powstrzymać, on jednak zawrócił konia i stanął naprzeciwko nadjeżdżającego generała, próbując ocenić, czy uda mu się zabić go, nim zostanie pokonany przez innych.

— Conanie — krzyknął czarodziej — to nie są ludzie Katchki!

Cymmeryjczyk nie zwrócił uwagi na enigmatyczną uwagę czarodzieja. Jego umysł i wola koncentrowały się na nadjeżdżającym generale i mieczu, który trzymał w dłoni. Wtedy

nagle coś się wydarzyło. Nadjeżdżający ludzie zwolnili. Rozproszeni jeźdźcy dołączyli do głównej grupy i razem uformowali zwartą drużynę, a w środku niej znalazł się generał.

Conan spojrzał za siebie i zauważył nadjeżdżających ludzi. Nie nosili błyszczącej zbroi, ale obskurny, złachmaniony strój rebeliantów. Na ich czele jechali Hosta i Eltis, zaś za nimi widać było młodą twarz Idrisa, otoczonego przez dwóch niezdarnych strażników.

Z okrzykiem radości, Cymmeryjczyk ruszył prosto w kierunku linii nieprzyjaciela.

Przeciwnicy wydawali groźne pomruki i klęli, ale zachowywali się jak przystało na zaprawionych w bojach. Pierwszego, który zdecydował się powstrzymać jego atak, Conan przerąbał od ramienia aż do siodła, a jego ciężki wierzchowiec przewrócił na grzbiet lekkiego konia przeciwnika. Przeskoczywszy leżącego konia i martwego jeźdźca, Cymmeryjczyk zakręcił wielkim mieczem, zrzucając na ziemię kolejnego napastnika, dzierżącego w dłoni błyszczącą, stalową kuszę.

Nadjeżdżające szyki zwały się w boju. W chaosie, siekąc, rąbiąc, kłując, każdy starał się uśmiercić tyłu wrogów, ilu zdoła, nim dosięgnie go krwiożercza stal. Ludzie krzyczeli, a konie rżały, słysząc podzwaniającą broń, złowieszcze tony wydawane przez przeszywającą ciało stal i krótki chrzęst łamanych kości.

Conan dostrzegł przed sobą wściekłą, wykrzywioną twarz generała Katchki. Rebeliancki jeździec podjechał do generała i usiłował wbić lancę w jego wielki brzuch, ale ten z pogardą odtrącił mieczem mierzący w niego grot i zadał cios. Korpus buntownika pozbawiony głowy pędził teraz w koszmarnym galopie. Struga szkarłatnej krwi tryskała wysoko w powietrze z rozciętej na pół szyi.

— Barbarzyńco! — wrzasnął generał — Oszukałeś mnie! Ośmieszyłeś mnie przed ludźmi!

Psie! — gwałtowny potok słów wylewał się bezładnie, wyrażając jego najwyższą wściekłość.

Wydał z siebie nieartykułowany ryk i rzucił się na Conana. Ten z radością wyszedł mu naprzeciw. Stal zadźwięczała, uderzając o stal w błyskawicznym następstwie ciosów.

Przeciwnicy zadawali je, dzierżąc broń w obu rękach. Zręcznym skrętem miecza Conan zablokował ostrze Katchki, zatrzymując je w miejscu.

Konie zawróciły, a mężczyźni, trzymając mocno za rękojeści obrócili ostrza, próbując nawzajem wytrącić sobie broń z garści. Czując, że jego uchwyt słabnie, Katchka nie starał się przedłużyć starcia, lecz wycofał swój miecz. Zaskoczony Conan zachwiał się,

Iranistańczyk rąbnął go w twarz metalowym hełmem. Uchwycił go potężnym ramieniem, a drugim wyciągnął sztylet.

Silne uderzenie w twarz sprawiło, że w głowie Conana zapłonęło oślepiająco białe światło.

Instykt zadziałał na szczęście szybciej niż myśl. Uwolnił swoją broń i schwycił generała za pancerz. W tej samej chwili jego dłoń odnalazła rękę Katchki uzbrojoną w sztylet. Palce

Conana zacisnęły się żelaznym uściskiem na grubym nadgarstku, a Katchka starał się

przyciągnąć Conana w stronę ostrza. Lecz ten trzymał go na odległość ramienia,

wykręcając mu potężne ramię tak, że nóż z wolna przybliżał się do ciała Katchki. To było nadludzkie, wyczerpujące starcie i nie mogło długo potrwać. Twarz generała wykrzywiła się w furii, a oczy wyszły mu na wierzch z przerażenia, gdy powoli jego własny sztylet zbliżył

się do gardła. Usiłował wyswobodzić dłoń, ale nieugięty uścisk Conana zupełnie

unieruchomił jego rękę. Generał krzyknął, gdy ostry jak brzytwa koniec zakrzywionego

noża dotknął obnażonej szyi. Wypłynęła strużka krwi, a potem popłynęła strumieniem.

Ostrze powoli zanurzało się coraz głębiej. Nagle jego krzyk przeszedł w skowyt, gdy ostrze przebiło język. Z ust wypłynęła spieniona fala krwi. Nóż przekuł podniebienie. Wciąż

jeszcze odpychał ramię Conana i opór ten zelżał, dopiero kiedy ostrze dotarło do mózgu.

Wtedy wszystkie mięśnie rozluźniły się i generał Katchka upadł na ziemię niczym ogromny rzeźnicki wór, pełen zwierzęcych wnętrzności.

Wtedy Conan uświadomił sobie, że walka rozgrywała się wśród zupełnej ciszy. Po chwili zdołał otrząsnąć się z oszołomienia — wirujące mu przed oczami gwiazdy zniknęły — mógł

teraz rozejrzeć się wokół. Odkrył, że znajduje się w samym środku wielkiego koła

buntowników siedzących na koniach i wpatrujących się w niego. Między nimi był

zmęczony, lecz szczęśliwy Volvolicus. Obok niego zagniewana Lajla.

— Próbowałam ich nakłonić, żeby wpakowali w tę świnię parę strzał, ale nie posłuchali mnie! — zawołała.

— Parę strzał? — powtórzył Idris, zgorszony. — Nie przepuściłbym okazji, aby obejrzeć takie widowisko, nawet gdybym musiał zrzec się tronu!

— Gdyby tylko był z nimi Akhba — rzekł Dunas, kuzyn pretendenta.

— Już jego król postąpi z nim tak, jak na to zasłużył! — powiedział Eltis z satysfakcją. —

Kiedy mu zamelduje, że nie zniszczył nas, ale jeszcze stracił generała, i że pół skrzydła jazdy jest wycięte w pień — tu przerwał delektując się. — No cóż, jeżeli trafi na dobry

humor Xarxasa, wtedy może tylko go ukrzyżuje.

— Jak ci się udało dojechać na czas? — spytał Conan, tamując cieknącą mu z nosa krew.

— Ostatniej nocy udaliśmy się dużą grupą na patrol — rzekł Eltis — ludzie byli podnieceni tym, że rozbiliśmy oddział Mahaca i mieli nadzieje na nowe polowanie.

Spotkaliśmy dwóch żołnierzy, którzy wczoraj podczas burzy piaskowej oddzielili się od oddziału. Powiedzieli nam, że ścigali cię, a Katchka osobiście dowodzi niewielkim oddziałem.

— Wywnioskowaliśmy, iż będziesz próbował zgubić ich gdzieś tutaj, na tych bezdrożach, wśród skał — stwierdził Hosta — a jak pojedziemy szybko, to być może dopadniemy ich gdzieś w tej okolicy. Konie musieli mieć zmęczone. Mieliście szczęście, bo zjawiliśmy się, zanim zdążyli was schwytać.

— Zauważyłeś chyba, że nie ma z nami twoich ludzi — rzekł Eltis. — Prawdopodobnie zdezerterowali.

— Wydaje mi się, że siedzą pijani w tawernie — dobrzy, lojalni żołnierze, tacy jak oni, nie dezertują.

— Jeżeli rzeczywiście znaleźli jakąś tawernę, to muszą być wiele kilometrów na północ od rzeki.

— Kto by się nimi zajmował? — stwierdził Idris. Uśmiechnął się, widząc żołnierza przytraczającego do jego siodła głowę Katchki — ludzie z północy będą się teraz gromadzić wokół mnie, gdyż zwyciężyłem w otwartej walce jednego z generałów Xarxasa. Mam na to dowód! — poklepał odrażającą głowę. — Conan, jedź ze mną. Uczynię cię dowódcą całej mojej jazdy.

Conan dostrzegł jak piorunujące wrażenie zrobiło to na starszych oficerach, którzy zwrócili się w jego stronę.

— Obawiam się, że muszę odmówić, Wasza Wysokość. Pilne sprawy wzywają mnie do Turanu.

— Ten człowiek północy, królu to wielki wojownik — rzekł Eltis — ale skoro tylko odzyskałbyś należny ci tron, stałby się bardzo niewygodną postacią twojej świty.

Wprawdzie zdezerterował, ale wyświadczył ci wielką przysługę i dlatego ochroniliśmy go.

Zatrzymać go byłoby niebezpiecznie, a zabić to niewdzięczność.

Młodzieniec patrzył z wyraźnym niezadowoleniem, nieszczęśliwy z powodu utraty swego nowego bohatera.

— Doskonale Conanie, jedź, i przyjmij moje podziękowania. W przyszłości powinienes skierować swe kroki do Iranistanu, wiedząc, że tamtejszy król ma wobec ciebie dług.

Były to królewskie słowa wypowiedziane przez chłopca, otoczonego obdartymi żołnierzami, Conan jednak dobrze wiedział, że nie wolno mu się roześmiać. Zamiast tego, siedząc na koniu, skłonił się przed królem.

— Wasza wysokość, wyświadczasz mi wielką łaskę. A teraz opuszczam cię. Niech los ci sprzyja w walce o należny ci tron.

Pretendent skłonił łaskawie głowę, a Cymmeryjczyk wraz ze swymi towarzyszami wy dostał się z kręgu otaczających go rebeliantów.

Przechodzili przez rzekę. Bród był tak łatwy, że Conan zatrzymał się prawie w samym środku nurtu. Zawiesiwszy swój pas z bronią na łęku siodła, zdjął buty i zsiadł z konia.

Zanurzył się w wodzie, chcąc zmyć z siebie krew, kurz i pot oraz odświeżyć ubranie. Potem wstał, wycisnął wodę ze swoich grubych, czarnych włosów. Spostrzegł, że Lajla poszła w jego ślady. Stała wyciskając strugi wody z warkoczy, a mokra sukienka przylegała ściśle do jej ciała. Cieniutka barwna powłoczka ukazywała, że jest ono równie piękne jak twarz. A

pod swym jedwabnym okryciem Lajla nie ma na sobie nic.

— Powinienes do nas dołączyć, ojczy — powiedziała.

— Zaczekam aż natrafimy na bardziej dogodną sposobność do kąpieli — odrzekł z godnością Volvolicus.

Conan natychmiast poczuł się, jak nowo narodzony. Szybko zrzucił z siebie całodzienne zmęczenie po zajadłej walce. Na szczęście bitwa nie okaleczyła go. Nos miał nienaruszony, choć twarz bolała go jeszcze przez parę dni. Żałował teraz, że Volvolicus jest razem z nimi.

Nagle zapragnął porwać Lajlę w ramiona i zanieść ją w miłe cieniste miejsce na brzegu.

Pocieszył się jednak, myśląc, że w niedalekiej przyszłości znajdzie jakąś inną okazję.

Dosiadł ponownie konia i ociekając wodą wy dostał się z rzeki. Pozostała dwójka pojechała za nim.

— Biorąc pod uwagę, co zrobiłeś dla tego młodego pretendenta — stwierdziła Lajla — powinien być cię suto wynagrodzić.

Ukazała się w wilgotnej sukni, która chłodząc jej ciało schła na porannym wietrze. Conan roześmiał się.

— Dobrze będzie, jeśli w nadchodzącym czasie zapewni swoim jeźdźcom spodnie. Ten człowiek jest tylko pogrążonym w ubóstwie pretendencem, który podniósł rebelię w

najbiedniejszej części Iranistanu. Gdyby nie szczęśliwy przypadek, nie byłby nikim więcej niż zbuntowanym baronem. Jeśli dworzanie, którzy mają władzę, dojdą do wniosku, iż

będzie lepiej pozbyć się Xarxasa, powołają na tron tego królewskiego bękarta — wzruszył ramionami — wtedy być może sprawy potoczą się zupełnie inaczej. Sadzę, że życie króla jest równie ryzykowne, jak żywot wędrującego wojownika.

Dotarli do skraju trawiastego obszaru i Conan zarządził postój:

— Musimy się trochę przespać — stwierdził — A przede wszystkim nasze konie potrzebują odpoczynku. Niech sobie spokojnie skubią trawę przez resztę dnia. Wyruszymy nocą, kiedy będzie chłodniej.

— To mi odpowiada — powiedziała Lajla, zeskakując z konia. — Jest tu trochę cienia, a ja czuję się bardzo zmęczona.

Conan rozsiadł konie i roztarł im grzbiety, a Lajla na trawie rozłożyła koc. Ułożył się tam jej znużony ojciec. Po chwili już chrapał. Córka, skulona położyła się tuż obok.

Cymmeryjczyk, zadowolony, że ich zwierzęta mają pod dostatkiem pożywienia i są solidnie przywiązane, oddalił się nieco w poszukiwaniu cienistego miejsca, gdzie mógłby się przespać. Mieli stąd doskonałą widoczność we wszystkich kierunkach. Prawdopodobnie Conan szybko by się zbudził, gdyby zbliżał się ktoś obcy. Kiedy wreszcie znalazł dla siebie odpowiednie miejsce, rozłożył opończę w cieniu na gęstej trawie. Ściągnął buty. Przykrył się cienką płachtą pustynnego płaszcza. Mięśnie jego rozluźniły się.

Prawie spał, gdy kiedy coś pociągnęło za okrywający go materiał. Pod płachtę wsunęła się Lajla. Gdzieś z boku zostawiła swoją szatę.

— Mój ojciec zazwyczaj mocno śpi — to było wszystko, co powiedziała zanim wtuliła się w jego otwarte, oczekujące ramiona.

Następnego dnia dojechali do małego, bogatego miasteczka. Zamieszkiwała je społeczność górnicza. Mężczyźni harowali tam, wydobywając w wielkiej kopalni odkrywkowej rudę cyny. Miejscowość nie posiadała bramy ani straży, więc Conan zwrócił się do sprzedawcy owoców, którego stragan, osłonięty cienką tkaniną podtrzymywaną przez drążki, był ustawiony na skraju miasta.

— Gdzie mogę znaleźć najtańszą tawernę w tym mieście? — zapytał. — Taką, w której zbierają się najgorsi łajdacy.

— Szukasz chyba tawerny „Pod Tchórzliwym Żołnierzem” — odrzekł stary człowiek, —

Stoi przy tej ulicy, w pobliżu miejskiej latryny. Smród powie ci, że jesteś blisko celu. Może chcesz kupić trochę pomarańczy? Są świeże, zerwano je dziś rano.

Kiedy Lajla targowała się o owoce, Conan i Volvolicus pojechali dalej. Przejechali centrum miasta, zanim dotarli do niskiej lepianki. Na jej białej fasadzie namalowano jaskrawymi kolorami sylwetkę uciekającego bojownika, ściganego przez pęk strzał, oszczepów i toporów. Tak, jak ich uprzedzono, duszno tu było od smrodu, wydobywającego się z publicznej latryny.

— Jeśli dobrze znam tych drani, muszą być tutaj — powiedział Conan.

Uwiązawszy konie, weszli do obskurnej knajpy. Wejście ozdabiała zasłona z paciorków, która z trudem chroniła przed chmurami much, wypełniającymi powietrze natarczywym bzykaniem.

— Wodzu! — wykrzyknął radośnie Ubo — wróciłeś! Widzę, że czarownik też tu jest.

Chodźcie do nas!

Jednooki Turańczyk grał w kości z Chamikiem, podczas gdy Auda chrapał na podłodze.

Między nimi stał garniec miodu, w którym pływało kilka martwych much. Conan usiadł.

— Gdzie reszta?

— Mamos jest w drugim pokoju z zupełnie beznadziejną nierządnicą — odpowiedział

Chamik. — A Osmana nie widziałem od przedwczorajszej nocy.

— Pewnie przygruchał sobie jakąś kobietę, której mąż całymi dniami siedzi w kopalni. —

Ten to ma gładką wymowę! — powiedział Ubo, przewracając do góry dnem skórzany

kubek. Po chwili podniósł go, by odsłonić fatalny dla siebie układ kości. Rycząc z uciechy, Chamik zagarnął srebrne monety.

— Odzyskałeś tę dziewczynę? — spytał.

— Jest z nami — odparł Conan. — A u was wszystko w porządku?

— Dopóki mieliśmy pieniądze, nikt nam nie przeszkadzał — powiedział Chamik. Jednak dotarła do nas wiadomość, która wydaje się niepokojąca.

— O co chodzi? — spytał Conan.

— Widziano wielu ludzi różnych narodowości jadących wzdłuż rzeki — mówił Ubo. —

Pewien człowiek powiedział nam, że nie wyglądali na żołnierzy, ale byli uzbrojeni i dzicy.

Przewodził im brutalny, gruby Akwilończyk. Zadawali dużo pytań.

Conan intuicyjnie wyczuł niebezpieczeństwo.

— O co pytali?

— Pytali o grupę mężczyzn, którzy z opisu byli do nas bardzo podobni — odrzekł Chamik.

— Szczęśliwie szukali drużyny dużo liczniejszej, prowadzonej przez wielkiego, ciemnowłosego przybysza z północy. A ponieważ nas jest tylko pięciu i nie było między nami żadnego obcego, nie mogliśmy zostać pomyleni z tą bandą.

— To bardzo prawdopodobne, że szukają właśnie nas — wtrącił Volvolicus. — Tylko skąd przybywa ta dzika drużyna? Dlaczego nie są to strażnicy Sagobala, albo ludzie Torgut Chana?

— Jak się nazywał ten akwiloński przywódca? — spytał Conan.

— Tego nie wiadomo — odparł Ubo — ale sprzedawca wielbłądów słyszał, jak zwracano się do niego „Berytusie”.

Conan zaklął i rąbnął pięścią w stół.

— Znasz go? — zapytał czarodziej.

— Tylko ze słyszenia. Jest łowcą ludzi. To jego zawód i pasja. Za pieniądze wyłapuje poszukiwanych ludzi i zbiegłych niewolników. Co za pech ściągnął go tutaj wtedy, kiedy Sagobal potrzebował kogoś takiego?

— Myślisz, że jest niebezpieczniejszy od Sagobala? — spytał Volvolicus.

— Gwarantuję, że jego banda jest o wiele niebezpieczniejsza, niż ci, którymi dysponuje Sagobal. Łapanie ludzi jest obowiązkiem żołnierzy i stróżów prawa. Niektórzy są w tym dobrzy, ale nie wszyscy. Banda Berytusa składa się z wybranych ludzi, a każdy z nich jest ekspertem. Ilu ich jest?

— Kiedy przyjechali tu po raz pierwszy — rzekł Ubo — wkrótce po tym, jak opuściliśmy Shahpur, było ich dwudziestu. Za drugim razem, dwa dni przed naszym przybyciem, liczba ich zmniejszyła się do siedemnastu.

Czarodziej spojrział na Conana.

— Mój dom! Kilka dni temu wyczułem ich, obudzili moich wartowników. Założę się, że to wtedy Berytus stracił swoich ludzi. Naprawdę musieli być mocni, skoro zginęło tylko

trzech.

— Siedemnastu, to dla nas zbyt wiele, wodzu — powiedział spokojnie Chamik — nawet, gdyby byli zwykłymi żołnierzami.

— Racja, nie jesteśmy w stanie prowadzić z nimi otwartej walki. Poza tym, to miejsce nie jest dla nas dobre,

— Dokąd pójdziemy — spytał Ubo.

— Proponuję, żebyśmy powrócili do kryjówki, gdzie złożyliśmy łup — powiedział Chamik.

— Każdy niech weźmie tyle, ile jest w stanie udźwignąć i rozjedziemy się w różnych kierunkach.

— W ten sposób zaprowadzimy ich prosto do skarbu — zauważył Conan. — Nie. Musimy poczekać jeszcze kilka dni, żeby król zdążył odwołać Torgut Chana i stracić Sagobala.

Wtedy teren będzie wystarczająco oczyszczony, żebyśmy mogli wrócić i zabrać skarb w całości. Będę również potrzebował trochę czasu, żeby wytropić tych wszystkich łowców ludzi i zorientować się, w jaki sposób z nimi postępować.

— Więc dokąd jedziemy? — spytał Chamik.

— Do domu Volvolicusa — odparł Conan. — Oni niedawno tam byli, poza tym czarownik ma wartowników i dzięki swoim zdolnościom będzie wiedział, kiedy drużyna Berytusa pojawi się w pobliżu. Co o tym sądzisz, Volvolicusie? Możesz nas ukryć na kilka dni?

— Mogę — zgodził się dość niechętnie. — Nie będzie to zbyt wygodne, ale da się zrobić.

W rzeczywistości chciał jak najszybciej powrócić do swoich ksiąg, narzędzi i do miejsca, gdzie czuł w pełni swą władzę.

Conan podniósł się.

— Więc zbierzcie resztę i idziemy. Łowcy ludzi mogą tu zmierzać, skierowani przez kogoś z miasta.

Godzinę później Conan, czarodziej, Lajla i czterech bandytów czekało gotowych do

odjazdu. Nigdzie jednak nie można było znaleźć Osmana.

— Wiedziałem — powiedział Mamos, a jego napiętnowaną i pokrytą bliznami twarz wykrzywił grymas obrzydzenia. — Ten nędzny oszust pognął po skarb!

— No to co? — stwierdził Ubo. — Ile on może ze sobą zabrać? Zaciągnie tam własną karawanę?

— Bardziej mnie martwi, że może zaprowadzić tam łowców — odparł Conan. — Pojadę za nim. Wy ruszajcie do domu czarodzieja.

— Zaraz! — powstrzymał go Mamos. — Skąd mamy wiedzieć, że nie zagarniesz skarbu dla siebie? Umawialiśmy się, że do podziału zostaniemy wszyscy razem!

— Uspokój się, durniu! — krzyknął Ubo. — Byliśmy razem, a Osman już się łupem zaopiekował. I wszyscy wiemy, że na pewno leży gdzieś z poderżniętym gardłem, albo rozłupaną głową. To wspólny los wszystkich złodziei i facetów, którzy flirtują z cudzymi żonami. Ufam naszemu wodzowi, choć żadnemu z was nigdy bym nie zaufał.

— Nie powiem, żebym się cieszyła, że zostaną z nami na kilka dni, ale skoro musi tak być, niech będzie — powiedziała Lajla.

— Kobieto — odparł Chamik — mamy lepsze rzeczy do roboty, niż maltretowanie córki czarownika w jego własnym domu. Ojciec twój mógłby zamienić nas w skorpiony.

— Nie zmieniliby to waszego charakteru — odcięła się — choć wyglądalibyście przystojniej.

Mężczyźni wybuchnęli śmiechem i wrócił im dobry humor.

— Spotkamy się za kilka dni — oznajmił Conan.

Odwrócił się i odjechał na zachód. Reszta pojechała bardziej na północ, w stronę domu Volvolicusa.

— Trzech z nich przejechało przez rzekę w tym miejscu, wodzu — powiedział Bahdur.

Przygarbiony, skośnooki mężczyzna zeskoczył z siodła i z uwagą badał ślady pozostawione na miękkiej ziemi przy brzegu.

— Jesteś pewien? — spytał Berytus.

— Ich konie zostały podkute przez tego samego kowala, który podkuł wierzchowce Sagobala.

— Ale tylko trzech? — zapytał zdumiony Berytus

— Tylko trzech — przytaknął Bahdur.

Akwilończyk zobaczył dwóch swoich ludzi, przejeżdżających przez zakole rzeki. Urdos i Ambula wjechali na brzeg, kierując się prosto do swego wodza.

— Wczoraj była tu niezła walka — stwierdził ogromny Kothyjczyk. — Na ziemi pełno jest krwi, ale nie ma ani kawałka zbroi, broni, czy koni. Ktokolwiek zwyciężył, nie zostawił po sobie niczego, prócz śladów.

— Może dlatego zostało ich tylko trzech — zastanawiał się Bahdur. — Reszta poległa w walce.

— To możliwe — zamyślił się Berytus. Miał ochotę ruszyć za trójką zmierzającą na północ, jednak wiedział, że musiał dowiedzieć się czegoś więcej o tej potyczce nad rzeką.

— Ambula, Barca, wy pojedziecie za tą trójką, która zostawiła tu swoje ślady. Wytroście ich, ale zachowajcie dystans. Może właśnie są tymi, których szukamy, chyba że wszyscy zginęli w Iranistanie, a ci mają konie ukradzione Sagobalowi. Ja pojedę zdobyć trochę informacji.

Wraz z czternastoma mężczyznami Berytus z Akwilonii wjechał prosto w rzekę. Dwóch pozostałych ruszyło na północ.

Conan jechał na zachód szerokim zygzakiem, starając się trafić na jakiś ślad Osmana.

Jednak pustynia w tej okolicy była kamienista i nawet tak wytrawny tropiciel jak on, szukając pojedynczego ludzkiego śladu, wystawiony był na nie lada próbę. W końcu

doszedł do wniosku, że to strata czasu. Ruszył więc prosto do kryjówki, starając się wybrać takie tempo, by dotrzeć tam po zmroku.

Na kilometr od kanionu zeskoczył z konia i resztę drogi przebył pieszo. Tuż przed świtem dotarł do jaskini, w której ukryty był skarb i przykucnął przed wejściem. Nie słyszał

niczego, poza odgłosami nocnych zwierząt i owadów. Nie czuł też żadnego dymu w powietrzu. Sprawa była niejasna. Taki mieszczuch jak Osman nie miał zbytniej wprawy w zacieraniu śladów. Było więcej niż prawdopodobne, że zgubił się szukając kryjówki.

Słońce wstało i Conan, zadowolony, że jest sam, przesunął kilka kamieni i wszedł do jaskini. Słoneczne światło, które wtargnęło do środka, ukazało skarb w stanie, w jakim go zostawili. Wrócił więc na zewnątrz i zasunął wejście.

Udał się nad wodę, gdzie zaskoczył dwie pijące antylopy. Piękne zwierzęta uciekły przerażone i Conan zauważył na ziemi ślady jeźdźców, którzy musieli kilka dni wcześniej przejeżdżać przez kanion. Nie byli to ludzie Sagobala, ich konie nie miały turańskich podków. Wiedział, że z pewnością byli to łowcy ludzi. Pośpiesznie zbadał dno kanionu i doszedł do wniosku, że jeźdźcy nie prowadzili w okolicy systematycznych poszukiwań, jednak posuwali się w tym samym kierunku, co uciekający bandyci. Zatem szukali ludzi, nie skarbu. Ale gdzie był Osman?

Cymmeryjczyk jęknął na myśl o czekającym go zadaniu, jednak było to konieczne.

Zawrócił w stronę jaskini.

— Gdzie on jest? — jęczał Torgut Chan. — Gdzie jest mój skarb?

— Ludzie przeszukują całą okolicę — powiedział Sagobal. — Stąd aż do granicy Iranistanu

podnoszą każdy kamień.

— Twój ludzisko są do niczego — ryknął Torgut Chan. — Podobnie, jak ty, szumowino!

Tego Sagobalowi było za wiele. Zbliżył się do przełożonego, a Torgut Chan cofnął się o krok.

— Nie mów do mnie tym tonem, ropucho! — zagrział Sagobal. — Król ma cię na oku i

jeśli cokolwiek mi się stanie, sam odczujesz to tysiącrotnie. Zbyt długo znosiłem twoją bezczelność, zniewagi, a nawet razy! Jestem twoją jedyną nadzieją, Torgut Chanie. Tylko ja mogę uratować cię przed ohydłą śmiercią w najgłębszej niełasce, więc skończ już tę

napuszoną gadaninę!

Twarz namiestnika zrobiła się purpurowa, wkrótce oklapł, jak ropucha, do której porównał go Sagobal.

— Masz rację, przyjacielu. Urzędnicy skarbu królewskiego zmiierzają ku nam i musimy pomagać sobie wzajemnie, by uniknąć gniewu władcy. Znajdź skarb, a będziemy w porządku wobec króla.

Sagobal uśmiechnął się i skłonił.

— Jak każesz, wodzu.

Odwrócił się i odszedł, świadom tego, że odtąd on tu rządzi.

* * *

W świątyni Ahrimana kapłani spotkali się na Uroczystym Zgromadzeniu. Wokół

ohydnego ołtarza stali Tragthan, Shosq i Nikas. Ciało tego ostatniego, przecięte nieomal na pół, teraz było prawie uzdrowione dzięki ich magicznym rytuałom i bliskości ich boga.

Kapłan Umos cały czas wmurowany był w ścianę krypty. Wciąż żywy, zachował czucie, choć wyglądał, jak na wpół strawiony.

— Wszystko idzie na opak — Tragthan zwrócił się do reszty. — Nasz straszliwy pan

przybywa za wcześnie i czuję zbliżającą się wrogą siłę. Tak, jakby wielka armia zaczęła oblegać miasto.

— Ja odczuwam podobnie — powiedział Shosq. — Cóż to może znaczyć? Czyżby wrodzy bogowie wyczuli powrót naszego pana? Może przybyli tu, by przeszkodzić mu w przybyciu na świat?

— Nie zauważyłem takich mocy — stwierdził Nikas.

— Kiedy leżałem w stanie bliskim śmierci, zostałem obdarzony wizją. I zobaczyłem wiele różnokolorowych płomieni, a część ich wyglądała jak płonąca ciemność. Wszystkie one zbliżały się do tego miejsca.

— Czyżby kapłani innych bogów byli nieprzyjaciółmi naszego pana? — zapytał Shosq.

— Myślę raczej, że to sprawka czarnoksiężników, magów i zaklinaczy tego wieku.

— Czarnoksiężnicy — Shosq zaśmiał się ponuro. — Nędzni sztukmistrze tego wieku nie mają takiej władzy! Nawet największy z dawnych czarnoksiężników nie byłby w stanie zmierzyć się z bogiem!

— Czarownik z dawnej Stygii mógłby — wtrącił Tragthan.

— Magowie i królowie wypędzili naszego pana z tej ziemi. Nie pozwalali mu wrócić przez wiele stuleci.

— Pomagał im Set — stwierdził Shosq. — Ofiary, jakie składali, by zyskać tę władzę, były niewyobrażalnie wielkie. Żaden mag z tej ery nie ma podobnej władzy.

— Jednak jeśli jest ich wielu, a nasz pan został przecież osłabiony... — tu Tragthan zawiesił głos. — Musimy jakoś temu przeciwdziałać.

— Co zatem możemy zrobić? — zapytał Nikas

— Po pierwsze, musimy zbadać sprawę — odpowiedział Tragthan. Wszyscy spojrzeli w dół, po czym zaczęli kontemplować gniazdo węży, będące ołtarzem Ahrimana. Pod wpływem nienaturalnie czerwonego światła przenikającego powoli do środka, gady zaczęły się wić.

Sagobal rozsiadł się i zagłębił w rozmyślaniach, szarpiąc nerwowo wąsy. Zbyt długo się to wszystko

ciągnęło. Ta sprawa powinna była znaleźć szczęśliwe zakończenie już dawno

temu. Czy to możliwe, że dał się wykpić na wpół dzikiemu barbarzyńcy z północy?

Wykluczone! To wynik przypadku i nieszczęśliwego zbiegu okoliczności.

Ktoś trzykrotnie zapukał do drzwi.

— Wejść — powiedział Sagobal.

Drzwi otworzyły się i strażnik wszedł do środka.

— Przyszedł jakiś człowiek i koniecznie chce cię widzieć, panie. Prosił, by to panu pokazać. — Strażnik podał mu mały, pomięty skrawek papieru. Sagobal rozwinął go i przyjrzał się z uwagą widniejącemu na nim znakowi.

— Wprowadź go i zostaw nas.

— Strażnik wyszedł. Kilka minut później zakapturzony mężczyzna wszedł do pokoju.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, ściągnął kaptur. I wtedy wyłoniła się twarz Osmana Shangaryjczyka. Skłonił się ceremonialnie:

— Pozdrawiam cię, o czcigodny wodzu Sagobalu.

Sagobal spojrzał nań z wściekłością.

— Co robiłeś tak długo, nędzniku? — spytał lodowato. — Powinieneś wrócić wiele dni temu, chyba że nie masz dla mnie żadnych wiadomości. W takim przypadku twoja śmierć będzie okrutna.

Osman spojrzał nań z fałszywym bólem.

— Jestem zdumiony, że przemawiasz tym tonem do biednego Osmana, który musiał znosić tyle trudów i upokorzeń lojalnie ci służąc.

Wzrok jego natrafił na dzban stojący na sagobalowym stole.

— I który z tej lojalności zrobił się strasznie spragniony.

— Weź sobie — przyzwolił Sagobal rozwścieczony.

Osman napełnił kubek, wypił do dna i oblizał wargi.

— Och panie, nie wyobrażasz sobie, jak ohydną lurę musiałem pić podczas tych ostatnich dni.

— A ty nie wyobrażasz sobie, jak okropne mogą być lochy, jeśli zajmujesz w nich celę jako więzień, nie jako spiskowiec.

— Nie musisz mnie straszyć — zaprotestował Osman. — Czy coś poszło niezgodnie z planem? Czyż nie wypełniłem wszystkich poleceń?

— Wszystkie, z wyjątkiem jednego — odrzekł Sagobal, niepokojąco łagodnym tonem. — Bandyci wymknęli mi się wraz ze skarbem. Gdzie oni są?

Osman podszedł do krzesła i usiadł.

— Nie ufasz mi, Sagobalu.

Oczy wodza rozszerzyły się ze zdumienia.

— A niby czemu miałbym ci ufać, nędzniku?

— Niemniej zapewniłeś mnie, że będę wolny, kiedy doprowadzę sprawy do szczęśliwego rozwiązania i że mogę działać na własną rękę?

Mały człowieczek nachylił się i powiedział z przejęciem:

— I jeszcze dowiaduję się, że wynająłeś obcych łowców ludzi, żeby odnaleźli mnie i moich niegdysiejszych kamratów.

— Prowadzę sprawy tak, jak uważam za stosowne — uciął Sagobal. — Wynająłem cię. I nie upoważniłem do komentowania moich decyzji.

— Zrobiłbyś lepiej, gdybyś mi zaufał. Teraz Conan wie o twoich szkalach i może się wcześniej zabezpieczyć. Dotąd sądził, że potrzebuje jedynie czasu. Wkrótce ty i Torgut Chan zostanieie zakuci w łańcuchy, a on będzie mógł swobodnie zniknąć ze skarbem.

Teraz już wie, że jesteś człowiekiem, który własnymi sposobami załatwia sprawy.

— Moja cierpliwość się kończy — Sagobal przerwał mu, kiedy dało się słyszeć trzykrotne

stuknięcie oszczepem w podłogę. Raz jeszcze strażnik otworzył drzwi, tym razem tylko po to, by się skłonić.

— Przybył Akwilończyk, wodzu.

— Przyślij go tutaj — rozkazał Sagobal.

Ciężki mężczyzna wtoczył się do pokoju. Gdy przechodził przez drzwi, spiczasty hełm, okrywający jego głowę, drasnął framugę wejścia. Uniósł w górę dłoń, aż zaskrzypiały skórzane paski oplatające jego przedramię. Zimne, puste spojrzenie spoczęło na Osmanie.

— Jak widzę, wrócił twój służalczy pies — stwierdził Berytus.

— Nieco wcześniej niż wielki szakal — odparł Osman. — Nigdy nie widziałeś mnie z tak bliska. Jak mnie poznałeś?

Berytus uśmiechnął się pogardliwie.

— Sądziś, że musiałbym cię zobaczyć w złocistym turbanie, żeby cię zapamiętać?

Wystarczy, iż raz spojrzę na kogoś, choćby tylko z daleka, i mogę go potem rozpoznać choćby w najciemniejszej dziurze.

— Tamta strzała przeszła cholernie blisko — poskarżył się Osman.

— Bahdur i jego łuk nie mylą się nigdy. Byłbym go zachęcił, żeby rozciął ci ucho, ale bałem się, że możesz zemdleć z przerażenia i zrujnować plan mego pracodawcy.

— Co chcesz mi zameldować? — przerwał im Sagobal.

— Na granicy z Iranistanem wybuchła wojna domowa — powiedział Berytus. —

Cymmeryjczyk wmieszał się w nią. Ten bandyta zyskuje rozgłos, gdzie tylko się pojawi. On i jego ludzie nie mieli ze sobą skarbu, gdy przekraczali granicę. Nie mieli go też kiedy jechali z powrotem.

— Sam mógłbym cię poinformować o tym wszystkim, panie — zauważył Osman. — Wcale nie potrzebujesz tego dzikusa.

— Cieszę się, że mogę o tym usłyszeć z dwu źródeł — stwierdził Sagobal.

— Czterech bandytów zatrzymało się niedaleko stąd, w miejscowości, w której jest

kopalnia cyny — zaczął Berytus.

— Znam to miejsce — przerwał Sagobal — czy jest z nimi czarownik, albo Cymmeryjczyk?

— Nie. W ten sposób mogą uniknąć podejrzeń, bo wszyscy pytają o wielkiego

Cymmeryjczyka i maga. Trzy dni później przez rzekę przeszła następna trójka, natychmiast po bitwie po stronie południowej między oddziałem wojsk królewskich i bandą

buntowników, ci ludzie jechali na swoich koniach. Śledziliśmy ich z powrotem, aż do

górniczego miasta — szybkim ruchem wskazał kciukiem na Osmana. — On był z nimi

zanim znowu uciekli.

— Tak — powiedział Osman. — Pod nieobecność Conana, kiedy wszyscy byli pijani, uciekłem, aby donieść ci o wszystkim, panie.

— Czy Conan był jednym z tych trzech, którzy odjechali do Iranistanu? — spytał Sagobal.

— Tak — powiedział Berytus. — Był tam Conan, czarownik i jakaś kobieta.

— Kobieta? — powtórzył Sagobal. — Widzieliśmy jakąś kobietę, kiedy uciekali ze świątyni, ale myśleliśmy, że to zakładniczka.

— Ona jest córką czarownika, dowódco — rzekł Osman.

— Ta dziwna banda biega swobodnie po moim terytorium!

— Oprócz Conana jest teraz tylko czterech bandytów — podkreślił Berytus. — A także czarownik i jego córka. Siedmioro przeciw mojej bandzie — to oznacza bardzo korzystną przewagę.

— Conan znaczy w walce więcej niż jeden człowiek — stwierdził z naciskiem Osman.

— Czy to nie wszystko jedno, czy będzie ich siedmiu, czy siedmiuset? — rzekł Sagobal. —

Ale gdzie jest ukryty skarb? Osman, czy możesz mi coś o tym powiedzieć?

— Tak, panie, mogę — odrzekł wyniośle Shahpuryjczyk.

Sagobal pochylił się nad stołem.

— Więc mów, byle szybko, bo może się okazać, że Berytus obetnie ci palce zanim zdążysz

mi przekazać wszystkie informacje!

— Ależ oczywiście! Nie ma tu żadnej wielkiej tajemnicy, poza tym... Dziwi mnie, że do tej pory się nie domyśliłeś.

— Gadaj! — warknął Sagobal.

— Skarb znajduje się w domu czarownika Volvolicusa.

Sagobal podniósł twarz i piorunującym wzrokiem spojrzał na Berytusa.

— Słyszałeś, psie? Dopiero co się upierałeś, że go tam nie ma!

Osman odwrócił głowę i spojrzał w górę na Akwilończyka, który stał nad nim.

— Tak ci powiedział, dowódco? Pozwól mi zgadnąć, co się stało. Ten niemrawy brutal i jego pachołki przybyli do siedziby czarownika i ostrożnie podkradli się do domu. Nagle zostali przestraszeni przez upiory, które czarownik zostawił tam, aby przestraszyć bojaźliwych i zabobonnych tubylców. Czy powiedział ci, że przeszukał dom?

— Nie — rzekł Sagobal — nic takiego nie stwierdził.

Berytus chwycił Osmana jedną ręką za kark i podniósł go z krzesła, wyjmując szeroki, zakrzywiony nóż zza pasa. Przyłożył ostrą jak brzytwa krawędź do nosa Shangaryjczyka.

— Lubię czasem zabawić się, strugając komuś nos — powiedział dźwięcznie. — A

mężczyzna pozbawiony nosa może wieść swój żywot jako żebrak, twierdząc, że utracił

kawałek ciała w jakiejś okropnej chorobie. Co prawda, utrudnia mu to życie, jeżeli do tej pory przyzwyczajony był uwodzić kobiety.

— Panie! — zaskrzeczał Osman. — Czy pozwolisz, żeby ten zły człowiek znęcał się nad twoim sługą?

— Spokój, obydwaj! — rozkazał Sagobal — Osman, czy jesteś tego pewien, że widziałeś to na własne oczy?

Berytus powoli opuścił Osmana z powrotem na krzesło, a mały człowieczek masował sobie kark, noszący teraz ślady potężnych palców Akwilończyka.

— Prawdę mówiąc, panie, nie mogę powiedzieć, że rzeczywiście widziałem skarb od czasu, gdy majestatycznie uniósł się ponad świątynię...

— Odrąbałbym ci głowę od tych kościstych ramion, gdybyś stwierdził coś innego — powiedział Berytus. — Ponieważ wiem, że żaden z was nie był w domu maga, odkąd uciekliście z Shahpuru.

— Bądź cicho, Berytus — rzekł Sagobal — Osman, mów dalej.

— Ale ja mam czułe ucho i nocami słyszałem, jak Cymmeryjczyk knuje spisek z czarownikiem. Od początku zaplanowali, że wyślą skarb do domu maga, ale nikt z pozostałych bandytów miał o tym nie wiedzieć. Wierzyli, że skarb ma zawędrować do ich kryjówki wśród wzgórz, na pustyni. Ukradli dużo wielbłądów zabierając je tam, aby czekały na przybycie skarbów. Wtedy każdy z nich mógłby załadować swoją część na grzbiet zwierzęcia i odjechać, dokąd zechce. — Ale kiedy tam dojechaliśmy, wielbłądów nie było! Cymmeryjczyk i czarownik udawali zdumionych, choć tak naprawdę Volvolicus użył swych czarodziejskich sztuczek, żeby zaprowadzić wieśniaków do ich skradzionych zwierząt. Zapewnili ludzi, że bogactwo zostało przetransportowane do niedalekiej jaskini, i że będziemy mogli wrócić, aby je stamtąd zabrać, jak tylko pościg wygaśnie.

— I ta banda wyrzutków uwierzyła w to? — powiedział sceptycznie Berytus. — Bez pójścia do tej jaskini i zobaczenia skrzyń na własne oczy?

— Oczywiście, że było trochę pomruków niezadowolenia — stwierdził Osman — ale czarownik orzekł, że pościg jest tuż za nami. Zobaczyliśmy nawet obłok kurzu unoszący się nad pobliskim wzgórzem. Można było nawet słyszeć tętent kopyt i szczęk broni. — Osman wzruszył ramionami i rozłożył ręce. — Naturalnie, domyślam się teraz, że była to kolejna sztuczka maga, ale wówczas dałem się nabrać. Conan nalegał, iż musimy natychmiast uciekać do Iranistanu i nie wracać stamtąd nim Torgut Chan zostanie zastąpiony przez nowego namiestnika, a ty będziesz stracony. Potem, gdy nowi ludzie obejmą władzę na tych terytoriach, my wrócimy i wywieziemy nasz łup. Byliśmy zdezorientowani, pełni

obaw, więc uwierzyliśmy w te słowa i rzuciliśmy się do ucieczki.

— Nie przypuszczałbym, że nieokrzesany barbarzyńca może być tak przebiegły — stwierdził Sagobal.

— Nie jest on takim prostakiem, jakby się mogło wydawać — powiedział Osman. — Dużo podróżował i służył w wielu armiach. Poza tym był przy nim czarownik, który mu doradzał. To on zasugerował Conanowi, że skarbu nie trzeba rozdzielać. I spisek ten pewnie by się udał, gdyby nie wojna w Iranistanie i twój szpieg pośród bandytów. Pochlebiam sobie, że chyba nigdy mnie nie podejrzewali.

— On kłamie, wodzu — stwierdził Berytus, wpatrując się zimno w Shangaryjczyka. — Ma język węża. Nie wierzę w to, że mag uciekałby z nimi, gdyby skarb był w jego domu.

— Ale banici w ten sposób wcale łupu by nie mieli — zaprotestował Osman. — Oni utrzymywali, iż wszyscy muszą zostać razem, aż do chwili podziału skarbu.

— Sam podejrzewałeś, Berytus, że oni będą w ten sposób rozmawiać — zauważył Sagobal.

— Dlaczego więc Cymmeryjczyk i magik nie zabili tamtych? — spytał Berytus.

— W bandzie jest teraz dużo mniej ludzi — zauważył Osman. — Ich liczba zmniejszyła się podczas walki i ucieczki. Możliwe, że mag zamierza pozbyć się Conana, chyba że jego córka zapalała gorącym uczuciem do tego barbarzyńcy.

— W takim razie musimy uderzyć na dom czarownika — zdecydował Sagobal.

— Nie podoba mi się to, dowódco — zaprotestował Berytus.

Sagobal popatrzył na niego podejrzliwie:

— Co z ciebie za łowca? Nie ciągnie cię do walki?

— Nie boję się ani Cymmeryjczyka, ani jego przyjaciół — rzekł Akwilończyk. — Z miłą chęcią wdam się z nimi w bijatykę. Ale czarownik jest naprawdę potężny — sam widziałem. Jego czary to nie złudzenie, niezależnie od tego, co na ten temat twierdzi ten parszywy

pasożyt.

— Może znajdziemy jakieś wyjście — rzucił gładko Osman.

— Jeżeli istnieje, to chcę o nim usłyszeć — rzekł Sagobal — wszystko jedno z jakiego źródła.

— Najlepszą bronią w walce z magikiem — zauważył Osman — jest doskonalszy od niego magik, czyż nie?

— To prawda — stwierdził dowódca. — Ale Volvolicus to jedyny tej klasy magik w prowincji. Nie znam żadnego, do którego można by się zwrócić.

— Niezupełnie, panie — powiedział Osman.

— Co masz na myśli?

— Musisz panie udać się po pomoc do kapłanów Ahrimana z nowej świątyni.

Sagobal wlepił w niego wzrok, jakby podejrzewał, że Osman nie jest przy zdrowych zmysłach.

— Co? Do tych wstrętnych oszustów wielbiących plugawego boga? Zejdź mi z oczu!

Okazali się bezsilni, gdy trzeba było przeciwstawić się włamaniu do krypty. A w dniu napadu ściałem jednemu z nich głowę, temu z purpurową twarzą, o imieniu Nikas.

— Słyszałem jak Volvolicus mówił swojej córce, że czuje respekt dla tych kapłanów. Kiedy był w krypcie i rzucał swoje czary, aby podnieść złożony tam skarb, zrozumiał, iż to nie są przeciętni kapłani jakiegoś nieczystego bóstwa, ale czarownicy obdarzeni olbrzymą mocą.

Będą z pewnością wściekli z powodu profanacji ich świątyni; I dlatego żądni zemsty.

Mogliby z łatwością udzielić ci pomocy. Przez zemstę pragną chyba zniszczyć Volvolicusa i dlatego zechcą może wybaczyć ci twój wybuch wściekłości.

— Wcale mi się to nie podoba, wodzu — stwierdził Berytus. — Nie słuchaj go.

— Bądź cicho — uciał groźnie Sagobal. Nie cieszysz się zbyt moimi łaskami. Jak dotąd

śledziłeś tylko tych parszywych zbirów, podczas gdy Osman wniknął w ich szeregi. Jeśli on ma rację, to pomyliłeś się wykluczając dom czarownika, w którym miał być ukryty skarb.

— Twierdzę, że to ja mam rację i nawet jeśli kapłani ci dopomogą, staniesz się ich dłużnikiem. A nie wątpię, że potrafią nieprzyjemnymi środkami wymuszać rekompensatę.

— Pozwól, że to ja się będę o to martwił — mruknął Sagobal. Podniósł się i zaczął przypasywać broń. — Chodźcie obydwaj. Udamy się do świątyni Ahrimana.

Wszyscy trzej opuścili komnatę dowódcy i ruszyli piechotą przez mroczne uliczki

Shahpuru do wielkiej świątyni. Gdy przechodzili przez plac zalany blaskiem księżyca, które zdawało się przenikać iglicę starej wieży, byli śledzeni przez czyjeś uważne spojrzenie.

U szczytu schodów okazało się, iż krata jest opuszczona. Berytus załomotał w bramę,

uderzając grzbietem swej nabitej żelazem rękawicy. Metal głucho zadźwięczał, odbijając się echem w przepastnym, nienaturalnie czerwonym wnętrzu. Minutę później pojawiła się

ascetycznie chuda postać.

— Czego chcecie? — zapytał kapłan o imieniu Shosq, czerwone światło oświetlało odrażająco nakrapianą skórę jego twarzy.

— Chcę mówić z Tragthanem — rzekł Sagobal. — Wpuść nas!

— To zuchwalstwo, że tu przychodzicie — oburzył się kapłan. — Ale pozwolę wam wejść.

— Nie powiedział nic więcej, ani się nie poruszył, a jednak spuszczone krata ze zgrzytem podniosła się tak wysoko, żeby przybysze mogli przejść. Byli już po drugiej stronie i krata znowu zaczęła opadać w dół.

— Chodźcie za mną — powiedział Shosq. Przeszli obok pięknych, pełnych cierpienia kariatyd, które Osman obejrzał z podziwem.

Z tyłu, przy przerażającym ołtarzu, stały dwie postaci. Dreszcz przebiegł Sagobalowi po plecach, gdy uświadomił sobie, że jedną z nich jest Nikas.

— To ty! — wyrwało mu się mimowolnie. — Sądziłem, że cię zabiłem.

Zimne, gadzie oczy kapłana patrzyły na niego niewzruszone.

— Myślałeś, że twój bezsilny miecz może zabić kapłana Ahrimana? — Roześmiał się niehumanym śmiechem. W otwartych ustach można było dostrzec rozdwojony język.

Połykiwał teraz czernią w niesamowitej poświacie.

— Czego chcecie? — zapytał Tragthan.

— Twojej pomocy, kapłanie — odpowiedział Sagobal.

— Po tym wszystkim, co uczyniłeś nam i tej świątyni, zamierzasz jeszcze o coś prosić?

— Nie przychodzę, żeby prosić, kapłanie — fuknął Sagobal, wstrząśnięty widokiem

Nikasa żywego. — Przychodzę, żeby dać ci szansę zemśczenia się na czarowniku, który sprofanował waszą kryptę.

— Mów — powiedział Tragthan.

— Niedaleko stąd, w oazie, mag Volvolicus ma swój dom. Tam właśnie złożony jest skarb skradziony z krypty.

— Więc czemu tam nie pośpieszysz i nie odbierzesz go? — wypytywał go Shosq. —

Dlaczego przychodzisz do nas, których tak ciężko skrzywdziłeś?

— Czarownik zostawił tam moce ochronnych czarów. I może przybyć do swej posiadłości

razem ze zbirami. Chcę, żeby czary o przeciwnej mocy osłabiły maga tak, aby udało nam się dostać do domu i odzyskać skarb dla mego króla.

Wpatrywali się w niego przez długą chwilę.

— Dlaczego sądzisz, że kapłani czczący wielkiego boga są zainteresowani czymś tak małosłkowym jak zemsta?

W odpowiedzi Berytus zaśmiał się.

— Który to duchowny nie pragnie odwetu? Wprawdzie nie jesteście może zwyczajnymi ludźmi, ale trudno nie zauważyć waszej wielkiej dumy. Bandyci zlekceważyli was, a tym samym waszego boga! Biorąc pod uwagę waszą dumę, musicie płonąć żądzą zemsty. Wasz Bóg nie będzie wdzięczny za to, że pozwalacie, aby taki postępek uszedł bezkarnie.

— Co na to odpowiesz? — zapytał Sagobal.

I znowu mijały minuty, a kapłani trwali w milczeniu. Tak, jakby komunikowali się

językiem niedostępnym dla zwykłych śmiertelników. Wreszcie Tragthan przemówił:

— Dobrze, pomożemy wam. Jeden z nas pojedzie z wami do domu czarownika i będzie zwalczać jego czary. A wtedy wasi ludzie zaatakują.

— Tylko jeden? — Sagobal spytał wzburzony. — Dlaczego nie wszyscy trzej?

— Pewne sprawy zatrzymują nas w Shahpurze. Spokój naszego strasznego pana został zakłócony przez świętokradztwo popełnione w obrębie najświętszego miejsca świątyni. Nasz pan musi zostać obłaskawiony.

— Czy oczekuje ofiary? — zaciekawiał się Sagobal. — Jeżeli tak, możemy schwytać zbrodniarzy, którzy uciekli w zamieszaniu podczas festynu. Będziecie ich mieć.

— Nie tego rodzaju ofiary żąda nasz pan — stwierdził Tragthan — będzie to wymagało ogromnego wysiłku, aby złagodzić niepokój wywołany w nadprzyrodzonym świecie.

Towarzystwo jednego z nas wystarczy do waszych celów.

— Doskonale. Wyruszmy o świcie. Niech wasz przedstawiciel będzie gotowy do drogi.

Nie widząc potrzeby przedłużania rozmowy, dowódca odwrócił się i majestatycznie oddalił się razem z Osmanem i Berytusem. Brama podniosła się znów, jak rozwierająca paszcza, po czym zsunęła się w dół, na pozór bez żadnego udziału ludzkich rąk.

Kiedy przemierzali plac, czyjeś oczy znów im się przyglądały, ale nie byli śledzeni. To świątynia przykuwała wzrok tajemniczego obserwatora. Kiedy trzej mężczyźni minęli plac, jakaś niewysoka, krągła postać owinięta w szatę, podeszła do wyższego mężczyzny o surowym wyglądzie, którego twarz skrywała zasłona.

— Jak sądzisz czcigodny, czego to może być zapowiedzią? — zapytał Wendjanin. Miał na głowie turban, który delikatnie połyskiwał w półmroku nocy przepelnionej zapachem kwiatów.

— Szykuje się coś niedobrego — odparł kitajski mistrz. — Nic nie wskazuje na to, żeby

przybysze byli magami, ale skoro mają sprawę do tych ze świątyni, może to przyspieszyć sprowadzenie Ahrimana do naszego świata. Musimy ich bacznie obserwować i trwać w pogotowiu.

— Tak, mistrzu — przyznał Wendjanin, który sam był czarownikiem Wyższej Rangi, Gdy horyzont rozpromienił się światłem poranka, grupa mężczyzn przekroczyła bramy miasta. Na czele jechał Sagobał, dalej Berytus z łowcami ludzi. Na samym końcu Shosq, który na koniu wydawał się dziwnie niezgrabny.

Godzinę po ich odjeździe pewien wysoki mężczyzna odziany w pustynne szaty nadszedł z obozowiska karawan położonego w okolicach bramy. Całe jego ciało skrywała szata, tak że widać było jedynie oczy, dziwnie błękitne jak na tubylca z pustyni. Przechodząc przez bramę, przystanął przy wartowniku.

— Mam wiadomości dla Sagobala, dowódcy straży—oświadczył mieszkaniec pustyni. — Nie wiesz czy jest w mieście?

— Właśnie się z nim minąłeś — odparł strażnik — wyjechał godzinę temu z tą hordą cudzoziemskich padlinożerców i paroma innymi.

— Padlinożercy? Chodzi ci o Akwilończyka, o którym słyszałem? Ten łowca ludzi?

— Tak. Od czasu festynu przeczesują terytorium w poszukiwaniu bandytów. I dobrze się stało, że są tu, bo nasi ludzie nie dają sobie rady.

— To oni przybyli do miasta jeszcze przed wielką uroczystością?

— Tak — powiedział strażnik. — I odbyło się to w dziwny sposób — mężczyzna był najwyraźniej znudzony swoją służbą i chętny do rozmowy. — Parę dni przed festynem grupa groźnie wyglądających mężczyzn wjechała przez tę bramę i jeszcze tego samego dnia ponownie opuściła miasto. Plotki mówią, że późno w nocy pojawił się jakiś oficer i zwolnił na godzinę wartowników. Podobno ktoś widział tych samych mężczyzn jeszcze raz

wjeżdżających do miasta. I ślad po nich zaginął, aż do czasu, gdy rabusie okradli królewski skarbiec. Wtedy ci ludzie, ukrywając się na dachach, zastawili pułapkę razem z gwardią namiestnika.

— Rzeczywiście przebiegało to dość dziwnie! Wiesz może, w jakim kierunku pojechali?

— Nie, ale gdziekolwiek pojechali, Sagobal musiał chyba nie mieć zaufania do swoich

ludzi, bo nie zabrał ze sobą żadnego z gwardzistów, tylko samych obcokrajowców. I,

choć ledwie mogłem uwierzyć własnym oczom, to przysięgam, że widziałem jednego z

kapłanów z tej przeklętej świątyni. Jechał razem z nimi i usiłował zasłonić się pustynną szata, taką jak twoja, w którą był owinięty. Na pewno nie był to człowiek pustyni, bo nie umiał jeździć konno i poruszał się w jakiś nieludzki sposób tak, jak wszyscy ci plugawi

kapłani. Miasto chętnie by się ich pozbyło, tak samo jak tej odrażającej świątyni.

Conan pożegnał gadatliwego strażnika i odszedł w kierunku oazy. Wiedział, że pustynna

szata, którą nosił, powinna dobrze go chronić, jednak nie ośmielił się wjechać do miasta na jednym ze skradzionych koni Sagobala. Miał zamiar skrycie zabić dowódcę straży, być

może za jednym zamachem schwytać i zlikwidować Berytusa razem z jego pracodawcą. Ale

plan ten nie udał się. Rozmyślał teraz nad słowami strażnika.

Łowcy ludzi przebywali w mieście na parę dni przed napadem na świątynię. Musiało to

oznaczać, że Sagobal wszystko zaplanował na długo przedtem. Banda obcokrajowców nie

zjawiła się tu przypadkiem. Sagobal z powodu Conana ściągnął wszystkich bandytów do

miasta.

Cymmeryjczyk usiadł przy stawie w oazie, aby się zastanowić. Nie zwracał uwagi na

krzyki ludzi z karawan i ich narzekania na cuchnące wielbłądy. Począwszy od szaleńczego

ataku na świątynię, nieustannie musiał walczyć, lub uciekać, nie mając nawet chwili

przerwy, aby móc w spokoju przeanalizować sytuację, czy wszystkie posunięcia Sagobala

miały na celu schwytanie bandytów? Nie, to było niemożliwe. Dowódca straży i Berytus

powinni wylapać ich wszystkich, a reszcie nie pozwolić uciec — bodaj Crom zwał mnie

głupcem — powiedział głośno, czym wystraszył pustynnego chłopca trzymającego lejce pojonych koni. Cymmeryjczyk skoczył na równe nogi. Sagobal wcale nie zamierzał zwracać skarbu ani Torgut Chanowi, ani królowi. Wyjechał, by go sobie przywłaszczyć. Teraz wiele drobnych faktów z przeszłości ułożyło się w jedną całość i Conan dostrzegł logiczny bieg spraw.

Ci gwardziści, którzy stali przy oknie od jego celi, tak ochoczo rozmawiający o nadchodzącym festynie i o miejscu złożenia królewskich podatków ściągniętych z całej prowincji. Ta konwersacja była częścią planu Sagobala, a mężczyźni wynajętymi aktorami.

— Osman! — krzyknął, ponownie strasząc chłopca pojącego konie. Oczywiście, ten mały podstępny złodziejasek, który dostał celę w sąsiedztwie Conana, tak by mógł rozmawiać z Cymmeryjczykiem przez dziurę w ścianie. Był pewien, że poradzi sobie z ciężkim kowadłem. A kowadło z młotem i dłutem pozostawiono na szczycie schodów zamiast w wartowni, gdzie zazwyczaj je trzymano.

Kapitan gwardii użył wszelkich dostępnych środków i aresztował Conana, a następnie go chronił, ponieważ wiedział, że tylko on może skraść skarb ze świątynnej krypty. Ale jaką pewność Sagobal mógł mieć, że Cymmeryjczykowi uda się wydostać skarb?

Przypomniawszy sobie wieczór w kryjówce, gdy omawiali plan. Zastanawiali się, jak przenieść tak duży ciężar i wtedy... znowu Osman! To właśnie on zaproponował Volvolicusa, który rozwiąże problem. Sagobal nie tylko miał swojego agenta w obozie Conana, lecz w mistrzowski sposób ułożył cały plan. Cymmeryjczyk na przekór sobie podziwiał tego człowieka. Musiał chyba spędzić całe lata knując tak pokrętnie przedsięwzięcie. Pragnął stać się bajecznie bogatym człowiekiem kosztem Torgut Chana. Nowa świątynia, ze swoją kryptą i obecność niezwyklego bandyty z Cymmerii w tej prowincji stanowiły doskonały trop.

Sagobal nie mógł jedynie przewidzieć trasy skradzionego skarbu. Dlatego właśnie potrzebował Osmana, aby mu o tym powiedział. Od czasu kradzieży, bandyci obserwowali się wzajemnie, jak jastrzębie, i Osman nie miał zbyt wiele okazji do ucieczki. Nie ufali mu, bo przed

najazdem na świątynię nie był członkiem bandy.

Ułożywszy to przedsięwzięcie w logiczną całość, Conan dosiadł konia i odjechał. Nic

dziwnego, że Osman nosił ten rzucający się w oczy żółty turban! Obawiał się widocznie, iż mógłby zostać omyłkowo zabity w tym zamieszaniu. Przypomniawszy sobie strzałę, która

prawie musnęła turban. Musiało to być celowe, żeby zachować pozory. A w jego własnym

siodle utkwiała także strzała. Czyżby i to był podstęp? Czy Sagobal chciał go zachować przy życiu, aby mógł doprowadzić resztę bandy, wraz z Osmanem, do kryjówki ze skarbem?

To była przeszłość. W chwili obecnej narzucało się bardziej istotne pytanie — dokąd

pojechał Sagobal? Czy był z nim Osman? A jeśli tak, to może w tym momencie mały

złodziejaszek wiódł właśnie kapitana gwardii do jaskini po ukryte tam złoto? Było to

bardzo prawdopodobne, gdyż Sagobal jechał bez swoich gwardzistów, tylko z

najemnikami. Oczywiście nie mógł ryzykować, że któryś z ludzi okaże się wierny Torgut

Chanowi, gdy dotrą do skarbu.

Ale dlaczego w tym orszaku jest kapłan z nowej świątyni? Conan nie mógł nic z tego

zrozumieć. Być może wartownik się pomylił. Jedno wiedział na pewno: musi jechać do

domu czarownika i odnaleźć swoich ludzi, tych, którzy przeżyli, a także samego Volvolicusa i pojechać z nimi do kryjówki. Mieli szansę dopaść Sagobala i jego ludzi, w chwili gdy tamci będą przynosić skarb. Wiedział, że byłaby to desperacka walka, gdyż siła i umiejętności

przeciwników mogły okazać się większe niż jego bandy. Z drugiej jednak strony wiedział,

że on sam mógłby przeciwstawić się uzbrojonym ludziom Sagobala. Gdyby jeszcze

towarzyszył im czarownik ze swymi śmiertcionośnymi zaklęciami, mogłoby to przechylić

szalę na ich stronę. Wykorzystywanie maga w walce było dla Cymmeryjczyka

odstręczającym manewrem, lecz sytuacja wyglądała zbyt poważnie, aby kierować się

skrupułami.

Jechał długo, aż do zmierzchu. Nieopodal miejsca, gdzie położony był dom Volvolicusa,

miał obejrzeć niezwykle widowisko.

— Zatrzymajcie się! — powiedział Berytus.

Stali u stóp wysokiego, skalistego wzniesienia. Tuż poniżej grzbietu znajdował się dom Volvolicusa.

— Dlaczego tak daleko? — dopytywał się Osman. — Możemy podjechać dużo bliżej.

— Musimy zostawić tutaj konie — odparł Berytus. — Zaklęcia rzucane przez czarownika

są straszne dla ludzi, ale dla koni są jeszcze bardziej przerażające. Kiedy wycofywaliśmy się z tego miejsca, wielu z nas nie mogło dosiąść koni, tak były spłoszone.

— To przesada — stwierdził Osman.

— Niemniej jednak — powiedział Sagobal — rada jest słuszna. Utraciłem ostatnio zbyt dużo wierzchowców i wolałbym ich więcej nie narażać. Gdyby się okazało, że zostaliśmy w tym miejscu bez koni, oznaczałoby to bardzo długi spacer do Shahpuru.

Mężczyźni zsiadli z wierzchowców i Berytus zlecił chudemu Poitańczykowi o drapieźnym wyglądzie, by został przy zwierzętach. Dalej ruszyli piechotą. Pod przewodnictwem Berytusa wspięli się ku krawędzi, poruszając się szybko i cicho. Nawet kapłan o gadziej powierzchowności, który w siodle wydawał się niezgrabny, teraz poruszał się całkiem zwinnie. Położyli się na stromym szczycie i uważnie spoglądali znad krawędzi.

Poniżej rozpościerał się otoczony drzewami staw, połyskujący w świetle wschodzącego księżyca. Z małych okienek domostwa dobiegało dziwne światło o zmieniających się barwach. Nad wodą stały spętane konie, a z dachu unosił się pióropusz białego dymu.

— Zdaje się, że wrócili — stwierdził Sagobal głosem pełnym satysfakcji.

— Tak — przyznał Berytus. — Poprzednio mieliśmy do czynienia tylko z czarami, które mag zostawił aby strzegły domu podczas jego nieobecności. Teraz jednak jest w swojej posiadłości i trudno przewidzieć, jakie może przywołać demony.

— Tu na górze niczego nie dokonamy — stwierdził Sagobal. — Akwilończyku, ty najlepiej wiesz, do czego teraz użyć swoich ludzi. Otwórz nam drogę do domu czarownika!

— Zgadza się, wiem, jak mam ich wykorzystać, ale twoje pozostałe psy też muszą coś wiedzieć. — Odwrócił się do Shosqa. — Kapłanie, możesz nam powiedzieć, czy zostaliśmy już wykryci przez czarownika i czy jego zaklęcia na nas czekają?

— Wydaje ci się, że tego rodzaju rzeczy są dostrzegalne gołym okiem, jak wierzchołki wzgórz? Że świecą prosto w oczy niczym płomienie ognia?

— Nie mam pojęcia, ale chyba po coś tu jesteś! A jak dotąd jedynie opóźniałeś naszą wyprawę przez swoją nieumiejętną jazdę na koniu. Powinniśmy tu być już godzinę temu!

— Głupcze! Jeśli Volvolicus zechce użyć swych czarów, będziesz szczęśliwy, że tu jestem!

— Pamiętaj tylko kapłanie, iż jesteś tu na służbie — ostrzegł go Berytus.

— Musisz poprowadzić ten atak — rzekł Osman do Akwilończyka. — Dla takiego wojownika jak ty, nie będzie to chyba nic wielkiego.

— Nie. Nie zrobię tego. To ty, Shangaryjczyku pójdziesz pierwszy.

— Ja? — wydukał Osman, mocno przestraszony. — Ja wcale nie roszczę sobie prawa do tytułu wielkiego wojownika, ani bohatera!

— I słusznie. Dlatego też zbliżysz się do drzwi jawnie i zawołasz po imieniu swoich kamratów. Tak przebiegły zdrajca jak ty nie będzie się wahał przed ponowną zdradą. Powiesz im, że zgubiłeś się na pustkowiu.

— Ale oni mnie zabiją! — zaprotestował Osman.

— To będzie duża próba dla twego giętkiego, kłamliwego języka.

Osman zwrócił się do Sagobala:

— Panie, przyjąłem służbę u ciebie w roli szpiega i tajnego agenta. To ten agresywny przybłęda podjął się, że będzie ci służył jako człowiek miecza i najemny śmiałek! Powiedz mu coś, aby przerwać tę tchórzliwą gadaninę i zmusić go do ataku.

— Nic złego się nie stanie, jeśli uda się nam nakłonić ich, aby osłabili swoje strażę. Idź więc, Osmanie! Będziemy cię osłaniać, trzymając się w pobliżu tamtych drzew tak, żebyśmy nie byli widoczni.

— Ale...

— Idź! — warknął Sagobal.

Mały człowieczek wstał i pełen strachu minął szczyt wzniesienia. Pozostali postępowali w ślad za nim, trzymając się kilka kroków z tyłu. Schodzili po pochyłym zboczach, w dół ku oazie, potracając czasem jakiś kamień na osypisku. Berytus i jego ludzie stąpali w zupełnej ciszy po niepewnych głazach. W porównaniu z nimi Osman schodził hałaśliwie. Jako ostatni szedł Sagobal. Jego bystre oczy uważnie obserwowały ich wszystkich, a słuch wychwytywał najlżejszy szmer. Nagle zaskoczył ich okrzyk Osmana.

— Conan! — zawołał, gdy był już blisko domu — Ubo! Auda! Jesteście tam, przyjaciele? — przystanął kilka kroków od drzwi. — Szanowny Volvolicusie! Piękna Lajlo! Jesteście w domu?

Ozdobne drzwi otworzyły się i pojawiła się w nich zwałista postać dzierzżąca w dłoni obnażoną stal. Był to Chamik. Jego ogromny brzuch wylewał się spod szkarłatnej szarfy, a oczy starały się przeniknąć ciemności.

— Kto tu jest? To ty, Osman?

— Chamik, przyjacielu! Wędrowałem długie dni na pustyni, cierpiąc jak skazaniec. Czy jest tu twój wódz? — mówiąc to, zrobił na kilka kroków w stronę domu.

— Nie tak szybko — ostrzegł go bandyta. — Dlaczego zniknąłeś ze wsi, gdy się tam zabawialiśmy? — Za plecami Chamika pojawił się Ubo, patrząc sponad jego ramienia swoim jedynym okiem przenikliwie i z podejrzliwością.

— Och, przyjaciele, wiecie przecież, że mam zwyczaj wpadać w tarapaty z powodu kobiet. Była tam urodziwa żona pewnego nadzorcy z kopalni i w dodatku ja też się jej spodobałem. Mąż spędzał całe dni w kopalni, zostawiając nam pełną swobodę we flirtach. Niestety

wrócił nie w porę i musiałem uciekać przez tylne okno. Tropił mnie przez wiele mil wśród dzikich pustkowi. A kiedy go w końcu zgubiłem, okazało się, że sam także zbłądziłem. W

tym czasie odnalazłem obóz nomadów, skradłem im konia i zorientowałem się wreszcie,

gdzie jestem, ale nie ośmieliłem się wracać do tej wsi. Tak więc udałem się tutaj, wiedząc, że macie naznaczoną schadzki w domu czarownika.

— Tutaj? Wydawało się nam bardziej prawdopodobne, że taki szpieg jak ty, pójdzie raczej...

Osman z wolna przesunął dłoń ku tunice na piersiach. Potem błyskawicznie schował ją i wysunął, prędko uniesioną ku górze. Coś połyskującego, wirując przeszło powietrze, a

Chamik, szybki jak kot, odskoczył do tyłu i zasłonił się zamykając drzwi. Sztylet Osmana utkwił we wrotach i zawisł, przez moment drżąc, a potem rozjarzył się czerwienią. Żarzył

się od posępnej barwy karmazynowej, aż do ciemnego pomarańcza, aż wreszcie eksplodował, spadając deszczem białych iskier.

Spośród drzew ktoś krzyknął. Sagobal zobaczył swojego człowieka oplecionego przez ogromnego węża, o grubości ludzkiego uda. Coś włochatego i zbliżonego kształtem do człowieka spadło z palmy prosto na innego z ludzi, rozszarpując go zębami i pazurami.

— Są na drzewach! — krzyknął Berytus. — Uciekajcie stamtąd!

— Kapłanie, zrób coś! — wydał rozkaz Sagobal. Shosq zaczął monotonicznie zawodzić

głosem, który stał się tak niski, iż ludzie w ogarniętej nagłym chaosem oazie ledwie mogli go słyszeć. Wprawiał jednak w wibrację kamienie i drzewa. Znaki widniejące na gałęziach

promieniowały i migotały, a z ich krawędzi wydobywał się dym.

Okiennice gwałtownie się rozwarły, uderzając z trzaskiem o ściany. Błyszczące upiornie zabarwione promienie światła wystrzeliły ze wszystkich szczelin, gwałtownie zmieniając

odcienie i przemieszczając się z niespotykaną szybkością. Niebieskie światło nagle przeszło w żółte, zaś zielone bardzo szybko i subtelnie przemieniło się w szkarłatne, a następnie w fioletowe. Niektóre z ukazujących się barw były zupełnie niezwykle, kolory zdumiewały oko i czyniły tę scenę jeszcze bardziej nierealną.

Sagobal dostrzegł mężczyznę zanurzonego w strumieniu czystego białego światła. Jakby

uwięziony, zamarł wydając z siebie krzyk. Potem ciało spłynęło z jego kości w postaci krwawych, dymiących strzępów. W przeciągu trzech uderzeń serca został tylko czerniejący szkielet, a potem i on rozpadł się w parujący kopczyk popiołu.

— Strzelajcie w stronę okien! — krzyknął Berytus. Nagle jego łucznicy użyli swej broni, a promienie zdawały się nie dosięgać lotu drzewców, gdyż pędziły nienaruszone. Z wnętrza dobiegł krzyk.

— Przynajmniej jeden musiał dostać. — Stwierdził Sagobal. Jarzący się, chwiejny kształt wyrósł nagle spod ziemi z rozłożonymi ramionami. Miecz Sagobala szybki, jak myśl

przeszył go na wylot. Nie poczuł najlżejszego oporu, a zaraz potem ów kształt rozproszył się w znikające punkciki przyćmionego światła. — Niektóre ze środków ochronnych

czarownika są tylko czystym złudzeniem — stwierdził.

— Gdzie jest Osman? — zapytał rozwścieczony Berytus. — Działał za szybko i zdradził

nas! Poderżnę mu gardło! — W tym momencie jeden z małych potworów zaatakował

Akwilończyka i Sagobal mógł zobaczyć, jak szybkość, zimna krew i wprawa zdołały

ochronić łowcę ludzi przed pułapkami tego starca, ratując mu życie. Nie wykonał ani

jednego zbędnego ruchu i nie pozwolił, aby ogarnął go lęk.

Jego lewa ręka wysunęła się gwałtownie naprzód i palce dosięgnęły gardła stwora,

trzymając go żelaznym uściskiem, nie zważając na kłapiące szczęki i usiłujące go

rozszarpać pazury. Sięgnął po krótkie, ciężkie ostrze zakrzywionego miecza. Wbił stalowy brzeszczot w brzuch zwierzęcia i obrócił go błyskawicznie, tak że ukazały się wnętrza.

Potem wyciągnął cuchnące ostrze i zanurzył je w pochylonej czaszce, rozłupując kości.

Posypały się zęby stwora, który wierzgał jeszcze z nienaturalną siłą przez parę sekund, po czym zamarł. Berytus odrzucił trupa i rozejrzał się za następnym przeciwnikiem. Sagobal

miał świadomość, że przeciętny człowiek, zadając podobny cios, musiałby wyłamać sobie

rękę.

Shosq wyjął ze swej torby jakby kłębek ziół i rzucił go w stronę domu. Przedmiot ten

ekspłodował, wyrzucając z siebie skłębione pnącza, które rozprzestrzeniły się, omotując

wszystkie ściany. Jednocześnie, wzdłuż oplatającej dom sieci, zaczęły sunąć czerwone iskry, aż cała struktura rozmigotała od mrugających punkcików. Świetliste promienie płynące z okien zbladły i przygasły.

— Tego już za wiele — stwierdził chłodno Berytus, widząc, jak trzech z jego ludzi zмага się z czymś wyglądającym niczym krab o rozmiarach byka. Pomimo że dwóch z nich waliło w zwierzę toporami, miażdżąc jego kruchą skorupę, odrabując kończyny i wypruwając wnętrzności, zdążyło ono jeszcze odciąć ramię trzeciemu ogromnymi szczypcami.

— Musimy wracać do naszych koni!

— Mógłbym zniszczyć jego środki obronne w przeciągu paru minut! — syknął kapłan.

— Wielu z nas mogłoby w tym czasie zginąć! — sprzeciwił się Berytus.

Sagobal doznał wstrząsu na widok tych nadnaturalnych zjawisk, ale ciągle pożył skarb. Zadowolony był, że nie wśród jego ludzi dokonywała się rzeź. Zobaczył jeszcze, jak jeden z łowców nadepnął na coś niewidzialnego i został pokryty zielonymi płomieniami, liżącymi całe jego ciało. Krzyknął i zwalił się na ziemię, drgając konwulsyjnie, pomimo że zielony płomień całkowicie zgasł. Poparzony mężczyzna wciąż wył z bólu, dopóki jeden z jego towarzyszy nie uwolnił go od cierpienia, podcinając mu błyskawicznym ruchem gardło. Krew trysnęła w postaci fontanny, która po chwili zanikła.

— Zostajemy — rzekł ponuro Sagobal, po czym rozejrzał się wokół. — Osman! — krzyknął

— gdzie jesteś ty szakalu?

* * *

Niebo ponad górskim pasmem rozświetlały błyski niczym odległe, ale wyraziste błyskawice. Conan usłyszał głośnie odgłosy grzmotów i słabe krzyki ludzkie. Coś przypominającego nietoperza pojawiło się nagle w powietrzu niosąc, w wypełnionych zębami szczękach, walczącą postać ludzką, po czym z trzepotem skrzydeł odleciało na północ. Conan usłyszał nagle dobiegający z naprzeciwka stukot kopyt i około dwudziestu

koni zjechało z głośnym łoskotem po zboczu. Skierował swego konia w bok, ustępując im z drogi. Pośród osiodłanych, chód pozbawionych jeźdźców wierzchowców, dostrzegł postać ludzką pochyloną nad końskim karkiem i smagającą z pasją biczem zad koński. Kiedy przejechali, Conan ruszył z miejsca.

Na ziemi pełnej świeżo odcisniętych końskich śladów leżało ludzkie ciało. Cymmeryjczyk zatrzymał się przy nim i zsiadł z konia. Ukucnął i zbadał zwłoki. Nie znał tego człowieka, lecz jego sztylet i pas, podobnie jak i sposób ułożenia włosów wskazywały, iż był

Poitańczykiem. Został zasztyletowany ciosem z tyłu, wymierzonym perfekcyjnie między żebra tak, aby przebić serce. Jeśli człowiek ten był jednym z łowców, zastanawiał się Conan, to musiał zostać zabity przez kogoś, kogo znał, gdyż tak wytrawny tropiciel nie dałby się zaskoczyć w otwartej przestrzeni.

Cymmeryjczyk podjechał na szczyt pasma i zaczął się przyglądać rozgrywającemu się w dole spektaklowi. Światła wypływające z okien domu Volvolicusa pogasły, zaś cały budynek wydawał się być pokryty siecią rozżarzonych węgli. Kilku mężczyzn okrążających dom walczyło z tajemniczymi stworami, lecz ta brutalna walka wkrótce miała się zakończyć.

Po chwili zrobiło się cicho. Zobaczył niewielką grupę mężczyzn stojącą przed drzwiami.

Jednym z nich był Sagobal. Inny wyglądał na kapłana Ahrimana. Jeszcze inny był barczystym mężczyzną o groźnym wyglądzie. Sposób, w jaki się poruszał, zdradził

Conanowi, iż musiał być świetnym wojownikiem. Wydawało się, że atak zakończył się powodzeniem. Nagle uwagę Conana przykuł słaby odgłos końskich parsknięć. Grupa koni przywiązana była po drugiej stronie stawu. Zaciekła walka pełna niezwykłych dźwięków, widoków i zapachów początkowo wprawiła je w zdenerwowanie. Tym bardziej, że przez cały czas pozostawały spętane. Dopiero teraz z wolna się uspokajały. Cymmeryjczyk zaczął ku nim schodzić.

— Czy możesz coś zrobić, żeby czary Volvolicusa nie przeszkodziły nam w ataku na

drzwi? — zwrócił się Sagobal do kapłana.

— Pajęcza sieć Ahrimana nawet w tej chwili wysysa magiczną moc tego miejsca — odrzekł kapłan. — Kiedy zgaśnie ostatni z czerwonych ogni, będzie to znaczyło, że potęga czarodziejskich zaklęć została zniszczona i wtedy wejdziemy.

— Jakiego rodzaju pułapki mógł zastawić na nas Volvolicus tam w środku? — zapytał Berytus.

— Magiczna moc została odebrana jego zaklęciom — powiedział Shosq. — Jeżeli nie potrafisz dostać się do tych ludzi w środku, to twój problem. W tej sprawie nie będę ci pomagał. Czary maga zostały wyczerpane.

— Z ludźmi potrafię sobie poradzić — stwierdził Berytus.

— Więc weź się do roboty! — rozkazał Sagobal.

Berytus rozstawił swoich ludzi na stanowiskach. Większość z nich znalazła się w pobliżu drzwi, inni stanęli przy oknach, mając strzały przytknięte do cięciw łuków. Dwóch mężczyzn ścięło palmę i zaczęło przekształcać ją w rodzaj taranu do wyważania drzwi.

— Jesteśmy gotowi! — oznajmił Berytus.

— Zaczekajcie — rozkazał Sagobal. W tej samej chwili kilka czerwonych iskier przesunęło się z wolna, jakby ospale, ponad delikatnie wyglądającą siecią, niczym umierające robaczki świętojańskie. Potem ostatnie z nich zamrugały słabo i krucha sieć rozpadła się w kawałki, jak zrobiona z popiołu.

— Teraz! — wydał rozkaz Sagobal. Berytus machnął ręką i mężczyźni trzymający taran ruszyli gwałtownie naprzód. Wkrótce masywne drzwi stopniowo zaczęły wyginać się do wewnątrz.

Mężczyźni stali w napięciu, ściskając broń. Łucznicy posłali już kilka strzał do środka, ale nie mieli zamiaru tracić ich zbyt wiele, skoro nie mogli zobaczyć swego celu.

— Za moment się przebijemy — powiedział Sagobal, napawając się tym widokiem. — A zatem skarb jest mój.

Conan podprowadził konie na tyły domostwa. Poruszał się bardzo ostrożnie. Mężczyźni otaczający to miejsce byli jednak tak zaabsorbowani, że i tak żaden z nich nawet nie zerknął w tę stronę. Uwiązał konie w bezpiecznej odległości i zaczął potajemnie skradać się pod tylną ścianę domu. Było tu tylko jedno okno, a kilka kroków od niego stało dwóch łuczników przygotowanych do strzału.

Nie mieli szans, aby zorientować się w sytuacji. Sztylet Cymmeryjczyka utkwiał w gardle jednego z łuczników tak szybko, nim drugi zdążył odwrócić głowę. Conan wyrwał nóż z szyi swej ofiary i z zaciekłością zagłębił go w karku drugiego mężczyzny, tnąc ciało i kości aż do rdzenia kręgowego. Obydwaj upadli niemal równocześnie, rozlewając swą krew na piaszczystym gruncie. Conan wytarł ostrze w tunikę jednego z zabitych i po cichu podszedł do okna.

— Ubo! Chamik! Volvolicus! Jesteście żywi? — zapytał przenikliwym szeptem. Nagłym ruchem cofnął się, gdyż wysunęło się ramię uzbrojone w długi zakrzywiony miecz. Jednym ciosem Conan sprawił, że broń upadła na ziemię.

— To ja, głupcze!

— Jak się przedostałeś — spytał Ubo, rozcierając piekący z bólu nadgarstek.

— Nieważne. Tył domu nie jest strzeżony i mam w pobliżu konie — od strony frontowych drzwi dobiegł ich głuchy łoskot uderzeń. — Ilu z was przeżyło?

— Auda dostał strzałę w nogę, ale wszyscy możemy jechać.

— W takim razie chodźcie szybko za mną. Zaraz się przedrą przez frontowe drzwi!

Czterej bandyci przedostali się przez okno, po czym ruszyli w kierunku wskazanym przez

Conana, do miejsca, gdzie były zostawione konie. Auda kulał, ale mimo to szedł nie wolniej od pozostałych. Lajla przepuściła swego ojca przez otwór okienny. Mag dźwigał wór z książkami i narzędziami.

— Zostaw to — powiedział Conan ponaglającym szeptem.

— Nie mogę — oświadczył czarnoksiężnik. — Te rzeczy są całym moim życiem!

— Mogą też za chwilę przyczynić się do twojej śmierci! — odparł Conan. — Kobieto pospiesz się!

— Chcę im coś zostawić — powiedziała. — To nie zajmie dużo czasu!

Cymmeryjczyk czekał na nią trochę rozgniewany. Za chwilę Lajla wyskoczyła przez okno, Conan złapał ją w ramiona. Pocałowała go głośno i pobiegła.

— Co im tam zostawiłaś? — zapytał.

— Pewne rzeczy, które już nie będą nam potrzebne: trochę wiórów, stary olej i ogień...

Pobiegli w ciemność, tam gdzie czekali pozostali.

Berytus zarządził przerwę.

— Drzwi rozpadną się po najbliższych trzech lub czterech uderzeniach. Bądźcie gotowi! — mężczyźni stali czujni w najwyższym napięciu.

— Co to za woń? — zapytał Sagobal węsząc. W nocnym powietrzu wyczuwało się lekki zapach dymu.

— Może jeden z moich ludzi coś palił? — stwierdził Berytus.

— Światło ze środka! — krzyknął łucznik trzymający wartę przy jednym z okien. —

Płomienie!

— Podpalili dom — zamruczał Berytus. — Wracajcie na miejsca!

Jeszcze trzy razy taran uderzał w drzwi, gdy nagle dym zaczął się wydostawać przez okna.

Wraz z czwartym ciosem grube wrota wejściowe rozpadły się z trzaskiem. Kiedy fala powietrza wdarła się do środka, płomienie skoczyły wysoko w górę i jeden z mężczyzn trzymających taran musiał odskoczyć w tył, gasząc zajęty ogniem mankiet rękawa.

— Przynieście wody! — wrzeszczał Sagobal. — Użyjcie wszystkiego, co się da! Hełmy, sakwy oraz inne naczynia, w których można przenosić wodę! Niech ktoś poszuka wiader lub stągwi!

Zgodnie z rozkazem, łowcy ludzi zamienili się w strażaków. Ich wysiłki, aby stłumić pożar, były jednak bezskuteczne. Nie zdołali powstrzymać płomieni. Ogień rozszerzał się na suche drewno i palmową strzechę kryjącą dach. Po chwili płomienie strzeliły z hukiem w powietrze na wysokość pięćdziesięciu stóp.

— Wycofajmy się — rozkazał Berytus. — Daremne wysiłki! — mężczyźni odsunęli się do tyłu i siedli na ziemi, niektórzy bandażowali swoje rany. Piekący żar od strony domu stawał się coraz intensywniejszy.

— Dlaczego to zrobili? — zastanawiał się Sagobal, targając wąs.

— Prawdopodobnie nie chcieli stanąć twarzą w twarz z twoimi lochami i narzędziami tortur — stwierdził Berytus.

— Łotry i bandyci? Jeszcze nie słyszałem o takim, który by sobie odebrał życie. Zawsze starają się przedłużyć podłą egzystencję chociaż o jeden dzień, o jedną godzinę.

— To mógł być ten czarownik, albo kobieta — zauważył Akwilończyk. — Bandyci chyba wcześniej zginęli od strzał, które wstrzeliliśmy do środka. Cokolwiek to było, nie ma się zbytnio czym martwić. Jeżeli skarb tam jest, ten pożar za bardzo go nie naruszy.

— Racja — stwierdził Sagobal z widoczną satysfakcją.

— Muszę zajrzeć do moich ludzi — Berytus oddalił się, żeby policzyć tych, którzy zginęli i oszacować ilość rannych.

— No dobrze, kapłanie — powiedział Sagobal — czy jesteś zadowolony ze swego nocnego dzieła?

— Będę mógł ci odpowiedzieć dopiero, kiedy znajdę się w środku i zobaczę, co tam zostało. Jeżeli czarownik jest martwy i nie znajdę śladów świadczących o tym, że wyrządził nam jeszcze większą szkodę, to prawdopodobnie będę zadowolony.

— Dziwne słowa — stwierdził Sagobal. — Jego dom jest całkowicie zniszczony, a sam czarownik na pewno nie żyje. Czego więcej możesz chcieć? I co właściwie masz na myśli

mówiąc: „Jeszcze większą szkodę”?

— To sprawa dotycząca tylko mnie i moich braci — odparł kapłan. Po tych słowach jego cętkowana twarz znowu straciła wszelki wyraz, a oczy kontemplacyjnie zapatrzyły się w płomienie trawiące dom. Berytus powrócił do nich, gdy płomienie zaczęły zamierać.

— Straciłem sześciu ludzi, a czterech jest tak rannych, że będą bezużyteczni przez całe miesiące! Podliczając wszystkich, utraciłem siedmiu ludzi.

— Co mnie to obchodzi? — odparł zimno Sagobal. — Ludzie są tani. Pokaż nam lepiej, co jest tam w środku.

— Dwóch moich wojowników leży z poderżniętymi gardłami na tyłach domu —

powiedział do niego Berytus. — Pilnowali jedyne okna w tylnej ścianie. Ktoś musiał ich podejść od tyłu. To oznacza, że tamta strona budynku nie była strzeżona, prawdopodobnie

jeszcze zanim zauważyliśmy ogień — przyglądał się jak wściekłość ogarniała Sagobala — teraz chodźmy zobaczyć, co jest w środku.

Wschodzące słońce ukazało zagładę oazy. Wszędzie leżały trupy mężczyzn i ścierwo niezwykłych stworów. Palmy były połamane, a z domu pozostał tylko wypatroszony szkielet. Jedyne jezioro okazało się nietknięte, a jego wody łagodnie połyskiwały.

Prowadzeni przez Berytusa wkroczyli do spalonego domu. Ciężkie, gorące zwały popiołu chrzęściły pod ich butami i sandałami.

— Ambula — rzekł Berytus — to nie jest dobre miejsce dla kogoś z bosymi nogami. Idź w stronę gór i razem z Poitańczykiem sprowadźcie tu nasze konie.

Śniadoskóry człowiek zasalutował włócznią i odmaszerował, żeby wypełnić rozkaz.

Odnaleźli główny pokój domostwa, a potem wejście do mniejszych pomieszczeń. Nie znaleźli nic oprócz zgliszczy. Nie było ludzkich szczątków.

— Gdzie oni są? — spytał Sagobal.

— Tutaj są jakieś schody, powiedział Barca Shemita, mocując się ze zwęglonymi

drzewczkami zapadowymi. — Poniżej jest piwnica.

— Jeżeli ktoś się tam ukrył, musiał się udusić —. stwierdził Berytus. — Ale mimo wszystko, bądźcie ostrożni. Urdos idź pierwszy. Ogromny Kothyjczyk wyciągnął topór o krótkiej rękojeści i stąpając zwinnie, zaczął schodzić w dół.

Chwilę później krzyknął: — Nikogo tu nie ma, ale miejsce jest dziwne.

— Uciekli! — wściekł się Sagobal. — Ci twoi głupcy z tyłu dali im się zabić i pozwolili uciec!

— Uspokój się, Turańczyku — odparł Berytus z pogardą. — Nie mogli zbyt wiele ze sobą zabrać.

Przypomniawszy sobie o prawdziwym celu pobytu w tym miejscu, Sagobal rzucił się w dół: po schodach do komnaty czarownika. Sprawiała wrażenie opuszczonego pomieszczenia. Jedynym sprzętem był dziwny, kamienny stół. Światło wpadające przez strzaskany dach oświetlało widniejące na ścianach i suficie liczne nacięcia w kształcie egzotycznych znaków. Komnata wydawała się być bardziej opustoszała niż pozostałe pomieszczenia.

— Gdzie mój skarb? — Sagobal wrzasnął tak głośno, jak tylko potrafił. — Macie rozwalić to miejsce na drobne kawałki i znaleźć skarb!

— Skarbu tu nie ma — odparł Berytus, schodząc na dół. — I tak jak ci mówiłem, nigdy go tu nie było. Cała nasza praca poszła na marne, bo zdecydowałeś się uwierzyć kłamliwemu donosicielowi Osmanowi. A nigdzie tutaj tego łajdaka nie znaleziono. Byłoby naiwnością wierzyć, że porwał go jeden z tych potworów.

— Jedź za nimi!

— Zamierzam to zrobić — odparł Berytus. — Gdy już podejmę się kogoś złapać, zawsze w końcu go dopadnę. To jedyny powód, dla którego pojedę, bo zlecenie, jakie otrzymałem,

kosztowało mnie więcej niż warta jest twoja zapłata.

— Nie interesują mnie twoje problemy, łowco ludzi — powiedział dowódca gwardii —

trzymaj się rozkazów. Akwilończyk wydostał się po schodach w górę, tymczasem Shosq

zszedł na dół i, ignorując obecność pałającego wściekłością Sagobala, podszedł do stołu, po czym zaczął przebiegać po jego misternie rzeźbionej powierzchni swoimi odrażająco

długimi i giętkimi palcami. Sagobal odniósł wrażenie jakby jego palce składały się z

większej ilości członów, niż normalna ludzka ręka.

Po chwili kapłan oddalił się od stołu i zaczął wnikliwie badać ściany i sufit. Kiedy

przechodził wzdłuż szeregu nacięć, wydawał z siebie niski, podobny do gwizdu dźwięk.

Sagobal rozczarowany nową porażką i odczuwając niesmak na widok kapłana wrócił na

górze. Natknął się na Berytusa w chwili, gdy przybył Ambula.

— Gdzie konie? — zapytał Akwilończyk.

— Zniknęły — odparł człowiek z Puntu. — Poitańczyk nie żyje. Leży zasztyletowany.

— Jest nas teraz sześciu — rzekł Berytus. — Zaledwie sześciu i nie mamy ani jednego konia.

— Głównie przez twoją niezdarność — stwierdził Sagobal. — Po drugiej stronie stawu są

jakieś konie. Przyrowadź je, to będziemy mogli pojechać do Shahpuru. Dla reszty ludzi przyślemy konie stamtąd.

— Tych koni już nie ma — rzekł Berytus, maskując wrzący w nim gniew z pozoru

obojętnym tonem. — A jak sądzisz, na czym uciekli bandyci wraz z czarownikiem? Bahdur

odnalazł miejsce, w którym dosiedli koni i odjechali. Jeden z nich musiał tu przyjechać i wziąć konie. Potem zostawił je na tyłach domu i zabił moich ludzi. Możliwe, że ten sam

człowiek uśmiercił też Poitańczyka i rozpędził nasze wierzchowce. Może był to Osman, ale najpewniej to Cymmeryjczyk. Spośród nich jedynie on miał doświadczenie, aby wykonać

takie zadanie i pozostać przy tym całkowicie nie zauważony.

— Conan — wykrzyknął Sagobal z wściekłością. — Czy ten barbarzyńca będzie mnie

prześladował do końca moich dni?

— Powinienem jeszcze dodać, że jechał na jednym z twoich wierzchowców. Niektóre spośród tych uwiązanych po drugiej stronie stawu, także należały do ciebie. Przy okazji warto wspomnieć, że były podkute.

Sagobal poczerwieniał i sięgnął po miecz. Jednak nieustraszony wygląd Akwilończyka i jego opanowany głos sprawiły, że się powstrzymał.

— Nie bierz mnie tylko za nieuzbrojonego kapłana, Sagobalu — ostrzegł go Berytus. — Jeśli wyciągniesz miecz, jesteś już martwy. Musimy stąd wyjechać dopóki jest chłodno. Weź się w garść i ruszajmy stąd. Jeśli będziemy wracać po własnych śladach, być może natkniemy się na któregoś z naszych koni.

Sagobal odwrócił się i z godnością odmaszerował w stronę zrujnowanego domu. Musiał się uspokoić, gdyż miał świadomość, że tylko Berytus może odnaleźć skarb i zabić Cymmeryczyka. Zszedł na dół, gdzie zastał kapłana wciąż uważnie badającego tajemną pracownię maga.

— Musimy iść — rzekł Sagobal.

— A więc idźcie — odparł Shosq — wcale na niego nie patrząc.

— Straciliśmy konie. Trzeba będzie iść piechotą. Musimy natychmiast wyruszyć.

Tym razem kapłan odwrócił głowę i zaczął mu się przyglądać oczami węża.

— Wracaj do swego miasta w jakikolwiek chcesz sposób Turańczyku. Ja pozostanę tutaj.

Mam zadanie do wypełnienia. Wrócę sam w odpowiednim czasie. Nie liczcie już na mnie.

— Możesz być o to spokojny — odrzekł Sagobal. Wszedł na górę po schodach i opuścił ruiny domu, mając w głowie pełno najczarniejszych myśli.

Ubo, Chamik i Mamos zaśmiewali się ciesząc, że ucieczka zakończyła się powodzeniem.

Czuli, że teraz nie zagraża już im żadne niebezpieczeństwo. Auda również był szczęśliwy, ale też nazbyt obolały, aby się śmiać. Czarownik jechał z ponurą miną, a Conan milczał.

Lajla robiła wrażenie, jakby cieszyła ją ta nocna jazda i nie widać było po niej żalu z powodu zniszczonego domu.

— Co się tam wydarzyło? — zapytał wreszcie Conan, gdy upewnił się już, że są bezpieczni.

Dał swym ludziom znak, by zwolnili tempo. Puścili konie wolnym kłusem i jechali tak, mając nad głową gwiazdy pustyni.

— Mag powiadomił nas, że są w pobliżu prawie godzinę przed tym, kiedy Osman zaczął do nas wołać.

— Osman? — powtórzył Conan — więc on tam był?

— Tak, to on ich przyprowadził! — stwierdził Ubo. — Stanął przed drzwiami i wołał nas po imieniu. Zabilibyśmy go od razu, ale czarownik potrzebował jeszcze nieco czasu, aby dopełniły się jego zaklęcia, więc trochę z nim pogadaliśmy. Osman rzucił w Chamika sztyletem i wtedy zaczęła się cała zabawa.

— Szkoda, że nie mogliśmy zbyt wiele zobaczyć z tego, co działo się na zewnątrz — powiedział Mamos — ale strzały wpadały przez okna i nie było bezpiecznie się temu przyglądać. W każdym razie brzmiało to jakby mieli ich jakiś wielki młyn! — Wybuchnęli śmiechem. Nawet Auda zdołał wydobyć z siebie słaby chichot.

— Będziemy musieli wkrótce się zatrzymać, żeby opatrzyć nogę Audy — rzekła Lajla.

— Ludzie z mojego plemienia potrafią jechać konno dzień i noc mając znacznie gorsze rany, zaprotestował człowiek pustyni.

— Zatrzymamy się, jak tylko nieco się rozwidni — oznajmił Conan — ich konie rozbiegły się na wszystkie strony, więc upłynie sporo czasu, zanim będą mogli urządzić prawdziwy pościg, a wtedy my znajdziemy się już poza ich zasięgiem.

— Dokąd teraz, wodzu? — spytał Ubo.

— Udamy się na pustkowie, gdzie nie ma żadnych dróg — rzekł Conan — będziemy się

trzymać kamienistych miejsc, by zostawić jak najmniej śladów. Obozować możemy tylko przy małych ujęciach wody, unikając okolic zamieszkanymi przez ludzi. W ten sposób przedostaniemy się do naszej starej kryjówki.

— Czy nadszedł już czas podziału łupu, wodzu? — zapytał Mamos, a jego złośliwe oblicze rozjaśniło się niczym twarz dziecka.

— Tak. Musimy jak najszybciej się z tym uporać, bo miejsce ukrycia skarbu nie jest już tajemnicą. Osman stał się zdrajcą, a kto wie, jakich łajdactw może się jeszcze dopuścić. Odjechali, zanurzając się w ciemnościach.

Tuż przed południem Conan zarządził postój. Brnąc przez pustkowia, zawędrowali daleko. Od wielu godzin nie widzieli śladu człowieka. Zsiedli z koni, by rozprostować obolałe członki. Lajla sprawdziła opatrunek, który tego ranka założyła na nogę Audy. Okolica była na wpół pustynna i porośnięta chaszczami. Nie widzieli owiec, ani innych zwierząt domowych, jedynie czasem mignęła im gazela, lub majestatyczna antylopa — rozważne zwierzęta, które z uwagą obserwowały intruzów, gotowe rzucić się do ucieczki na pierwszy sygnał niebezpieczeństwa.

— Rana nie wygląda tak źle — powiedziała Lajla — ale nie zagoi się dopóki będzie jechał.

Znam pewne lecznicze zioła, które by pomogły. Czy zdążę ich teraz poszukać?

— Owszem — przytaknął Conan. — Możemy przeczekać tu upał i wieczorem nadrobić drogę. Teraz brakuje nam pożywienia. Gdybym miał łuk, poszedłbym upolować gazelę.

— Dobry pomysł — wtrącił Ubo, rozcierając bolące siedzenie. — Wszystkie te walki i ucieczki zaostrzają apetyt. Czy czarownik nie mógłby ci wyczarować łuku i kilku strzał?

— Nie — westchnął Volvolicus — ale ponieważ zatrzymujemy się na kilka godzin, przestudiuję moje księgi i myślę, że będę potrafił sprowadzić parę małych trąb powietrznych, żeby zatarły ślad naszego postoju, kiedy ruszymy.

— To będzie właściwie wykorzystany czas — zgodził się Conan. Pochylił się i podniósł dwa kamienie wielkości pięści, a następnie schował je w przytroczonym do pasa woreczku.

— Pójdę z Lajlą na poszukiwanie ziół i może przy okazji uda mi się upolować kilka zajęcy.

— W Cymmerii panuje pogład, że dziesięciolatek źle się zapowiada, jeśli nie umie zdobyć obiadu za pomocą kamienia.

— Lepsze to niż nic — stwierdził Chamik, rozciągając koc i kładąc się wygodnie na ziemi.

— Wiesz co kobieto, kiedy będziesz szukać uzdrawiających ziół, rozejrzyj się za przyprawami do naszego obiadu.

— Dobrze, że przynajmniej potraficie kraść — zauważyła Lajla. — Większość z was jest zbyt leniwa, żeby żyć inaczej. Nie dziwiłabym się, gdybym zastała was martwych, bo z powodu lenistwa nie chciałoby się wam oddychać.

— Kobieta o ostrym języku jest jak obraza boska — stwierdził Mamos, próbując zrobić z materiału osłonę na głowę. — Tym razem ci jeszcze wybaczę.

— Auda, pożycz mi swoją lancę — poprosił Conan. — Jeśli natknę się na grubszego zwierza, spróbuję go trafić.

— Weź — zgodził się człowiek pustyni — na razie nie będę jej potrzebował.

Conan i Lajla opuścili obóz. Przeszli pół miii. Kobieta zatrzymywała się od czasu do czasu, by przyjrzeć się jakiejś roślinie. Za każdym razem jednak odrzucała ją, jako nieprzydatną. Conan cisnął kamieniem w zająca, ale chybił o włos i trafił w większy kamień. Z głośnym trzaskiem odłamki skalne posypały się w powietrze i szybki zwierzak umknął.

— W Cymmerii musi być sporo głodnych chłopców, jeśli tak polują jak ty — zauważyła Lajla. — Zaalarmowałeś wszystkie zające w okolicy.

— Od dawna tego nie robiłem — rzucił Conan z irytacją. — ja... Na Croma! Co to takiego?

— wskazał na północny wschód, skąd zmierzała w ich kierunku drobna, samotna postać.

— Na pierwszy rzut oka wydaje się, że to człowiek — odrzekła Lajla.

— Jasne, ale co samotny człowiek robi w tej okolicy? Idzie prosto w naszym kierunku, jakby wiedział, że tu jesteśmy.

— Czemu nie? My wiemy, że on tu jest. Może to pustelnik, albo święty wędrowiec. Takich spotyka się często na tych bezdrożach. Poszukują całkowitej samotności, by móc medytować z dala od rozrywek i towarzystwa.

— Bo ja wiem — Conan podrapał się po zarośniętym podbródku. — Jest w nim coś

niepokojącego.

— Wkrótce wszystkiego się dowiemy — odparła. — Będzie tu za moment.

W milczeniu patrzyli na zbliżającego się człowieka. W jego ruchach było coś, co nie spodobało się Cymmeryjczykowi. Wędrowiec stąpał pewnie, jakby droga pod jego stopami wybrukowana była równymi kamieniami. Nie zważał na uskoki, wyboje i osunięte głązy.

Ubrany był w strój, który Conan rozpoznał jako kitajski i, mimo ostrego słońca, nie miał na głowie żadnego okrycia, a jego długie, siwe włosy powiewały swobodnie.

Gdy był już całkiem blisko, Cymmeryjczyk wzdrygnął się. Zdał sobie bowiem sprawę, że człowiek idzie z zamkniętymi oczyma. A ślepiec nie może iść z taką pewnością, jeśli nie ma kija do badania drogi przed sobą. Jego zdumienie przerodziło się w przerażenie, kiedy zobaczył, że powieki wędrowca są zszyte drobnym ścięciem. Podobna jedwabna nitka zszywała jego zaciśnięte wargi.

— Na Croma i Ymira! — wykrzyknął Conan, szykując lancę do rzutu. Przybysz pstryknął palcami i w tej samej chwili nieznana siła wstrząsnęła lancą i ramieniem Conana, sprawiając ból, który co prawda nie był szczególnie dotkliwy, ale wywołał natychmiastowy skurcz mięśni. Z mimowolnym krzykiem upuścił włócznię na ziemię.

— Wybacz — rzekł człowiek — ale byłeś bliski popełnienia poważnego błędu.

Jego twarz pozostała nieruchoma, jednak głos był doskonale słyszalny.

— Nazywam się Feng–Yoon. Jestem czarownikiem z Kitaju, starszym mistrzem Wyższej Rangi i Nefrytowym Kawalerem Orderu Białego Feniksa. Przychodzę, by naradzić się z turańskim czarnoksiężnikiem, Volvolicusem.

— Jestem córką Volvolicusa — powiedziała spokojnie Lajla, jakby często zdarzało jej się widywać podobne rzeczy. — Zaprowadzę cię do niego. Ale teraz chcę znaleźć trochę suchego Księżyca Asztarota. Mamy w obozie rannego człowieka i powinnam go opatrzyć.

— Potrzebujesz rośliny, którą my nazywamy Czerwonym Wschodem słońca. Minąłem ją nieco wcześniej. Zaprowadzę cię do niej.

— Miło z twej strony, szlachetny panie.

Conan wymasował obolałą od skurczu rękę, po czym podniósł lancę i podążył za nimi.

— Jaką masz sprawę do Volvolicusa? — zapytał. — I jak udało ci się nas znaleźć?

— Nie musisz sobie tym zaprzętać głowy — odrzekł Kitajczyk. — Jesteś barbarzyńcą z północy, prawda?

— Jedynym w tej okolicy — przyznał Conan.

— Jesteś człowiekiem opatrności. Gdybym miał wolną chwilę, chętnie porozmawiałbym z tobą o paru sprawach historycznej wagi. Jednak czas nagli i muszę naradzić się z moim kolegą, szanownym Volvolicusem.

— Cóż cię tak nagli? — spytał zaintrygowany Conan.

— Chodzi o rzecz tak istotną, że jeśli nasze próby się nie powiodą, nie będzie już żadnej historii i nie będzie powodu, by z tobą rozmawiać.

Dla Cymmeryjczyka nie miało to żadnego sensu.

— Chodziło mi jedynie o napad i zemstę — powiedział. — Dlaczego sprawy tak się zagmatwały?

— Cele godne szacunku — rzekł Feng–Yoon, pełen aprobaty. — Ja również w swojej karierze dokonałem kilku wspaniałych napadów, choć podejrzewam, że skradzione przeze mnie rzeczy nie wydałyby ci się wartościowe. Także moje zemsty budziły powszechny podziw. Jesteśmy na miejscu.

Długim, ostrym, ozdobionym paznokciem czarnoksiężnik wskazał ziemię. Nie schylił przy tym głowy, jednak wydawało się, że wszystko widzi. Lajla zatrzymała się i zaczęła zbierać wskazane zioła, próbując nie uszkodzić korzonków.

— Są doskonałe — powiedziała. — Obumarły i zaczęły schnąć zaraz po ostatniej pełni, w chwili swej największej mocy. Nie znalazłabym równie dobrego specyfiku, szukając przez cały dzień. Dziękuję, Panie Feng–Yoon.

— Po trzech lub czterech stuleciach każdy dojdzie do wprawy, moje dziecko — odrzekł. —

Teraz jednak muszę rozmówić się z twoim szanownym rodzicem.

— Będę ci towarzyszyć, mistrzu.

— Spróbuję coś jednak upolować — powiedział Conan. Miał nadzieję na flirt z kobietą.

Ale pojawienie się dziwnego nieznanego pokrzyżowało mu te plany.

Gdy kobieta z czarownikiem oddalili się w kierunku obozu, Conan zajął się polowaniem.

Jego wzrok był wyostrzony, ale myśl błądziła gdzie indziej. Sprawy przybrały nadnaturalny bieg, a tego nie lubił. Nie miał chęci wracać do obozu. Nie potrzebował towarzystwa ludzi.

Mając miecz, mógł ruszyć w dowolną stronę świata. Mógłby żyć poza krajem, wędrować

bez celu, póki nie znajdzie się daleko stąd i zapomni o wydarzeniach. Wiedział jednak, że się nie wycofa. I nie chodziło o skarb. Prawdę mówiąc, niewiele go obchodził. A zemsta już się dokonała — władca Turanu wkrótce ukarze Torgut Chana i Sagobala za zdradę.

Czarownik był mu potrzebny tylko po to, by wynieść skarb, a kobieta... cóż, świat pełen jest kobiet.

Jednak nie, doprowadzi sprawę do końca, choćby była najbardziej szalona. Nie potrafił

porzucić towarzyszy i przerwać robotę w polowie. To prawda, że bandyci byli

bezwartościowymi typkami. Jednak kiedy Conan z Cymmerii opowie się raz po czyjejs

stronie, pozostaje lojalny, chyba, że sam zostanie zdradzony.

Myśl o zdradzie przypomniła mu Osmana. Co działo się z tym nędznym

złodziejaskiem? Odkąd po raz pierwszy rozmawiali przez ścianę dzielącą ich cele, nie

udało się temu człowiekowi dokonać niczego, prócz kilku zrad, tak skomplikowanych, iż

zastanawiając się nad nimi Cymmeryjczyk kompletnie się gubił. O czym jeszcze myślał?

Jeśli pojechał prosto po skarb, mógł liczyć jedynie na to, że zdąży zabrać niewielką część bogactw, zanim nadjedzie pościg. Nawet jeżeli sądził, że wszyscy bandyci zginęli w domu

Volvolicusa, wiedział, że Conan wciąż był na wolności i wkrótce powróci do malowanej jaskini.

A może próbował znaleźć kogoś do pomocy? Potrzebowałby wielkiego wozu, żeby

wywieźć wszystko naraz, a to oznaczałoby podział łupów. Być może, jego sprawiedliwy podział okazałby się krzywdzący dla współtowarzyszy, zakładając, że nie poderznęliby mu gardła i nie zachowali wszystkiego dla siebie. Kiedy w grę wchodzi zysk, Conan z własnego doświadczenia wiedział, że niewielu ludziom można ufać.

Szedł rozmyślając. Nagle zauważył samotną gazelę. W szybkich podskokach zwierzę rzuciło się do ucieczki. Jednak Conan był szybszy. Rozkołysał smukłą włócznię. Błyszczący oszczep pofrunął wdzięcznym łukiem prosto za oddalającą się gazelą. Zwierzę skoczyło raz jeszcze. Jednak jego droga skrzyżowała się z lotem włóczni, która trafiła je pod łopatką.

Gazela przewróciła się na bok. Jeszcze przez chwilę targały nią drgawki, potem ustały.

Cymmeryjczyk uśmiechnął się. Na szczęście zostały jeszcze w życiu rzeczy proste i satysfakcjonujące. Przyniósł zdobycz do obozu, gdzie zastał Volvolicusa i Kitajczyka pogrążonych w rozmowie. Mówili językiem, jakiego nigdy dotąd nie słyszał. Lajla rozpałała małe ognisko. Inni spali. Podszedł do Ubo i trącił go stopą. Jednooki Turańczyk odwrócił się i spojrzał na niego, mrugając swym niedowidzącym okiem.

— O, obiad! — powiedział Ubo.

Conan rzucił gazelę obok jego ogromnego brzuszyska.

— Możesz to oczyścić — powiedział. Ubo usiadł utyskując.

— Do czego to człowiek musi się posuwać, żeby zadowolić swojego wodza. Podniósł się i wyciągnął nóż.

— Wynieś ją z obozu — powiedziała Lajla. — Jej wnętrzności przyciągnęłyby do nas muchy z całej okolicy.

— Wedle rozkazu, pani — wymamrotał Ubo. Z gazelą przewieszoną przez ramię skierował się ku pustyni. Conan znalazł miejsce mniej kamieniste niż reszta okolicy. Ułożył się i osłonił przed słońcem własnym burnusem. Po kilku minutach już spał.

Bez najmniejszego błysku emocji w swych wężowych oczach Tragthan wysłuchał sprawozdania Shosqa. Razem z Nikasem stali w krypcie na tyłach świątyni. Z otaczających

ich murów wydobywały się jęklliwe dźwięki. Wydawało się, że te niesamowite ściany same zaczynają się ruszać, i kurczyć, jak wnętrze ogromnego żołądka. Szept, podwojony przez nienaturalną geometrię miejsca, wytrąciłby z równowagi zwykłego śmiertelnika. Ale kapłani Ahrimana nie zwracali nań uwagi, rejestrując jedynie istotne zmiany.

— To niepokojące — powiedział w końcu Tragthan. — Jednak czy jesteś pewien, że dobrze odczytałeś hieroglify?

— Nie ma wątpliwości — potwierdził Shosq. — Czarownik, zwany Volvicusem, Jest mistrzem stygijskiej sztuki Khelkhet–Pteth. Jest ona najstarsza i ma najwięcej mocy ze wszystkich stygijskich sztuk, choć sami Stygijczycy zapomnieli o tym. Przez wiele stuleci wykorzystywali ją głównie do przenoszenia wielkich kamieni w swych nie kończących się, daremnych przedsięwzięciach budowlanych. Dziś myślą o niej jak o magicznym, wyrafinowanym rzemiośle kamieniarskim.

— Głupcy! — powiedział Nikas. — Czy nie rozumieją, że ta najstarsza z magicznych sztuk umożliwia manipulację kryształem, z którego zrobiona jest większość ciał stałych tej równiny?

— Ich niewiedza działa na naszą korzyść — odrzekł Tragthan. — Mistrz Khelkhet–Pteth, gdyby chciał, mógłby dzięki swojej władzy unicestwić ten świat, niszcząc jego krystaliczną strukturę. Podejrzewana, że dawni Stygijczycy nigdy nie byli tego świadomi. Wciąż tylko szukali sposobów na podporządkowanie sobie demonów i zabiegali o łaskę pomniejszych bogów.

— Czy oznacza to zmianę naszych planów? — spytał Shosq.

— Nie — odparł Tragthan. — Po pierwsze, wszystko już się zaczęło i nasza moc nie może nic zdziałać. — Mówiąc to, wskazał ręką odrażającą kryptę. Jęk wydobywający się ze ścian przypominał skargę skręcanego głodem wielkiego potwora. Na ich wykrzywionych, choć nieruchomych twarzach widać było trwogę.

— Widzicie? Słyszycie? Nie możemy tego powstrzymać, ale myślę, że nie musimy się

obawiać Volvolicusa. Z pewnością nie rozumie ze swojej sztuki wiele więcej, niż Stygijczycy j był zadowolony, mogąc schronić się w odosobnionym miejscu przed zdegenerowanymi

Turańczykami. Gdyby wiedział, jaką posiada moc, mógłby rządzić jak król–kapłan Stygii.

— Miejmy nadzieję, że masz rację — rzekł Nikas. — Co w takim razie zrobimy?

— Musimy pomóc naszemu straszliwemu władcy odrodzić się na tym świecie. Z pewnością nie będzie to tak doskonale przyjście, jak uprzednio planowaliśmy. Sądzę jednak, że dzięki wielkim czarom, które odprawialiśmy w ostatnich dniach, powrót naszego boga nie będzie tak katastroficzny.

— Nie obawiasz się — wtrącił Shosq — że ten nadmierny pośpiech osłabi naszego pana i pozbawi go świadomości? Nie będzie znał nawet samego siebie.

— To się prędko zmieni — zapewnił ich Tragthan. — Dzięki naszej pracy nad nim i wsparciu sił, które możemy przywołać, szybko odzyska moc. A zniszczenia staną się straszne. Ale właśnie tak czyni Pan Ahriman. Jakież ma znaczenie unicestwienie milionów śmiertelników, zburzenie porządku na ziemi i w powietrzu? Cóż liczy się bardziej niż fakt, że my, jego wierni słudzy, będziemy mu posłuszni w jego nowych rządach, a on uczyni nas władcami swego nowego dzieła.

— Chwała naszemu straszliwemu Panu Ahrimanowi — wykrzyknęli obaj.

— Doskonale — odezwał się Chamik, odrywając resztkami zębów włókna pieczonej gazeli od kości.

— Nasz wódz jest wielkim myśliwym, a Lajla świetną kucharką.

— Oszczędź mi tych pochlebstw — ucięła Lajla — Auda, chcesz coś zjeść?

— Trochę — odparł. Człowiek pustyni miał gorączkę. Spuchnięte udo prawie podwoiło swój obwód. Lajla orzekła jednak, że to normalne, oraz że rana, na którą nałożyła okład z ziół, powinna się już dobrze goić. Odkroiła kilka cienkich plasterków pieczeni i podała je Audzie.

Conan jadł w zadumie. Bandyty spokojnie spożywali swoją część, jakby niczego się nie obawiali. Chwyтали dymiącą pieczeń zębami i odcinali ogromne kęsy, omal nie kalecząc

sobie przy tym nosów. Przeżuwalili niedbale, głośno mlaskając. Tłuszcz i krew spływały im po brodach, plamiąc tuniki i kaftany.

Kiedy indziej barbarzyńca poddałby się. Teraz jednak zmuszony był myśleć za wszystkich. Kiedy zatopił silne, białe zęby w twardym, lecz smakowitym mięsie, dostrzegł dwóch czarowników. Nie przerwali ani na chwilę rozmowy i żaden nie wydawał się być zainteresowany posiłkiem.

Ubo cisnął obgryzioną kość w krzaki i chwilę później wyskoczył z nich zacząjony tam szakał, niosąc gnata w zaciśniętym pysku. Trójka jego pobratymców podążyła za nim, próbując odebrać mu zdobycz. Ubo roześmiał się.

— Te stworzenia to moje bratnie dusze! Łapcie go, bracia!

— Faktycznie, jest między wami podobieństwo — przytaknęła Lajla.

— Wodzu — Mamos na chwilę oderwał uwagę od jedzenia — to mi wygląda na dobre miejsce. Jesteśmy daleko od Sagobala i łowców ludzi. Nikt nas nie śledzi. Jeśli znajdziemy wodę, może moglibyśmy tu zostać jakiś czas. Król miałby kilka dni więcej, żeby złupić i podpalić Torgut Chana i jego psy.

— Nie brzmi to głupio — odparł Conan — jednak nie mogę zostać, póki wiem, że Osman gdzieś spiskuje. Albo przyczał się w jakiejś kryjówce, albo ku niej zmierza. Jeśli mamy do czynienia z tym pierwszym, musimy go złapać i zabić, jeśli z drugim, musimy poczekać, aż się pojawi.

— A co będzie, jeśli nie przyjedzie sam? — spytał Chamik.

— Trzeba się zastanowić — przyznał Conan. — Sądzę, że chce zagarnąć cały skarb, ale przechrzty tym razem sam siebie. Zapewne myśli, iż wszyscy zginęliście i z żyjących tylko on i ja wiemy, gdzie schowany jest skarb. Wydaje mu się, że mnie zabije.

— Ten nędzny szczur? — zdziwił się Ubo. — Widział cię w akcji i musiał właściwie ocenić.

— Poza otwartą walką, istnieją jeszcze inne sposoby, by zabić człowieka — wtrąciła Lajla.

— Rana w plecach od zatrutej strzały jest tak samo śmiertelna jak cios zadany oszczepem, a tuzin najemników może pokonać najdzielniejszego wojownika. Ale przecież nie muszę

kogoś takiego jak ty wprowadzać w techniki morderstwa.

— Masz rację — odparł Conan. — Nad jednym się zastanawiam: ubiegłej nocy Osman zaprowadził Sagobala i łowców ludzi do domu czarnoksiężnika, żeby sprawdzić, czy wszyscy zginęliście. Czy nie mogło się zdarzyć, że czary Volvolicusa ich tam zabiły?

— Z pewnością wielu zginęło, możemy się o to założyć — powiedział Chamik.

— Szkoda, że nie wiem, ilu przeżyło — zasepił się Conan — na razie założmy, że musimy pokonać ich wszystkich. Sagobal chce zagarnąć złoto, więc nie będzie ciągnął ze sobą strażników, ani nie zaryzykuje, że Torgut Chan mógłby się dowiedzieć, gdzie jest ono schowane.

Czarownicy skończyli rozmowę. Kitajczyk podniósł się i stanął naprzeciw nich.

— Musicie wszyscy udać się do Shahpuru — oświadczył.

Bandyti spojrzeli na siebie z niedowierzaniem, po czym wybuchnęli śmiechem.

— Masz nie po kolei w głowie, starcze — odezwał się Chamik. — Widzieliśmy w Shahpurze wszystko, co chcieliśmy zobaczyć. Nie powinienem zaszczycać swą obecnością tego miasta. Nie jestem tam mile widziany. Jeśli jego mieszkańcy będą dobrze do mnie nastawieni, po prostu mnie powieszają.

— Niemniej, musisz jechać do Shahpuru — powtórzył Feng-Yoon.

Mamos wstał leniwie i wyciągnął zza paska nóż. Jego zakrzywiona dziesięciocalowa klinga była niezwykle ostra.

— Chyba nadszedł czas, żeby go wyprowadzić z błędu. Pomieszany umysł jest zniewagą dla bogów.

Wymachując nożem, zbliżył się do Kitajczyka ze złym błyskiem w oku. Feng-Yoon uczynił tajemniczy gest i ramieniem bandyty szarpnęły konwulsje. Nóż wypadł z bezwładnych palców, o włos mijając Ubo, który musiał uchylić się, by uniknąć ciosu.

— Na Mitrę! — krzyknął Mamos — Co to było?! Zmiję weszły mi w rękę! — Zaczął masować mięśnie, ścierpnięte od nadgarstka, aż do barku.

— Powinienem ci powiedzieć, żebyś tego nie robił — odezwał się Conan. — Ale pomyślałem, że dostaniesz nauczkę. — Potem zwrócił się do Feng-Yoona:

— Dlaczego musimy jechać do Shahpuru, Kitajczyku? Wszyscy mamy wystarczająco wiele powodów, by nie chcieć znów oglądać tego miejsca. Ubo ma rację.

— Są dużo ważniejsze sprawy od jakiegoś tam skarbu. Ważne rzeczy dokonają się w Shahpurze, i to przy waszej pomocy. Dostaniecie o wiele lepsze przebrania, niż te, które nosiliście ostatnim razem. Volvolicus poprowadzi do miejsca, gdzie was oczekują.

Zapamiętajcie moje słowa. Jestem pewien, że nie chcielibyście narazić się na moją klątwę.

— W żadnym wypadku — przytaknął z goryczą Ubo. — Cóż może znaczyć bajeczny skarb w porównaniu ze służbą u czarnoksiężnika z Kitaju?

Feng-Yoon nie zareagował na ironię. Odwrócił się bez słowa i odszedł przez pustynię w kierunku Shahpuru.

— Dobrze, że poszedł — stwierdził Chamik, kiedy Kitajczyk był poza zasięgiem jego głosu.

— Na widok jego oczu i ust dostaję gęziej skórki. A kiedy zaczyna mówić, jest jeszcze gorzej. — Zwrócił się do Conana.

— Wodzu, czy naprawdę musimy słuchać jego rozkazu?

— Musicie — odparł Volvolicus. — Tyle razy, ile moja moc jest większa od mocy ulicznego magika, jego siła przewyższa moją. Nawet wśród czarnoksiężników Wyższej Rangi nie ma drugiego o tak straszliwej sile. Być może jest większy od samego Thoth Amona.

Imię to nie było Conanowi obce.

— Jeśli to prawda, nie możemy ryzykować, ściągnięcia na siebie jego klątwy. Powiedz Volvolicusie, czy przebranie naprawdę nas ochroni?

— Tak. On nie życzy wam źle, jednak czeka nas wiele niebezpieczeństw i musimy mieć

pomocników. Wykradając skarb z krypty, zburzyliście porządek pewnych czarnoksiężskich praktyk, mających tam miejsce. Trudno wyrazić to w ziemskim języku, jednak dzięki temu staliście się jedynymi, którzy mogą powrócić do krypty i powstrzymać niebezpieczny proces.

Ubo wbił w niego wzrok.

— Mamy wrócić do krypty?

— Wysłuchajmy go do końca — powiedział Auda. — Może jest tam ukryty drugi skarb?

— Tak — stwierdził Mamos, krzywiąc się i zginając palce prawej ręki. — A może nowy czarodziej przywoła jednego ze słynnych smoków z Khitaju, żeby zabrał nasze złoto — i po słowach tych odszedł, mamrocząc coś pod nosem i zerkając na swój nóż.

— Nie macie wyboru — powiedział Volvolicus. — Ja również nie. Moja córka także musi tam wrócić, a wiecie, że ten pomysł nie bardzo mi się podoba.

— Cóż, skoro tak postanowione — ruszajmy — powiedział Conan. — Ale nie będziemy jechać w upale. Kiedy skończycie jeść, niech każdy zajmie się swoim koniem. Ja przygotuję konia Audy. Potem prześpijcie się trochę, tej nocy nie będzie na to czasu. Są szansę, abyśmy dotarli do Shahpuru przed świtem. Czarnoksiężskie przebranie może być skuteczne, jednak wolałbym nie przejeżdżać przez tę bramę w dziennym świetle. Miniemy ją przed brzaskiem.

— Dostaniecie przebranie od Wendjanina, maga Asoki — powiedział Volvolicus. — Jest mistrzem iluzji.

— Najpierw Kitajczyk, teraz Wendjanin? — zdziwił się Conan. — Co oznacza to zjednoczenie czarnoksiężników, Volvolicusie?

— Zapewniam was, że lepiej nie wiedzieć — odparł czarodziej. — Jednak wszystkiego dowiecie się jutro.

— Dlaczego nie dzisiaj? — spytał podejrzliwie Chamik.

— Nie pytaj — rzekła z uśmiechem Lajla. — Podejrzewam, że gdybyśmy znali prawdę,
nikt nie zmrużyłby oka.

Musieli więc zadowolić się tym wyjaśnieniem.

Nadszedł szary świt, Volvolicus krzyknął, żeby się zatrzymali. Ciągłe byli w pobliżu wzgórza, przy drodze do Shahpuru. Ruszyli ponownie, gdy nagle jakiś kształt parę kroków przed nimi odłączył się od skały. Do tej pory siedział ze skrzyżowanymi nogami na czubku głazu w takim bezruchu, że nawet spostrzegawcze oczy Conana wzięły go za postać kamienną. Okazał się być małym, okrągłym mężczyzną ubranym w prosty strój. Miał duży turban na czubku głowy. Złożył dłonie i uklonił się głęboko.

— Witam, moi przyjaciele. Mam na imię Asoka, jestem skromnym magikiem z Kaleekhat w Wend. — Kiedy przemawiał, turban jarzył się słabym światłem. — Przyszedłem tutaj, żeby pomóc wam zmienić wasz wygląd. Uznają mnie za znawcę sztuki Maja, co w języku Wendjan znaczy iluzja.

— Mam nadzieję, że uznany jesteś nie tylko jak znawca — stwierdził Conan — ponieważ nasze życie jest w twoich rękach.

Wendjanin uśmiechnął się.

— Niektórzy byli uprzejmi określić mnie mianem więcej niż znawcy.

Gdy doszli do wrót Shahpuru, słońce ciągle było poniżej horyzontu. W tym właśnie momencie wejście otworzyło się ze skrzypnięciem. Farmerzy, domokrażcy i wędrowcy z karawan stłoczyli się przy bramie, aby dostać się do środka. Cymmeryjczyk i jego towarzysze czekali cierpliwie, ponieważ nie mieli żadnego interesu, żeby przepychać się do przodu. Trzymali swoje konie za lejce, stojąc na końcu tłumu.

— Imiona i cel wizyty? — Zapytał urzędnik przy bramie. Spojrzał na nowo przybyłych i dojrzał jedynie małą grupę wieśniaków z Turanu. Volvolicus był najstarszym z nich, z długą, śnieżną brodą. Conan stał się krzepkim czarnobrodym kowalem. Lajla zaś, chłopcem około szesnastego roku życia. Resztę grupy stanowili sztukmistrzowie i farmerzy. W celu zmylenia straży wszystko zostało dopracowane aż do najmniejszego szczegółu.

Nawet konie przypominały szkapy farmerów, a kiedy Conan przemówił, słuchający mógł jedynie wykryć akcent z kresów Turanu.

— Jesteśmy z wioski Uhvas — powiedział Volvolicus. Przedstawił każdego przybranym nazwiskiem. — Przyszliśmy prosić Torgut Chana o zmniejszenie naszych podatków. Zbiory były niewystarczające w tym roku, a nasze bydło i owce chorowały!

— Możesz prosić, jeśli tak sobie życzysz — poinformował go urzędnik. — Jednakże mogę cię równie dobrze ostrzec, że jest to zły czas na rozmowę o podatkach z namiestnikiem.

Należy się ćwierć dinara za każdego człowieka i każdego konia. W sumie trzy i pół dinara za wszystko.

Volvolicus pogrzebał chwilę bezładnie w swej torbie, aż wyciągnął kilka monet. Policzył je dokładnie i przekazał żadaną sumę.

— Następny! — wrzasnął urzędnik.

— To było łatwe — przyznał Auda. Ciężko utykał, ale jednak mógł iść opierając się na ramieniu Chamika.

— Mam nadzieję, że wszystko potoczy się równie gładko — stwierdził Conan. — Teraz musimy znaleźć stajnię. Auda, ty zostaniesz z końmi. Nie mam pojęcia, co ten czarownik od nas chce, ale jeśli mamy rozstać się z tym miastem w takim pośpiechu jak poprzednio, to człowiek ze zranioną nogą nie będzie mógł biec. Będziesz jednak mieć konie gotowe do natychmiastowej akcji.

— Możesz na mnie polegać — przyznał Auda z ulgą w głosie. Nie pragnął brać udziału w praktykach czarownika.

Jak w innych miastach, które żyją z rozwiniętego handlu, w Shahpurze był wydzielony obszar, gdzie można było się zatroszczyć o zwierzęta lub sprzedać konie, wielbłądy, małpy czy muły. Miejsce to znajdowało się blisko głównej bramy, i tam też upatrzyli sobie małą stajnię.

— Daj mi swoje pieniądze, a ja dam ci miejsce w stajni — powiedział stajenny, spoglądając z pogardą na konie. — Chociaż właściwie nie rozumiem, dlaczego masz

marnować pieniądze. Te szkapy powinny być uwiązane na zewnątrz. Jedno ze zwierząt zarżało w proteście, że zostało zamknięte w poręcz i złamało ją jednym uderzeniem.

— Mają w sobie jeszcze ducha — powiedział Conan do zdumionego stajennego. — Nie potrzebujesz się nimi zajmować. Nasz towarzysz podróży będzie miał na nie oko.

— Cokolwiek sobie życzysz — odparł stajenny, wkładając zapłatę do mieszka.

Wyszli ze stajni w kierunku centrum miasta. Było to tłoczne i gwarne miejsce, ale w porównaniu ze ścisem podczas festynu, teraz wydawało się niemal puste. Przez chwilę kręcili się między straganami udając, że sprawdzają towary. Dzięki przebraniom nigdzie nie padł na nich nawet cień podejrzenia.

— Pomyśl — odezwał się Ubo — gdyby ten Wendjanin dołączył się nas? Myślę, że sztuka, którą uprawia, mogłaby się przydać ludziom takim jak my.

— Ubo — odparł Mamos — w swej nowej postaci masz dwoje oczu. Czy widzisz teraz podwójnie?

Ubo podniósł małą figurkę wielkości krasnala, przedstawiającą boga Bes z głową lwa i trzymał ją blisko lewego oka.

— Jedno jest ślepe jak kamień!

Mamos wzruszył ramionami.

— W takim razie ten magik nie jest dobry.

— Co powinniśmy zrobić? — spytał Conan Volvolicusa.

— Musimy czekać. Nie sądzę, żeby w dzień mogło wydarzyć się coś ważnego. Północ to bardziej odpowiednia pora. W międzyczasie grajmy rolę prostaczków odwiedzających duże miasto. Gapcie się na wspaniałe budynki, podziwiajcie aktorów na rynku, ale nie upijcie się.

— On myśli, że jesteśmy opilcami — stwierdził obrażony Chamik.

— Jesteśmy panami konia i miecza, ale gdy zajdzie potrzeba, możemy zagrać rolę prostych robotników lub wieśniaków.

— Z twojej strony to zdumiewająca łaskawość — powiedziała Lajla.

— Uważaj jakich słów używasz — zganił ją Conan. — Wiejscy parobkowie nigdy nie są zuchwali mówiąc do starszych.

— Miałem przecucie, że to będzie utrapienie — westchnęła.

Znaleźli zacienione miejsce na placu i usiedli. Trzymali się ze sobą, rozmawiając od czasu do czasu z mieszczanami i przejezdnyimi. Trudno było nie zauważyć, że pospólstwo unikało

świątyni Ahrimana. Widać było otwarty teren dla ludzi wchodzących na plac i szerokie koło wyznaczone, aby nie zbliżali się do świątyni. Wkoło rosły drzewa. Te przy świątyni

usychały, a inne w oddaleniu pięknie kwitły. Fasada świątyni wyglądała gorzej niż kiedyś.

Wydawało się, że budynek ma tysiąc lat.

— Popatrz! — powiedział Mamos, kiedy cień późnego popołudnia rozciągnął się wzdłuż placu.

Siedmiu jeźdźców jechało w jednym szyku. Na przedzie Sagobal z twarzą tak posępną, jak burza piaskowa. Za nim jechał olbrzymi Akwilończyk z równie ponurym obliczem. Reszta jeźdźców pochodziła z różnych stron świata. Ich twarze wyglądały groźnie.

— Czy to możliwe, że zostało ich tak mało? — wymamrotał Ubo. — Oczywiście, jesteśmy świętymi wojownikami i ograniczyliśmy ich liczebność. — Pozostali zachichotali.

— Odnaleźli kilka koni — powiedziała Lajla.

— Conan, kim oni są? Widziałem tylko Hyrkańczyka a pozostali wyglądają mi obco.

— Ten wielki mężczyzna za Sagobalem to Akwilończyk — mówił Conan. — Ma znaki wojownika z areny. Następny to człowiek z Koth. Ten w białym stroju jest z Shem — narodu wielkich łuczników. Ciemnoskóry, który jeździ boso, ma cechy Keshanina lub

Punta. Popatrz na jego oczy. Są cały czas rozbiegane, nawet tu w mieście. Jest człowiekiem od tropienia śladów. Następny to Zamoranin. — Conan ostrożnie obserwował Berytusa,

którego widział z bliska po raz pierwszy. Wyglądał tak samo groźnie, jak reszta

przeciwników, z którymi Cymmeryjczyk wcześniej się zetknął. Jego broń była najwyższej

jakości, a maleńka zbroja mówiła o tym, że polegał na swojej szybkości i umiejętnościach, a nie na biernym zabezpieczeniu się. Jego dłonie i przedramiona okrywała skóra i metal.

Znaczyło to, że używał ich jako podstawowej broni. Niewątpliwie, że była to pozostałość po walkach na arenie.

Reszta z nich to specjaliści w różnych sposobach walki. Conan nie miał złudzeń co do

wojennych umiejętności swoich ludzi, którzy raczej przywykli do zasadzek i morderstw niż do otwartej walki. Jeśli miałyby dojść do otwartej walki, tamci wojownicy mieli

zdecydowaną przewagę.

— Nie wyglądają tak strasznie — stwierdził Mamos.

— Tak myślisz? — powiedziała Lajla. — Ostatnim razem kiedy się zbliżyli do nas, leżałeś na ziemi, próbując się czymś zasłonić.

— Lajla! — Conan rzekł ostrzegawczym tonem.

— Przepraszam — wymruczała bez skruchy.

— Wiesz — powiedział Ubo — teraz jest dobry moment, aby ich zaskoczyć. Popatrz, nie podejrzewają, kim jesteśmy. Staliśmy się dla nich wieśniakami, na których nie warto zwracać uwagi. Moglibyśmy poczekać, aż zsiądą z koni, podejść od tyłu, jakbyśmy załatwiali coś, i każdy z nas utopiłby sztylet w ich plecach.

— Ktoś z nas musiałby być bardzo szybki — powiedział Mamos. — Tam jest ich siedmiu, a nas tylko sześcioro. Przywódco, czemu ty nie weźmiesz na siebie Sagobala i Akwilończyka? Jego chytre spojrzenie rzucało diabelskie błyski.

— Zakazuję wam — syknął Volvolicus. — Musimy załatwić ważniejszą sprawę niż walka z Sagobalem.

— Tak mówisz? — spytał z przekąsem Mamos. Jego humor stał się nieco złośliwy.

— Wybacz, ale powiedz mi magiku, jaki rodzaj spraw jest ważniejszy niż zabicie wroga?

Te świnie będą szły za nami, aż nas zabiją. Chyba, że my ubiegniemy ich — powiedział Ubo.

— Ubo ma rację. Dlaczego nie zająć się nimi teraz, gdy nasz wygląd daje nam przewagę?

— Spokój, wszyscy! — krzyknął Conan. — Chciałbym ich zabić tak samo jak wy, ale to są wrogowie, po których wiadomo, czego można oczekiwać. Chcecie, by magicy wystąpili przeciwko nam? Mamos, ty pamiętasz, co się stało, gdy wyciągnąłeś miecz przeciwko Kitajczykowi? Myślisz, że on nie może zabić z równą lekkością? Są rzeczy, których nie powinniśmy lekceważyć.

— On ma rację — stwierdził Chamik. — Zróbmy to bez pośpiechu. Nie potrzebujemy więcej zmartwień niż mamy.

Nadciągał powoli wieczór. Lajla poszła do straganowych sprzedawców. Wróciła z chlebem, owocami, serem i lekkim piwem na obiad. Siedli i spożywali, czekając na coś, co miało się zdarzyć.

— To jest kiepskie żarcie — westchnął Mamos z niesmakiem. — To, czego pragnę to tłuste ptactwo z mocnym winem! Pójdźmy do tawerny.

— Czy obchodzimy jakieś święto? — zapytał Conan. — Pamiętaj, że jesteś biednym farmerem, który żyje ze swej ciężkiej i mało płatnej pracy, a nie hulaszczym bandytą.

— Teraz jest ciemno — gderał Mamos. — Kto zobaczy?

Narzekanie ucichło, a ludzie położyli się, aby uciąć sobie drzemkę. Nie przyciągali uwagi, ponieważ w tych spalonych przez słońce południowych miastach nie było niczym

niezwykłym, że ludzie oczekiwali na załatwienie spraw przez wiele dni. W pobliżu publicznych budynków można było zobaczyć ludzi siedzących na ławkach bądź na ziemi i oczekujących na załatwienie spraw. W ich przypadku oczekiwanie nie było zbyt długie. Na krótko przed północą zbliżył się do nich Kitajczyk.

Conan nie spał i obserwował księżyc, który wydawał się przebijać ponad iglicą wieży.

Gwiazdy wydawały się być wielkim skarbem składającym się z diamentów, szafirów i

rubinów, rozsypanych wzdłuż powłoki czarnego jedwabiu. Z pozycji gwiazd Conan wywnioskował, że było blisko północy.

Staął przed nim dziwny kitajski magik i Wendjanin.

Byli też inni — Turańczyk o drobnej budowie ciała wyglądający jak miejscowi.

Pozostałych nacji Conan nie mógł rozpoznać.

— Już czas — powiedział Kitajczyk.

Reszta obudziła się nagle i spoglądała na nowo przybyłych.

— Czas na co? — zapytał Conan.

— Obserwujcie mnie — rzekł Feng-Yoon. Wydawał się płynąć w powietrzu, aż osiadł na ziemi, a jego towarzysze zrobili to samo tworząc ciasne koło. Wszyscy zwróceni byli do środka. — Asoka, pokaż swoje umiejętności.

Wendjanin, śpiewając monotonie, wykonywał przez pewien czas jakieś gesty, pozornie bez żadnego efektu.

— Teraz nikt nas nie może zobaczyć, ani usłyszeć — stwierdził Feng-Yoon. — Jeśli ktoś się przybliży nie ujrzy nic.

— Co się stanie, jeśli przewrócą się o nas — spytał nie—przekonany Mamos.

— To się nie stanie, bo niewidzialna siła na to nie pozwoli — powiedział Asoka. — Ludzie będą nas omijać, podobnie jak wszyscy omijają to przeklęte miejsce wokół świątyni.

— Sądziłem, że mieszkańcy uważali ten teren za diabelski — stwierdził Conan.

— Ty i twoi kamraci lubicie tarzać się w diabelskich miejscach — zauważyła Lajla.

— To jest prosty i łatwy do zrozumienia demon, niebezpieczny jedynie dla istot śmiertelnych — odparł Ubo. — My mamy przyjemność igrać z tym demonem.

— Czy możemy mówić na temat? — przerwał Volvolicus.

— Tak — zgodził się Feng-Yoon. — Wróćmy do naszych spraw.

Musicie wiedzieć, że kapłan z tej świątyni ma zamiar sprowadzić boga Ahrimana z

powrotem na ziemię.

— Chwileczkę — przerwał Conan. — Widziałem świątynie Ahrimana i Ormazda w wielu miejscach. Czym ta się różni?

— Ahriman z kultu Ormazda nie jest niczym innym, jak tylko wspomnieniem prawdziwego boga — wyjaśnił Feng-Yoon. — Zmagania między bogami światła i ciemności są kosmiczne, ciągle trwające, wieczne. Na zawsze stworzyciele będą walczyć z niszczycielami. Największym z niszczących był Ahriman, tak złowrogi i diabelski, że nawet bogowie Stygii walczyli przeciwko niemu. W czasach tak dawnych, że pozostało po nich tylko wspomnienie, królowie-kapłani ze Stygii z pomocą swego boga Seta, wypędzili Ahrimana z tego świata. Zniszczono jego świątynie, zabito wyznawców i kapłanów. Myślano, że jego wyznawcy zostali zabici, a on wypędzony na zawsze.

— Jednak nic nie trwa wiecznie — stwierdził Wendjanin. — Nic tak naprawdę nie jest usunięte z tego świata. Wszystko czeka na swoją kolej.

— W tym roku — mówił Feng-Yoon — jakieś nieznane siły, prawdopodobnie konfiguracja gwiazd i planet, zlekceważona przez nas, pobudziła do życia kilku kapłanów Ahrimana, dawno złożonych do grobu pod antycznymi relikwiarzami. Nawet najstarsi i najmądrzejsi byli zaskoczeni, kiedy się o tym dowiedzieli. Ci nieczyści kapłani, którzy wywodzą się z piekielnej rasy, są pół gadami, pół ludźmi. I trafili do Shahpuru.

— Co ich tutaj przywiodło? — spytał Conan.

— Badałem to miejsce dwa dni temu — powiedział Nemedyczyk. — Jestem Pyatar z Agrapuru, i jak wszyscy moi rodacy myślałem, że Shahpur to zwykła targowa miejscina, do której przybywają karawany, jak wiele innych w Nemedii. Teraz wiem, że jest to zapomniane antyczne miasto. To, co widzimy, to tylko najwyższa warstwa miasta, licząca nie więcej niż tysiąc lat, zbudowana na zgliszczach przeszłości. Co ciekawe, najstarszą częścią jest świątynia. — Skierował dłoń w kierunku złowieszczonego domu Ahrimana. —

Prawdopodobnie — mówił dalej Pyatar — podstawa jej jest nieprawdopodobnie stara. W środku znajduje się ołtarz i krypta — miejsca, które tak naprawdę nie istnieją w naszym świecie.

Conan zaniepokoił się na dźwięk tych słów.

— Nie istnieją? Ale my widzieliśmy ołtarz! Weszliśmy do krypty i zabraliśmy skarb

Torgut Chana!

— Powiedziałem, że nie istnieją w tym świecie. One należą do innej rzeczywistości i to jest najdziwniejsze, że ołtarz jest w ogóle widoczny. Czy nie jest trudno na niego patrzeć?

— Kręci się w głowie — przyznał Conan.

— I czy naprawdę widziałeś kryptę, czy jedynie skarb, którego szukałeś? — Spytał Feng-Yoon.

— Ruszyliśmy w dół po schodach — zaczął opowiadać Coban. — Trzymaliśmy kapłana i innych pod mieczem, kiedy Volvolicus podniósł złoto. Chamik, czy nie zmusiłeś ich, żeby stanęli przy ścianie?

— Tak zrobiłem! Wymachiwałem ostrzem przed twarzami i cofnęli się, a potem przeciąłem kapłana mieczem.

— I zobaczyłeś ścianę? — zapytał Pyatar. Bandyta zastanawiał się krótko.

— Tak właściwie, to nie mogę powiedzieć, że ją widziałem. Tam nie było nic, tylko ciemność. Świece były osadzone jedynie dookoła skarbu. Zakładnicy wydawali okrzyki przerażenia. Jednak nie zwracałem na nich uwagi. Zaczęliśmy uciekać.

— No, no — wykrzyknął Feng-Yoon. — To dużo wyjaśnia! Jeśli śmiertelnicy dotknęli ściany krypty... — zawiesił głos pogrążając się w głębokiej zadumie. — Moi przyjaciele, ta krypta to brzuch Ahrimana!

— Tak podejrzewałem, kiedy wchodziliśmy do środka! — stwierdził Volvolicus. — To nie jest normalne miejsce z prawdziwego kamienia, ani żaden ołtarz. To niezwykła substancja.

— Brzuch Ahrimana! — wykrzyknął Conan.

— Tak — przytaknął Feng-Yoon. — Kiedy Stygijczycy próbowali wyeliminować tego boga z naszego świata, on znalazł sposób, żeby powrócić. Aby to uczynić, musi zebrać moc. Tak jak człowiek pożywia się, żeby żyć. A krypta jest jego częścią w tym świecie, tam muszą być składane ofiary dla Ahrimana, a żeby dzięki uzyskanej w ten sposób mocy mógł powrócić na nasz świat, z którego dawno został wypędzony.

Kitajczyk uderzył dłońmi o kolana.

— Teraz wszystko jest jasne, Volvolicusie. Gdy w krypcie czyniłeś czary, obudziłeś boga z jego wiecznej drzemki. Opisałeś mi to wczoraj. Ale czy byłeś tak zajęty, że nie zauważyłeś zakładników kierowanych pod ścianę? To było jak rzucanie ochłapów głodniałemu lwu.

Teraz bóg jest w furii i żąda więcej.

— Popełniliśmy zwykłą kradzież, taką jak wszystkie inne — bronił się Chamik. — Jak mogliśmy cokolwiek wiedzieć!

— Kapłani planowali swój rytuał bardzo dokładnie — kontynuował Kitajczyk. — Czekali na dobry układ gwiazd, planet, a prawdopodobnie i innych sił nieznanymi uczonym tej epoki. Kiedy wszystko było gotowe, zaczęli składać ofiary i wykonywać swój rytuał, który miał spowodować triumfalny powrót ich boga. Jednak kiedy wykonywałeś swoje sztuczki w środku krypty, dałeś Ahrimanowi ostateczną ofiarę i zniszczyłeś delikatną równowagę w planie kapłanów. To znaczy, że mamy szansę udaremnić ich plan w całości. — Po raz pierwszy twarz Kitajczyka przybrała jakiś wyraz. Uśmiech na jego zaszytych ustach był niewyobrażalnym grymasem. Zdawało się, że spojrzał dookoła i powiedział: — Moi towarzysze, czyn dzisiejszej nocy zdawał się być czynem desperackim. Teraz jednak czuję, że możemy mieć nadzieję, iż wszystko będzie dobrze!

— Chciałeś, żebyśmy z powodu twojej desperacji zrezygnowali z życia! — zapytał Conan ostro.

— Nie rozważałem tego — odpowiedział magik. — Albo nam się uda, albo zginiemy.

Próbowałem obrać najlepsze wyjście z sytuacji, takie, które pochłonie najmniejszą liczbę ofiar, przy zużyciu niewielkiej mocy. Możecie zaliczyć siebie do szczęśliwców, że to ja tutaj dowodzę. Toth

Amon chciał sam wszystkim kierować. A wtedy, dla własnej korzyści, nie

cofnąłby się przed zgładzeniem całej populacji.

— Uczony Feng-Yoon — powiedział Volvolicus — mówiłeś o krypcie. Co możesz bliżej powiedzieć o tym diabelskim ołtarzu? Nawet najgłupszy robotnik poruszający się po świątyni nie mógł na niego patrzeć.

— Jest to obiekt, który posiada wielką moc — odparł Feng-Yoon. — Skoro krypta jest brzuchem, to znaczy, że ołtarz jest głową Ahrimana.

— Jego głową? — zdziwił się Conan. — Mogę ci zagwarantować, że choć rzecz jest obrzydliwa, jednak to tylko kupa kamieni!

— To nie kamienie — sprzeciwił się Volvolicus. — Mówiłem ci to.

— Używam słowa „głowa” w symbolicznym sensie — dodał Kitajczyk. — Kiedy w krypcie zostali zakładnicy, bóg odzyskał siłę. I teraz ołtarz czeka na jego wolę, która może zawładnąć światem.

— To jest jasne — stwierdził Conan. — Czego od nas oczekujecie? — uczynił gest w kierunku swoich ludzi, którzy pochylili się do przodu z uwagą, z wyrazem strachu i przerażenia na twarzach. — Nie jesteśmy nikim więcej niż zwykłymi bandytami. Nie mamy nic wspólnego z czarownikami, którzy walczą z bogami! Nasza gromada to zwykli ludzie, którzy dzięki chytryści i umiejętności posługiwania się bronią zarabiają na życie. Sędziowie i mieszkańcy miasta uważają nasze metody za złe. Wieśniacy i Cyganie mają nas za plagę, ale nikt nie myśli, że jesteśmy niezwykli. Nie mamy doświadczenia, żeby podjąć się tego zadania.

— Pogwałciliście sanktuarium tego boga — powiedział Wendjanin — jego sakralny żołądek, a przez to nabyliście pewnych mocy wyższych niż ktokolwiek ze śmiertelnych je posiada. Jest taka zasada, dobrze znana w sztuce magów, że kontakt z czarami obdarza śmiertelnego pewnym pokrewieństwem z nadprzyrodzonymi.

— To chyba wyjaśnia — powiedział Conan — dlaczego ja zawsze mam do czynienia z magią, ilekroć próbuję jej unikać.

— Musisz wejść do świątyni — odezwał się Feng-Yoon — i zabić kapłanów.

Zapanowała cisza, a Conan przemówił.

— Rozumiem, wejdziemy tam — wskazał wejście, wydawało się bardziej niegościnne niż paszcza smoka. — Mamy zabić kreatury, które nie są zwykłymi ludźmi, a wszyscy

czarodzieje stygijskiego króla nie potrafili ich zabić. Stwory leżały w swoich sarkofagach tysiące lat i ty teraz oczekujesz, że my tego dokonamy?! — Głos Conana podnosił się

równomiernie, aż do momentu, kiedy wykrzyknął ostatnie słowa.

— Nasz wódz ma rację — poparł go Ubo.

— Tak, ja też nie chcę mieć z tym nic wspólnego — zgodził się Chamik.

— Prawdę mówiąc — zaczął Asoka — nic nie może zabić tych kapłanów, jedynie ich własny bóg. To znaczy, że wy musicie nakłonić ich boga, aby zadał im śmierć.

— Jak mamy to zrobić — zapytała Lajla.

— Było czterech kapłanów, aż do czasu festynu — wyjaśniał Feng-Yoon. — Jednak od tamtego momentu widziano tylko trzech. Ten, który zginął, nazywał się Umos, to ten, którego popchnęliście na ścianę w krypcie. Bóg zjadł go, po czym wykorzystał jego energię. To jest sposób, który musicie użyć, aby zniszczyć pozostałych.

— Wy jesteście magikami — odparł Ubo. — Dlaczego tego nie zrobicie?

— Moglibyśmy — przytaknął Pyatar z Aghrapuru. — Jednak w momencie naszego wejścia do świątyni, będą wiedzieć, kto przybył i przygotowują się. Najważniejsze abyście wślizgnęli się do wnętrza i zabili kapłanów, zanim zaczną uprawiać swoją diabelską magię.

— A co wy będziecie robić? — zapytał Mamos.

— My zajmiemy się ich bogiem — odpowiedział Feng-Yoon.

— A co się stanie, jeśli odmówimy? — indagował Conan.

— Nie możecie — odrzekł Feng-Yoon. — Pójdziecie dobrowolnie, albo pod przymusem.

Lepiej dacie sobie radę, mając pełną kontrolę nad waszymi ciałami i umysłami.

— To znaczy, że nie zostawisz nam wyjścia? — powiedział Conan.

— Żadnego.

— Słyszeliście ich — Cymmeryjczyk zwrócił się do swoich ludzi. — Wiecie, że nie są to bezpodstawne groźby.

— Wygląda na to, iż będziemy musieli iść — oburzył się Ubo. — Denerwuje mnie, że musimy narażać się na niebezpieczeństwo bez możliwości kradzieży złota!

— Czy podniesiecie dla nas chociaż wrota? — zapytał Conan.

— Bez trudu — odparł Asoka — ale to zadanie zbyt wcześnie skalałoby wam ręce.

— Oglądałem to miejsce — powiedział Conan — i nie mogłem znaleźć innego wejścia.

— Jest jeszcze inna droga — odezwał się Pyatar. — Portal w rzędzie okien. Zaraz pod dachem.

— Co to jest portal? — zapytał Mamos.

— W dużych budynkach — zaczął wyjaśniać Volvolicus — są niekiedy wejścia ozdobione misternymi płaskorzeźbami, które tu znajduje się wysoko w rzędzie okien.

— Tak? — zdziwił się Mamos. — Wchodziłem już kiedyś przez nie, ale nigdy nie wiedziałem, jak się nazywa.

— W tej świątyni — wtrącił Feng-Yoon — okna zrobione są z grubej substancji, która nie jest szkłem. Wypełniają one środek świątyni szkarłatnym blaskiem, jednak nie jest to światło, jakie powszechnie obserwujemy na ziemi. To magiczne szkło przechwytuje promienie z dalekich, czerwonych planet. Mogą one być tym miejscem, z którego rasa kapłanów Ahrimana wzięła swój początek.

— Wy nie moglibyście otworzyć żadnego z tych okien — powiedział Asoka. — Ale

szlachetny Volvolicus, mistrz znający strukturę kryształu, może to zrobić. Pójdzie z wami na dach i wyciągnie jedno z okien z ram. Wtedy wejdziecie do środka i będziecie wypełniać wasze zadanie.

— Potrzebujemy liny — odezwał się Conan. Po uzgodnieniu planu nie marnował czasu. —

Bardzo długiej liny.

— Akurat dobrze się składa, bo mam jedną przy sobie — stwierdził Wendjanin. Jego turban odbijał słabe światło księżyca.

— Więc daj ją nam — mówił Conan wstając.

— Człowiek, który wie, czego chce — podsumował Feng-Yoon — To mi się podoba.

— Bądźcie tylko gotowi na spotkanie z Ahrimanem — powiedział Cymmeryjczyk. — Jeśli my mamy wejść do brzucha boga ciemności, to chcę byście wy byli w pobliżu, aby odciąć mu łeb.

Conan, Volvolicus, Lajla i trójka bandytów poszli w kierunku świątyni. Czarownicy zniknęli w otaczającej ciemności. Tylko Asoka poszedł wraz z nimi.

— Jest trochę światła po zachodniej stronie — odezwał się Conan. — Tam pójdziemy. —

Obeszli budynek dookoła, aż dotarli do zachodniej strony świątyni, gdzie była ściana bez okien. — Masz linę, Asoka?

— Tutaj jest — rzekł Wendjanin. Sięgnął pod swój strój i wydobyl wielki zwój liny, nieco za duży, by go tak ukrywać. Następnie rzucił go na ziemię.

— Nie będę pytać, jak to zrobiłeś — powiedział Conan — ale muszę się dowiedzieć, czy możesz zaczepić tę linę na górze?

— Nie ma potrzeby — zaśmiał się. Asoka. — To jest stara wendjańska specjalność. —

Uklonił się ze złożonymi rękoma i zaczął cicho śpiewać. Powoli koniec liny uniósł się do góry.

— Widziałem tę sztuczkę — wykrzyknął podniecony Ubo, próbując udawać, że nie czuje się zdumiony. — To było na bazarze w Shadizarze.

— Cisza! — syknęła Lajla. Nawet ona wydawała się być zdenerwowana w obliczu niebezpieczeństwa.

Kiedy Wendjanin skończył śpiewać, Conan podszedł do liny i szarpnął za nią. Była mocno naprężona, lecz może nie aż tak, jak sobie życzył.

— Volvolicusie — rzekł Cymmeryjczyk — kiedy reszta z nas wejdzie na górę, będziemy trzymać linę, a ty zwróć jej naturalne właściwości. Obwiąż ją sobie wokół pasa, a my cię wciągniemy na górę.

— Miałem to zaproponować — powiedział czarownik. — Nie jestem młodym atletą, a energia będzie mi potrzebna, żeby zaatakować portal.

— A co z tobą? — Conan zapytał Lajlę. — Wiem, że umiesz jeździć konno. Czy tak samo się wspinasz?

Zamiast odpowiedzi, zdjęła buty i skoczyła na linę. Wspinała się tak zwinnie jak małpa.

Minutę później przechodziła już przez murek na dachu i zniknęła. Potem ukazała się machając ręką.

— Wszystko w porządku, na górę — krzyknął Conan. Wziął linę i zaczął po niej się wciągać, opierając stopy o mur tak, jakby szedł. Kiedy był już na górze, zastanowił się nad przebiegiem dalszej akcji, a teraz z kolei Mamos zaczął się wspinać. Dach był płaski,

zrobiony z białego kamienia z rozmieszczonymi tu i tam figurkami dziwnych stworzeń.

Blisko murku dało się widzieć rzędy okien. Cały dach, jak i fasada budynku, wyglądały jakby cierpiały na dziwną dolegliwość, a deszcze i zimy stuleci zniszczyły ich warstwę

zewnątrzną. W przeciągu dziesięciu minut trzech bandytów leżało na dachu, sapiąc i

charcząc z wysiłku. Conan złapał linę i pomachał do Asoki. Rozluźniła się, a Volvolicus

obwiązał ją sobie wokół pasa. Dał sygnał, że jest gotowy. Z jedną stopą na dachu, a drugą zapartą o murek Conan zaczął wciągać magika do góry. Jego wielkie mięśnie ramion,

barków i pleców zaczęły się poruszać w rytmicznym tempie.

Lajla patrzyła na nie z podziwem. Kiedy czarownik był już na dachu i zdjął linę, udali się w kierunku rzędu okien. Przykucnęli przy nich. Z tej strony wydawały się być

nieprzezroczytymi, czarnymi otworami. Volvolicus dotknął ich powierzchni, a Ubo zaczął

zwijać linę. Conan wskazał na rzeźbę stojącą w pobliżu, do której Ubo przywiązał jeden z końców sznura.

— Zabezpieczcie swoją broń — ostrzegł ich Conan niskim głosem. — Jeden sztylet spadający w dół podczas naszego schodzenia mógłby ich zaalarmować.

Czarownik wolno intonował. Oczy miał zamknięte, a palce wydawały się śledzić niewidzialne znaki na powierzchni szkła. Chwilę później dało się słyszeć słabe zgrzytnięcie i zaczął unosić się kurz odpadający z zewnętrznej strony okna. Następnie, bardzo ostrożnie, tak jak się wyciąga korek z szyjki butelki, szyba zaczęła powoli wysuwać się ze swojej oprawy. A cienka struga czerwonego światła zabarwiła pustą ramę okienną. Szkło okazało się tak grube, jak przedramię mężczyzny. Na zewnątrz atramentowo czarne, a środek posępnie czerwony. Z obramowania okna, przez które spojrzeli do środka świątyni, wydobywał się promień intensywnie szkarłatnego światła.

— Mitro! — szepnął Ubo. — Co to za piekielne zjawisko?

* * *

Torgut Chan siedział w komnatach nie zmrużywszy oka. Był tak ogarnięty strachem, że sprawiał wrażenie na wpół obłąkanego. Urzędnicy z królewskiego skarbcza spóźniali się już dwa dni. Prawdopodobnie przeciwny wiatr z Vilayetu opóźnił tak ich przybycie, że Torgut

Chan miał podarowane jeszcze parę dni życia. To szczęście jednak nie mogło trwać zbyt

długo. Kiedy rozmyślał, wrywając sobie włosy, wiedział, że kaci królewscy szybko dotrą do jego urzędników. Gdzie był ten skarb? Jak to się mogło stać, że grupa bandytów tyle czasu pozostawała bezkarna? Spojrzał w górę i nagle coś zobaczył. Była to drobnostka, jedynie

kolorowy błysk. Ale on był tak zdesperowany, że skupił na tym uwagę, aby zapomnieć o dręczących sprawach. Co to mogło być? Wtedy zobaczył ponownie rozbłysk światła, który biegł z niewłaściwej strony i miał barwę czerwoną zamiast białej. Torgut Chan wstał i wyszedł na taras, ażeby móc lepiej zobaczyć to zjawisko.

Wśród ciszy i zapachu kwiatów wszedł na balustradę otaczającą taras. Oparł się o nią i wtedy znów pojawił się błysk, tym razem nieco jaśniejszy. Zadrżał odruchowo, widząc to

dziwaczne zjawisko. Co to może być? Gdzie jest źródło tego światła? Wtedy zauważył, że przychodzi z dachu tej przeklętej świątyni Ahrimana. Nigdy nie podobała mu się historia zabitego w krypcie czarownika, ani atak grupy zapchlonych oszustów. A ponad wszystko ten skarb, wznoszący się w powietrze i odfruwający. Ogarnęły go wątpliwości. Powiedzmy, że skarb nigdy nie opuścił świątyni, a cały spektakl latających skarbów i worków był czystym wymysłem? Kiedy doszedł do takiej konkluzji, ogarnęła go desperacja. Tak! Był tego pewien. To kapłani ukradli skarb! Jego ocalenie związane było teraz ze świątynią Ahrimana! Czerwone światło zgasło. Wiedział, że musi działać. Zbiegł z tarasu, złapał za kłamkę i otworzył drzwi.

— Straż! — wrzasnął. — Sagobal! Podejdz do mnie! Musimy najechać na świątynię Ahrimana!

* * *

— Zakryj to — odezwał się Volvolicus. Grube okno leżało na dachu. Na czarnej krawędzi rzucało jaskrawe światło ponad ich głowami. Jeśli na niebie byłyby chmury, promień zostawiłby na nich czerwone plamy. Ubo zarzucił swój czarny płaszcz na szybę. Światło ledwie przechodziło przez tkaninę. Wyglądało jak dopalający się węgiel. Na szczęście nie było widać już potężnych płomieni, które wszyscy mogli zobaczyć.

Conan pochylił się nad otworem w dachu i spojrzał w dół. Środek wypełniało nienaturalnie czerwone światło bijące od reszty okien. Znajdowali się nad jedną z kobiecych kariatyd.

— Czy tam ktoś jest? — zapytał Chamik. — Czy zostaliśmy wykryci?

— Nie widać znaku życia — powiedział Conan. — Nie ma sensu czekać. Daj mi tę linę.

Złapał za drugi koniec sznura i przerzucił go przez otwór. Lina spadała luźno przez kilka sekund, po czym naprężyła się i zawisała kilka centymetrów od podłogi. Wyężając

wszystkie swoje umiejętności, Cymmeryjczyk powoli zsunął się w dół świątyni. Opadł

bezszelestnie na ziemię. Wyciągnął miecz. Wszystkie zmysły miał wyczulone. W napięciu

rozejrzał się po wnętrzu. Panowała tam cisza. Nie było żadnego ruchu. Miejsce to

wydawało się opuszczone. Ubo, Chamik i Mamos szybko znaleźli się na dole. Wyciągnęli

także broń. Lajla zeszła w dół z wielką zwinnością i przytrzymała koniec liny, po której spuszczał się jej ojciec. Ręce mu krwawiły, zdawał się jednak tego nie zauważać. Stał przy Conanie i obserwował świątynię, jakby jego oczy mogły przeświecić ściany i podłogi.

Zasygnalizował reszcie, że idzie do odległego końca budynku. Podążyli za nim. Schyleni

nisko, przesuwali stopy tak, aby robić jak najmniej hałasu. Trzymali broń z dala od ciała, tak aby nie wydawała żadnego szcęknięcia. Zbliżali się do ohydneho, budzącego odrazę ołtarza.

W jakiś nie wyjaśniony sposób węzowe sploty wydawały się zmienione. Ostatni raz widzieli ołtarz okryty grubą tkaniną. Teraz wszystko sprawiało wrażenie ogromu. Węzowe głowy,

wysunięte do przodu i pozbawione oczu, zdawały się chłonać otoczenie przez otwarte

paszcze. Volvolicus był wstrząśnięty tym widokiem. Widać było kropelki potu spływające

mu z czoła. Conan wiedział, że nie było to spowodowane fizycznym wysiłkiem. Pochylił się nisko, tak aby jego usta znalazły się przy uchu Volvolicusa.

— Gdzie oni są? — wyszeptał.

Powoli czarownik wskazał swoim długim palcem, skierowanym, w dół na kryptę.

— To rozwiązuje część naszego problemu — stwierdziła Lajla. — Jak moglibyśmy się tam dostać?

Bandyty rozglądali się z przerażeniem. Nawet klątwa czarownika wydawała się niczym w

porównaniu z koniecznością powrotu do krypty. Conan machnął mieczem, wskazując im w

ten sposób kierunek. Jego dzikie oczy mówiły, że jeśli cofną się, to zada im

natychmiastową śmierć. Przełknęli ślinę i nerwowo ściskając za rękojeści mieczy i

sztyletów zaczęli powoli schodzić w dół korytarza. Lajla szła zaraz za bandytami, a za nią jej ojciec. Conan rozejrzał się raz jeszcze, po czym podążył za resztą. Jego uwagę przykuła

jedna z węzowych głów ołtarza. Wysuwała się dalej niż inne. Była większa i miała jakby

ludzką twarz. Ciarki grozy przeszły po plecach Cymmeryjczyka, kiedy zobaczył cienką linię zarysowaną na powierzchni ołtarza. Ujrzał pęknięcie. Dwie krawędzie odsunęły się od

siebie. Wyglądało to jak potworne oko. Nie czekając na więcej, Conan zbiegł w dół

schodów. Tam spotkał swoich towarzyszy. Wtedy dobiegł go głośny śpiew w niezrozumiałym języku. Trójka kapłanów Ahrimana stała w obrzydliwym zielonym świetle, które padało pod kątem niemożliwym do określenia w naszym świecie. Ludzkie oko, patrząc na to zjawisko, nie mogłoby policzyć ścian. Wszyscy czuli się, jakby zostali zamknięci w żołądku olbrzyma, który nieustannie się porusza.

— Co teraz robimy, wodzu? — wrzasnął Mamos. Bandyty wydawali się przerażeni i sparaliżowani tą sytuacją.

— Musicie czynić, jak wam kazał Feng-Yoon! — krzyknął Volvolicus. Musiał podnieść głos, aby się przedrzeć przez rozbrzmiewającą pieśń. Conan nie mógł zrozumieć, dlaczego nie słyszeli tego okropnego dźwięku, kiedy byli na górze.

— Na ścianę ich — krzyknęła Lajla.

Wydawało się, że kapłani po raz pierwszy dostrzegli nowo przybyłych. Ich oblicza niepodobne były do ludzkich. Kiedy śpiewali, na twarzach ich dało się zauważyć przerażenie. Conan doskoczył do jednego z nich, zwanego Shosq, i dźgnął go w brzuch mieczem.

— Do tyłu! — rozkazał Conan. — Iść do tyłu i oprzeć się o ścianę!

W tym momencie Tragthan zakończył swoją pieśń.

— Nie możesz tego zrobić! To będzie...

Cymmeryjczyk nie zwracał na niego uwagi. Chciał jak najszybciej stąd uciec. Trzymając miecz przed kapłanami, zmuszał ich, by szli krok za krokiem w stronę ściany.

— To nie może się stać — krzyczał jeden z mnichów. — Pan i bóg Ahriman weźmie... — W

tym momencie plecy kapłana dotknęły ściany, a jego twarz ściągnął ból i przerażenie. Głos podniósł się i brzmiał jak straszliwy jęk. Dym i wstrętna ciecz wypłynęły mu z ust.

Bezkształtne, wijące się części ściany zaczęły wsysać jego ciało. Ciągłe było słyszeć potworny jęk i bulgotanie.

Bandyci ocknęli się i pośpieszyli do przodu. Ubo i Chamik złapali Nikasa i popchnęli go w tym samym kierunku. Najpierw jego głowa dotknęła ściany. Coś jakby pnącze wydobyło się z przegrody i złapało kapłana. Został obłany płynem przypominającym kwas. Bandyci gapili się, jak ciało Nikasa zaczyna dymić, a potem skraplać się.

Mamos złapał Tragthana za gardło i wskazał mu drogę, trzymając sztylet na wysokości jego brzucha.

— Do tyłu! — krzyknął Mamos, śmiejąc się złowieszczo.

— Do ściany! Popchnął Tragthana. Ale ten walczył, opierając się z siłą pytona. Lajla podbiegła do Tragthana i próbowała razem z Mamosem zepchnąć go w kierunku ściany.

Walcząc przez cały czas, kapłan cofał się w tył.

— Nie! Bóg Ahriman budzi się! Musimy kontrolować jego nadejście, w innym przypadku...

— W tym momencie jego nieludzkie oczy zaczęły wypływać, a całe ciało, gdy dotknął plecami ściany, topniało jak w gęstym bagnie. Lajla skoczyła do tyłu, ale Tragthan zdołał złapać Mamosa za ramię, przyciągając go konwulsyjnie coraz bliżej siebie. Czarna substancja owinęła wokół nich swe długie macki. Śmiech Mamosa zmienił się w przeraźliwe zawodzenie, kiedy obaj zaczęli się rozpuszczać w ścianie, mieszając w jedną masę.

— Na zewnątrz! — krzyknął Conan. — Wynośmy się stąd! — Nie mógł tego dłużej znieść.

Przerzucił miecz do lewej ręki, po czym wyciągnął sztylet, którym rozpruł tył czaszki

Mamosa. Miał nadzieję, że szybka śmierć oszczędzi bandycie cierpienie i uchroni go od mocy Ahrimana.

Ubo i Chamik nie potrzebowali ponagleń. Pobiegli w kierunku schodów. Kiedy byli na górze, ściany i sufit straciły wygląd zwykłego kamienia i przybrały dziwne kształty w zielonym kolorze.

— Biegnijmy — ryknął Conan, pchając Volvolicusa, który stał nieruchomo. Jego córka

złapała go za rękę i ciągnęła w kierunku ciągle zmieniających się schodów i korytarza.

Wreszcie czarodziej ocknął się z letargu. Cymmeryjczyk pchał go do przodu. Przez ciało

Conana przeszedł dreszcz, gdy schody pod jego stopami robiły się miękkie. Za nimi dało się słyszeć, jak ciekła substancja wypełniała kryptę. Słysząc było wrzask kapłana przebijający się przez straszliwy huk. Po chwili dźwięk ten przeszedł w zduszone bulgotanie. Ściany

klatki schodowej zaczęły się marszczyć i kurczyć. W tym momencie wszyscy wbiegli do

świątyni. Conan stanął naprzeciw Ubo i Chamika, którzy cofali się, wskazując na coś za

jego plecami. Twarze mieli jeszcze bardziej przerażone niż w krypcie. Za nimi coś się działo

— jakieś poruszenie, na które Conan jednak nie zdążył zwrócić uwagi. Z mieczem w dłoni

odwrócił się i został sparaliżowany przerażającym widokiem. Stary ołtarz wił się we

wszystkie strony, węże przybrały postać macek o wilgotnych, bezzębnych paszczach, każda

z obwódką szkarłatnych nici. Najgrubsza środkowa macka miała olbrzymie świecące żółto

oko. Monstrualne stworzenie podniosło się z podłogi na grubej jak pień drzewa szyi.

Kwaśna woń doprowadzająca do mdłości rozniosła się po wnętrzu. A jedna z paszcz

otworzyła się i wypuściła ową cuchnącą parę. Z rosnącym przerażeniem Conan zdał sobie

sprawę, że obrzydliwa morda była wejściem do krypty, a klatka schodowa, to przełyk

potwornego stwora.

Cymmeryjczyk wyrwał się z odrętwienia, gdy zobaczył, że jest otoczony przez

czarowników. Nie zwracali na niego uwagi, zajęci rzucaniem skomplikowanych zaklęć.

Gestykulowali i śpiewali niezrozumiałe pieśni. Między nimi był Volvolicus. Stał z

podniesionymi, szeroko rozłożonymi ramionami, a jego oczy patrzyły dziko, gdy wymawiał

głośno potężne zaklęcia. Ponad nimi kamienie zaczęły się przemieszczać. Okrągłe, świecące okno runęło w dół, roztrzaskując się o ziemię w eksplozji szkarłatnego blasku. Kolejny

wielki kamień spadł na potworną głowę Ahrimana, miażdżąc kilka z jej macek. W dole

głowy boga niektóre macki urosły i zgrubiały, przekształcając się w chwytnie ramiona.

Pełzały po omacku w kierunku zgrupowanych na środku ludzi. Zaklęcia Zamorańczyka

okazały się niewystarczającym zabezpieczeniem, gdyż jedno z ramion pochwyliło go i cisnęło w kierunku wygłodniałej paszczy.

Volvolicus odwrócił się i zaklinał teraz kobiety z kamienia. Powoli nastąpiła zmiana.

Jedna z nich poruszyła się. Ze zgrzytem odwróciła głowę w kierunku boga, walczącego o to, aby wejść do świata ludzi. Noga posągu wyprostowała się i kariatyda zeszła ze swej

kamiennej podstawy, targając ze sobą masywny kapitel, który spoczywał na jej barkach.

Duży kawał sufitu spadł na ziemię i roztrzaskał się na kawałki. Gigantyczne, nagie kobiety z marmuru ruszyły, jedna za drugą, w stronę rodzącego się boga. Posadzka drżała pod ich

stopami. Jedna z kamiennych postaci wzniosła głaz ponad głowę, aż napięły się mięśnie jej rzeźbionych ramion i cisnęła nim w sam środek wijących się macek. Śmierdzący płyn

trysnął z rany tego dziwnego monstrum. Kamienny posąg pośpieszył w kierunku stwora,

schwycił go mocno i rozpoczęła się walka przypominająca kołysanie się w obscenicznym

uścisku.

— Wodzu! — rzekł Ubo błagalnym tonem, szarpiąc Conana za szatę — chodźmy, to nie

miejsce dla nas. — Olbrzymi huk przykuł ich uwagę. Następna kariatyda, schodząc ze

swego postumentu, spowodowała deszcz kamieni spadających ze stropu.

— Wkrótce całe to miejsce zostanie kompletnie zniszczone — krzyknął Chamik — o ile ten

bóg wcześniej nas nie zje.

— Tak — zgodził się Conan — nie mamy tutaj nic do roboty. Chodźmy stąd!

Rozejrzał się dookoła za Lajlą. Stała oparta o podstawę jednej z kamiennych kobiet, która do tej pory jeszcze nie ruszyła się z miejsca. Dziewczyna patrzyła z przerażeniem na

podnoszącą się głowę boga. Widok ten sparaliżował ją. Conan podbiegł, chwycił ją mocno

za rękę i odciągnął w bok, w chwili kiedy kamienna figura ponad nimi zaczęła się poruszać.

— Uciekaj — krzyknął Conan, ciągnąc ją za sobą. Gdyby nie on, Lajla z pewnością

straciłaby życie pod stopą olbrzymiej kobiety. Biegli w stronę wyjścia, jak najdalej od

miejsca walki kamiennych figur z nowo rodzącym się bogiem. Uciekali przed spadającymi

z góry blokami, podczas gdy kariatyda kroczyła w kierunku tam, gdzie toczyła się zaciekle walka. Wykute z kamienia łańcuchy dźwięczały, obijając się o jej nagie uda.

— O, nie — krzyknął Ubo — czy nie mamy już wystarczająco dużo kłopotów? —

zatrzymali się w tym szaleńczym pędzie na widok żołnierzy tłoczących się do środka przez otwarte wrota.

— Tutaj! — kierował Conan, ciągnąc i poszturchując swych pozostałych przy życiu ludzi.

Ukryli się za postumentami opuszczonymi przez figury, biorącymi teraz udział w walce.

— Kiedy zobaczą, co się tutaj dzieje, nie zwrócą na nas uwagi.

Tak się stało. Żołnierze stanęli jak wryci, widząc sceny rozgrywające się po drugiej stronie świątyni. Cztery kamienne figury toczyły zaciętą walkę z nowym bogiem. Ich błyszcząca

skóra została zanieczyszczona obrzydliwą cieczą, tryskającą z macek odrywanych przez dłonie posągów, bądź rozgryzanych przez ich zęby.

— Co to ma znaczyć — ktoś wrzasnął histerycznym głosem. — Nie kazałem się zatrzymywać, muszę odzyskać skarb.

Jakiś człowiek przepychał się przez tłum i wyszedł przed szeregi żołnierzy. Był to Torgut Chan.

— Co to...? — namiestnik zaniemówił, gdy zobaczył, co się dzieje. Przemierzał wzrokiem przestrzeń, na której trwały oszalałe zmagania wielkich postaci i gdzie roiło się od czarowników, którzy swymi zaklęciami sprawili, że gmach zadrżał w posadach. Większość szyb wyleciała z okien, a światło odległych gwiazd rozbiegło się po całej świątyni.

Kamienne odłamki wciąż spadały w dół. Niezdolny pojąć scen rozgrywających się przed jego oczami, Torgut Chan niczego nie rozumiał. Dostrzegł Conana próbującego ukryć się za podstawą posągu.

— To ty — wrzasnął Torgut Chan — wszystkiemu jesteś winien. — Złapał włócznie jednego z żołnierzy i z całą siłą cisnął ją w stronę Cymmeryjczyka.

— Giń, barbarzyńco!

Conan nie cofnął się, lecz uczynił krok w kierunku nadlatującej włóczni, a gdy była o metr od jego ciała, uchylił się lekko w bok i chwycił ją w locie pośrodku drzewca.

— Dzięki — powiedział, jednocześnie odwracając się w stronę ołtarza Ahrimana i

zmagających się z nim kamiennymi kobietami. Rozkołysał włócznię, balansując nią po

skosie w górę i w dół, a potem przez chwilę przytrzymał ją przy prawym uchu. Aż wreszcie użył całej siły i cisnął. Ludzie patrzyli w osłupieniu, jak włócznia przelatuje wysokim

łukiem przez całą świątynię, pokonując nieosiągalny dystans dla zwykłego człowieka. Broń dotarła do najwyższego punktu lotu i zaczęła opadać, nabierając dodatkowej szybkości.

Przeleciała ponad błyszczącym ramieniem marmurowej kobiety i wbiła się głęboko w zle

oko boga. Przerazający, nieziemski ryk rozdarł powietrze. Jego niskie tony wprawiły w

drżenie kamienne bloki świątyni. Wijące się macki zaczęły zmieniać kolor, cienkie

serpentyńy żółtego i niebieskiego światła pełzły po powierzchni potwora, w punktach

przecięcia jarząc się zielenią. Kamienna kobieta zanurzyła swoje ramię w rozwartej paszczy stwora, wrywając z niej pełną garść czegoś, co przypominało tkankę mózgową. Ohydna,

organiczna masa wyciekła na podłogę, a ręka sięgnęła po więcej.

Odzyskawszy władzę w nogach, żołnierze odwrócili się i z krzykiem zaczęli uciekać ze

świątyni, gubiąc broń i tarcze, potykając się i tratując wzajemnie. Ważne było dla nich

teraz tylko to, aby być jak najdalej od tego miejsca. Przy bramie zrobiło się tłoczno.

Torgut Chan ciął mieczem swych własnych ludzi, byle tylko jak najszybciej się stąd

wydostać.

— To dla nas szansa! — powiedział Conan. — Na zewnątrz zapanuje chaos i będziemy

mogli niepostrzeżenie uciec.

— Ojczy! — krzyknęła Lajla — szarpiąc go za szatę.

— Nie możemy mu już pomóc — krzyknął Conan. — Przeżyje bądź zginie, nie możemy

czekać.

— Nie zostawię go! — odrzekła Lajla, usiłując się cofnąć. Conan mamrocząc

przekleństwa, złapał ją jedną ręką za nadgarstki, po czym schylił się i drugą schwycił za kostki u nóg. Dźwignął ciężar do góry i zarzucił sobie na barki. I szedł kierunku wyjścia, trzymając ją, jak pasterz niosący zgubioną owcę.

— Kobiety czasem dziwnie się zachowują — rzekł wyrozumiale Ubo, biegnąc tuż przy

Cymmeryjczyku. Dotarli do bramy w chwili, kiedy ostatni żołnierze wychodzili na zewnątrz i zatrzymali się.

— Poczekajmy, aż wszystkich ogarnie panika — zauważył roztropnie Conan.

— To dobry pomysł — zgodził się Chamik.

Plac wypełniony był obudzonymi ze snu mieszczanami, których przyciągnął nocny gwar.

Dzwony bijące na alarm dało się słyszeć w każdym domu, gdyż ludziom ze strażniczych

wież wydało się, że centrum miasta stanęło w płomieniach. Silne światło wydobywało się

przez roztrzaskany dach świątyni. Popłoch, jaki ogarnął żołnierzy, spowodował, że panika wybuchła również wśród gapiów. Uciekający wojownicy cięli na oślep mieczami,

przedzierając się przez tłum mieszczan.

— Tam jeden zachowuje się normalnie — skomentował Ubo, wskazując na wysokiego

mężczyznę, który szedł spokojnie w stronę świątyni, ignorując panujące wokół

zamieszanie. Wspinał się po schodach tak, jakby wchodził do własnego domu. Conan

rozpoznał w nim Stygijczyka należącego do kapłańskiej kasty. Człowiek ten nosił długą,

czarną szatę i miał wygoloną czaszkę oraz trupi wygląd. Minął ich bez jednego spojrzenia.

Był to Toth Amon.

— Tędy — rozkazał Conan. Ciągłe niósł na plecach Lajlę. Biegł po jednej stronie placu.

Potem umknął w uliczkę między dwoma budynkami. Ze nieomylnym zmysłem orientacji

poruszał się w labiryncie wąskich uliczek. Mieszkańcy wychylali z okien i drzwi zaspane

twarze, wypytyując się wzajemnie o przyczynę panującej w mieście wrzawy.

Wkrótce dotarli do stajni. Zastali tam rozbudzonego Audę z osiodłanymi i

przygotowanymi do drogi końmi. Conan postawił Lajlę na ziemi.

— Czy jesteś już w stanie zachowywać się normalnie? — skinęła głową w milczeniu.

— Co się dzieje? — zapytał Auda — wrzawę słyszać w całym mieście.

— Bohaterskie zadanie wykonane — odparł Ubo — zabiliśmy boga ciemności, ale lud jest zbyt nieświadomy sytuacji i nie możemy od niego oczekiwać podziękowania.

Wskoczył na siodło, a pozostali uczynili to samo. Przejechali od stajni do pobliskiej bramy, gdzie zostali zatrzymani przez strażników.

— Kim jesteście? Musicie czekać do rana, wtedy otworzymy bramy miasta. Ogłoszono alarm. Nie słyszycie dzwonów i nie widzicie ognia? Dowódca straży podniósł latarnię i przypatrywał się jeźdźcom, podczas gdy strażnicy trzymali gotowe topory.

— Nie podoba mi się wasz wygląd i mogę wam zagwarantować, że jeśli mieliście coś wspólnego z pożarem, każę was aresztować. Zejdźcie z koni, bo w przeciwnym razie zabijemy was!

— Nie sądzę! — ryknął Conan, wyciągnął miecz i przeciął dowódcę na pół. Auda pchnął swoją lancę i przebił gardło jednemu ze strażników. W tym samym momencie Chamik zamachnął się toporem, jednak nie trafił w ostatniego ze strażników, który z krzykiem pomknął w stronę miasta.

Ubo i Chamik zeskoczyli z siodła i pośpieszyli w stronę bramy. Próbowali podnieść zapierającą belkę. Nie mieli jednak wystarczającej siły. Conan zeskoczył z konia i podparł żerdź swoim barkiem, zapierając się z nogami całą mocą. Razem udało się im na tyle uchylić bramę, by zmieściły się ich wierzchowce. W chwilę później siedzieli już na koniach i podążali przed siebie, zanurzając się w ciemność.

Kiedy tak jechali, Ubo i Chamik ryczeli ze śmiechu:

— Ci ludzie powinni żałować, że wyjeżdżamy na dobre! — krzyknął Ubo ocierając łzy z policzków. — Zawsze wnosiliśmy tyle atrakcji do ich nudnego życia. Bez nas Shahpur stanie się diabelnie nieciekawym miejscem!

* * *

Sagobal i Berytus przechodzili przez plac usłany zabitymi i rannymi, którzy wydawali z

siebie jęki. Powoli mieszczanie zdecydowali się wracać na plac, nieco bojaźliwie, gdyż nie wszystko jeszcze ucichło. Pomimo że świątynia Ahrimana była już tylko stosem głazów, to z wnętrza ruin wydobywały się nieziemskie jęki i trudne do opisanego odgłosy. Ciągłe widać

było różnokolorowe światło płynące pomiędzy wywróconych kamiennych bloków.

— Czy ktoś ma pojęcie o tym, co się tutaj stało? — spytał Akwilończyk. — Z kimkolwiek

bym rozmawiał, sprawia wrażenie pomyłonego — powiedział Sagobal. — Był w głębokim

śnie, kiedy Torgut Chan podniósł alarm i dlatego nie śpieszył, aby stawić się na wezwanie.

Zdecydował, że najlepiej będzie, jeśli ktoś inny podejmie walkę. Kiedy on i Berytus dotarli do miejsca nocnej wrzawy, było już po wszystkim.

— Ludzie opowiadają o odrażającym bogu — rzekł Sagobal, podejmując przerwany wątek

— także o olbrzymich kamiennych kobietach zmagających się z nim, o czarownikach,

którzy wzięli udział w widowisku, śpiewając swoje pieśni, a także o deszczu głazów i ognia oraz płonących gwiazdach spadających, jak garnce ognistej smoły w oblężonych miastach.

Sprawia to wrażenie, jakby połowa żołnierzy żuła czarny lotos i popadła w zbiorową

halucynację.

— Nie pierwszy raz dziwne rzeczy dzieją się w tej świątyni — zauważył Berytus. Kiedy

rozmawiali, kawałek czerwono świecącego szkła eksplodował na tysiące małych,

migotliwych kawałków. Tłum zebrał się poruszony tym widokiem i mruczał coś

niewyraźnie. Sagobal zauważył człowieka siedzącego na rogu placu z głową wspartą na

dłoni. Wpatrywał się w zniszczoną świątynię i pogrążony był w swych myślach. Z jakiegoś

powodu ludzie wyraźnie unikali zbliżania się do niego. Po chwili Sagobal zrozumiał,

dłaczego. Był to Torgut Chan.

— Muszę iść i porozmawiać z naszą czcigodną świńską mością. Chodź ze mną. Będzie

mnie łajał za opieszałość i tchórzostwo. Wtedy na pewno stracę cierpliwość i wyciągnę

miecz. Bądź tak dobry i powstrzymaj mnie, ponieważ wolę, żeby zginął on z rąk

królewskich katów.

— Będiesz miał szczęście, jeśli unikniesz ich sam — powiedział Berytus.

— Moje konie są szybsze niż jego, poza tym nie jestem tak tłusty.

Podeszli razem do miejsca, gdzie znajdował się Torgut Chan. Siedział na brzegu fontanny, opierając swe obute i skrzyżowane nogi na ciele martwej kobiety. Spojrzał na nadchodzących i ku zdumieniu Sagobala zdawał się nie okazywać wrogości ani złości.

— O, dowódca straży, dobrze, że przybyłeś. Musimy pomówić.

Namiestnik podźwignął się z miejsca i położył dłoń na ramieniu Sagobala.

— Noc obfitująca w wydarzenia, co?

— Mnóstwo niespodzianek i to w dodatku niesamowitych, jeśli mam wierzyć słyszonym opowieściom — zgodził się Sagobal.

— To było dziwne ponad wszelkie wyobrażenie — zgodził się Torgut Chan — wkrótce

usłyszysz o tym ode mnie. A teraz jedną rzecz trzeba wziąć pod uwagę. Po tym, jak zawaliła się świątynia i krypta została pogrzebana pod ważącym setki ton stosem kamieni, a ruiny

stały się złym i pozbawionym świętości miejscem skalanym, będzie niemożliwe dobrać się

do królewskiego skarbu — mówił zniżonym, jakby konspiracyjnie cichym głosem,

zmieszanym z gardłowym chichotem.

— Czy dobrze się czujesz, Ekscelencjo? Co najmniej połowa miasta i z tysiąc przybyszów widziało...

— Co widziało? — warknął Torgut Chan, ciągle przyciszonym głosem. — Czy sądzisz, że

będą utrzymywać, iż widzieli wielki stygijski obelisk uformowany ze skrzyń i toreb,

wydostający się przez wejście do świątyni i odlatujący w przestrzeń? Przecież to oczywiste złudzenie! Nie! Skarb był zupełnie bezpieczny w krypcie, aż do tej nocy, kiedy świątynia stała się centrum działań sił spoza naszego wymiaru. Wtedy właśnie runęła rozerwana

przez swoje wewnętrzne zło. To właśnie muszą od nas usłyszeć królewscy urzędnicy, kiedy

tutaj przybędą. Pokażemy im ruiny i będziemy ubolewać nad niemożnością uratowania

królewskich dochodów.

— Rozumiem, Ekscelencjo — odparł Sagobal.

— Dobrze, dobrze — zachichotał Torgut Chan. — Teraz nie musimy być już tak gorliwi w ściganiu tych przeklętych bandytów? Musisz ich jednak w jakiś sposób ukarać. Weź tylko swoich najemników, łowców ludzi. Królewscy urzędnicy nie powinni kłopotać się tym, co się stało z moją przyboczną gwardią.

— Jak sobie życzysz, Ekscelencjo — powiedział ucieszony Sagobal.

— Możesz zaczynać natychmiast — stwierdził Torgut Chan. — Widziałem tutaj bandytów dzisiejszej nocy.

— Czy to możliwe, Ekscelencjo? — zapytał zdumiony Sagobal.

— Bez wątpienia możliwe, wszystko jest teraz możliwe — odrzekł, wskazując dzikim gestem w stronę ruin, z których dwa bliźniacze, żółto-zielone promienie wystrzelały prosto ku niebu w postaci litery V. — Czy mógłbyś nazwać mnie kłamcą? — po chwili dodał już normalniejszym głosem. — Kiedy wprowadziłem tam moich strażników, dostrzegłem czarnowłosego barbarzyńcę, którego głowa ma stać się twoim drogocennym trofeum. Był wraz z trzema, albo czterema innymi. Wypadki nie wytrąciły mnie aż tak z równowagi abym nie zaryzykował walki i nie szukał zemsty. Cisnąłem włócznią w stronę tych łajdaków, ale jakieś czarodziejskie sztuczki sprawiły, że chybiłem. Potem byłem już zbyt pochłonięty nadnaturalnymi zdarzeniami, żeby dalej się nim zajmować. Sądzę jednak, że on i jego kompani mogli uciec.

— Jak to, Ekscelencjo? — spytał Sagobal.

— Kiedy ich dostrzegłem, byli w pobliżu drzwi i myślę, że nie zwlekali zbyt długo z opuszczeniem tego niebezpiecznego miejsca.

„Ani ty nie zwlekałeś” — pomyślał Sagobal — „założę się, że byłeś po drugiej stronie drzwi z daleka od nich”. Skłonił się:

— Wszystko będzie zrobione, jak sobie życzysz, Ekscelencjo. Sprawdzę wszystkie bramy miejskie i dowiem się, czy bandyci nie wyszli na zewnątrz. Jeśli są w obrębie murów, to już mi nie

uciekną. Jeżeli udało im się, korzystając z zamieszania, przejść przez bramę, wytropię ich. Tym razem mi się nie wymkną, Ekscelencjo.

Torgut Chan uśmiechnął się i serdecznie poklepał dowódcę straży po ramieniu. Został ułaskawiony.

— Dobrze, bardzo dobrze. I...Sagobal — jego głos znowu zniżył się do konspiracyjnego szeptu — kiedy będą już w twoich rękach, przyprowadź ich tutaj. Tylko do mnie. Nigdzie więcej. Musimy wydać wyrok. Nie ma potrzeby zamartwiać króla tą drobnostką.

— Byłoby to całkiem zbyteczne, Ekscelencjo — zgodził się Sagobal.

— W takim razie idź. Złap tych bandytów i przyprowadź do mnie. Mam kilka pytań, które chciałbym im zadać. Oczywiście nie na temat skarbu, ponieważ on nigdy nie opuścił miasta.

— Cokolwiek powiesz, panie. — Sagobal uklonił się i wyszedł. Berytus, który stał nieco dalej, przyłączył się do niego.

— Nie ma nic gorszego niż głupi starzec myślący, iż potrafi grać w grę, której nie zna — stwierdził Sagobal.

— Nie będę się sprzeczał — odparł Akwilończyk.

— Świnia myśli, że zna zasady gry. Chce mieć skarb dla siebie, nie dzieląc się z królem i ma przy tym nadzieję zachować swój tytuł i stanowisko.

— Ambitny plan — przyznał Berytus.

— Owszem, ale Torgut Chan nie jest odpowiednim człowiekiem, by go do końca przeprowadzić. Chodź Akwilończyku. Zbierz ludzi i weź świeże konie. Będziemy znowu iść ich śladem, jednak tym razem nie wymkną nam się.

Kiedy Ubo i Chamik obudzili się, odkryli, że Conan już wstał. U jego stóp leżała para związanych królików, które upolował o wczesnym brzasku. Dwaj bandyci drapali się ziewając, podczas gdy Conan przygotowywał niewielkie ognisko, rozpalając je przy użyciu dobrze wysuszonego drewna i wielbłądziego łajna palącego się niemal bez dymu. Rzucił każdemu ze swych towarzyszy po jednym z zajęcy.

— Macie śniadanie — powiedział Cymmeryjczyk — o ile będzie wam się chciało je przyrządzić.

Chamik podniósł zająca za długie zadnie łapy. — Myślę, że będę miał zajęcie do południa.

Czy jedziemy do naszej starej kryjówki?

— Tak, ale udamy się tam dłuższą drogą, często zbaczając z głównej trasy.

— Dlaczego mamy tak robić? — zapytał Ubo, robiąc nacięcie w nogach swego zająca i sprawnie zabierając się do zdzierania skóry.

— Sagobał i łowcy ludzi nie byli w świątyni ostatniej nocy, nie widziałem ich też w tłumie na placu.

— Ta banda tchórzliwych mieszczan popadła w tak straszną panikę, że nie mogłem nawet dostrzec króla Turanu ze swoją świtą? — powiedział Chamik, ćwiartując martwego królika i nadziewając go na odłamane z krzewów gałązki.

— Widziałbym go, gdyby tam był — zapewnił go Conan. — Możemy być zatem pewni, że nawet w tej chwili są na naszym tropie. Sprawimy, iż będą mieli urozmaicony pościg i na tych wzgórzach, które znam dużo lepiej od nich, z pewnością ich zgubimy. Później pojedziemy po nasz skarb.

— Niegłupio pomyślane — przyznał Ubo — będziemy mogli zabrać w sakwy mnóstwo złota i odjechać w odległe miejsce, gdzie będąc nikomu nieznani ukryjemy się na jakiś czas, choćby przez rok. Potem może wrócimy z karawaną i załadujemy całą resztę. To nic trudnego teraz, gdy jest nas tylko trzech... — ledwie jego słowa przebrzmiały, gdy

uświadomił sobie, że coś tutaj się nie zgadza. — Trzech? — rozejrzał się wokół — gdzie podziła się ta kobieta, gdzie jest Auda?

Chamik skoczył na równe nogi.

— Wzięli konie i uciekli! Dziewczyna i ten pustynny łajdak zdezerterowali! Pojechali przywłaszczyć sobie skarb! Wodzu, jak mogłeś do tego dopuścić?

— Usiądź, i zrób szybko śniadanie — uspokoił go Conan — jestem głodny. Musimy jak najszybciej wyruszyć. Lajla pojechała załatwić pewną sprawę i uczyniła to na moje zlecenie.

Jeśli zbadacie jej ślady, zobaczycie, że nie pojechała w stronę kryjówki. Auda udał się z powrotem po naszych śladach, ale nie po to, by je zatrzeć, lecz po prostu skierował się na zachód. Ze swoją raną nie może jechać tak szybko jak my, więc pojedzie krótszą drogą i

dotrze do kryjówki równocześnie z nami.

Powoli opuściła bandytów podejrzliwość.

— Chcesz, żeby pojawiły się fałszywe ślady, aby zmylić pogoń? — zapytał Chamik uśmiechając się — niegłupio pomyślane, wodzu. Jeśli ją złapią, to nic na tym nie tracimy.

Podobnie z Audą, chociaż był uczciwym kompanem. Jego rana przeszkadza nam w ucieczce.

Kiedy zające upiekły się, zjedli je z chlebem, stwardniałym serem i suszonymi daktylami.

Pokrzepieni w ten sposób, ponownie dosiedli koni i kontynuowali swą ucieczkę. Jechali coraz głębiej labiryntem jałowych wzgórz. Posuwali się przez nikogo niezauważeni, nie licząc paru dzikich koziorożców i innych zwierząt żyjących na tej gorącej ziemi.

* * *

Torgut Chan otarł pot z czoła. Nie czuł się całkowicie bezpieczny, choć urzędnicy

królewscy wydawali się być usatysfakcjonowani. Przybyli po południu, gdy w mieście ciągle jeszcze wrzało od opowieści na temat spektakularnej katastrofy, jaka wydarzyła się tu poprzedniej nocy.

Przeciwnie wiatry wiejące nad Vilayetem opóźniły ich podróż ze stolicy do Khawarismu i

tylko dzięki temu namiestnik mógł mieć jeszcze nadzieję na uratowanie życia. Urzędnicy

dopytywali się o królewskie podatki. Namiestnik pokazał im zniszczoną świątynię i

opowiadał przerażające historie o niesamowitych wydarzeniach, które rozpoczęły się już w czasie festynu, a zakończyły wczorajszej nocy. Torgut Chan lamentował. Szarpiąc włosy

komentował opowieść. Tłumaczył się, że nie tylko królewskie podatki zostały pogrzebane

pod przekłętą stertą głazów, lecz on namiestnik poniósł osobistą stratę, wkładając swoją fortunę w przebudowę starożytnej świątyni. Miała się ona stać solidnym skarbcem dla

bogactwa Jego Królewskiej Wysokości, któremu on, Torgut Chan, służył przez całe swoje

życie z niezachwianą lojalnością. Urzędnicy skarbowi mogli mieć powody, aby go

podejrzewać, ale zrujnowana świątynia stanowiła przekonywający argument na jego

korzyść. W ruinach wciąż pojawiały się ślady działań czarodziejskiej mocy magów. Tak, jak to się dzieje w wypadku wielkiego wulkanu, gdy nawet wiele miesięcy po wybuchu wciąż

emitowane są dym i lawa, tak tu z wnętrza świątyni wydobywały się dźwięki, a nawet przy

świecie dziennym dawało się postrzec tajemnicze światła. Fragmenty ruin wyrzucane

nieznaną siłą w górę, wlatywały aż po resztki dachu, by potem spaść, roztrzaskując się na drobniejsze kawałki. Oczywiście Torgut Chan wyjaśnił, że będą musiały minąć długie lata

zanim ktoś podejmie się przekopać świątynię w poszukiwaniu skarbu, który, jak ich

zapewniał, wciąż znajdował się pod kamienną stertą.

Namiestnik pstryknął palcami i niewolnica nalała wino do zdobionego klejnotami

pucharu. Pijąc, rozważał sprawę. Skoro tylko niebezpieczeństwo zostało oddalone,

odzyskał trzeźwość myśli. Zrozumiał, że jego pewność, iż skarb znajduje się w świątyni była złudzeniem, wynikłym z krańcowego psychicznego wyczerpania.

Skarb rzeczywiście ulotnił się w tajemniczy sposób w czasie festynu. Zatem, gdzie mógł

być teraz? Sagobal na pewno znalazł trop banitów, lecz czy śledził ich aż do miejsca ukrycia skarbu, czy czegoś przed nim nie zataił?

Do tej pory namiestnik był całkowicie zależny od dowódcy swojej gwardii. Czy jednak

nadal tak być powinno? Co innego mógł zrobić? Nie miał tropicieli mogących się równać z

łowcami zatrudnionymi przez Sagobala. To było najbardziej deprymujące. Wzdrygnął się, gdy jakiś przedmiot wleciał przez okno i wylądował na podłodze z metalicznym dźwiękiem. Początkowo wpadł w gniew. Czyżby jakiś mieszczanin w ten grubiański sposób chciał okazać mu swoją pogardę? Właśnie miał zawołać strażę, gdy zorientował się, czym był wrzucony przedmiot. Z wyglądu przypominał guzik o nierównych brzegach, szeroki na trzy palce i zrobiony z ołowiu, na którym odcisnięto znak jego osobistej pieczęci. Każda ze skrzyń i toreb przechowywanych w krypcie była nim oznakowana.

— Zostaw mnie samego — rzekł do niewolnicy.

Ukloniła się i szybko opuściła komnatę. Torgut Chan wstał i podszedł na środek sali. Schylił się i podniósł pieczęć. Wciąż był do niej przymocowany cienki rzemień. Z całą pewnością musiała być użyta, aby zabezpieczyć jedną z toreb ze srebrem.

— Kimkolwiek jesteś ty, tam na tarasie — powiedział — masz tu przyjść, chcę z tobą porozmawiać.

Mężczyzna wkroczył do środka przez wysokie okno. Przyłożył szeroko rozstawione ręce do piersi i uklonił się.

— Pozdrawiam cię, potężny namiestniku, Torgut Chanie. Człowiek, którego widzisz przed sobą jest twoim pokornym sługą, Osman z Shangary.

— Mów szybko, Osmanie z Shangary, gdyż jestem bardzo niecierpliwym człowiekiem — podniósł ku górze przedmiot. — Jak wszedłeś w posiadanie tej pieczęci? Czy jesteś członkiem bandy, która ukradła mój skarb?

— Panie, byłem agentem Sagobala. Umieścił mnie w więzieniu, bym pomógł w ucieczce barbarzyńcy. A potem przywiódł go ponownie wraz ze swymi bandytami do Shahpuru aby, jak twierdził Sagobal, pojmać całą bandę. Zapewniam cię, wierzyłem, iż Sagobal będzie ci wiernie służył.

— Nie wątpię. Zatem wzięłeś udział w rabunku.

— Tak, Panie.

— I wiesz, gdzie ukryty jest skarb?

— Wiem.

— Więc mów.

— Szkoda na to słów, panie. Skarb jest ukryty w labiryncie wzgórz na południe od miasta.

Prowadzącej do niego drogi nie sposób opisać słowami. Mogę jednak cię tam zaprowadzić.

— Doskonale — ucieszył się Torgut Chan, czując wzrastające podniecenie. — To właśnie masz teraz zrobić.

— Hm, tak mój Panie, są jednak pewne sprawy, które musimy wcześniej omówić. Sagobal obiecał hojnie mnie wynagrodzić za moją wierność i niebezpieczną służbę. Nie uważam go jednak za człowieka honoru i podejrzewam o to, że spiskuje przeciw tobie. Po prostu usiłuje zagarnąć skarb dla siebie.

— Nie ma to żadnego sensu — rzekł Torgut Chan — nie tobie sądzić lepszych od ciebie.

Potrafię jednak być szczodry. Zaprowadź mnie tam, a wynagrodzę cię piętnastą częścią skarbu.

— Mój Panie, jakżeś łaskawy — powiedział Osman — lecz nawet jako bandyta miałem prawo do dwudziestej części skarbu.

— Weź, zatem dziesiątą część, przeklęty łotrze! — rzucił zirytowany Torgut Chan — to więcej niż mógłbyś ukraść w całym swym łajdackim życiu!

— Jestem twoim pokornym sługą, Ekscelencjo — rzekł Osman, uśmiechając się w głębokim ukłonie.

— Rozdzielili się — doniósł Berytus — tak jakby próbowali zatrzeć ślady, ale uczynili to zbyt powierzchownie, by oszukać moich tropicieli.

— Czy nie wydaje ci się to podejrzane? — zapytał Sagobal — może chcą nas wciągnąć w pułapkę?

— Możliwe, chociaż prawdopodobnie tylko zgubili jednego ze swych ludzi pustyni. Parę razy odkryliśmy ślady krwi obok śladów konia podkutego w typowy sposób dla pustynnych wierzchowców. Nie była to krew końska. Ambula umie to odróżnić na podstawie smaku. Zostało im nie więcej niż pięć osób, przy tym jedną z nich jest kobieta.

— Więc uratowało się pięciu ludzi — powiedział Sagobal — jeden z nich jest ranny. — Zgadza się. Nas jest sześciu, wszyscy są wojownikami najwyższej klasy. Nawet gdyby nas schwytali w zasadzkę, z nich wszystkich jedynie Conan mógłby nam dostarczyć nieco rozrywki.

— Bardzo dobrze. Czy zamierzasz rozbić swoją grupę, aby śledzić wszystkich członków bandy.

— Nie, kobieta pojechała na południe. Ranny człowiek pustyni udał się na zachód. Barbarzyńca i jeszcze dwóch innych pojechali razem. Podążymy ich śladem.

— Zatem, jedźmy — zgodził się Sagobal, uderzając ostrogami w końskie boki.

Conan i jego dwaj towarzysze spędzili trzy dni klucząc między wzgórzami, wybierając ścieżki przyprawiające o zawrót głowy, które wielokrotnie schodziły się ze sobą, bądź rozwidlały. W niektórych miejscach zadawali sobie trud, aby zacierać ślady. W innych nawet nie zamierzali próbować. Czasem Conan wiódł ich po rozległych kamiennych terenach, nie pozostawiając żadnych tropów możliwych do zauważenia przez zwykłych ludzi. Kiedy indziej jechali, nie zważając na głębokie wyraźne ślady pozostawiane na piaszczystym gruncie. Rano, po czterech dniach, kompani Conana mieli już tego dość.

— Na Seta! — rzekł Chamik, siedząc przy ognisku, nad którym przygotowywał śniadanie

— przebyliśmy drogę, którą pustynni tropiciele nie mogliby podążać, nawet gdyby mieli do swej dyspozycji psy gończe. Jedźmy do naszej kryjówki, wodzu.

— Właśnie — zgodził się Ubo, rozcierając zbolące plecy. — Nie po to zostałem bandytą, aby harować w ten sposób.

— Jak chcecie — powiedział Conan — Jedziemy. — Wsiadajcie na konie.

Bandyci wypełniali rozkaz, zacierając ręce, a przez ich wyszczerzone w uśmiechu twarze przebijała chciwość.

Jechali przez resztę dnia aż do zmierzchu. Przybyli do małego kanionu bogatego w wodę.

Zbliżając się do stawu, dostrzegli siedzącego przy nim człowieka w pustynnej szacie, jego koń skubał tuż za nim trawę.

— Jest Auda! — powiedział Chamik i ruszył kłusem w jego stronę.

— Zaczekaj — krzyknął Conan — coś tu jest nie... Chamik jednak zdawał się go nie słyszeć.

— Auda! — krzyknął. Usta miał wciąż otwarte, gdy trafił w nie stalowy grot włóczni.

Przebił mu podniebienie i wyszedł z tyłu czaszki. Bandyta nie zdążył nawet spaść z konia, gdy nastąpiła błyskawiczna reakcja Cymmeryjczyka. Skoczył ze swego wierzchowca i

przetoczył się w krzaki. Szybko i cicho niczym wąż uciekał przed deszczem strzał. Ubo,

który jechał pięćdziesiąt kroków z tyłu za Conanem, zawrócił swego konia w miejscu i

ruszył z impetem, znikając za załomem skalistego kanionu.

— Zostawcie go — krzyknął głos z akwilońskim akcentem. — Będzie gnał przed siebie, aż dotrze do Khawarismu lub dalej. Zależy nam na barbarzyńcy, nie na nim. Pilnujcie jego konia.

Ciało Conana pracowało jak dobrze naoliwiona maszyna. Czołgał się między krzakami i

kamieniami. Nie sposób go było dostrzec, bo przypominał pełznącego węża. Bezszelestnie

sunął tuż przy ziemi. Wiedział, że pozostawieni z tyłu ludzie byli wyjątkowo dobrymi

tropicielami, lecz on był nawet w stanie wymknąć się piktyjskim tropicielom. Te

półpustynne tereny mogły stać się doskonałą ochroną dla takiego człowieka, jak Conan.

— Możesz uciekać, jeśli chcesz Cymmeryjczyku — krzyknął Berytus. — Twój człowiek

pustyni dostarczył nam trochę rozrywki, ale rany zbyt osłabiły go. Przyjdź tu i powiedz nam, gdzie ukryłeś skarb. Zaoszczędzi ci to wielu cierpień. Conan był napięty jak struna.

Jeśli człowiek chciał chępcić się — pozwalał mu. Wkrótce miał zapaść zmierzch, a ciemność mogła się okazać dla Conana większym sprzymierzeńcem niż cała armia.

— Nie zwiodłeś mnie fałszywymi śladami i głupimi manewrami — krzyczał Berytus. —

Kiedy odkryłem, do czego zmierzacie, przyjechaliśmy, aby tutaj na was poczekać. Czekałem na was już tu, gdy uciekaliście do Iranistanu. Nawet wtedy wiedziałem, że chcieliście w tym miejscu załadować skarb na wielbłądy. Lecz wieśniacy odzyskali swoje stado, a wy

ukryliście tutaj swą zdobycz. Gdy nadjechał twój człowiek pustyni, nabrałem pewności, że się nie myliłem. Wychodź więc! To staje się nudne.

Conan zrozumiał, że Berytus chciał swoimi słowami przykuć jego uwagę, aby pozostali łowcy mogli go okrążyć. Cymmeryjczyk doczołgał się do nisko zawieszanej skalnej półki zasłoniętej przez kępę krzaków. To mogło być dobre miejsce, aby przeczekać do zmroku.

Wczołgał się na nią i, gdy jego oczy przyzwyczyły się do panującego półmroku, odkrył, że nie był jedyną istotą, która upodobała sobie to miejsce. Okrutnooka żmija leżała zwinięta w cieniu i wpatrywała się w niego bezlitosnym wzrokiem. Nagle gad rzucił się na niego, lecz zęby Conana zmiażdżyły jej głowę. Upuścił żmiję na ziemię dopiero po paru minutach,

kiedy jej ciało przestało wic się w agonalnych drgawkach. Półka skalna okazała się wystarczająco szeroka, aby mógł się w niej zmieścić. Ścisnął jedynie ramiona i podkurczył nogi. Z zewnątrz stał się niewidoczny, a gęste krzewy maskowały jego skrytkę. W pewnym momencie usłyszał skradające się kroki. Jakiś człowiek minął jego kryjówkę. Conan wywnioskował, że niczego nie zauważył. Był pewien, iż nie pozostawił za sobą żadnych śladów. Potrafił przejść nawet po miękkim gruncie, nie znacząc większego śladu niż promień księżyca.

— Nie podoba mi się to — stwierdził Sagobal — zapadają coraz większe ciemności, a twoi domniemani, wybitni znawcy tropów nie dają sobie rady z jednym niezdarnym bandytą, ukrywającym się nie więcej niż o sto kroków stąd.

Obydwaj mężczyźni stali przy ognisku, gdy czwórka tropicieli usiłowała znaleźć Conana.

— Jest świetnie wyszkolony w sztuce zacieranie tropów, jak żaden z upolowanych dotąd przeze mnie ludzi — przyznał Berytus. — Sam badałem miejsce, gdzie rzucił się z siodła w krzaki.

Tam, gdzie upadł, nie ma żadnego śladu. — Łowca potrząsnął głową. — Musieli go uczyć Piktyjczycy. Ale jak to możliwe? Cymmeryjczycy są ich śmiertelnymi wrogami. — Zwykli Cymmeryjczycy również nie podróżują do Turanu, aby wykraść tam skarb — powiedział Sagobal — a ten tego dokonał. Odwrócili głowę, aby spojrzeć na zbliżającego się Urdosa z Koth. Twarz tego brodacza była ponura.

— Nie ma nawet śladu po nim, wodzu, wygląda to tak, jakby...

Kothyjczykowi nie dane było dokończyć. Błady kształt zaatakował go z tyłu i błyskawicznie zniknął w ciemności. Widać było tylko błysk i dał się słyszeć dźwięk rozcinanego ciała przechodzący w chrzęst. Zdziwienie przemknęło przez twarz Kothyjczyka. Przez chwilę stał nieruchomo, po czym jego zeszywniałe ciało runęło w dół. Leżał twarzą do ziemi w zupełnym bezruchu. Kręgosłup miał rozcięty na dwie części. — Barca! Ambula! Bahdur! — krzyknął Berytus — do mnie! Cymmeryjski pies zabił Urdosa.

Conan przyklęknął za skałą. Czekał. Usłyszał zbliżającego się Shemitę i dźwięk oddalających się kroków wskazał mu kierunek... Człowiek ten wyraźnie śpieszył się, aby być blisko dowódcy. Cały czas zachowywał ostrożność. Shemici stawali się najgroźniejsi, gdy dosiadali wierzchowców, lecz Barca nie miał wyboru, musiał zejść z konia, by kontynuować pościg za przebiegłym Cymmeryjczykiem.

Conan dostrzegł spodnie przeciwnika i skoczył. Shemita usiłował użyć swego łuku, ale było już za późno. Cymmeryjczyk swym muskularnym ramieniem przyciągnął go do siebie, a drugą ręką zadał cięcie mieczem. Przebił go na wylot. Shemita wydał z siebie zduszony okrzyk. I w tym momencie Cymmeryjczyka zaatakował Ambula. Wrażliwe ucho Conana nie zarejestrowało niestety najmniejszego szelestu. W ostatniej chwili udało mu się uniknąć pchnięcia włócznią. Odbił swym mieczem cios. Broniąc się rozpaczliwie czynił hałas. Przywołał tym pozostałych łowców.

— Berytusie! — zawołał Ambula — złapałem go.

Krzyk ten rozproszył go, ale ostatnim wysiłkiem woli skoncentrował się. Jego ostrze zmieniło kierunek i uderzyło pod włócznią Puntyczyka, odcinając mu ramiona. Zanim mężczyzna krzyknął, następny cios odciął mu głowę. Conan nie zdążył odpocząć, gdy niespodziewany dźwięk z tyłu kazał mu się odwrócić. W mroku dojrzał Hyrkańczyka naciągającego łuk. Cymmeryjczyk nie zdążył wykonać żadnego ruchu, kiedy za plecami napastnika błysnął nóż i jednym rzutem ostrzej jak brzytwa stali przeciął cięciwę łuku oraz żyłę szyjną łuczника.

— Nie rozumiem — powiedział Ubo, wycierając nóż o płaszcz swej ofiary. — Dlaczego te psy gończe uważają, że są jedynymi istotami potrafiącymi radzić sobie w ciemnościach. — Z powrotem włożył nóż do pochwy.

— Na Croma! Nigdy bym nie pomyślał, że kiedyś ucieszy mnie widok twojej brzydkiej gęby.

— Ambula! — krzyknął Berytus — Barca! Bahdur! Żaden dźwięk nie nadpłynął z otaczającej go ciemności. Odwrócił się do Sagobala.

— Słyszałem odgłos stali i wołanie Ambuli. Teraz wkoło zapanowała cisza, choć ludzie zostali zabici. Sagobal splunął ze wstrętem — tyle była warta twoja banda łowców! To wstyd dać się pokonać barbarzyńskiemu wyrzulkowi.

— Najpierw musiałyby mnie zabić — odparł chłodno Berytus — a ludzi znajdę innych. Teraz sam się z nim zmierzę — odwrócił się i zniknął w ciemnościach.

— Gdzie idziesz tchórze? — krzyknął Sagobal.

Berytus nie odwrócił się.

— Poza krąg ogniska. Conan ma teraz dwa łuki.

Sagobal umknął poza krąg światła.

* * *

— Tam są! — wyszeptał Ubo. Razem z Conanem leżeli na niewysokim górskim grzbiecie i

spoglądali w dół kanionu. Twarze ich były pokryte pyłem. Za ich plecami świeciło wschodzące słońce, dlatego dwójka ludzi stojąca na dole nie mogła ich dostrzec.

— Zaryzykowałbyś posłać im strzałę? Nie byłem łucznikiem nawet wtedy, gdy widziałem na oba oczy.

— Nie — powiedział Conan — potrafię strzelać z łuku, ale nikt nie jest w stanie skutecznie posłużyć się łukiem, którego nie zna. Nie miałem dotąd czasu, aby go wypróbować.

— Co, zatem robimy? — spytał Ubo. — Możemy zejść, aby z nimi walczyć, ale w ten sposób któryś z nas mógłby zostać ranny.

— Czekamy — powiedział Conan.

— Na co mamy czekać?

— Wydaje mi się, że słyszę jakiś dźwięk — szepnął Conan.

W oddali dał się słyszeć dźwięk końskich kopyt.

— Co to może być? — zdziwił się Ubo.

— Zobacz.

Mężczyźni w kanionie odwrócili się gwałtownie. W wąwozie ukazali się jeźdźcy. Mieli na sobie pełne uzbrojenie gwardzistów Torgut Chana. On sam był między nimi, a tuż za nim jechał człowiek niewysokiej postury.

— Na Seta — zaklął Ubo — to ten łajdak, Osman!

— Zgadza się — przytaknął Conan — wiedziałem, że wkrótce się pojawi, próbując jak zwykle wplątać wszystkich w swoją intrygę. Mamy szczęście, że nie przyjechał wcześniej.

Ta tłusta świnia, Torgut Chan nie potrafi szybko jeździć. Zaręczam ci, że Osman stracił dużo czasu wiodąc go tutaj. Nie zna zbyt dobrze tych terenów. Chodź, może być zabawnie.

Z tymi słowami Conan ześliznął się w dół stromego zbocza, Ubo, nieco zbity z tropu, podążył za nim.

— Namiestniku! — wykrzyknął Sagobal, nie dając poznać po sobie wściekłości. — Jak się

tutaj dostałeś?

— Ten człowiek mnie przywiódł — powiedział Torgut Chan. — A teraz wytłumacz się!

— Osman mnie zdradził, tak?! Ta zdraдлиwa, mała świnią zaprowadziła nas w zasadzkę zastawioną w domu czarownika. Co on teraz knuje? Szliśmy tu po tropach bandytów i walczyliśmy z nimi przez całą noc. Przynajmniej jeden z nich nadal żyje, choć nie potrwa to długo. Sądzę, że... — gwałtowny gest Torgut Chana przerwał jego wypowiedź. Namiestnik zsiadł z konia i podszedł do Sagobala.

— Osman twierdzi, iż wie, gdzie jest ukryty skarb — wyszeptał Torgut Chan. —

Przypuśćmy, że mówi prawdę. Powinniśmy to chyba sprawdzić...

Sagobal zasalutował.

— Bardzo dobrze — mówiąc to odwrócił się do Berytusa. — Akwilończyku ty zostań z gwardią. Osman, chodź z nami.

Berytus wzruszył ramionami, jakby umywał ręce od tej sprawy. Strojąc miny i kłaniając się, Osman wyszedł naprzeciw nim:

— Proszę, podążajcie za mną, panowie.

Mężczyźni ruszyli naprzód. Sagobal lustrował wzrokiem okolice. Wiedział, że uskakując w bok, mógłby z łatwością uniknąć wystrzelonego z daleka pocisku. W rzeczywistości strzały bywały niebezpieczne, gdy nadchodziły z ciemności lub z nieprzewidzianego kierunku, albo w czasie niespodziewanego ataku. Jedną z nich byłaby przeznaczona dla Torgut Chana, nie ma co do tego wątpliwości.

A jednak nikt nie zaatakował. Weszli do niewielkiego kanionu o stromych ścianach.

Osman wdrapał się na pochyłość. Odrzucił na bok parę głazów. Wkrótce odsłonił dobrze zamaskowaną jaskinię. Wykonał znaczące gesty, wskazując na wejście:

— Spójrzcie! Tam w środku jest jaskinia z malowidłami, w której spoczywa skarb. Z tego skarbu panie, mam u ciebie obiecaną mi dziesiątą część. Sagobal sięgnął po miecz i

przytknął go do podbródka Osmana. — Idziesz pierwszy szakalu! Pamiętam dobrze miejsce, do którego mnie zaprowadziłeś! Osman wznosił w górę dłoń, chcąc go uspokoić. — Z pewnością, panie, ale pamiętaj... jestem teraz chroniony przez Torgut Chana, który ma przy sobie wielu uzbrojonych ludzi.

— Wchodź — zimno wycedził Sagobal. Osman przecisnął się przez otwór w skałach. Zapanowała cisza. Potem z wnętrza jaskini dobiegł ich rozpaczliwy krzyk.

— Co się dzieje? — krzyknął Torgut Chan.

— Zniknęło! — lamentował Osman.

— Żadnej skrzyni, ani torby, ani jednej monety — wszystko zniknęło!

— Co takiego? — wydusił z siebie Sagobal. On i Torgut Chan przecisnęli się przez otwór i stali teraz w środku. Poranne promienie słońca zaglądały do jaskini i ukazywały dziwne malowidła na ścianach i suficie, ale nigdzie nie było skarbu.

— Widzicie ślady na ziemi! — krzyknął zdesperowany Osman. — Tu właśnie wszystko ułożyliśmy! Ale zniknęło! Uwierzcie mi, panowie! Nie okłamuję was! — zaczął cofać się w stronę wejścia, gdyż Sagobal zbliżył się do niego z mieczem w dłoni. Mały człowiek gwałtownie się odwrócił i rzucił do ucieczki, za nim Sagobal. Zanim zdążył zrobić kilka kroków w dół po pochyłej ścianie, Sagobal runął na niego niczym tygrys.

— Ostatni raz mnie oszukałeś! — wrzasnął i zadał mu cios, podcinając oszustowi kolana tak, aby nie mógł już dalej biec. — Przeklinam dzień, w którym wydobyłem cię z więzienia! — odciął mu rękę. — Przeklinam twoją matkę, że cię urodziła! — druga ręka była odrąbana.

— Oto twoja nagroda!

Jednym pionowym cięciem rozpołowił ciało Osmana od szyi aż do brzucha. Ukazał się kręgosłup i trzewia, ale ciągle jeszcze nie był to cios śmiertelny. Osman krzyczał, przeraźliwie bełkocząc jakieś nieartykułowane słowa.

Za nimi rozległ się wybuch śmiechu. Sagobal odwrócił się. Wyżej, na stoku wzniesienia,

stał przed nimi Conan z Cymmerii. W dłoni trzymał nagi miecz i spoglądał z wyrazem najwyższej pogardy.

— Czy to właśnie są ci dwaj wspaniali, którzy posłali mnie do więzienia i chcieli pokazać na swoim festynie? — roześmiał się hałaśliwie. — To tylko mali głupcy, którymi zabawiałem się przez wiele dni!

Dowódca straży nie mógł tego ścierpieć. Rycząc z wściekłością rzucił się ku Cymmeryjczykowi. Ten obrócił ostrze i uderzył. Zadźwięczała stal. Po chwili miecze znów się zwały. Obydwaj doskonale władali bronią, ale Conan był silniejszy. Początkowo zadawał niewielkie draśnięcia, potem coraz głębsze. Sam natomiast nie odniósł żadnych obrażeń. Aż wreszcie, nisko zadany cios powalił Sagobala na ziemię, a następny sprawił, że miecz wysliznął mu się z ręki. Dowódca straży zawył z wściekłości. Conan oparł na nim stopę i pchnął jego ciało w dół, aż potoczyło się po urwisku. Wdrapał się na szczyt, żeby stanąć przy ciele Osmana. Był on nadal przytomny i oszalały z przerażenia.

— Cieszcie się swoim towarzystwem — powiedział Conan — zanim nie wywęszą was hieny.

— Na Asurę, Conanie! — szepnął Ubo — ty do końca pamiętasz tylko o zemście.

— Zgadza się! A gdzie jest Torgut Chan?

— Uciekł w tamtym kierunku — Ubo wskazał w stronę sadzawki — No, dobrze, ale co się stało ze srebrem?

— Kiedy wyruszyliśmy z górniczego miasteczka i ludzie pojechali do domu czarownika — wyjaśniał Conan — wróciłem tutaj. Chciałem mieć pewność, że Osman nie uciekł ze skarbem. Nie spotkałem go, ale wiedziałem dobrze, że w każdej chwili może przyjść po majątek. Przeniosłem więc wszystko.

— Przeniosłeś? — powtórzył Ubo. — Gdzie?

— Do stawu. Wszystko jest tam, pod wodą. Pracowałem cały dzień i noc, żeby wszystko ukryć, a potem zatrzeć ślady.

Ubo podrapał się w ogoloną głowę:

— Nigdy nie pociągała mnie idea ciężkiej pracy, ale tak wielki skarb był tego wart. Co teraz zrobimy, wodzu?

— Zobaczymy, co się będzie działo — stwierdził Conan. — Chodźmy!

Znaleźli się w miejscu, z którego widać było staw. Zdyszany Torgut Chan wrzeszczał na swój szwadron. Domagał się, aby żołnierze przeszukali teren i znaleźli Conana.

Rozkojarzeni ludzie dreptali w kółko i nie mogli zrozumieć sprzecznych rozkazów.

— Zbliży się więcej jeźdźców — rzekł zaskoczony Ubo. — Kto to może być?

Od południowej strony kanionu grupa jeźdźców przekraczała przełęcz. Wyglądali na awanturników; obdarci i niepodobni do żołnierzy z gwardii namiestnika.

— Zaczekaj — wykrzyknął Ubo. — Czy to nie ten oficer, który chciał rozkazywać?

— Owszem — przyznał Conan. — Kapitan Hosta, iramistański rebeliant. Jest też Idris, ów młodzieniec roszczący sobie prawa do tronu.

— Skąd się tutaj wzięli — zapytał Ubo. Dojrzał wtedy Lajlę jadącą między nimi. — Aha, rozumiem.

— Wysłałem ją, aby ich sprowadziła — powiedział Conan — przeczuwałem, że wkrótce czeka nas walka, w której nie poradzimy sobie własnymi siłami. Jedyńm człowiekiem, do którego Osman mógł się udać, był Torgut Chan. Podaj mi łuk.

Conan spojrział na jednego z jeźdźców. Nie przywykły do łuku za pierwszym razem chybił, za drugim strzała o włos minęła swój cel, za trzecim trafił, strącając jeźdźca z siodła. I w tym momencie żołnierze zwarli się w wirującym kłębowisku. Jeźdźcy i rebelianci zadawali sobie śmiertelne ciosy, tnąc mieczami i lancami. Rebelianci mieli liczebną przewagę, lecz żołnierze jazdy posiadali lepsze uzbrojenie.

— Chyba się wzajemnie powybijają — powiedział Ubo — dlaczego pomagasz rebeliantom?

— Ponieważ chcę zniszczyć Torgut Chana — rzekł Conan posyłając swą ostatnią strzałę.

Pogalopował w dół wzgórza i przyłączył się do walki. Tnąc na wszystkie strony utorował sobie drogę pośród walczących i wrzasnął: — Torgut Chan! — pokaż się ty świni! — Nagle zobaczył go próbującego zaciekle bronić się przed atakami nieoczekiwanych gości. Conan przedarł się przez walczących i zepchnął konia Torgut Chana do wody.

— Barbarzyńco — krzyknął namiestnik — jesteś nieśmiertelny?

— Nie — odpowiedział Conan. — I ty również nie! — miecz jego uderzył w tłusty korpus Torgut Chana, rozcinając zbroję, ciało i kości. Namiestnik z krzykiem spadł z konia i upadł

twarzą w wodę, w której pływały ciała poległych. Gasnące oczy rannego spostrzegły jeszcze wielką stertę skrzyń i toreb spoczywających na dnie stawu.

Nagle ucichł szcęk mieczy i świst strzał. Szyki rebeliantów wprawdzie przerzedziły się, ale wojsko Torgut Chana zostało całkowicie wybite. Wszędzie leżały ciała poległych, a

wśród nich wzywający pomocy ranni.

— Możesz być pewien, że żaden się nam nie wyniknął — powiedział generał Eldis, kuzyn pretendenta.

— Tak — krzyknął — Idris — nie powinno to w niczym zaszkodzić naszym stosunkom z

Turanem, przynajmniej jeśli chodzi o króla. Po prostu Torgut Chan ze swoją armią zapadli się pod ziemię. Wtedy dostrzegł Conana i uśmiechnął się.

— Miło cię widzieć kapitanie! Ta kobieta powiedziała nam, że masz dla nas jakieś zadanie.

— To prawda — przytaknął Conan — będziecie musieli osuszyć wprawdzie staw, ale wszystko jest na dnie.

— Hej! — krzyknął Ubo, wyłaniając się zza pleców Conana. — Nie zamierzasz chyba pozwolić im zabrać wszystko, prawda? Na Seta, zasłużyliśmy sobie na naszą część.

Idris spojrzał na swego kuzyna.

— Generale, czy to nie ten człowiek zdezerterował z mojej służby i czy nie zasługuje na to, żeby

wisieć?

— To właściwa kara, mój panie — odparł Eltis, skłaniając głowę.

— Co? — rzekł Ubo z oburzeniem w głosie — uważasz się za króla i chcesz traktować mnie jak swego poddanego. A ja przecież dostarczyłem ci olbrzymi skarb?

Idris uśmiechnął się.

— Nie, nic ci nie grozi, dopóki będziesz poza granicami mojego królestwa, ale taki

bandyta, jak ty powinien być wdzięczny, że wolno mu oddychać. Masz jeszcze czelność

dopominać się dodatkowej nagrody od króla? — spojrzał na Conana. — Lecz jeśli skarb jest taki, jak twierdzi ta kobieta, dam wam jedną skrzynię złota.

— Wasza wysokość — oburzył się Eltis — jesteś zbyt szczodry, garść dinarów powinna wystarczyć tym łotrom.

— Nie. Chcę, żeby ludzie uważali, iż postępuję w królewski sposób. Skrzynia złota.

— Jak sobie życzysz — powiedział Eltis ze zboląłą miną.

— Mój panie — zawołał kapitan Hosta. — Co mam zrobić z tym człowiekiem? — wskazał najeźdźców trzymających lance wycelowane w Berytusa z Akwilonii. — Nie brał udziału w walce i nie jest Turańczykiem.

— Czy jest jednym z twoich ludzi? — zapytał Idris.

— To jest pies wynajęty przez Sagobala — wyjaśniła Lajla ściągając cugle — poprowadził swą bandę szakali do ataku na dom mego ojca i tropił nas od momentu, gdy zdobyliśmy skarb.

— Zatem zabij go — wydał rozkaz Idris.

— Poczekaj! — krzyknął Berytus — pozwól mi się zemścić!

— Za co chcesz się mścić, psie! — rzekł Conan z pogardą w głosie — nigdy nie szukałem z

tobą zwady. To ty przyjąłeś zapłatę od Sagobala w zamian za to, by mnie wytropić. Zabiłem twoich ludzi, ponieważ ścigali mnie, a nikt nie może tego robić bezkarnie.

— Naprawdę myślisz, że chodzi mi o nich? Chcę zemsty za Venarium.

— Venarium? — zdziwił się Idris — słyszałem tę nazwę. Czy nie była to wielka bitwa daleko na północy wiele lat temu?

— Nie tak znów wiele — rzekł z goryczą Berytus — król Akwilonii założył kolonię na północ od bossońskich bagien i moi krewni byli między osiedleńcami. Dzikie plemiona z Cymmeryjskich wzgórz zaatakowały nas, dokonując straszliwej rzezi. Cała moja rodzina została zamordowana.

— Twój król założył swoją kolonię na starożytnych ziemiach naszych klanów! — powiedział Conan — mieliśmy prawo przepędzić intruzów. Chociaż miałem tylko piętnaście lat, zabiłem wielu Akwilończyków, Bossończyków i Gundermenów. Ale to była bitwa, a nie pułapka bądź zdradliwy atak. Nikt nie ma prawa do zemsty za porażkę w uczciwej i otwartej walce.

— Również byłem wtedy chłopcem — odparł Berytus — i kiedy skończyła się walka zostałem sprzedany jako niewolnik.

— To kłamstwo! — krzyknął Conan — Cymmeryjczycy nie mają niewolników, ani nie sprzedają więźniów handlarzom. Kiedy przestaliśmy zabijać, wróciliśmy na nasze wzgórza, nie biorąc, ze sobą nic oprócz naszych zabitych i rannych.

— Nie wszystko skończyło się z chwilą, gdy ustała walka — mówił Berytus — przez długie miesiące po bitwie łowcy niewolników grasowali po kraju, wyłapując wygnańców i prowadząc na targ, aby ich tam sprzedać. Przeważnie były to kobiety i dzieci, ponieważ niewielu mężczyzn uniknęło śmierci z rak czarnowłosych wilków z północy. Pracowałem w pocie czoła jako niewolnik. Byłem jednak zbyt butny, by pracować na roli. Sam wykupiłem swoją wolność, walcząc na arenach i odtąd zawsze podążałem ścieżką wojownika i łowcy. Nigdy jednak nie przestałem pragnąć zemsty na Cymmeryjczykach. Bez wahania przyjąłem

ofertę Sagobala, gdy dowiedziałem się, że przywódca bandytów jest jednym z nich.

Złapałem wielu ludzi, ale nigdy przedstawiciela tej przeklętej rasy.

— Ścigałeś mnie za solidną zapłatę.

— To są brednie, cała ta mowa o dawnej bitwie i zemście — powiedziała Lajla. — Zabijcie go.

— Nie — sprzeciwił się Conan — to podły szakal polujący na zbiegłych niewolników i zdesperowanych ludzi, ale nie powiem, by brakło mu odwagi. Ma też trochę racji żądając zemsty. Wyciągaj swoją stal, Akwilończyku. Ty i ja stoczmy raz jeszcze walkę o Venarium.

— To szaleństwo — rzekła Lajla — już przecież wygrałeś!

— To nadzwyczajne — wykrzyknął Idris.

— Tak — zgodził się Eldis — może się wzajemnie wybiją. Zaoszczędzilibyśmy w ten sposób skrzynię złota.

Rebelianci ustawili się w półksiężyc naprzeciwko stawu. W tak ograniczonej przestrzeni dwaj ludzie północy wyciągnęli miecze i odrzucili pochwy. Zaczęli powoli krążyć wokół siebie, czekając dogodnej sposobności, by zadać cios. Byli sobie równi wzrostem i wagą.

Berytus nieco masywniejszy, za to Conan miał dłuższe nogi i ręce. Za wyjątkiem stalowego hełmu Akwilończyka i metalowych blaszek na jego rękach i przedramionach, obydwaj nie mieli zbroi.

Conan cofnął się o krok i przeszedł do gwałtownego natarcia. Wymierzył serię ciosów w głowę swego przeciwnika i zmusił go do zaprzestania ciągłego ataku. Berytus odparowywał ciosy mieczem, bądź odbijał je swą osłoniętą żelaznymi płytkami ręką. Obydwaj mężczyźni

odskoczyli od siebie w tej samej chwili, ciężko oddychali zroszeni obfitym potem. Doszli do kresu swoich sił i następna wymiana ciosów mogła okazać się ostatnim starciem. Widzowie

pogrążeni byli w całkowitej ciszy, gdy dwóch walczących na śmierć i życie wojowników przerwało walkę.

Nagle ponownie skoczyli na siebie. Wymiana ciosów następowała szybko, tak że widzowie nie mogli za nią nadążyć. Dało się słyszeć szczęk stali, jakby miecze kluto młotami w kuźni. Wojownicy nacierali na siebie i schodzili z linii ciosów, aż zsunęli się do stawu, walcząc dalej w wodzie sięgającej im niemal po kolana. Zapadła cisza, gdy skrzyżowane miecze zaklinowały się swoimi rękojeściami. Mężczyźni napierali na siebie całą mocą napiętych mięśni, ich klatki piersiowe pracowały niczym kowalskie miechy, wypuszczając świszczące powietrze. Berytus zepchnął miecz Conana w dół i uderzył swą obitą żelazem dłonią w przeciwnika. Rozległ się dźwięk metalu rozrywającego ciało. Conan zatoczył się w tył. Krew trysnęła z czterech podłużnych ran powstałych po rozoraniu policzka, a zadanych kolcami sterczącymi ponad kostkami dłoni Berytusa.

Akwilończyk ruszył do przodu, chcąc pójść za ciosem. Ponowił straszliwe uderzenie, ale jego ramiona i nogi musiały odmówić mu posłuszeństwa. Conan zdołał odblokować miecz i Berytus nadział się na jego ostrze, które zagłębiło się aż po rękojeść tak, że pół metra skrwawionej stali sterczało teraz z jego pleców.

— Przeklinam cię, ty Cymmeryjska świnio — zacharczał Berytus i runął w dół, rozbryzgując skrwawioną wodę. Conan podszedł do ciała i wyszarpnął swój miecz. Zanurzył błyszczącą stal w wodę, by oczyścić ją z mięsa i krwi.

— Na Croma — rzekł Conan — trafiłem na godnego siebie przeciwnika! Gdyby nie był złą, morderczą hieną, sprawiłbym mu doskonały pogrzeb!

— Wspaniale — krzyknął Idris.

Eldis patrzył z mniejszym zachwytem, bo właśnie ubyła mu jedna skrzynia złota.

Przez resztę dnia rebelianci trudzili się, aby wydobyć skarb. Mężczyźni nurkowali w odmęty skrwawionej wody. Przywiązywali do skrzyń liny, które przymocowywali do łąków siodeł i w ten sposób ciężki skarb wyciągano na brzeg. Inni brodzili w wodzie niosąc na barkach skórzane torby ze srebrem.

— Jest nawet większy niż opisała nam go kobieta — ucieszył się Idris, podniecony

bogactwem — mając tyle złota, mogę liczyć na to, że pójdzie za mną cały północny

Iranistan. Zrzucę uzurpatora z tronu! — jego ludzie uśmiechali się pożądliwie.

— Conan — kontynuował Idris — dobrze mi służyłeś, ale naprawdę nie chciałbym cię więcej widzieć na terenie mego kraju. Wybierz sobie jedną ze skrzyń. Jest twoja.

Conan dźwignął skrzynię i zaniósł ją tam, gdzie stał przyprowadzony przez Ubo jego koń.

Teraz bandyta siedział na ziemi, niepoczyszony.

— Mamy tylko jedną skrzynię, a rebelianci całą resztę. Jaki z tego pożytek?

— Mogliśmy nic nie mieć — przypomniał Conan. Krew zaschła mu już na twarzy, ale jego policzek wyglądał, jakby tygrys przeciągnął po nim swymi pazurami. — Czy kiedykolwiek ukradłeś tyle, co w tej skrzyni?

— Nie, nigdy w całej mojej karierze.

— Więc nie narzekaj. Świat jest pełen złota, a człowiek odważny zawsze będzie umiał to wykorzystać.

Godzinę później złoto było już zapakowane i rebelianci odjechali, kierując się w stronę

Iranistanu. Zabrali poległych żołnierzy, lecz trupy łowców ludzi i gwardzistów Torgut

Chana pozostały na polu walki. Szakale i hieny grasowały po okolicznych wzgórzach.

Pokazał się nawet rzadki w tych okolicach pustynny lew. W powietrzu roiło się od sępów.

— Jedźmy — rzekł Conan. Przytroczyli skrzynię do siodła konia, którego dał im Idris i

wyruszyli, dosiadając swych wierzchowców. Skierowali się na przeciwległą stronę jeziora, gdzie Lajla rozmawiała z przybyłym ojcem.

— Cieszę się, że widzę cię żywym, Volvolicusie — powiedział Conan — Zazwyczaj nie przepadam za czarownikami, ale w tobie mieliśmy wiernego towarzysza. Zajęty byłeś także własną misją, związaną z tą przeklętą świątynią i grupą cudzoziemskich magów. Czy ten stwór umarł?

— On nigdy nie umiera — odparł czarownik, który przybył tu nie mając konia, odziany w

nieskazitelnie białą szatę. Conan nie chciał wypytywać go o jego czarodziejskie działania. — Ale nie będzie się odradzać przez najbliższe 1000 lat, a być może nawet 10 000 lub 100 tysięcy lat.

— Mnie to i tak nie dotyczy — stwierdził Cymmeryjczyk. — Byłeś jednym z naszej bandy. Złota jest co prawda mniej niż zabraliśmy ze świątyni, ale twoja część czeka na ciebie.

Mag potrząsnął głową.

— Nie potrzebuję złota. Zostałem wyniesiony do Wyższej Rangi Magów, a dla takich ludzi bogactwo nie ma żadnego znaczenia.

— W takim razie żegnaj, Volvolicusie — odparł Conan, po czym zwrócił się do Lajli.

— Byłaś kimś więcej niż biernym uczestnikiem tego, czego doświadczyliśmy przez te wszystkie dni. Czy pojedziesz z nami?

Uśmiechnęła się:

— Nie. To była wspaniała przygoda, ale teraz zostanę z ojcem. Musi mnie jeszcze wiele nauczyć, a sądzę, że wasz dziki styl życia dość szybko by mi obrzydł. Żegnam cię Cymmeryjczyku.

— Żegnajcie — Conan zasalutował, zawrócił konia i pokłusował przed siebie, a za nim Ubo, który prowadził ze sobą jucznego konia.

Jechali przez długie godziny, aż minęli wzgórze i dotarli na skraj wielkiej pustyni, poprzecinanej szlakami karawan, rozciągającymi się między nielicznymi źródłami wody.

— Dokąd jedziemy, wodzu? — spytał Ubo.

Conan wyciągnął przed siebie rękę, wskazując na zachód.

— Gdzieś tam leży miasto o nazwie Zamboula. Tam mile widziani są ludzie posiadający złoto. Nikt ich nie pyta, skąd je wzięli. Jeżeli źródła wody nie wyschły, powinniśmy się tam dostać w ciągu dziesięciu, lub dwunastu dni.

Ubo podrapał się po policzku.

—: Wygląda na to, że to odpowiednie miejsce. W tej skrzyni jest tyle złota, ile wynosi roczny dochód sporego miasta. W mieście, o jakim mówisz, skarb powinien nam starczyć na miesiąc, lub dłużej! A potem możemy zebrać nową bandę spośród miejskich rabusiów. W tego rodzaju miastach roi się] zawsze od takich, co chcą złota, a nie kochają pracy.

— Racja — powiedział Conan. — A więc do Zambouli! Dwaj mężczyźni minęli turańskie pasmo wzgórz. Z tyłu nimi krążyły sępy.